

Samolotem dookoła świata



WADYSŁAW UMIŃSKI

Samolotem dookoła świata

VII. PODRÓŻ MIMOWOLNA

I. BAJECZNY PTAK

Edwin Hinton, zwany inaczej „Włóczęgą”, uchodził powszechnie za wielkiego dziwaka. Czyż bowiem nie zasługuje na podobną opinię, w mniemaniu przeciętnego Amerykanina, człowiek, który skończywszy wyższy zakład naukowy i mając ojca milionera, zamiast używać swoich bogactw, zamiast starać się o zaszczyty, dobijać senatorskiej godności, trząść giełdami, porzuca swoje rodzinne miasto i rodzinę, wyrzeka się niemal majątku, bierze w rękę sztucer i tak jak pierwszy lepszy traper zawodowy zaczyna waleśać się po świecie?

Wędruje na Daleki Zachód, w Góry Skaliste¹, do puszczy kanadyjskich, nie wiadomo za czym goniąc.

Znajomi i krewni mieli więc i mają do tej pory Edwina Hintoną za półwariata, do tkniętego rodzajem manii przenoszenia się z miejsca na miejsce.

A Edwin był sobie tylko człowiekiem łagodnym, dobrym z natury, mającym nieprzemyślaną wstręt do obdzierania ludzi na giełdzie, ku czemu służy, zamiast bandyckiego browninga², dolar, a zamiast lasu — gmach publiczny. Nie żywił tej „szlachetnej”, w oczach wielu milionerów, ambicji zdobycia jeszcze liczniejszych milionów aniżeli te, jakie pozostawił mu ojciec, i nie dobijał się nawet stanowiska senatorskiego ani żadnego innego, bo jak twierdził, wszyscy Amerykanie powinni być równi i nie wywyższać się nad innych tytułami. Dobrobyt sobie zupełnie lekceważył, bogaczy, jeżeli nie byli czymś lepszym aniżeli workami złota, miał po prostu za nic; kochał natomiast namiętnie naukę, przyrodę niezeszeconą jeszcze przez samolubnych robigroszów, był artystą w tym znaczeniu, że znał się na sztuce i miał duszę wrażliwą na piękno. Wolał przebywać w puszczy odludnej niż w najbogatszych salonach nowojorskich; pieńek dębowy w lesie, przy ognisku biwakowym, był przyjemniejszy aniżeli nawet fotel gubernatorski, słowem — należał do rzędu tych ludzi, których wielu podziwiał, ale którym, jak się zdaje, nikt nie zazdrości.

Nie robiąc żadnych skandalów towarzyskich, Edwin pewnego pięknego poranku, jak się to mówi, kupił sobie dobrą strzelbę, przybory myśliwskie, wziął do kieszeni trochę dolarów w postaci przekazów i złotych monet i zniknął z Chicago³.

Niebawem dowiedziano się, że bawi w Kalifornii⁴, pomiędzy tamtejszymi Indianami; potem przeniósł się do Kanady⁵, polował tam przez rok okrągły, znów przeprowadził się do Stanów, ale unikał stale zaludnionego wschodu, trzymając się przeważnie Dalekiego Zachodu, gdzie jeszcze przyroda nie nosi więzów narzuconych jej przez szukającego zysku człowieka. Od czasu do czasu, choć rzadko, pisywał do rodziców i do siostr, które

¹Góry Skaliste — system górski w obrębie Kordylierów w Ameryce Północnej. Przecina zachodnią część Stanów Zjednoczonych i Kanady. Zorientowany w osi północ-południe. [przypis edytorski]

²browning — belgijski pistolet samopowtarzalny na naboje 9mm, skonstruowany przez Johna Mosesa Browninga w 1921 r. [przypis edytorski]

³Chicago — miasto w północno-wschodnim regionie Stanów Zjednoczonych, w stanie Illinois, nad jeziorem Michigan. [przypis edytorski]

⁴Kalifornia — stan w Stanach Zjednoczonych, położony na zachodnim wybrzeżu, nad Oceanem Spokojnym. [przypis edytorski]

⁵Kanada — państwo w Ameryce Północnej, graniczące od północy ze Stanami Zjednoczonymi. [przypis edytorski]

powychodziły za bardzo bogatych ludzi, nawet za książąt, i zamieszkały w Europie. Sam pokazywał się zaledwie raz na parę lat w domu, i to na bardzo krótko. Niebawem też koledzy i znajomi zapomnieli o nim.

Edwin był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo mu to dawało jeszcze większą swobodę. Gdyby dowiedziano się kiedykolwiek na giełdzie, że młody Hinton kupił sobie gdzieś na Oceanie Spokojnym jaką odludną wysepkę za kilka tysięcy dolarów i na niej się osiedlił, jak nowy Robinson, nikt by się temu nie dziwił. Po takim oryginale można się wszystkiego spodziewać!

W chwili kiedy zaczyna się nasze opowiadanie, młody Edwin znajdował się na obszernym płaskowzgórzu, na skraju wyżyny Stanów Zjednoczonych przylegającej na zachódzie do Gór Skalistych, na wschodzie zaś przechodzącej w sławne prerie⁶, które dawniej były krainą bizonów⁷ i polujących na nie Indian. Sama wyżyna jest to obszar niezbyt gościnny. Lasów tu nie ma z powodu długich susz, którym nie może się oprzeć trwała roślina. Brak opadów deszczowych, mających własność niwelowania wszelkich nierówności gruntu, a więc i łożysk rzecznych, stał się przyczyną powstawania tak zwanych kanionów, to jest głębokich wąwozów, wypłukanych przez wody. Tutaj to leży głośna pustynia Utah⁸, której myśliwi starannie unikają.

Edwin powracał z Parku Narodowego⁹, położonego u źródeł rzeki Missouri¹⁰, gdzie przyroda nagromadziła mnóstwo osobliwości, podziwianych przez licznych turystów. Chciał się wydostać na stępy, które zaczynają się od podnóży Gór Skalistych i przechodzą powoli w obszerną nizinę Missisipi¹¹.

Jedynym jego towarzyszem w tych samotniach był młody Indianin, pochodzący z okolic Missouri, noszący imię Tim. Człowiek ten, urodzony w stepach, w jednym z rezerwatów, które rząd Stanów „wspaniałomyślnie” pozostawił wydziedziczonym panom obszarów zajętych przez „blade twarze”, odznaczał się wieloma niezmiernie cennymi w puszczy przymiotami: przede wszystkim — miał cudownie rozwinięte zmysły, potem — doświadczenie łowieckie pierwszorzędne, wreszcie — bardzo miły, szlachetny charakter, który czynił zeń nieoszacowanego kompana zarówno w stepach zachodnich, jak w Górach Skalistych, skąd właśnie obaj wracali. Edwin szedł przodem, w odległości kilkunastu kroków za nim wędrował Tim, dźwigając na barkach lekki, jedwabny namiot i trochę najniezbędniejszych zapasów żywności.

Hinton nie spodziewał się doznać w tamtych okolicach jakichś nadzwyczajnych przygód, znużony był jednak ponurym, zacieśnionym krajobrazem górskim, pragnął wielkiej, nieograniczonej niczym przestrzeni i powietrza stepów.

Był to sam początek wiosny.

W miarę tego jak nasz traper zapuszczał się w coraz to niżej położone okolice, klimat stawał się łagodniejszy. Spod mokrych i gdzieniegdzie jeszcze pokrytych wodami obszarów żyznej ziemi wyglądały trawy jasnozielone i kwitnące zioła. Edwin stapał jakby po jednym olbrzymim kobiercu, na którym przyroda rozsiała nieskończoną mnogość najpiękniejszych kwiatów. Z początku z przykrością deptał główki barwne, kielichy śmiejące się do słońca, ale wkrótce przestał na to zważać i szedł naprzód żwawo, tym elastycznym krokiem, który wyrabiają sobie ludzie zmuszeni do długich wędrówek pieszych.

Ponieważ zaś Edwin był namiętym myśliwym, więc ciągle, z przyzwyczajenia, śledził powierzchnię ziemi, poszukując tropów grubszego zwierza. Od czasu do czasu zdejmował

Polowanie

⁶*preria* (fr. *prairie* — łąka) — roślinność o charakterze stepowym, składająca się głównie z traw, występująca w centralnej części Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

⁷*bizon* — rodzaj ssaków z rodziny wołowatych, żyjących dziko w znikomych ilościach w Ameryce Północnej, w Europie tylko w hodowlach. [przypis edytorski]

⁸*Utah, pustynia* — nieścisłość, na obszarze stanu Utah leży Wielka Pustynia Słona (ang. *Great Salt Lake Desert*), pomiędzy Wielkim Słonym Jezioro (ang. *Great Salt Lake*) a granicą ze stanem Nevada. Zajmuje ok. 10 000 km². [przypis edytorski]

⁹*Park Narodowy* — najprawdopodobniej mowa o Parku Narodowym Yellowstone, leżącym na terenie stanów Wyoming, Montana i Idaho. Jest to najstarszy park narodowy na świecie. Jego powierzchnia wynosi ok. 9000 km². [przypis edytorski]

¹⁰*Missouri* — rzeka w Stanach Zjednoczonych, najdłuższa w całej Ameryce Północnej (ok 3700 km), lewy dopływ Missisipi. [przypis edytorski]

¹¹*Missisipi* — druga co do długości rzeka w Stanach Zjednoczonych, czwarta na świecie. (3766 km długości, dorzecze: ok 3 mln. km²). Przecina południkowo cały kraj od stanu Minnesota do Zatoki Meksykańskiej. [przypis edytorski]

z ramienia swój winchester¹², przygotowując się do strzału. Był jednak wybredny, nie marnował naboju na lada jaką zdobycz, poszukiwał przeważnie stworzeń dających cenne futra, bo zaspokajał swoje potrzeby ze sprzedaży skór.

Kochana winchesterka! Ileż to celnych pocisków już wyleciało z jej gwintowanej lufki! Z ilu niebezpieczeństw wybawiła ona swojego właściciela! Niedawno jeszcze, w Górach Skalistych padł od jej kuli potężny niedźwiedź szary¹³, „najgrubsza”, jak by się wyraził myśliwy, zwierzyna w Stanach Zjednoczonych. Wiele miał kłopotu nasz traper, zanim ciężką skórę przeniósł w zamieszkane okolice.

Niedźwiedzia tego będzie pamiętał, bo o mało sam się nie stał jego zdobyczą, nadpnięty zniecka i o zmroku. W swych kilkuletnich samotnych wędrówkach Edwin Hinton doznał mnóstwa nieprawdopodobnych przygód myśliwskich i niemyśliwskich. A im więcej ich było, tym bardziej nasz dziwak za nimi gonił. Niebezpieczeństwo było dlań jakby kieliszkiem wina, do którego się przyzwyczaił tak, że bez niego żyć nie umiał. Musiał przynajmniej raz na miesiąc narażać swą skórę, inaczej czuł się nieswojo. Zrobił się z niego jakby namiętny gracz, który nie ma spokoju, dopóki nie postawi wszystkiego na jedną kartę; gracz, który jednak nie dba o wygraną, ale goni za samym wzruszeniem towarzyszącym ryzyku.

W chwili kiedy go poznaliśmy, zapomniał on już o „grizzly” — tak bowiem nazywają Amerykanie niedźwiedzia szarego z Gór Skalistych — i już tęsknił do nowej przygody.

Projektował sobie właśnie odwiedzić szczep indiański, z którym był zaprzyjaźniony, i zapolować w towarzystwie czerwonoskórych. Spodziewał się dobrze trafić i dlatego przyspieszał kroku, obliczając, że za parę dni stanie na terytorium łowieckim przyjaciół.

Falisty kraj, usiany skałami i olbrzymimi kamieniami, już ustąpił miejsca równinie podobnej do spokojnego morza. Pokrywająca ją bujna, zielona trawa rosła prawie w oczach i dosięgała naszemu wędrowcowi niemal do kolan. Za parę tygodni miała ona zagłuszyć większą część niskopiennych ziół, które nie zdążyły przekwitnąć, i zasłonić pieaszemu wędrowcowi widnokrąg.

Radość jakaś odświeżona opanowała serce włóczęgi; z piersi jego wydobywały się głębokie westchnienia, w końcu zaś popłynęła melodia jakiejś indiańskiej piosenki śpiewanej przez prawowitych mieszkańców prerii.

Tak śpiewając i wodząc dokoła wzrokiem, pełnym ukochania, szedł Edwin, bez troski o jutro, z weselem w piersi.

Dzień kończył się, słońce zachodziło powoli, strojąc się we wspaniały diadem chmurek fioletowych i złotych. Należało rozejrzeć się za wygodnym i bezpiecznym noclegiem.

Edwin szukał wzrokiem jakiegoś wielkiego kamienia i krzewów, które by mu dostarczyły opału. Niedaleko, w nisko ścielących się promieniach słońca, złościła się tafla jeziora powstałego z wiosennych roztopów; leciał od niej głośny rozgwar wodnego ptactwa.

Edwin skierował się w tę stronę, uśmiechała mu się bowiem nadzieja świeżej zwierzyny na wieczrę. Sznury dzikich gęsi przecinały niebo, ale Edwin nie raczył zwrócić na nie uwagi. Zachciało mu się młodych łabędzi. Słyszał już ich pisk pośród wrzawy ptasiej i skradął się ostrożnie, żeby nie spłoszyć tych tysięcy skrzydlatych rzesz, zanim zbliży się na strzał.

Nasz włóczęga wiedział, że znajduje się w najmniej zaludnionych okolicach, dokąd pług osadniczy jeszcze nie zawitał, pogodził się też z myślą spędzenia nocy pod gołym niebem, byleby najwygodniej.

Zdjąwszy z ramienia swoją strzelbę, wyjął nabój z kulą, a na jego miejsce wsunął w lufę inny, z grubym śrutem¹⁴. Nad jeziorkiem rosło kilka niskich drzew, zdaje się srebrnych topoli, które tworzyły popielate sylwetki na tle rozżołconego nieba.

Nagle podniesiona już do strzału broń opadła bezwładnie, Edwin bowiem dostrzegł na

Maszyna

¹²*winchester* — najprawdopodobniej chodzi o strzelbę Winchester Model 1897, skonstruowaną przez Johna Browninga w 1897 roku, produkowaną do połowy lat pięćdziesiątych XX w. przez firmę Winchester Repeating Arms Company. [przypis edytorski]

¹³*niedźwiedź szary* — też: niedźwiedź grizli (ang. *grizzly*), podgatunek niedźwiedzia brunatnego, zamieszkujący północno-zachodnią część Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

¹⁴*śrut* — małe drobiny metalu, kształtem zbliżone do kulek, stanowią wypełnienie naboju myśliwskiego. [przypis edytorski]

niebie coś nadzwyczajnego: jak olbrzymi, bajeczny ptak Rok¹⁵, z nieruchomymi, szeroko rozpostartymi skrzydłami, zakręcając w spokojnym powietrzu szerokie koło — szybował samolot.

Tim również zauważył niespodziewane zjawisko, które wywołało zdumienie na jego ceglastej twarzy.

„Samolot tutaj, w tej pustyni? — pomyślał sobie Hinton. — Cóż zaprowadziło w te niegościnne, oddalone od siedzib ludzkich okolice nieznaną żeglarzy napowietrznych?”

Znajdował się jeszcze dość daleko, przynajmniej o trzy kilometry w linii powietrznej, ale doskonale słychać było w cichym wieczornym powietrzu szum motoru. Tim zatrzymał się również i śledził z rosnącą trwogą samolot zbliżający się szybko.

Biedak nie widział nigdy mechanicznego ptaka i drżał z obawy, pomimo wrodzonej odwagi.

— Wielki Duch opuścił obłoki na niebiańskich skrzydłach i leci do nas. Tim i mister Edwin pożegnać się muszą z życiem i przenieść się do świata cieniów. Tak chce Wielki Duch!

— Co też ty wygadujesz, Tim! — Zaśmiał się Hinton. — Czyż nie wiesz, że biali ludzie wymyślili statki unoszące się w powietrzu na podobieństwo wielkich ptaków? Jeden z takich mechanicznych ptaków zbliża się ku nam, widzę, że zamierza tutaj wylądować przed nocą. Zaręczam ci jednak, mój pocziwcze, że nic nam złego nie uczyni. Nie siedzi na nim Wielki Duch, lecz zwyczajni ludzie.

Słowa te uspokoiły cokolwiek Indianina, lecz w jego wzroku malowało się niedowierzanie.

— To nie są zwyczajni ludzie — rzekł po chwili milczenia, nie przestając śledzić samolotu.

— Ależ najzwyczajniejsi. Tacy jak ja albo ty. Niebawem się o tym przekonasz.

Edwin nie miał jednak czasu na dalsze wyjaśnienia, gdyż samolot znajdował się już niedaleko. Widocznie zniżał lot. Ten równy step, z błyszczącą taflą małego jeziora, wydawał mu się zapewne dobrym miejscem do wylądowania. Leciał teraz co najwyżej o dwieście metrów ponad głowami naszych włóczęgów. Dzięki swemu doskonałemu wzrokowi Edwin spostrzegł na nim trzy ludzkie postacie, z których jedna zajmowała miejsce na samym przodzie i kierowała statkiem powietrznym. Prawdopodobnie pilot spostrzegł także naszych wędrowców, gdyż jeszcze bardziej zniżył lot i nagle zawisł o sto metrów zaledwie ponad ich głowami.

Właśnie Edwin wyjął chustkę i zaczął nią przyjaźnie powiewać, gdy wtem tuż nad jego uchem huknął strzał.

Hinton odwrócił się szybko.

Tim trzymał jeszcze przy twarzy kolbę swego winchestera, z którego lufy wychodził niebieskawy dymek.

— Tim, precz! Co ci przyszło do głowy? — zawołał z oburzeniem, chwytając za broń.

— To są złe duchy! — odparł z głębokim przekonaniem Indianin.

Chciał dać ognia powtórnie, ale Hinton wydarł mu broń.

— Głupcze! Coś uczynił?

Pocisk czerwonoskórego trafił w cel, wielki ptak bowiem zachwiał się nagle w powietrzu, szum motorów ucichł. Przez parę sekund chwycił naruszoną równowagę, po czym zakreślił łuk, jakby chciał się oddalić poza linię strzałów. Zniżał się jednak gwałtownie i niebawem dotknął ziemi w odległości kilkuset metrów od Edwina.

Nasz wędrowiec, wymyślając na czym świat stoi swemu towarzyszowi, biegł wśród wysokiej trawy, jak tylko mógł najprędzej, w kierunku statku powietrznego. Znajdował się już niedaleko, gdy wtem kula sztucera z ostrym poświstem przeleciała tuż koło jego głowy.

„Masz diabła kaftan! Wzięto nas widocznie za nieprzyjaciół dzięki temu osłowi” — pomyślał Edwin. Zamiast jednak cofnąć się, przyczepił białą chusteczkę do końca lufy swej

¹⁵Rok — też: Ruk, ogromny ptak, postać z mitologii perskiej, przypisywano mu zdolność uniesienia słonia. [przypis edytorski]

winchesterki i powiewał nią, jak tylko mógł najenergiczniej. Sygnały te zrobiły swoje, gdy następna kula furknęła daleko. Równocześnie rozległ się tubalny głos:

— Ani kroku dalej! Stop!

Edwin posłusznie zatrzymał się z podniesioną białą flagą i czekał cierpliwie.

W parę minut potem ujrzał przed sobą brodatą postać, przypominającą cowboya z Dalekiego Zachodu, z bronią gotową do strzału.

— Tam do stu tysięcy diabłów! Czy to wy strzelaliście do naszego samolotu?

— Strzelał mój towarzysz, dziki Indianin, który, dając słowo uczciwego człowieka, nigdy w życiu nie podejrzewał istnienia mechanicznych przyrządów latających i wziął was za duchy nieczyste. Co do mnie, jestem Edwin Hinton.

Wyciągnął dłoń ku olbrzymowi, który spoglądał nań nieufnie. Zauważywszy to, Edwin odrzucił precz sztucer i szedł dalej z podniesionymi w górę rękoma.

Wówczas brodacze także opuścił broń i zbliżył się wolno.

— Niech piekło pochłonie duszę tego czerwonego osła! — zawołał. — Jego kula strzaskała nam śmigło i o mało co nie spowodowała gwałtownego upadku samolotu... Jestem Burnett — przedstawił się z kolei brodacze — inżynier Burnett — dodał, miarkując ze sposobu wyrażania się nieznanego, że ma do czynienia z człowiekiem inteligentnym. — Możesz się pan naocznie przekonać, że nie przesadzam. Moi towarzysze, ściągnięci tak gwałtownie na ziemię, są w kwaśnych humorach i nie przyjmą pana zapewne zbyt uprzejmie.

— Niezmiernie mi przykro, wołałbym sam otrzymać tę kulę, wierz mi pan — tłumaczył się Edwin. — Służę swoją pomocą, jeżeli tylko na co się przyda — mówił, potrząsając przyjacielsko twardą, spracowaną rękę inżyniera, — W każdym razie postaram się wynagrodzić stratę wyrządzoną przez mego ciemnego i zbyt gwałtownego towarzysza.

Inżynier machnął lekceważąco ręką.

— Mamy na szczęście zapasowe śmigło! — rzekł. — Ale przerwaliście nam próbny lot, który miał wykazać, jak długo samolot może się utrzymać w powietrzu. Zapytam twórcę statku powietrznego, czy zgodzi się dopuścić pana do samolotu, którego konstrukcja jest, jak dotąd, tajemnicą.

Wyprzedził o kilkadziesiąt kroków Edwina. Przez parę minut żeglarze powietrzni rozmawiali pomiędzy sobą, po czym inżynier dał znak Edwinowi, że może się zbliżyć. Przed nieruchomo tkwiącym wśród stepu samolotem stał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, z pomarszczoną twarzą, choć nieliczący więcej nad trzydzieści lat. Jego szare, o stalowym błysku źrenice mierzyły badawczo przybysza. W prawej dłoni trzymał rewolwer.

— Schowaj pan tę broń — rzekł uprzejmie Edwin. — Jesteśmy przyjaciółmi. Kulę posłał wam zabobonny Indianin, towarzysz moich wycieczek myśliwskich, wzięwszy was za złe duchy. Przykro mi bardzo, że strzał był tak celny. Jestem Edwin Hinton, traper — dodał wyciągając rękę do lotnika.

— Ja nazywam się... Airman¹⁶ — odparł nieznajomy z pewnym wahaniem. — Postanowiłem tutaj przenocować, musi pan bowiem wiedzieć, że od dwudziestu czterech godzin z górą znajdujemy się w powietrzu...

— Skądże panowie lecicie, na Boga? — rzucił zdziwiony Edwin.

— Z samego Chicago! — odparł lotnik z pewnym odcieniem dumy.

— Tam do licha! Nie wiedziałem, że istnieją samoloty zdolne aż tak długo utrzymać się w powietrzu. Czy wolno wiedzieć, jaki jest cel podróży panów?

Lotnik znów zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

— Jest to próba, próba ważna, od której wiele, bardzo wiele zależy — mówił Airman. — Idzie mi rzeczywiście o to, żeby jak najdłużej utrzymać się w powietrzu bez lądowania, zamierzam bowiem...

Airman uciął nagle, jakby obawiając się, że powie za wiele. Ten człowiek w myśliwskiej kurtce, o wyglądzie zwykłego traperza, a jednak wysławiający się poprawnie i mający maniery towarzyskie, wydawał mu się podejrzany.

— Widzę, że nie ufasz mi pan — przerwał Edwin. — Muszę więc zarekomendować się dokładniej. Poluję dla przyjemności, ojciec mój jest zamożnym fabrykantem i wła-

¹⁶Airman — pseudonim lub nazwisko złożone z dwóch angielskich słów *air*: powietrze i *man*: człowiek. [przypis edytorski]

ścicielem kopalń węgla oraz żelaza. Otrzymałem wyższe wykształcenie w Harvard University¹⁷, mam tytuł doktora filozofii — dodał z uśmiechem — ale przedkładałem wielką księgę przyrody, otwartą dla każdego, kto chce i potrafi odczytywać jej piękne karty, nad studiowanie ksiąg będących dziełem ludzkim. Od roku nie byłem na wschodzie... Czuję się tu w stepach najlepiej. Zamiłowanie do przyrody nie przeszkadza mi jednak podziwiać także dzieł nowoczesnej techniki. Nie zamierzam wdziierać się w niczyje tajemnice, zdaje mi się jednak, że pański samolot o całe niebo przewyższa te, które dotąd widziałem. Obserwowałem jego lot przypominający pewnością i swobodą ruchów orła w przestrzeni. Nie mogę darować memu towarzyszy, że zepsuł dzieło, z którego ma pan prawo być dumnym.

Te słowa widocznie uczyniły przyjemne wrażenie na lotniku.

— Tak, starałem się ulepszyć samoloty, które, jak dotąd, nie były zdolne do wielkich podróży bez lądowania. Właśnie zamierzałem w jednym etapie przebyć Stany od Wielkich Jezior¹⁸ aż do Frisco¹⁹, kiedy wasza kula mi w tym przeszkodziła. Naprawimy jednak uszkodzenie i mam nadzieję, że puścimy się w dalszą drogę. Jeżeli pan sobie życzy, pokażę panu moje dzieło przeznaczone do wielkich celów.

Edwin, korzystając z uprzejmości Airmana, przyglądał się ciekawie samolotowi, którego rozmiary dziwiły go. Był to prawdziwy statek powietrzny, zdolny unieść na sobie trzech, a nawet więcej ludzi. Przy motorze zajęty był jakiś młodzieniec, który widząc zbliżającego się Edwina, uchylił czapki.

— Nills, najlepszy mechanik w Stanach! — rzekł lotnik, prezentując młodego człowieka. — Właśnie opatruje motor. No i cóż, Nills, czy kula nie zrobiła jakiej innej szkody?

— Strzaskala jedno ramię śmigła, nic więcej — odparł mechanik. — W każdym razie jesteśmy niezdolni do dalszego lotu i gdyby nie zapasowe śmigło...

— Czy założysz je w ciągu nocy, Nills?

— Postaram się o to.

— Doskonale. Widzi pan — dodał, zwracając się do Edwina — te obszerne rezerwuary mieszczą zapas benzyny pozwalający motorom iść przy pełnym obciążeniu w ciągu dwudziestu czterech godzin, to znaczy, że robiąc po dwieście kilometrów na godzinę, moglibyśmy przelecieć cztery tysiące osiemset kilometrów.

— Dwieście kilometrów na godzinę?! — zawołał ze zdumieniem Hinton. — Ależ to wspaniała szybkość!

— Mój samolot w dobrych warunkach przebywa czterysta kilometrów.

Edwin był jakby zahipnotyzowany. Liczył w myśli przez chwilę, potem rzekł:

— Obwód kuli ziemskiej na równiku wynosi, jeśli się nie mylę, około czterdziestu tysięcy kilometrów. A zatem, szybując bez przerwy, można by na pańskim samolocie odbyć podróż naokoło świata w ciągu stu godzin! — zawołał.

Airman zarumienił się.

— Podróż naokoło świata! — wybełkotał. — Hm, czasami ludzie spotykają się w swoich ideach.

— Więc i pan myśli o tym samym? — zawołał Edwin, śmiejąc się.

— Istotnie, projekt podobny od dawna zrodził się w mojej głowie. Jak panu wiadomo, ojcami żeglugi napowietrznej byli Amerykanie, bracia Wright²⁰. Oni pierwsi wzniesli się w powietrze na przyrządach, które przed nimi istniały wprawdzie, ale jako zabawki raczej aniżeli rzecz praktyczna. Ameryka musi pilnować, żeby inny kraj nie odebrał jej palmy pierwszeństwa w powietrzu. Gdyby Anglikom udało się dokonać podróży naokoło świata samolotem, musielibyśmy uznać się za zwyciężonych. Zadanie to bowiem przedstawia obecnie niesłychane trudności.

Historia

¹⁷Harvard University — renomowana wyższa uczelnia w Stanach Zjednoczonych, zlokalizowana w Cambridge, w okolicach Bostonu. [przypis edytorski]

¹⁸Wielkie Jeziora — grupa jezior znajdujących się w Ameryce Północnej, na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Kanady. W skład grupy wchodzi: Jezioro Górne, j. Huron, j. Michigan, j. Erie i j. Ontario. [przypis edytorski]

¹⁹Frisco — zwyczajowa nazwa San Francisco (miasta w Kalifornii, na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych). [przypis edytorski]

²⁰Wright, bracia — Orville Wright (1871–1948) i Wilbur Wright (1867–1912), amerykańscy konstruktorzy, którzy uważani są za pionierów lotnictwa. W 1903 r. ich samolot, jako pierwszy na świecie, wzbił się w powietrze. Przy czwartej próbie udało się wylądować bez uszkodzeń konstrukcji. [przypis edytorski]

— Trudności są, według mnie, po to, żeby je przewyciężyć — rzekł poważnie Edwin. — Tym, co okrąży świat drogą napowietrzną, nie może być jednak nikt inny, tylko Amerykanin z Ameryki Północnej. W pańskim samolocie, jak mi się zdaje, miałyby się pewne szanse!

— Niestety, Niestety — szeptał Airman. — To, co się wydaje wykonalne, w praktyce natrafia na przeszkody. Próbowano przecież dokonać tego dzieła. Śmierć paru zdolnych i odważnych ludzi, popsucie kilkudziesięciu maszyn: oto rezultaty tych pięknych usiłowań.

— Powiedz mi pan, dlaczego podróż naokoło świata samolotem nie powiodła się dotąd nikomu?

— Brak nam było maszyny, która by mogła przelatywać jednym etapem wielkie przestrzenie ponad oceanami.

— Taka maszyna istnieje już, dzięki panu! — zawołał Edwin, wskazując na samolot.

— Niestety, nie jest to jeszcze aparat, na którym można by pokusić się o wielkie dzieło! — westchnął Airman. — Być może potrafiłbym zbudować maszynę zdolną do takiej podróży, ale...

— Na czymże polega owo „ale”? — zagadnął Edwin zaciekawiony słowami lotnika.

— Wyczerpałem już moje środki materialne. Nie uwierzy pan, ile pieniędzy pochłaniają podobne próby. Dola wynalazców, nawet w Stanach, nie jest godna zazdrości.

— Czy mając pieniądze, podjąłby się pan stworzyć samolot, na którym Ameryka mogłaby odnieść zwycięstwo w tym międzynarodowym turnieju?

— Mam nadzieję, że tak.

Hinton namyślał się przez chwilę.

— A ile by kosztowała budowa takiej ulepszonej maszyny?

— Och, o tym nie ma co marzyć nawet. Nie posiadam, Niestety, nawet czwartej części takiej sumy. Zdaje mi się jednak, że i na tej oto można by także spróbować szczęścia z pewną poważną szansą.

— A jednak jeden jedyny strzał wystarczył, żeby ją strącić na ziemię!

— To prawda. Śmigło powinno być ze stali. Skrzydła także. Motor należałoby zbudować tak, żeby rozwijał w razie potrzeby energię tysiąca koni mechanicznych. Na tak urządzonej maszynie powietrznej, mając odpowiedni zapas benzyny, odważyłbym się nawet przelecieć ponad Atlantykiem w największej jego szerokości, tym bardziej że zaopatrzyłbym ją w pływaki, na których unosiłaby się, w razie przymusowego lądowania, na powierzchni wód. Mam to wszystko w głowie — mówił Airman, zapalając się. — Samolot taki kosztowałby jednak tak wiele, że chcąc nie chcąc muszę odstąpić od spełnienia moich marzeń.

— A jeżeli ja dostarczyłbym panu środków?

— Pan? — Zdziwił się Airman. — Przecież mnie pan nie zna!

— To, co widzę, wystarcza mi. Zresztą, znam się na ludziach i nigdy jeszcze nie popełniłem omyłki. Wierzę w pana. Mówiłem już, że mój ojciec jest wart, jak się u nas mówi, kilkadziesiąt milionów dolarów. Ale i ja nie należę do biedaków, posiadam bowiem milion dolarów po matce, która, Niestety, nie żyje. Ofiarowałbym panu zatem w formie pożyczki sto tysięcy dolarów, pod jednym warunkiem.

Airman zaczerwienił się ze wzruszenia.

— Pożyczylbyś mi pan na zbudowanie mojego samolotu sto tysięcy?! — zawołał. — Z góry zgadzam się na pański warunek.

— Jest on dość trudny.

— Mów pan! Wszystko jedno!

Inżynier Burnett i Nills, słysząc tę rozmowę, zbliżyli się.

— Oto, że natychmiast po zbudowaniu samolotu, którego plan nosi pan w głowie, wyruszymy w podróż naokoło świata we czterech, jak tu jesteśmy!

— I pan by ryzykował?

— Nie ma pan pojęcia, jak mi się podoba pański projekt! W podróży takiej bez wątpienia przeżylibyśmy wiele przygód, znajdowałbym się zatem w swoim żywiole. Podróż nadzwyczajna to moja prawdziwa i jedyna może namiętność. Toż to największa rozkosz, jakiej może zaznać człowiek!

— Człowiek silny! — dodał Airman.

— Nie należę do słabych, jak się pan niebawem przekona! Więc zgadzasz się pan zabrać mnie w charakterze dostawcy zwierzyny na pokład swojego statku napowietrznego, który, mam nadzieję, będzie stanowił epokę w rozwoju lotnictwa?

— Ależ najchętniej!

— Dokonamy dzieła, które zadziwi świat!

— Zdobędziemy palmę pierwszeństwa dla Ameryki! — dodał Airman, na którego policzkach paliły się rumieńce. — Będę panu nieskończenie wdzięczny, jeżeli dotrzymasz przyrzeczenia.

— Oto moja ręka! — rzekł po prostu Edwin. Uścisnęli się.

— A cóż będzie z pańską włóczęgą? — odezwał się Burnett.

— Muszę zamienić moje piesze podróże na powietrzne.

— W takim razie leć pan z nami do Chicago! — zawołał Airman. — Jeszcze jedna osoba doskonale się zmieści w samolocie.

— Jestem gotów uczynić to natychmiast. Cóż jednak zrobić z Timem, winowajcą waszego ikarowego upadku²¹?

— Może i on poleci z nami?

Edwin zwrócił się do Indianina z tą propozycją, Tim stanowczo odmówił. Wolał pozostać w rodzinnych stepach niż powierzyć się złym duchom. Spoglądał z zabobonną trwogą na samolot i nie chciał się nawet zbliżyć, żeby mu się przypatrzyć.

Noc spędzono na biwaku. Rano, kiedy Nills oznajmił, że samolot jest już gotów do drogi, Hinton, obdarzywszy szczodrze Tima, rozstał się z nim przyjaźnie.

O ósmej strącony ptak zerwał się znów do lotu i z szybkością dwustu kilometrów na godzinę uniósł na swych skrzydłach Edwina Hintona i jego nowych przyjaciół.

II. WIELKI PROJEKT DOCHODZI DO SKUTKU

Natychmiast po przybyciu do Chicago Edwin oddał do rozporządzenia Airmana sto tysięcy dolarów, za które największa fabryka samolotów podjęła się urzeczywistnić pomysły wynalazcy.

Robota posuwała się szybko naprzód. Hinton, dopuszczony do wszystkich sektorów, musiał przyznać, że statek powietrzny, przeznaczony do podróży naokoło świata, o całe niebo przewyższa wszystko, co stworzono dotąd w tym kierunku.

Drzewo zupełnie niemal wyrzucono, jako materiału na skrzydła i na kadłub użyto prawie wyłącznie doskonałej blachy stalowej. Motor o sile ośmiuset koni mechanicznych był pomyślany bardzo oryginalnie. Miał specjalne dodatkowe urządzenia służące do poruszania się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, a nawet wyżej.

— Po co mamy się wznosić aż tam, gdzie powietrze jest według mnie za rzadkie, żeby podtrzymać tak ciężki samolot? — zapytał Edwin, kiedy wynalazca pokazał mu silnik.

Airman zrobił minę wielce tajemniczą.

— Jeżeli mój motor, pracując w rozrzedzonym powietrzu nie zawiedzie, osiągniemy szybkość pięciuset, a może nawet sześciuset kilometrów na godzinę — rzekł.

— Ależ to chimera! — zawołał Edwin zdziwiony i oszołomiony tymi liczbami.

— Bynajmniej, dobrze obliczyłem i spodziewam się że nie popełniłem żadnej pomyłki — odparł Airman. — Na wysokości dziesięciu kilometrów powietrze jest rzadkie i śmigło musi się obracać znacznie prędzej aniżeli tam, gdzie atmosfera ma gęstość normalną. Ażeby jednak w tak rozrzedzonym powietrzu uzyskać dostateczne oparcie, samolot musi poruszać się przynajmniej dwa razy prędzej aniżeli na wysokości dwóch tysięcy metrów. W tym leży sekret osiągnięcia wielkich szybkości. Gdybym potrafił zbudować silnik o mocy ośmiuset koni mechanicznych, który mógłby pracować nawet na wysokości dwudziestu tysięcy metrów, to łatwo osiągnęlibyśmy prędkość ośmiuset kilometrów, a kto wie, czy nie wyższą nawet!

— Ależ to niemal szybkość pocisku działowego! — zawołał Hinton.

²¹ikarowy upadek — nawiązanie do greckiego mitu o Dedalu i Ikarze, którzy przyprawili sobie skrzydła z ptasich piór i próbowali uciec z Krety. Ikar wbił się zbyt wysoko i ciepło słoneczne roztopiło wosk, którym spojone były skrzydła. Ikar spadł do morza i zginął. [przypis edytorski]

— Tam, gdzie nie sięgają szczyty najwyższych gór, można lecieć jak kula armatnia, bez obawy starcia się z jakąś przeszkodą! — odparł Airman.

— Ależ zimno zamroziłoby nas natychmiast!

— Jak pan widzi, nasza kabina jest szczelnie zamknięta. Będę ją ogrzewał gazami wychodzącymi z motoru i mogę panu zaręczyć, że na wysokości nawet dwunastu tysięcy metrów będzie panu równie ciepło jak na powierzchni ziemi. Cała rzecz w tym, czy silnik nie odmówi posłuszeństwa. Ale dopiero praktyka może rozstrzygnąć podobne pytania.

— Jest pan zuchwały w swoich pomysłach! — zawołał Hinton. — Gdyby się panu istotnie udało stworzyć taki samolot, to nasza podróż dookoła świata byłaby dziełem kilku dni za ledwie. Co do mnie jednak, nie uwierzę, dopóki się nie przekonam.

Edwin był do najwyższego stopnia zaciekawiony. Śledził więc uważnie bieg robót przy tym cudzie lotniczym, jaki miał niebawem wyjść z warsztatów.

Wolne chwile poświęcał na ułożenie dokładnego planu podróży, tę część zadania wziął bowiem na siebie.

Marszrutę należało obrać tak, żeby samolot możliwie największą część podróży odbywał ponad lądami. Wprawdzie Airman zaopatrzył go w pływaki, jednak wodowanie przymusowe na powierzchni morza, zwłaszcza podczas silniejszego wiatru, byłoby połączone ze znacznym ryzykiem.

Droga zatem miała prowadzić ponad lądem Ameryki Północnej, poprzez Alaskę²² i ponad lądem azjatyckim.

Wytknięcie dokładnego szlaku było bardzo ważne, gdyż należało utworzyć na trasie lotu kilkadziesiąt stacji, na których miano złożyć zapasy benzyny i smarów.

Była to najkosztowniejsza pozycja w budżecie naszych podróżników; samolot bowiem pożerał wielkie ilości paliwa. Na każdym etapie musiano złożyć tysiąc kilo benzyny i paręset kilo oleju ciężkiego do motorów, a także zapasy żywności.

Edwin wziął na siebie koszty połączone z zakładaniem stacji. Na te przygotowania poświęcono miesiąc czasu.

Pewna poważna firma podjęła się przesyłki zapasów do wskazanych punktów kuli ziemskiej. Pochłonęło to kilkanaście tysięcy dolarów, ale Edwin miał dla wyprawy szeroko otwartą kieszeń.

Samolot mógł zabrać pięciu ludzi i tylu było uczestników, lecz ten piąty nosił nazwisko X, to znaczy, że nikt, nawet Burnett, nie wiedział, kto nim będzie. Airman na wszelkie zapytania uśmiechał się tylko.

— Zobaczycie w sam dzień odjazdu.

Hintona dziwiło to nieco. Jakże brać kogoś piątego, zapewne człowieka obcego, jak przed nim nie zdradzić się z wielu sekretów?

— Czy to ma być jaki uczonec? — zagadnął raz Edwin człowieka-ptaka.

— O tak, bardzo uczonec profesor pewnego amerykańskiego uniwersytetu; będzie on nam pomocny w teoretycznych kwestiach, jakie mogą się nastręczyć w drodze. Etnograf, botanik, geolog, słowem: studnia wszelkich mądrości!

Człowiek-ptak uśmiechał się tajemniczo. Edwin zaś uznał, że udział takiego człowieka wiedzy będzie dla wyprawy wielce pożyteczny, i czekał cierpliwie.

Zabierano ze sobą wiele użytecznych przedmiotów. Oto ich wykaz sporządzony przez inżyniera:

Zapas benzyny podwójny; rezerwa, tysiąc litrów, na wypadek nieodnalezienia stacji. Szacowny ten płyn mieścił się w kilku zbiornikach: jeden użytkowy, w pobliżu motoru, zawierał zapas niezbędny do żeglugi dziesięciogodzinnej. Inne, rezerwowe, na drugie tyle podróży wystarczające, były tak umieszczone, że jednym ruchem można było wyrzucić je w przestrzeń. Ostrożność konieczna na wypadek pożaru.

Drugim ciężarem, i to znacznym, były zapasy żywności. Zbierano produkty w formie najbardziej skoncentrowanej, aby przy minimum wagi zawierały najwięcej pierwiastków pożywnych, a więc: mięso suszone, konserwy, bulion, suchary, mleko w proszku, se-

²²Alaska — stan w Stanach Zjednoczonych, położony na północnym zachodzie Ameryki Północnej, graniczący od wschodu z Kanadą, od zachodu (przez Cieśninę Beringa) z Rosją. Najdalszy punkt geograficzny Alaski leży ok. 530 km za kołem podbiegunowym. [przypis edytorski]

ry, czekolada. Za napój miała służyć woda filtrowana. Alkohol stanowczo wyrugowano, pomimo przymilań się Roberta lubiącego grog²³.

Potem odzież ciepła, bo w wysokich szlakach atmosfery nawet podczas lata zimno może się dać we znaki. Zabierano więc kosztowne, lekkie futra, wełniane spodnie i koszule. Ale nie zapomniano także o lekkiej odzieży na trasy wiodące przez kraje podzwrotnikowe. W układzie planu nie liczone było z długością podróży, ale z tym, żeby przebywać najbardziej ucywilizowane i zaludnione okolice, gdzie pomoc łatwo mogła się znaleźć.

Czwartą z kolei, najcięższą częścią zapasów była broń i amunicja. Głównym dostawcą zwierzyny mianowano Edwina. Zabrał więc swoją winchesterkę i zapas nabojów; prócz tego każdy uczestnik wyprawy, nawet ten tajemniczy piąty, miał być uzbrojony od stóp do głów, żeby bronić w razie koniecznej potrzeby życia własnego, no i tajemnicy człowieka-ptaka!

Kupiono najlepsze karabiny wojskowe, broń myśliwską, browningi, słowem — zbrojono się nie gorzej niż na wyprawę wojenną.

Namioty jedwabne, kołdry lekkie, naczynia kuchenne z aluminium — metal ten odgrywał ważną rolę jako materiał — przyrządy naukowe — wszystko to ważyło razem z zapasami wyżej wymienionymi trzysta kilogramów, to jest tyle, ile waży czterech ludzi.

Burnett dał dużo dowodów praktyczności w wyborze tych wszystkich przedmiotów, które zabierano z sobą w drogę. Podróżni mieli zabezpieczone jakie takie wygody w żegludze napowietrznej. Cały ładunek przeniesiono na samolot celem odbycia lotu próbnego, od którego wiele miało zależeć.

— Drodzy towarzysze — rzekł Airman w chwili, kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca. — Nie chcę tać przed wami, że ta pierwsza wycieczka na naszym statku należy do niebezpiecznych, zwłaszcza dla tych, co nie są przyzwyczajeni do przebywania w górnych szlakach atmosfery. Jeżeli więc macie obawę przed rozrzedzonym powietrzem, lepiej pozostawcie na swoich miejscach worki z piaskiem.

Edwin i Burnett gorąco jednak zaprotestowali.

— Skoro godzimy się na podróż, musimy samych siebie doświadczyć! — zawołał Hinton. — Jak wysoko zamierzasz się pan wznieść?

— Jak tylko się da najwyżej. Mówiłem już, że w górnych szlakach można poruszać się z zawrotną szybkością, teraz praktyka pokaże, czy się omyliłem, a głównie, czy mój motor będzie w rozrzedzonej atmosferze funkcjonował.

Co do Nillsa, ten nawet nie raczył protestować, zajął w milczeniu posterunek przy motorze, który znał lepiej niż swoją dłoń. Zawarczał motor, samolot wzbił się w powietrze i opisując spiralną linię wznosił się szybko w górę. Atmosfera była zupełnie niemal spokojna. Wielki ptak, podobnie jak orzeł albo kondor, jego pobratymiec z Andów, wznosił się bez przerwy, Hinton, któremu powierzono odczytywanie wysokościomierza, skonstatował w pół godziny potem, że lecą na wysokości pięciu tysięcy metrów. Zaczynało się robić najpierw chłodno, potem nawet zimno, tak dalece, że wszyscy ubrali kaptury na głowy i zarzucili na siebie płaszcze dodatkowe.

Teraz rozpościerała się w dole wspaniała panorama. Ziemia wydawała się z tej wysokości jak mapa pokreślona liniami rzek, kapryśnie wijących się między zielonymi plamami lasów. Miasta i wsie wyglądały jak kupki rozrzuconego żwiru. Ale niebawem wszystko to znikło, zanurzono się bowiem w gęste obłoki.

— Włącz pan dodatkowe urządzenia do motoru, przeznaczone do działania w warstwach wysoko położonych — rzekł Airman, zwracając się do Nillsa.

Nills spełnił polecenie. Wynalazca śledził z natężoną uwagą turkot maszyny, jego ucho chwyciło każdy szmer, jak ucho lekarza przyłożone do piersi chorego na serce. Motor działał doskonale. Specjalnie dodane pompy chwyciły otaczające powietrze i ścisnęły je w zbiorniku tak, żeby dostatek tlenu mógł dochodzić do cylindrów. Urządzenie nie zawiodło nadziei. Samolot, jak skonstatował²⁴ Edwin, wznosił się ciągle i w godzinę po odlocie znajdował się na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Airman jaśniał z zadowolenia.

²³*grog* — napój alkoholowy sporządzany z rumu (lub innego mocnego alkoholu) rozcieńczonego wodą i doprawionego sokiem z cytrusów, cynamonem i cukrem. [przypis edytorski]

²⁴*skonstatować* — stwierdzić istnienie faktu. [przypis edytorski]

— Idzie! Idzie! — wołał Burnett, który był głównym twórcą kompresorów. — Obawiam się jednak, czy niebawem nie opadnie z sił.

— Ręczę za niego! — rzekł Airman z uśmiechem.

Teraz rozpoczęła się najciekawsza część podróży. Wysokościomierz szedł wolno, ale ciągle w górę.

— Osiem, dziewięć tysięcy metrów — odczytywał co jakiś czas Hinton tak głośno, że wszyscy mogli go słyszeć.

Śledzono z biciem serca zachowanie się motoru, lada chwila mógł się bowiem zatrzymać. Musiano by wtedy lądować lotem ślizgającym się, czyli planując, według wyrażenia utartego w lotnictwie.

W dwie godziny po starcie szybowano na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Teraz warstwa chmur znajdowała się poniżej samolotu, tworząc łagodnie falującą powierzchnię mgły zasłaniającej wszystko. Pustka, chłód i cisza odwieczna, zmącona tylko głuchym warkotem motoru.

— No cóż, Burnett? — odezwał się po dłuższym milczeniu Airman. — Sądzę, że można by spróbować podróży w prostej linii. Dotąd poruszaliśmy się po spirali i zdaje mi się, że nie oddaliłem się od miasta więcej niż na kilkanaście kilometrów.

— *Forward*²⁵! — zawołał inżynier.

— Wzniesiemy się jeszcze o tysiąc metrów! — wtrącił Nills. — Wówczas próba będzie decydująca.

Ariman kiwnął głową.

— Panie Hinton, uwaga — rzekł.

Edwin z najwyższym napięciem śledził wskazówki wysokościomierza, spostrzegł jednak ze zdziwieniem, że wzrok jego mąci się, widział jakby przez mgłę. Pulsy były mu niezmiernie szybko w skroniach, miał oddech przyspieszony, odczuwał wzrastającą duszność. Chciał się na chwilę podnieść, ale przekonał się, że nie potrafi tego uczynić, jak gdyby dotknięty paraliżem.

Towarzysze czuli się zapewne tak samo. Airman z najwyższym wysiłkiem kierował sterami, z jego prawego ucha spływały krople krwi.

— Jestem do niczego! — zawołał strapiony Edwin.

— I ja — dodał Burnett, dysząc. — Znadto szybko znaleźliśmy się na tych zawrotnych wysokościach, to nam może zaszkodzić. Przecież zostawilibyśmy w dole najpotężniejszy szczyt, jakim jest Mount Everest²⁶, gdybyśmy szybowali nad Himalajami²⁷. — Głos jego brzmiał jakby z dali.

— Czy jeszcze się wzniesiemy? — zagadnął Edwin. — Brakuje dwustu metrów.

— Tak, musimy osiągnąć jedenastu kilometrów — upierał się Airman.

— Zdaje mi się, że już dosięgnęliśmy! — rzekł po kwadransie Edwin.

— A więc podróż w górnych szlakach zaczyna się! — zawołał kierowca samolotu. — Inżynierze, jakże twój motor?

— Działa bez zarzutu i nie utracił nic ze sprawności, gdyż inaczej nie dosięgnęlibyśmy jedenastu kilometrów.

— To prawda! A zatem, w imię Boże, naprzód!

Była godzina jedenasta, kiedy zaczęto szybować w prostym kierunku na wysokości jedenastu kilometrów. Statek w rozrzedzonej atmosferze musiał jednak mieć kolosalną szybkość, bo silny prąd powietrza, lodowato zimny, zaczął szarpać odzieniem lotnika. Znajdujący się w kabinie Edwin i Burnett nie czuli tego pędu dzięki osłonie aluminiowych ścian, wykładanych warstwą korka. Było jednak zimno. Termometr wskazywał trzydzieści stopni Réaumura²⁸ niżej zera. Gdyby nie grube futra i kaptur, szczelnie osłaniający twarz Airmana, ten zamarzłby po upływie kwadransa na śmierć. I tak odczuwał mróz, ręce

Podróż

²⁵*forward* (ang.) — przed siebie, naprzód. [przypis edytorski]

²⁶*Mount Everest* — najwyższy szczyt Ziemi, mierzący 8848 m n.p.m., położony w Himalajach, na granicy Nepalu i Chin (Tybetu). [przypis edytorski]

²⁷*Himalaje* — najwyższy łańcuch górski na świecie, którego długość wynosi ok. 2500 km a szerokość ok. 250 km, Himalaje położone są w południowej Azji. [przypis edytorski]

²⁸*Réaumur, skala* — skala temperatury wprowadzona przez René de Réaumura (1683–1754) w 1731 r. Używana do początku XX wieku. Jeden stopień w skali Celsjusza odpowiada 0,8 stopnia Réaumura. Autor w całym tekście podaje wysokość temperatury w tejże skali. [przypis edytorski]

kostniały mu pomimo grubych rękawic. Motor szedł jednak równo. Samolot rozpędzał lekkie chmurki pierzaste, które, jak się przekonano, składały się z drobnych kryształków lodu, pozostawiając je w jednej chwili daleko poza sobą.

— Zimno. Brr! — jęczał Edwin, kuląc się w futrze. Zamiast odpowiedzi Burnett przekręcił kran, skierowując gazy spalinowe do rur w kabinie, i niebawem nappełniło ją przyjemne ciepło. Był to, jak się okazało, bardzo praktyczny system ogrzewania. W kwadrans potem temperatura dosięgła dziesięciu stopni ponad zero²⁹ i stale utrzymywała się na tym poziomie.

— Jak widzę, dzięki pańskiemu urządzeniu moglibyśmy powędrować nawet na księżyc! — zawołał uradowany Edwin.

Ale rozmowa nie kleiła się jakoś. Nieznośna ociążałość i senna owładnęła wszystkimi. Airman, dzierżąc ster w dłoni walczył z tym przykrym uczuciem bohatersko. Przekonał się, że podróż w najwyższych szlakach nastroczała wiele nieprzewidzianych trudności. Był jednak ciekawy, jaką szybkość zdoła osiągnąć. Kiedy więc upłynęła cała godzina, z najwyższym wysiłkiem, i to przy pomocy znajdującego się przy nim Nillsa, ustawił stery tak, iż znów zaczęto opisywać linię spiralną, ale zniżającą się nieznacznie. Lotnik lękał się zbyt gwałtownego i szybkiego wzrostu ciśnienia. Opuszczanie trwało równie długo, jak podnoszenie się. Upłynęła jeszcze jedna godzina, zanim przedostano się poprzez chmury i znów ujrzano ziemię.

— Gdzie jesteśmy? — pytał raz po raz Edwin, zaciekawiony do najwyższego stopnia.

— Jezioro! — wrzasnął Burnett, wyjrzawszy przez okienko.

— Jakie? Michigan³⁰?

— Chyba nie! — odparł inżynier, rozglądając się uważnie. — Jakieś znaczniejsze miasto pod nami! To jezioro Erie³¹!

— A to Cleveland³². Słowo daję! — zawołał Edwin, nie dowierzając jeszcze własnym oczom.

— Nie omyliłeś się pan. O, tam dalej na północ rozpościera się najwyraźniej kapryśna powierzchnia Huronu³³!

— Cleveland! — ozwał się triumfujący głos od steru. Nills podniósł się i machał w zapale rękami, tak iż jedna z rękawic uleciała w przestrzeń.

— Będzie to dowód, jeżeli ją zdołamy odnaleźć! — rzekł Burnett. — Gdzie mapa? Musimy zmierzyć odległość w linii powietrznej.

Przez chwilę inżynier wodził kółkiem mierniczym po papierze, po czym krzyknął tak, że go słyszano chyba w samym niebie:

— Cleveland! Zrobiliśmy pięćset czterdzieści kilometrów w linii powietrznej!

— Na godzinę! — dodał Edwin.

III. TEN PIĄTY

W połowie sierpnia samolot był przygotowany do odlotu.

Należało go tylko ochrzcić według zwyczaju marynarskiego.

Proponowano rozmaite nazwy; każdy chciał być chrzestnym ojcem wielkiego ptaka mechanicznego, ale Airman postanowił, że będzie nim „ten piąty”; na niego też głównie czekano. Maszyna stała sobie na obszernym placu, pod szopą, gotowa najzupełniej. Żywność, broń, narzędzia, instrumenty naukowe, odzież, zapasy benzyny, słowem — nie brakowało niczego; dzięki wspaniałomyślności Hintona podróżnicy mieli zaspokojone wszystkie, najbardziej nawet wyrafinowane potrzeby, o ile naturalnie pozwalała na to „przeklęta” siła ciężkości, której człowiek-ptak wypowiedział wojnę.

²⁹*dziesięciu stopni ponad zero* — czyli ok. 12,5 st. Celsjusza. [przypis edytorski]

³⁰*Michigan* — jedno z pięciu Wielkich Jezior Ameryki Północnej (trzecie pod względem wielkości). [przypis edytorski]

³¹*Erie* — jedno z pięciu Wielkich Jezior Ameryki Północnej (czwarte pod względem wielkości). [przypis edytorski]

³²*Cleveland* — miasto w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, leżące przy granicy z Kanadą, nad południowym brzegiem jeziora Erie. [przypis edytorski]

³³*Huron* — jedno z pięciu Wielkich Jezior Ameryki Północnej (drugie pod względem wielkości). [przypis edytorski]

Czekano na tajemniczego „piątego” niecierpliwie.

Nie wiedział o nim nic ani Robert, ani Burnett, ani tym bardziej Edwin. W końcu zaczęto powątpiewać o jego istnieniu.

— Rozpoczynajmy naszą podróż, bo czas najlepszy upływa! — mówił zniecierpliwiony Hinton. — Przecież musimy przebyć najbardziej ku północy wysunięte okolice, a tam zima nie daje na siebie długo czekać.

— Jeszcze trzy dni! — odpowiedział Airman

Postanowiono zatem czekać jeszcze trzy dni.

Nareszcie trzeciego dnia wieczorem, kiedy już wszyscy, nawet sam Airman, stracili nadzieję, nadeszła depesza, którą człowiek-ptak pokazał w triumfie swoim towarzyszom.

— Przybywa! — wołał radośnie. — Mamy piętego.

Nazajutrz, w sam dzień przeznaczony nieodwołalnie do odlotu, Hinton wstał wcześniej aniżeli zwykle i przekonał się ze zdziwieniem, że Airmana nie ma na stacji.

Na zapytanie, gdzie bawi, odpowiadano mu, że pojechał na spotkanie „piątego”.

— Przyznam się, że mnie już znudził porządnie ten piąty — mówił Burnett. — Ciągłe tylko o nim słyszę, a nie widać go jakoś. Hamuje on tylko nasze zapędy, co się może źle odbić na podróży. Zapewne będzie to, jak pan sam przypuszcza, jakiś ciężki uczony, pedant.

— Profesor uniwersytetu podobno — rzekł Edwin. — Mnie się zdaje, że dla uczonogo, który by chciał prowadzić systematyczne badania na pokładzie naszego statku powietrznego, podróż nie będzie owocna ani przyjemna. Przecież musimy się śpieszyć, ażeby powrócić na jesień do domu.

Robert był tego samego zdania, co Hinton. Miano nawet cokolwiek za złe Airmanowi, że bez porozumienia się z towarzyszami przyjął owego uczonego.

— Ha, trudno! — westchnął Robert. — Airman ma prawo, więc niech z niego korzysta!

Właśnie kiedy rozmowa skończyła się, rozległ się basowy głos trąbki pneumatycznej samochodu Hinton'a i w obłokach kurzu pojawił się człowiek-ptak, siedzący obok owego tajemniczego „piątego”.

Nie można było rozróżnić jego rysów ani jego wieku z daleka. Wnet jednak samochód zatrzymał się i wyskoczyła z niego postać, która wprawiła w przyjemne zdumienie Hinton'a i jego dwóch towarzyszy.

Była to dwudziestoletnia najwyżej osoba, a raczej osóbką niezmiernego powabu, jasna blondynka, z wijącymi się na czole lokami, o niebieskich oczach spoglądających z dziecinną niemal naiwnością. Twarzyczka biała jak mleko, uśmiechnięta jak wschodzące słońce wiosenne, zębki białe jak porcelana.

Młoda osoba była w kostiumie na wpół męskim, na wpół kobiecym. Miała na sobie szerokie tureckie szarawary i krótki staniczek, w rodzaju haftowanego serdaczka. Na nogach, a raczej na nóżkach, miała pończochy i trzewiczki płytke, na głowie sportową czapkę. Wszystko stanowiło pełną powabu całość.

— Oto nasz piąty towarzysz! — zawołał, śmiejąc się, człowiek-ptak. — Edyta, moja ukochana siostrzyczka, która jest tak zuchwała, że chce odbyć z nami niebezpieczną podróż. Wszelkie zaklinania i namowy z mojej strony nic nie poskutkowały. Na próżno więc, moi kochani przyjaciele, trudzilibyście się, aby skłonić ją do zaniechania zamiaru; kobiety bywają, niestety, uparte, a Edyta do nich właśnie należy. Przyjmijcie więc, panowie, naszego piątego jako zło konieczne.

— Ach, ty niegodziwcze! — zawołała Edyta, grożąc bratu paluszkami.

Zdziwienie Edwina, Burnetta i mechanika w bardzo krótkim czasie przeszło w zachwyt.

Inżynier, nie namyślając się długo, podrzucił czapkę w górę i wrzasnął z całego gardła:

— Hip, hip! Hura!

Edwin wyciągnął serdecznie dłoń do „piątego”; mechanik, nie śmiejąc przystąpić do pięknej panny, kłaniał się jej tylko z daleka raz po raz jak Chińczyk. Niedawne niezadowolone ustąpiło miejsca prawdziwemu wybuchowi radości.

— No, no, a myśmy spodziewali się uczonego, obładowanego lunetami, mikroskopami, barometrami, termometrami, higrometrami³⁴, anemometrami³⁵, telemetrami³⁶ i w ogóle wszelkimi metrami! — mówił mechanik. — Ale tak, to całkiem co innego! Oddaję się od razu i bez żadnego „ale” pod taką komendę i oświadczam, że wykonywać będę wszystkie rozkazy, nie wahając się ani sekundy.

— Nawet, gdybym panu kazała wyskoczyć podczas podróży do morza? — zagadnęła figlarnie Edyta.

— Nie radzę pani robić próby! — odezwał się Burnett. — On naprawdę gotów na wszystko.

Kiedy skończyły się przedstawienia i powitania, Edyta zażądała, żeby jej szczegółowo pokazać wielkiego ptaka, na którym miała niebawem wlecieć.

Wiedziała ona mniej więcej o pracach brata, ale nie widziała samolotu; wszystko bardzo ją zatem interesowało. Wglądała w każdy szczegół i niebawem pokazało się, że doskonale pojmuje swoje obowiązki na pokładzie statku powietrznego.

— Będę wam gospodarowała i uprzyjemniała czas, jak się da! — rzekła, obejrzawszy zapasy żywności i w ogóle urządzenia gospodarskie. — A czy macie jaki instrument muzyczny?

— Niestety, o tym nikt z nas nie pomyślał — rzekł Burnett. — Choć muzykę bardzo wszyscy lubimy.

— A widzicie! Przywiozłam wam jeden!

— A któż na nim będzie grał tam, pod obłokami?

— Ja, nie kto inny.

— Brawo, koncert o tysiąc metrów nad ziemią, tego jeszcze nie było jak świat światem! — zawołał Edwin wesoło.

— Kochana siostro! — odezwał się Airman. — Jesteś przeznaczona na chrzestną matkę naszego samolotu. Nie ma on bowiem nazwy, a mieć ją powinien.

— A chrzciny kiedy? — rzucił Robert.

— Jutro, a jeszcze lepiej dziś. W taki sposób połączymy dwie uroczystości. Przyjazd naszego piątego i chrzciny! — rzekł Airman. — Na ten wypadek zamówiłem kilka butelek szampana. Przepijemy oszczędności zrobione na budowie samolotu. No, kochana siostro, namyśl się dobrze, nadaj naszemu ptakowi imię piękne, godne jego potężnych skrzydeł i rozmiarów.

Edyta pomyślała chwilę.

— Jaki jest największy i najsilniejszy ptak na świecie? — zagadnęła.

— No, struś! — odezwał się Robert, który pragnął popisać się swoją erudycją.

— Ależ struś nie lata! — oburzył się Airman.

— Prawda! — zmieszał się Robert.

— Już wiem! — zawołała Edyta. — Nasz samolot jest wielki, największy spośród wszystkich, jakie człowiek zbudował. Czy tak?

— Pochlebiam sobie.

— I może szybować w chmury! Prawda, braciszku?

— Choćby na piętnaście kilometrów!

— I zrodził się na amerykańskiej ziemi? W takim razie nie może nazywać się inaczej jak „Kondor”. Wszak to król amerykańskich ptaków, największa istota bujająca w chmurach.

— Nie można było obmyślić trafniejszej nazwy! — zawołał Hinton. — Niech żyje „Kondor”!

— Hip, hip! „Kondor”! — krzyknął inżynier, który pomimo swej marsowej fizjonomii³⁷ łatwo wpadał w zapał. Airman skoczył do samochodu, wydobył z niego butelkę szampana i wręczył ją siostrze.

³⁴*higrometr* — urządzenie do pomiaru wilgotności powietrza. [przypis edytorski]

³⁵*anemometr* — urządzenie do pomiaru prędkości ruchu gazów i cieczy. Anemometr mierzący prędkość wiatru nazywany jest też wiatromierzem. [przypis edytorski]

³⁶*telemetr* (daw.) — urządzenie do mierzenia odległości pomiędzy obserwatorem a obserwowanym obiektem. [przypis edytorski]

³⁷*fizjonomia* — twarz. [przypis edytorski]

— Marynarze, nadając imię okrętowi świeżo spuszczonemu na morze, mają zwyczaj rozbijać przy tym butelkę z tym drogocennym i odurzającym napojem, który nie ma nad siebie szlachetniejszego. Naśladuj ich, Edyta.

Młoda osoba wzięła butelkę z rąk brata i uderzyła nią o cylinder motoru; rozległ się brzęk tłuczonego szkła; szampan trysnął pienistym strumieniem.

— Nadaję ci imię „Kondor”! — zawołała. — Boś pierwszy latawiec w świecie i nie lękasz się dźwigać na swym grzbiecie zuchwałych, jak ty sam, żeglarzy. Oby ci skrzydła nie odmówiły posłuszeństwa nawet w zapasach z burzami. Powierzam ci bezpieczeństwo moje i mojego najdroższego brata, który jest królem atmosfery.

— Niech żyje król atmosfery! — zawołał Hinton.

— Wolałbym nosić tytuł prezydenta republiki powietrznej. Jako szczeremu demokraci, tytuł królewski nie bardzo mi się podoba. A więc przyjmuję tytuł prezydenta, a ciebie, inżynierze, mianuję pierwszym sekretarzem stanu nowo podbitego państwa napowietrznego. Czy przyjmujesz tę godność?

— Owszem, ale niech mister Hinton będzie pierwszym sekretarzem skarbu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Airman kłaniał się z udaną powagą; Robert wrzasnął z całych piersi: „Niech żyje pierwszy prezydent republiki napowietrznej!”. Inżynier odkorkował kilka innych butelek i wszyscy wychylili zdrowie wynalazcy. Potem Airman zaprowadził swoich towarzyszy do namiotu ustawionego obok szopy, w której gnieździł się tymczasowo „Kondor”. Stał tam, pięknie zastawiony i przybrany kwiatami, stół ze śniadaniem, które przyjechało w samochodzie. Nie brakło nawet storczyków; słowem — namiot był ozdobiony jakby na jakiej *garden party*³⁸ u milionera amerykańskiego.

— Jest to pożegnalna uczta dla podróżników zmuszonych jutro wznieść się w górne szlaki atmosfery, celem okrążenia naszego globu — rzekł Airman. — A zarazem powitalna uroczystość na cześć pierwszej od początku świata kobiety, która odbędzie taką podróż.

— Niech żyje pierwsza żeglarka napowietrzna! — krzyknął inżynier. — Wybijemy na cześć pani medal, który wyobrazą panią w postaci anioła szybującego na skrzydłach białych do nieba.

— A tym niebem ma być pobyt z panami na „Kondorze”. Czy tak? — zawołała wesoło Edyta. — Pochlebstwo, które ma dwa ostrza.

Wśród śmiechów i żarcików towarzystwo nasze zasiadło do stołu.

— A którędy będziemy lecieli dookoła świata? — zagadnęła Edyta. — Nigdy mi o tym nie mówiłeś, bracie!

— Och, będzie to podróż, jakiej dotąd nie odbył najśmielszy podróżnik! — odparł Airman. — Mogę ci zarysować tylko z grubsza plan powzięty przez nas, moja siostrzo! Otóż najpierw polecimy w kierunku północnym, ponad Kanadą, pragnę bowiem dotrzeć do bieguna północnego.

— Ależ to będzie bardzo z drogi! — zaprotestował Hinton. — Nie posłałem, rzecz prosta, zapasów benzyny w tamte okolice, bo żaden okręt nie chciałby się podjąć dostawy pod biegun.

— Już ja pomyślałem o tym! — odparł Airman, uśmiechając się tajemniczo.

— W takim razie to zupełnie co innego.

— Ale mówże dalej, bo mnie bardzo interesuje, dokąd polecimy — przerwała Edyta.

— No, niewiasta zawsze jest ciekawa i nie ma na to żadnej rady, chyba żeby zamienić ją na mężczyznę. Ponieważ jednak nie mamy na to sposobu, więc trzeba dalej odsłaniać tajemnice naszej podróży. Otóż, kochana siostrzo, odbędziemy po drodze polowanie na wieloryby, żeby zdobyć sobie zapas tłuszczu do motoru i fiszbinu³⁹ do reparowania zepsutych skrzydeł...

— A potem?

— Potem zajrzemy do Klondike⁴⁰ i na najwyższe szczyty Alaski.

³⁸*garden party* (ang.) — impreza w ogrodzie. [przypis edytorski]

³⁹*fiszbin* — substancja rogowa, z której zbudowane jest podniebienie wielorybów. [przypis edytorski]

⁴⁰*Klondike* — tekst sugeruje, że Klondike to osada lub miasto, w rzeczywistości Klondike to nazwa rzeki w zachodniej Kanadzie. Nad Klondike położona jest osada Dawson City, która, pod koniec XIX w. stała się symbolem „gorączki złota”. [przypis edytorski]

— A to po co?

— Przecież wiesz, Edyto, że w tamtych stronach Alaski złoto leży niemal na samej powierzchni ziemi, jak tego dowodzą tłumy poszukiwaczy, którzy udają się do Klondike. Muszę przecie spożytkować swój wynalazek; jeżeli bowiem w czasie podróży podpatrzę budowę samolotu, to nie będę już miał szansy sprzedać moich patentów, a co za tym idzie, uzyskać sum, na które liczę. Trzeba przeto nabrać złota w Alasce, gdzie podobno na niedostępnych zboczach górskich łatwo je znaleźć w nieograniczonej ilości. Obawiam się tylko, czy dużo potrafi udźwignąć nasz „Kondor”. Chyba że wyrzucimy zapasy żywności. Lepiej przymierać przez tydzień głodem, a za to wziąć o kilkaset tysięcy dolarów więcej...

Teraz dopiero Edyta, z uśmiechu igrającego na ustach wynalazcy, poznała, że sobie z niej żartuje. Rzekła więc urażona:

— Tak, korzystacie z tego, że macie do czynienia z osobą nieznającą się na waszych samolotach i zawodowych sekretach, i drwicie sobie z niej. Ale czekajcie! Zemszczę się na was za to przy pierwszej sposobności! — wołała panienka, udając wielce oburzoną. — Będziecie na mojej łasce, nie zapominajcie bowiem, że mam klucze od spiżarni. Głodem i pragnieniem zmuszę was do posłuszeństwa.

— Tak jak dzikie ptaki drapieżne w ogrodzie zoologicznym — dodał inżynier. — No, na załagodzenie sporu wnoszę zdrowie naszej pięknej towarzyszki podróży.

— Naszej odważnej miss Edyty! — dodał Hinton.

Edyta spojrzała na milionera z zadowoleniem.

— Piękność nie jest niczyją zasługą — rzekła — a odwagę zawsze starałam się w sobie wyrobić. Prawda, braciszku?

Uczta ciągnęła się parę godzin i skończyła się dość późno. Potem Edyta wzięła się pilnie do pracy, spisała cały inwentarz, żeby później znaleźć, czego będzie potrzebowała. Hinton wziął się do pisania listów do rodziny, w których mówił o wyjeździe, ale nie wspominał ani słówkiem dokąd. Wiedział, że wezmą to za nowe dziwactwo włóczęgi i nie będą go się nawet pytali.

Airman nie miał się z kim żegnać, bo znajdował się wpośród swoich najbliższych. Inżynier podał jakąś depeszę, poczyniono ostatnie przygotowania do odjazdu, który, w razie pomyślnego stanu powietrza, miał się odbyć nazajutrz o świcie.

Edwin i człowiek-ptak kładli się spać tego wieczoru z biciem serca i długo nie mogli usnąć, myśląc o uroczystej chwili.

IV. W OBŁOKI!

Jeszcze było szaro, kiedy Edwin i jego towarzysze znajdowali się na nogach. Myśl, że niebawem mają wlecieć w obłoki, że za parę godzin ma się rozpocząć jedyna w swoim rodzaju podróż napowietrzna dookoła świata, nie dawała im spokoju.

Pierwszy wstał Edwin, potem opuścił swoje posłanie człowiek-ptak i zaraz zaczął z niezmierną dokładnością oglądać swojego „Kondora”. Sprawdził przede wszystkim motor, aby przekonać się, czy wszystkie jego części składowe są w zapasowej skrzynce, potem zaczął badać niebo, które było zasępione. Dość silny wiatr południowy wróżył deszcz.

W chwili odlotu panowała jednak pogoda. Człowiek-ptak był zadowolony, że obłoki biegnęły dość nisko ponad ziemią, o jakieś pół kilometra, łatwo bowiem będzie się w nie zagłębić „Kondorowi” i za tą delikatną, ale skuteczną zasłoną uniknąć wzroku ciekawych, których nie brakowało w tych mocno zaludnionych okolicach.

— Proszę zajmować miejsca! — rzekł krótko, zwracając się do swoich towarzyszy. — Czy wszyscy gotowi?

— Wszyscy! — odpowiedziano mu jednogłośnie.

— Edyta też? — zapytał z niedowierzaniem, zwracając się do siostry.

— Nie też, ale przede wszystkim! — odparła młoda panna, śmiejąc się.

Wszyscy uczestnicy wyprawy ubrali się odpowiednio do wymagań żeglugi napowietrznej. Zwracano głównie uwagę na swobodę ruchów. Miejsca w samolocie były wyznaczone w następujący sposób:

Podróż

Edyta zajmowała tylną kabinę wraz z Edwinem i mogła przechodzić do kabiny pilotów; ważyła bowiem najmniej ze wszystkich i ruchy jej nie mogły zwichnąć równowagi samolotu w powietrzu.

Inżynier Burnett siedział po lewej ręce człowieka-ptaka, głównego pilota. Jego obowiązek polegał na pilnowaniu prawidłowego funkcjonowania motoru. Za inżynierem siedział Nills mający dawać baczenie na wszystko. Przy lada niedokładności w działaniu motoru miał uwiadomić pilota.

Co do Edwina — nosił on tytuł generalnego obrońcy samolotu od grożących mu niebezpieczeństw, czy to ze strony żywiołów, jak na przykład niespodziewanych burz, uderzeń trąby powietrznej, czy też ze strony zwierząt i ludzi podczas pobytu na powierzchni ziemi. W razie dostrzeżenia czegoś podejrzanego powinien dawać sygnał gwizdkiem, ponieważ warkot motoru zagłuszał słowa podczas lotu.

Edwin był zatem naczelnikiem straży i siły zbrojnej. Pod jego komendę przechodzili wszyscy, nie wyłączając kapitana, w razie konieczności stoczenia walki z wrogiem.

Rola Edyty jest nam już znana. Była to kwatermistrzyni generalna, gospodyni, której władza obejmowała kuchnię, sypialnię i w ogóle całą stronę gospodarczą, niezmiernie ważną. Edwin miał dostarczać przy tym, jako strzelec wyprawy, wszelkiej możliwej zwierzyny na stół latający; pod tym względem był w pewnej zawisłości od młodej panny.

Kiedy wszyscy znajdowali się już na wyznaczonych sobie miejscach, Airman przybrał poważny wyraz twarzy i odezwał się w te słowa:

— Moi drodzy towarzysze! Zanim „Kondor” wzniesie się w powietrze, niech mi będzie wolno powiedzieć wam, że wasze bezpieczeństwo, wasze życie od tej chwili będzie zależne nie tylko od nieprzewidzianych okoliczności, ale i od was samych. Mam prawo wymagać od was, w imię właśnie tego waszego bezpieczeństwa, ażebyście spełniali moje zlecenia z żołnierską dokładnością i posłuszeństwem. Nie może tu być mowy o jakiegokolwiek niesubordynacji, o cofaniu się przed spełnieniem obowiązku. Kto by tego zaniedbał, nie wyłączając mojej rodzonej siostry, będzie surowo ukarany, a nawet jeżeli tego będzie wymagała konieczność, usunięty z naszego grona, gdziekolwiek się będziemy znajdowali. Mam jednak nadzieję, że nie wyłamiecie się nigdy spod moich rozkazów. Przysięgacie to solennie?

— Przysięgamy najuroczyściej słuchać we wszystkim naszego prezydenta rzecypospolitej napowietrznej i bronić jego władzy przed każdym, kto by się starał ją naruszyć — odparł poważnie inżynier.

— Przysięgam na wierność największemu wynalazcy dwudziestego wieku! — zawołał Edwin.

— Będę posłuszną na najmniejsze twoje skinienie, braciszku! — rzekła Edyta.

— Kiedy tak, to rozpoczynamy naszą podróż, która, nie chcę tego bynajmniej ukrywać przed wami, należy do najniebezpieczniejszych i najtrudniejszych, jakie w ogóle przedsięwzięto kiedykolwiek. Czy gotowicie? — rzucił Jerzy po raz ostatni.

— Gotowi!

W tej chwili zaturkotał puszczony w ruch motor, ramiona potężnego śmigła zaczęły się szybko obracać. „Kondor” drgnął, posunął się naprzód leniwie, jak jego imiennik wzbijający się ze stoku Kordyliarów⁴¹, potem rozpędził się, przebiegł po ziemi kilkadziesiąt metrów i nagle podniósł się lekko, niedostrzeżenie w powietrze.

Ze wszystkich ust wyrwało się przygluszone: „Ach!” wydarte przez wzruszenie rozpierające piersi.

Podróż napowietrzna rozpoczęła się. Jerzy z przedziwnie zimną krwią kierował swoim samolotem. Zależało mu na tym, żeby wzbić się wyżej w obłoki, które przewalały się kłębamii ponad głowami naszych podróżników.

„Kondor” leciał szybko, robiąc przynajmniej dwieście kilometrów na godzinę. Uciekały szybko w dal kominy fabryczne, jeszcze niezające dymem, domostwa ustępowały miejsca równinie. W dali widniało jezioro olbrzymie, błyszczące jak wielki kawał srebrnej blachy.

— W którą stronę lecimy? — zagadnęła Edyta.

⁴¹Kordyliery — łańcuch górski położony w zachodniej części Ameryki Północnej, którego długość przekracza 8000 km. Przecina południkowo Kanadę, Stany Zjednoczone i Meksyk. [przypis edytorski]

— Kierunek nasz jest północno-zachodni.

Panna widziała jednak, że brat jej, kierując samolotem, nie chce rozmawiać, żeby nie rozpraszać uwagi, więc zwróciła się do swego sąsiada, Edwina.

— Ach, panie, teraz dopiero zaczynam doceniać wynalazek mojego kochanego braciszka! — zawołała, składając z uwielbieniem dłonie. — Patrz pan, zamienił nas w ptaki! Szybujemy jak orły i znajdujemy się już tak wysoko, że muszę się wystrzegać zawrotu głowy.

Edyta siedziała nieruchomo, z przymkniętymi oczami.

— Czy nie moglibyśmy lecieć nieco wyżej? — zwrócił się Edwin do Airmana. — Właśnie mamy przed sobą jakieś miasto czy osadę fabryczną; a na drodze grupy robotników zmierzających do zajęć.

Airman kiwnął głową, pochylił nieco ster wysokości i „Kondor” zaczął się jeszcze bardziej wznosić. Wysokościomierz, który znajdował się w miejscu dla każdego widocznym, wskazywał najpierw cały tysiąc metrów, potem półtora tysiąca, wreszcie dwa tysiące.

Wszystkie przedmioty widziane w lukach pomiędzy chmurami wydawały się bardzo drobne. Fabryka, do której zbliżał się samolot, była podobna do zabawki. Grupka ludzi wyglądała jak mrówki pełzające w trawie. Wnet samolot znalazł się na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów.

— Zniżamy się! — zawołał po kwadransie inżynier. — I to dość gwałtownie. Dlaczego motor nie działa?

— „Kondor” leci w tej chwili zupełnie tak samo jak każdy ptak z rozpostartymi nieruchomo skrzydłami, bez wiatru. Jeżeli byśmy pozwalali mu spadać swobodnie, to z wysokości jednego kilometra opadałoby przez siedem mniej więcej kilometrów w bok, ale w dowolnym kierunku. Widzicie więc, że mamy dość czasu na to, żeby wybrać sobie możliwie najlepszy punkt do wylądowania.

— W takim razie lepiej jest spadać z wysoka! — zaśmiał się Nills.

— Naturalnie, że lepiej, chociaż ci się to wydaje takie paradoksalne, mój Robercie! — odparł Airman. — Mając przed sobą znaczną przestrzeń...

— Pod sobą, chciałeś pan chyba powiedzieć — poprawił Edwin.

— Niech będzie pod sobą, to zupełnie wszystko jedno w danym razie; a więc, mając pod sobą przestrzeń paru kilometrów do przebycia, miałbym zarazem także parę minut czasu na potrzebne manewry.

— Mój braciszku, trzymaj się zatem podniebnych szlaków, kiedy tam najbezpieczniej! — odezwała się Edyta.

— Obniżyliśmy się już znacznie — rzekł Airman. — No, czas przerwać tę próbę, która, mam nadzieję, wlała w was nieco zaufania do „Kondora”, na którego grzbiecie mamy oblecieć świat dokoła. Wierzę, iż będzie on nas nosił na swoich skrzydłach bez poważnej przygody. Patrzcie, jak jest posłuszny każdemu mojemu skinieniu!...

Z tymi słowy kapitan samolotu poruszył jedną i drugą ręką. Motor od razu zaczął na nowo turkotać, śmigło zawirowało i „Kondor” przestał zniżać swój ciężki lot. Jeszcze jedno poruszenie sterem poziomym — i wielki ptak dźwignął się w górę, niebawem wrócił do niedawno zajmowanego poziomu, a nawet poszybował jeszcze wyżej, bo znów na horyzoncie ukazało się duże miasto.

Z każdą godziną nasi żeglarze napowietrzeni oswajali się bardziej ze swoim nowym, a tak oryginalnym położeniem. Pozbywali się bojaźni i sztywności. Serca, które z początku kołatały im jak młoty w piersiach, uspokajały się, puls nie był już tak w skroniach, wzrok, zapuszczany w próżnię rozciągającą się pod nimi, nie wywoływał już przykrego dreszczu i zimnego potu. Instynktownie wszyscy nabierali pewności i zaufania do swojego położenia. Byle tylko wypełniać uważnie wszystkie manewry, być gotowym na każdy przypadek i zachować zimną krew, to cóż mogło spotkać samolot unoszący się w obłokach, w przestrzeni wolnej od wszelkich przeszkód grożących rozbiciem w drobne kawałki każdemu samochodowi poruszającemu się z taką samą szybkością po zwyczajnej szosie.

— Jak szybko lecimy? — zagadnęła Edyta.

— To da się dokładnie wymierzyć jedynie na mapie po dłuższym czasie, kochana siostrzyczko! — odparł kapitan „Kondora”. — Rozłóż przed sobą dokładną mapę stanu

Wisconsin⁴², którego granice właśnie mijamy. Jest teraz, jeżeli się nie mylę, ósma rano, prawda? Lecimy niemal równolegle do wybrzeży zachodnich jeziora Michigan, niebawem przeto powinniśmy ujrzeć miasto Milwaukee⁴³ położone nad nim.

Oczy wszystkich zwróciły się ku północy. Z wysokości paru kilometrów doskonale widać było wielkie jezioro słodkiej wody, które w tym miejscu miało niemal sto kilometrów szerokości. Brzeg przeciwny ginał w dalekich mgłach i chmurach. Jezioro falowało jak ocean. Na jego tafli snuły się liczne parowce, znaczące swoją drogę smugami czarnego dymu. Stąd można było sobie wyrobić niejaki pojęcie o masie statków prujących te wody. Edwin naliczył ich kilkadziesiąt, i to większych. Płynęły one przeważnie z Chicago ku północy. Przez doskonałe, pryzmatyczne lunety Zeissa⁴⁴, które, pomimo swej nieznaczącej długości, dawały dwunastokrotne powiększenie, świetnie odróżniano ich formy, a nawet widziano ludzi stojących na pokładzie.

— I oni nas pewnie widzą — rzekła Edyta.

— Wątpię — odparł Edwin. — Nie mają po co zadzierać do góry głowy.

— Gdzie będziemy nocowali dzisiaj, braciszku? — odezwała się znów po chwili Edyta.

— W ogóle chciałabym znać choć w przybliżeniu plan naszej podróży.

— I ja także! — rzekł Nills. — Głupio jest lecieć tak nie wiadomo dokąd.

— Żądania wasze są zupełnie słuszne — odparł po pewnym wahaniu Airman. — A więc powiem wam w paru słowach...

— Czy tylko na serio? Bo raz już sobie ze mnie zażartowałeś — zastrzegła się panna.

— Najzupełniej serio.

— A więc, braciszku, w którą stronę skierujemy się od Milwaukee?

— Prosto na północny zachód, moja Edyto! Dziś mam nadzieję przelecieć ponad stanem Wisconsin i nad połową przynajmniej stanu Minnesota⁴⁵. Prawdopodobnie będziemy nocowali po raz pierwszy u źródła naszej kochanej Missisipi, czyli Ojca Wód, jak ją nazwali w swym barwnym języku Indianie.

Edyta klasnęła w ręce.

— Ach, ja zawsze tak pragnęłam widzieć początek naszej największej rzeki! — zawołała.

— Największej w świecie — poprawił Burnett. — Jeżeli przyjmować za jej początek źródła Missouri, gdzie leży nasz cudowny Park Narodowy Yellowstone.

— Tam także nigdy nie byłam, a słyszałam bajki z tysiąca i jednej nocy o tej zaczarowanej krainie. Boże, co bym dała za to, żeby móc podziwiać te cuda, jakie tam zgromadziła przyroda! Polećmy do doliny Yosemite⁴⁶, braciszku, zwiedzmy Park Narodowy! Dobrze?

Człowiek-ptak potrząsnął głową.

— To nie po drodze — odparł krótko.

— Cóż dla ciebie znaczy zboczyć o kilkaset, a nawet parę tysięcy kilometrów?! — zawołała Edyta. — Polećmy cokolwiek na zachód, a potem dopiero skierujemy się na północny zachód.

— Zapominasz, że musieliśmy wytknąć sobie pewien szlak, którego ściśle trzymać się należy. Nasze stacje benzynowe znajdują się w pewnych punktach, które kolejno będziemy przebywali; inaczej z powodu braku opału musielibyśmy niebawem przerwać naszą podróż.

— Ach! Ta niegodziwa benzyna! — zachnęła się Edyta, zaciskając pięści. — Ale czyż nie można jej wszędzie dostać? Ja to biorę na siebie. Dobrze?

— Nic tego nie będzie, kochana Edyto! Takie zboczenie skazałoby nas od razu na niepowodzenie. Przecież na to, żeby polecieć do Parku Narodowego, trzeba czasu i przynajmniej jednej stacji po drodze.

⁴²Wisconsin — stan, leżący na północy Stanów Zjednoczonych, nad jeziorem Michigan. [przypis edytorski]

⁴³Milwaukee — największe miasto stanu Wisconsin. [przypis edytorski]

⁴⁴Zeiss, Carl (1816–1888) — niemiecki przedsiębiorca, optyk, założyciel firmy Carl Zeiss AG, produkującej sprzęt optyczny i urządzenia pomiarowe. [przypis edytorski]

⁴⁵Minnesota — stan na północy Stanów Zjednoczonych, sąsiadujący z Wisconsin, położony przy granicy z Kanadą. [przypis edytorski]

⁴⁶Yosemite — dolina, leżąca w górach Sierra Nevada (część Kordylierów), zajmująca powierzchnię 18 km², słynna ze swych ogromnych, nagich formacji skalnych i największych wodospadów w Stanach Zjednoczonych. Dolina znajduje się w obrębie Parku Narodowego Yosemite. [przypis edytorski]

— Niedobry jesteś, mój Jerzy! — rzekła panienka. — Pewnie wywieziesz nas gdzieś na północ, tak jak powiedziałeś.

— Istotnie, dla poważnych celów trzeba się trzymać krain północnych, przynajmniej do czasu. Otóż, zawadzwszy o Jezioro Górne⁴⁷, znajdziemy się ponad Manitobą⁴⁸. Będziemy się ciągle trzymali wschodniej strony Gór Skalistych, nie chcę bowiem zapuszczać się pomiędzy wysokie szczyty, gdzie w razie jakiegoś wypadku z maszyną wylądowanie byłoby niezmiernie ryzykowne, a wzlot z ziemi w powietrze trudny, prawie niemożliwy.

— Zdaje mi się, że będę mógł tam zapolować na grubego zwierza — wtrącił Edwin.

— Nawet na niedźwiedzia szarego — potwierdził Burnett.

— Na razie powiem ci więc tylko tyle, kochana siostró, że zmierzamy prostą drogą do Cieśniny Beringa⁴⁹, żeby się przeprawić ponad nią do Azji.

— Dziękuję ci na teraz — rzekła Edyta. — Kiedy znajdziemy się w Azji, znowu powiesz mi, jakimi drogami będziemy lecieli.

— Milwaukee! — przewał Edwin, który właśnie przyłożył swoją lunetę do oczu.

W istocie, na brzegu jeziora, dzięki przezroczystości powietrza, widniało wyraźnie wielkie miasto, którego domy błyszczały w słońcu porannym. Odległość zmniejszała się w oczach. „Kondor” szybował jak ptak, którego nosił imię, i nie upłynęło dziesięć minut, kiedy miał niemal tuż pod sobą miasto.

Airman jednak, zamiast lecieć prosto ponad nim, skierował się ku zachodowi, chcąc je okrążyć. Płynął krótki czas wzdłuż linii kolejowej, potem odsadził się gwałtownie ku północy, chcąc widocznie unikać bardziej zaludnionych okolic.

Teraz samolot pędził ze wzrastającą szybkością ponad wznoszącą się ciągle, choć niepostrzeżenie wyżyną, po linii łączącej skraje dwóch wielkich jezior: jeziora Michigan i Górnego.

— Ciekaw jestem, czy ptaki latają prędzej od nas — zagadnął Edwin.

— Gołąb pocztowy⁵⁰, który uchodzi za bardzo szybkiego ptaka, nie robi więcej jak osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Ptaki morskie są niewątpliwie najlepszymi żeglarzami, chociaż i małe ptaszki lądowe, na przykład gajówka szwedzka⁵¹, mogą w czasie swych przelotów wiosennych i jesiennych, w ciągu jednej, jedynej nocy, odbywać nie do wiary dalekie podróże. Wymieniony ptaszek nie daje się widzieć gromadnie pomiędzy Helgolandem⁵² a Afryką, przelatuje on zatem tę wielką przestrzeń w jakieś dwanaście godzin. To znaczy, że jego szybkość wynosi około trzystu trzydziestu kilometrów na godzinę

— Nadzwyczajne!

— Jaskółki⁵³ zaś, jak się niejednokrotnie przekonano, mogą przelatywać w godzinę przestrzeń stu kilometrów. Danych co do szybkości petreli⁵⁴ i mew⁵⁵ nie mam; zdaje mi się jednak, że te ptaki, mające nadzwyczaj mocne, długie i szerokie skrzydła, mogą

Natura

⁴⁷Jezioro Górne (ang. *Lake Superior*) — największe z Wielkich Jezior Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

⁴⁸Manitoba — prowincja Kanady, położona w południowej części kraju, granicząca ze Stanami Zjednoczonymi. [przypis edytorski]

⁴⁹Cieśnina Beringa — cieśnina rozdzielająca Azję i Amerykę Północną, leżąca ok. 90 km od koła podbiegunowego. Przez cieśninę (o szerokości 85 km) przebiega granica między Stanami Zjednoczonymi a Rosją a także linia zmiany daty (umowna granica na mapie stref czasowych, rozdzielająca obszary, między którymi czas różni się dokładnie o jedną dobę.) Nazwana na cześć Vitusa Jonassena Beringa (1681–1741), duńskiego żeglarza służącego w carskiej marynarce wojennej, odkrywcy faktu, że Azja nie jest połączona lądem z Ameryką Północną. [przypis edytorski]

⁵⁰gołąb pocztowy — ptak z rodziny gołębiowatych (odmiana gołębia skalnego), charakteryzuje się zdolnością do powrotu do gniazda z bardzo dużych odległości, używany jako sposób długodystansowej komunikacji od starożytności do II wojny światowej. [przypis edytorski]

⁵¹gajówka szwedzka — właśc. gajówka, też: pokrzewka ogrodowa. Drobny ptak wędrowny, w okresie lęgowym występuje w całej Europie, zimuje w południowej Afryce. [przypis edytorski]

⁵²Helgoland — niemiecka wyspa położona na Morzu Północnym (należąca do kraju związkowego Szlezwik-Holsztyn), oddalona o 50 km od wybrzeża. [przypis edytorski]

⁵³jaskółka — podrodzina jaskółkowatych, występuje na wszystkich kontynentach prócz Antarktydy, osobniki są małe (11–25 centymetrów), mają ostro zakończone skrzydła, żywią się owadami. [przypis edytorski]

⁵⁴petrel — też: fulmar zwyczajny. Ptak morski z rodziny burzykowatych. Występuje nad Oceanem Arktycznym, północnym Atlantykiem i Pacyfikiem. Osobniki osiągają długość 45–50 cm i wagę do 1 kg. Są w stanie rozwijać prędkość do 90 km/h. [przypis edytorski]

⁵⁵mewa — podrodzina ptaków obejmująca 11 rodzajów. Osobniki występują na wszystkich kontynentach. Największe mewy mają do 80 cm długości i wagę do 2 kg. Osiągają prędkość lotu do 110 km/h. [przypis edytorski]

szybować z równą szybkością w przestworzach. Widzicie więc, kochani towarzysze — kończył Airman — że nasz, „Kondor” jest jednym z najlepszych latawców.

— Szydzi sobie z najszybszych pociągów, na przykład z tego, który tam oto sunie po szynach.

Wszyscy skierowali wzrok w stronę wskazaną przez Edwina. Była to linia kolejowa prowadząca od Wielkich Jezior, wzdłuż Missisipi, dalej na północ do Winnipeg⁵⁶. Pociąg zaś, sądząc z kształtu wagonów, w których rozpoznano pulmany⁵⁷, musiał należeć do pośpiesznych, utrzymujących komunikację pomiędzy Stanami a Canadian Pacific⁵⁸, która łączy Ocean Atlantycki ze Spokojnym.

— Przypominam sobie, że pociągi na tej linii kursują bardzo szybko — rzekł inżynier. — Sto kilometrów na godzinę albo cokolwiek więcej.

— Możemy zatem urządzić próbny wyścig? — rzucił Nills, w którym odezwała się żyłka sportowca.

— Doskonale! Jerzy, kieruj „Kondora” tak, żeby leciał tuż nad pociągiem. Możesz być spokojny, nikt cię nie zobaczy; maszynista musi patrzeć na linię, a pasażerowie siedzą zamknięci w wagonach.

— Nie jest to trudne — odparł człowiek-ptak.

Jedno lekkie poruszenie sterem pionowym i samolot skierował się cokolwiek ku wschodowi; w parę minut zrównał się z pociągiem, potem popłynął na północny wschód, tym bowiem kierunku biegła tutaj linia kolejowa.

— Jesteśmy ponad samym pociągiem! — krzyknął Edwin, patrząc przez lunetę.

— Wyścig zaczyna się! — zawołał inżynier, nachylając się tak, żeby widzieć pociąg.

— Zalecam ostrożne zachowanie się! — wtrącił Airman.

Po paru minutach ciszy, przerywanej tylko warczeniem motoru i szumem obracającego się szybko śmigła, Edwin wybuchnął śmiechem lekceważenia.

— Jużemy go wzięli — rzekł.

— Od razu! — dodała Edyta pogardliwie.

— Przeciwnik marny! — odezwał się Nills. — A jednak jedzie dość szybko; widzę, jak mija stacje pomniejsze, nie zatrzymując się wcale. Tak, robi on co najmniej sto kilometrów na godzinę. No, ale z naszym „Kondorem” nie może konkurować.

— Dochodzi południe! — odezwała się Edyta. — Sądzę, że świeże powietrze dodało wszystkim apetytu, proszę więc na śniadanie. Kawa już się ugotowała, pochlebiam sobie, że będzie wam smakowała.

— Proszę, jedzcie! — rzekł Airman.

— A ty, braciszku?

— Przecież nie mogę opuścić steru.

— Mój Boże, to chyba z głodu umrzesz, jeżeli nie będziesz mógł się ruszyć ze swego stanowiska.

— Poczekam do obiadu.

— No to, jeżeli chcesz, będę cię karmiła tak jak małe dziecko! — zawołała Edyta, śmiejąc się. — Weź no ten kawałek mięsa!

— Inżynierze, czuwaj, żebyśmy nie spadli czasami za nisko, ja będę pilnował steru pionowego i... napiję się kawy — powiedział Airman.

— Powinieneś wyksztalczyć Burnetta, żeby cię w razie czego zastąpił; przecież niepodobna⁵⁹ siedzieć jak przykuty do siedzenia — gderła panienka.

— Inżynier zastąpi mnie za dwie godziny; zna się równie dobrze jak ja na prowadzeniu samolotu.

Żeglarze mieli doskonały apetyt, gdyż pieczeń przygotowana przez Edytę zniknęła w mgnieniu oka.

⁵⁶Winnipeg — miasto w Kanadzie, stolica prowincji Manitoba, położona 100 km od granicy ze Stanami Zjednoczonymi. [przypis edytorski]

⁵⁷pulman — zwyczajowa nazwa, obejmująca większość typów wagonów sypialnych w Stanach Zjednoczonych. Nazwa pochodzi od nazwiska amerykańskiego przedsiębiorcy i producenta wagonów sypialnych - George'a Pullmana (1831–1897). [przypis edytorski]

⁵⁸Canadian Pacific, właśc. Canadian Pacific Railway — kolej transkanadyjska, łącząca wschodnie wybrzeże (Montreal) z zachodnim (Port Moody), zbudowana w 1885 r. rozciągała się na przestrzeni ok 5000 km. [przypis edytorski]

⁵⁹niepodobna (daw.) — niemożliwe. [przypis edytorski]

Jakkolwiek przekonano się, że można jeść w samolocie, urządzono jednak, że obiadować się będzie, o ile możności, na ziemi.

— Pierwsza nasza wieczerza od chwili wyjazdu odbędzie się na miejscu noclegu. Pożywi się tam i nasz motor świeżym zapasem benzyny.

Edwin zrobił słuszną uwagę, że najpiękniejsze nawet okolice z góry nie wyglądają ładnie. Na wysokości tysiąca metrów perspektywa jest zupełnie inna niż ta, do jakiej przywykło oko nasze na powierzchni ziemi. Wszystko widzi się jak na planie lub mapie o dużej skali. Nie ma pola dla fantazji, która przestaje pracować. Odejmuje to wiele uroku powabom położenia.

Im bardziej zbliżano się do źródeł wielkiej rzeki, tym żwawiej toczyła ona swe nurty, przyjmując w samym swym początku charakter strumienia górskiego.

Z wysokości, na jakiej znajdowali się nasi powietrzni żeglarze, nie podobna jednak było widzieć ani licznych bystrzyn⁶⁰, ani wodospadów, jakie tworzy największa rzeka na północnoamerykańskim lądzie.

Nie upłynęły jednak trzy godziny od śniadania, kiedy człowiek-ptak, dzięki swemu nieporównanemu wzrokowi, dostrzegł na widnokręgu dymy zwiastujące sąsiedztwo wielkiego fabrycznego miasta.

— Dwie siostry: Minneapolis i Saint-Paul⁶¹! — rzekł.

Nie ulegało wątpliwości, że „Kondor” zbliżał się do dwóch tych grodów, które można porównać z Manchester-Salford⁶² w Anglii. Rozsiadły się one na dwóch przeciwległych brzegach Missisipi; Minneapolis jest, jak wiadomo, największym dostawcą mąki w całym świecie. Miliony ton rozchodzi się z tego punktu na wszystkie strony. Pszeniczne gospodarstwa, mające nieraz obszar księstw europejskich, dostawiają do Minneapolis swoje zbiory w postaci ziarna. Ziarno to chwytają na swoje kamienne i żelazne zęby setki potężnych młynów, poruszanych siłą dostarczaną przez wysokie na piętnaście metrów wodospady. Pszeniczne ziarno, zmielone przez rzekę, wędruje licznymi pociągami, żywiąc potem milionowe rzesze nie tylko w Ameryce, ale i w Europie.

Okolice te dostarczają również drzewa z resztek lasów odwiecznych, resztek, powiadamy, bo Amerykanie pustoszą bez opamiętania skarby naturalne swego rozległego kraju, niepomni na przyszłość. Liczne tartaki zamieniają olbrzymi puszcz na belki, deski i inny materiał, wywożony albo wodą w dół rzeki, albo kolejami na wschód pozbawiony już lasów.

Wysokie, zionące czarnymi dymami kominy fabryczne, które jak las zarysowały się w dali, przypominały także naszym podróżnikom, że znajdują się nad miastem sławnym ze swych fabryk maszyn⁶³.

Wkrótce samolot zanurzył się w gęstych obłokach, które wirowały w szalonej taranteli⁶⁴ pod uderzeniami jego śmigła.

— Co za wspaniały widok! — zawołał Edwin.

Wszyscy przypatrywali się ciekawie, jak „Kondor” roztrzącał skrzydłami kłębiące się wokoło niego opary.

Nie mając możliwości śledzenia powierzchni ziemi, towarzystwo nasze prowadziło ożywioną rozmowę. Każdy robił swoje uwagi co do zachowania się samolotu i, ma się rozumieć, licytowano się w pochwałach.

Wywiązała się na tym tle żywa wymiana zdań pomiędzy inżynierem a Edwinem; Airman jednak nie brał w niej udziału, bo odwracanie uwagi od steru byłoby dla samolotu bardzo niebezpieczne.

Kiedy „Kondor” opuścił warstwę obłoków, w której się niedawno zanurzył, na widnokręgu, w kierunku północnym, zaświeciła w słońcu wielka tafla Jeziora Górnego. „Kon-

⁶⁰bystrzyna — odcinek rzeki lub potoku, charakteryzujący się bardzo szybkim nurtem (szybszym od średniej prędkości całego cieku). [przypis edytorski]

⁶¹Minneapolis-Saint-Paul — obszar metropolitalny w stanie Minnesota, w Stanach Zjednoczonych. Obejmuje miasta: Minneapolis, Saint Paul i Bloomington. [przypis edytorski]

⁶²Manchester-Salford — obszar metropolitalny w północno-zachodniej Anglii, część Wielkiego Manchesteru, obejmującego 10 dystryktów. W XIX w. metropolia słynęła z produkcji tekstyliów. [przypis edytorski]

⁶³fabryka maszyn — mowa najprawdopodobniej o *Twin City Iron Works* założonej w 1887 r. Po wielu fuzjach, firma funkcjonowała do 1974 r. pod nazwą *Minneapolis-Moline*. [przypis edytorski]

⁶⁴tarantela — włoski taniec ludowy, pochodzący z okolic Neapolu. Nazwa nawiązuje do nazwy pająka (Tarantula włoska). Taniec podobno działał kojąco na objawy zatrucia pajęczym jadem. [przypis edytorski]

dor” nie polecał jednak nad morze słodkiej wody, lecz zwrócił się znów ku zachodowi, szukając wąskiego przesmyku łądy pomiędzy skrajem zachodnim Jeziora Górnego i jeziorem Itasca⁶⁵, skąd wypływa potężny Ojciec Wód.

Słońce opuszczało się ku zachodowi, kiedy „Kondor” zaczął zniżać swój lot. Przez jakiś czas krążył ponad gęstym lasem, szukając jakby czegoś, wreszcie lekko usiadł na огоłoconej z drzew przestrzeni.

Wylądowanie na polanie leśnej odbyło się tak gładko, że podróżni nawet nie poczuli wstrząśnięcia. Pierwszy zeskoczył na ziemię Edwin Hinton i ze sztucerem na ramieniu zaczął pełnić swoje obowiązki. Obchodził coraz to większym kołem stojący pośrodku obszernej polany samolot, pilnując, żeby się nie zbliżył ktoś ciekawy; potem przetrząsnął najbliższe nawet okolice lasu okalającego ciemną ramą zieloną łąkę. Nie zauważył nic podejrzanego; okolica ta, choć odwiedzana dość licznie przez turystów, była w tej chwili pusta.

Nills pomagał tymczasem miss Edycie, która zaczęła się krzątać około wieczery, a raczej obiadu. Rozpalił szwedzką podwójną maszynkę naftową, bo zwyczajne ognisko mogłoby ściągnąć z dala niepożądanych gości, i otworzył konserwy. Zabrano ich z najlepszych fabryk tyle, aby mogły starczyć na kilka dni. Większe zapasy złożono razem z benzyną na stacjach. Podróżni zatem mieli zabezpieczone środki utrzymania, nawet gdyby Hintonowi nie wiodło się na polowaniu.

— Gdzie się znajduje zapas benzyny? — zagadnął Airman naszego myśliwca.

— U pewnego farmera, którego dom stoi nad samym jeziorem, o pół godziny drogi stąd — odparł Edwin zajrzawszy do notatnika.

— Nills, Burnett, do was należy sprowadzenie paliwa! — zawołał człowiek-ptak.

— Hm! Ile tego ma być?

— Kilkaset kilogramów w aluminiowych naczyniach. Najlepiej będzie przenieść benzynę na grzbiecie końskim; baryłki są odpowiednio do tego zaopatrzone w mocne uszy, przez które przeciągniecie te oto szerokie pasy rzemienne. Dwa konie w zupełności wystarczą.

Inżynier i jego towarzysz udali się na poszukiwanie farmera; nieobecność ich trwała z półtorej godziny zaledwie! O zmroku na polanie ukazały się sylwetki dwóch koni objuczonych srebrzystymi baryłkami.

— Wszystko w porządku! — rzekł Burnett.

Przelanie benzyny do zbiorników odbyło się gładko dzięki kurkom, w które były zaopatrzone naczynia aluminiowe. Dla ostrożności zagaszono kuchenkę, bo ogień w pobliżu mógłby się stać przyczyną niebezpiecznego wybuchu.

Kiedy cenny płyn znajdował się na właściwym miejscu, Burnett i Nills dosiedli na oklep koni i galopem ruszyli z powrotem.

Gdy się znów zjawili, było już zupełnie ciemno.

— Z pospolitymi mieszczuchami nie dałbym sobie rady! — rzekł Airman. — Zabłądziliby w lesie albo szukali składu do północy... Uzupełnianie zapasu benzyny to jedna z przykrych stron naszej podróży. Obawiam się, żeby z tego powodu nie spotykały nas zawody.

— Postarałem się o ludzi uczciwych i wynagrodziłem ich sowicie za usługę — uspokajał Edwin.

V. ZDRADA

Edyta miała wielką ochotę zwiedzić nazajutrz szczegółowo miejsce, skąd wypływa Ojciec Wód, ale brat jej nie zgodził się na spełnienie tych turystycznych zachcianek.

— Do źródeł Missisipi możesz pojechać, kiedy ci się podoba; my nie mamy czasu na takie wycieczki.

O świcie zatem „Kondor” był już gotów do drogi. Gdy wszyscy zajęli wyznaczone sobie miejsca i człowiek-ptak miał puścić w ruch motor, na skraju polany ukazało się kilku

⁶⁵Itasca, jezioro — małe jezioro leżące na terenie stanu Minnesota. [przypis edytorski]

jeźdźców, którzy na widok podrywającego się olbrzymiego ptaka dali koniom ostrogi⁶⁶, widocznie w zamiarze przeszkodzenia odlotowi.

Airman przez chwilę wahał się, czy pozostać, czy nie, ale powiedział sobie, że wobec natrętów najlepiej trzymać się z daleka; poderwał więc samolot i znajdował się już o dobre kilkaset metrów nad ziemią, kiedy jeźdźcy dopadli miejsca, gdzie niedawno stał olbrzymi „ptak”.

— Któż to może być?! — zawołał oburzony Edwin, patrząc przez lunetę na obcych, którzy zatrzymali się i przypatrywali uważnie odlatującemu „Kondorowi”.

— Ot, ciekawskich nigdy nie brakowało — odparł inżynier, machając ręką.

— Co do mnie, nie lekceważę sobie tego zajścia — rzekł dowódca statku napowietrznego.

Nastąpiło milczenie: wszyscy przypatrywali się natrętowi, którzy nie ruszali się z miejsca. Jeden z nich zdjął z ramienia sztucer, ale trzymał go w położeniu, które nie wydało się nikomu groźne.

Wkrótce jednak jeźdźcy zniknęli w dali, bo samolot szybował z wiatrem ze zdumiewającą szybkością.

— Znajdujemy się niedaleko granicy kanadyjskiej — odezwał się po pewnym czasie Airman. — Za godzinę najwyżej przy tak zawrotnym locie przedostaniemy się do sąsiedniego państwa, gdzie, mam nadzieję, gapiów⁶⁷ będzie mniej.

Edwin potrząsnął głową.

„Kondor” prul dziś powietrze energicznie. Sądząc z szybkości, z jaką uciekały przed nim farmy, ukryte w zieleni klonów i jesionów, rzeczywiście robił on ze trzysta kilometrów na godzinę. Krajobrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie.

— Granica Kanady! — zawołał nagle Burnett.

Wszyscy spojrzeli w dół. Na lewo widać było linię kolejową, która z wysoka wyglądała jak wąska, ledwie dostrzegalna, jasna kreska na zielonym tle. Na prawo błyszczało jezioro.

Zeglarze znajdowali się w pośrodku lądu Ameryki Północnej, w Krainie Wielkich Jezior.

W półtorej godziny po opuszczeniu źródeł Missisipi „Kondor” przeleciał granice posiadłości Wielkiej Brytanii.

— Szybujemy już ponad kanadyjskimi ziemiami — rzekł Edwin, spoglądając na mapę. — Stan Minnesota poza nami!

— Ale raz jeszcze będziemy się znajdowali na terytorium Stanów Zjednoczonych, nieprawdaż? — zagadnęła Edyta.

— Tak, będziemy przelatywali ponad Alaską, krainą gorączki złota. Mam jednak nadzieję, iż żaden z nas na nią nie zachoruje.

Rozległ się głośny śmiech.

— Oto Manitoba, jedna z najżyźniejszych kanadyjskich prowincji! — mówił inżynier, spoglądając na roztaczający się z wysokości tysiąca metrów, rozległy, przeważnie lesisty krajobraz, który jednak szybko ustępował miejsca rozległym przestrzeniom uprawnym.

Rolnicy osiedlający się w Manitobie sieją przeważnie pszenicę, która znajduje doskonały zbytek dzięki linii kolejowej łączącej dwa oceany. O tej porze, kiedy deszcze letnie przestają padać, rozpoczynają się w Manitobie żniwa.

Za pomocą lunety widać było na złocistych łąkach żniwiarki⁶⁸ ciągnięte przez rosłe⁶⁹ konie. W słońcu porannym te olbrzymie pola pszenicy wyglądały jakby blacha wyłożona.

— Przyglądajcie się tej krainie, bo będziecie nad nią lecieli nie dłużej niż parę godzin — wtrącił Airman. — Oto już rysuje się miasto Winnipeg, a dalej jeszcze widać olbrzymie jezioro tejże nazwy. Nie mam wcale zamiaru lecieć ponad jego zimnymi i głębokimi wodami. Kieruję się więc na zachód.

⁶⁶dać ostrogi — podrażnić bok zwierzęcia ostrogami (metalowymi, ostrymi elementami przymocowanymi do obcasów butów jeździeckich) w celu zwiększenia prędkości biegu. Wyrażenie może być też użyte metaforycznie (np. zwiększyć tempo marszu lub prędkość jazdy samochodu). [przypis edytorski]

⁶⁷gapi — osoba przyglądająca się jakiemuś wydarzeniu w miejscu, w którym znalazła się przypadkowo. [przypis edytorski]

⁶⁸żniwiarka — tu: maszyna służąca do koszenia zboża. [przypis edytorski]

⁶⁹rosty — duży, potężnie zbudowany. [przypis edytorski]

„Kondor”, nie doleciawszy do miasta, posłuszny sterowi skręcił na lewo i szybował znów ponad gęstymi jodłowymi lasami, które z tej wysokości przedstawiały się jak szmageradowy dywan poprzerynany gęstą siatką rzek i potoków, bystro płynących po kamiennistych łożyskach.

— Kraina ta ma wielką przyszłość przed sobą — rzekł milczący dotąd Edwin. — Bawiłem tutaj kilkakrotnie przez dłuższy czas i polowałem na grubą zwierzynę, jakiej nie brak do dziś w Manitobie. Roi się w puszczech tutejszych od traperów, zastawiających sidła i potrzaski na rysie, wydry, rosomaki i bobry... Czy dacie wiarę, że w Kanadzie gdzieś tam utrzymała się dotychczas moneta obiegowa w postaci skórki bobrowej, zupełnie jak za czasów, kiedy biali dopiero nawiązywali stosunki handlowe z Indianami?!

— A niedźwiedzie czy są? — zagadnęła Edyta.

— Ile jeszcze!... Sam dwa lata temu zabiłem trzy nad jeziorem Winnipeg, proszę pani.

Na rozmowie szybko upływały godziny i żeglarze napowietrzni sami nie wiedzieli, jak przyszedła pora obiadowa.

Była może trzecia po południu, gdy nagle coś w motorze zaczęło nienaturalnie szumieć i terkotać. Airman zaniepokoił się nie na żarty, obawiał się bowiem, że motor się popsuł i lada chwila się zatrzyma. Chcąc nie chcąc więc szukał wzrokiem miejsca dogodnego do wylądowania. W kilka minut potem „Kondor” opadł na sam środek rozległego, niedawno sprzątniętego pola.

Airman wziął się do oglądania maszyny i istotnie spostrzegł pewną niedokładność. Jedna z ważnych śrub zluźnowała się, motor mógłby się popsuć. Inżynier i Nills zabrali się energicznie do pracy i po półgodzinnych usiłowaniach doprowadzili śruby do porządku.

Właśnie mieli dokręcić ostatnią mutkę⁷⁰, gdy nagle ukazał się na polu wóz drabinisty⁷¹. Siedziało w nim kilku ludzi, którzy popędzali konie, kierując się wprost na stojący w polu samolot.

— Znowu gapie! — zawołał niechętnie Airman. — Pośpieszcie się, inżynierze, i ty, Nills, bo będziemy mieli na karku tych ciekawskich. Przyznam się, że tego już za wiele!

Zdołano jednak odlecieć w samą porę, kiedy wóz znajdował się jeszcze dość daleko. Edwin nie mógł powstrzymać się od śmiechu, patrząc, jakie wrażenie robi na nadjeżdżających wzlot olbrzymiego ptaka. Zatrzymali oni wóz i z podniesionymi głowami, z otwartymi szeroko ustami śledzili manewry „Kondora”, który zakreślił półkole i skierował się szybko ku zachodowi.

— W każdym razie to bardzo niedobrze, że nas widziano już dwa razy — rzekł Airman, kiedy wóz zniknął poza ścianą przyległego lasu.

— Dlaczego? — zagadnęła Edyta równie zaniepokojona.

— Bo w ten sposób wyda się nasza tajemnica.

— Ci ludzie mieszkający z dala od miasta nie mogą nam chyba nic złego wyrządzić...

Nowe to spotkanie popsło humor naszym żeglarzom powietrznym. Inżynier powiedział Nillsowi, że raz na dzień trzeba najstaranniej w świecie obejrzeć motor, żeby na przyszłość uniknąć lądowania w biały dzień, w miejscach nienadających się do tego.

Airman, chcąc jak najprędzej przelecieć ponad gęściej zaludnionymi okolicami, przyspieszył podróż. „Kondor” mknął z szybkością orła.

Dzień minął, na szczęście, bez żadnej przygody; samolot zachowywał się wzorowo. Nad wieczorem zaczął padać deszcz. Trwał jednak bardzo krótko i nie zmniejszył chyżości, „Kondora”, który właśnie zbliżał się do miejsca drugiego noclegu...

— Gdzie się znajduje nasz skład opałow? — zapytał Airman

Edwin zajął do swoich notatek.

— Na samej granicy prowincji Manitoba i Saskatchewan⁷², w dużej farmie, położonej w otwartym polu.

— To niedobrze; znów bowiem narazimy się na jakieś spotkanie.

— Wylądujemy już o zmroku i w znacznej odległości — rzekł inżynier.

Ale samolot znalazł się ponad ową farmą jeszcze na godzinę przed zachodem słońca.

⁷⁰mutra — nakrętka na śrubę. [przypis edytorski]

⁷¹wóz drabinisty — też: fura. Wóz, którego boki wyglądem przypominają drabiny, przeznaczony do transportu siana. [przypis edytorski]

⁷²Saskatchewan — prowincja Kanady, granicząca z Manitobą, Albertą, stanem Montana (USA) i stanem Dakota Północna (USA). [przypis edytorski]

„Kondor” poważnie opadł na pastwisko, skąd przed pół godziną zaledwie spędzono stada bydła. W promieniu paru mil⁷³ przez lunetę nie spostrzeżono nikogo, Jerzy więc był spokojny.

Zwyczajem już przyjętym Edyta zabrała się natychmiast do ugotowania solidniejszej wieszery, Edwin stanął na straży, inżynier zaś z Nillsem wybierali się po benzynę.

— Farma jest niedaleko stąd — rzekł Nills. — Za godzinę powrócimy.

Istotnie, jeszcze Edyta nie zdążyła przygotować wszystkiego, kiedy rozległ się tętent koni biegnących kłusem i turkot bryczki.

Jeszcze się wóz nie zatrzymał, kiedy inżynier zeskoczył z niego i biegł machając czymś białym. Był bardzo wzburzony.

— Zdrada! Zdrada! Zdrada! — wołał, rzucając na ziemię gazetę.

Człowiek-ptak schylił się i pochwylił dziennik. Była to gazeta wydawana w Winnipeg, a więc na terytorium Kanady. Pomiędzy depeszami znajdowała się jedna, zakreślona czerwonym ołówkiem. Brzmiała ona tak:

Minneapolis Dziś ponad okolicą przeleciał olbrzymi ptak. Przekonano się, że jest to nowego typu samolot, którego budowę wynalazca usiłuje utrzymać w tajemnicy. Udało się nam jednak dowiedzieć pewnych ważnych szczegółów. Aeroplan kieruje się ku Cieśninie Beringa, zamierzając zapewne odbyć podróż naokoło świata. Wysłaliśmy depesze do naszych korespondentów, żeby starali się obejrzeć strzeżony pilnie samolot. Bliższe wiadomości o nim podamy naszym czytelnikom za parę dni.

Depeszę tę Jerzy odczytał głośno, drżącymi z oburzenia wargami.

— Zdradzono nas! — rzekł, ciskając zmięty papier.

— Tak, podpatrzono nas! — dodał Edwin. — Nie dość wysoko wznosiliśmy się i oczy reporterów wysledziły „Kondora” w górnych szlakach...

— Ależ to jest impertynencja chcieć widzieć kogoś, gdy sobie tego nie życzy! — wołał inżynier.

— Nie, „Kondora” nikt nie widział! — zaprzeczył Airman. — Prędzej ktoś z wtajemniczonych zdradził nasz sekret.

— Ale kto?

— Może farmer, któremu powierzono skład benzyny? — wyraziła przypuszczenie Edyta.

Człowiek-ptak wzruszył ramionami.

— Nie ma co głowić się nad tą kwestią — rzekł. — Dość, że wiedzą już o istnieniu „Kondora”, a co dziwniejsze, o celu naszej podróży. To może być dla nas fatalne. Teraz rozumiem tę natrętną ciekawość jeźdźców i ludzi na wozie.

— Cóż więc uczynimy? — pytał zaniepokojony Hinton.

— Musimy unikać wszelkiego zetknięcia się z ludźmi, przynajmniej takimi, którzy czytują gazety.

— To nie będzie trudne; dostaliśmy się już w okolice słabo zaludnione, a niebawem będziemy przelatywali ponad północnymi krajami, gdzie prócz Indian i Eskimosów nikt prawie nie mieszka — rzekł Edwin, starając się uspokoić towarzysza.

— Tak, należy podwoić środki ostrożności! Od tej chwili bowiem nasza tajemnica jest poważnie zagrożona! — wołał Nills.

— W jaki sposób uchronić się od tych niegodziwych gazeciarzy, którzy wszystko muszą podpatrzeć i puścić w kurs pomiędzy ludzi?

Rozpoczęły się narady, które jednak nie doprowadziły do żadnych praktycznych wyników. Zgodzono się na jedno: trzymać się z dala od zamieszkanymi miejscowości, zwłaszcza od miast i wsi, szybować wyżej, jeżeli się nie da uniknąć takich okolic; lądować zaś w miejscowościach niedostępnych, nie dopuszczać nikogo do samolotu, nawet z użyciem siły, jeżeli to okaże się konieczne.

Airman był wielce oburzony i nie mógł przez całą noc spać.

Nazajutrz zerwano się, kiedy jeszcze było ciemno, dowódca statku napowietrznego postanowił bowiem wlecieć, nie czekając wschodu słońca.

⁷³mila — jednostka długości, odpowiadająca 1609 m. Używana w krajach anglosaskich. [przypis edytorski]

Tarcza gwiazdy dziennej jeszcze była pod widnokretem, a już samolot puścił w zawrotny wir swoje śmigło i wzniósł się lekko w górę.

VI. W OBOZIE INDIAŃSKIM

Szybowano obecnie ponad wielką prowincją Kanady, nad Saskatchewanem, biorącym nazwę od rzeki zraszającej te leśne obszary i wlewającej swe czyste wody do wielkiego jeziora Winnipeg.

Niebawem po opuszczeniu drugiego obozowiska ukazała się błękitna wstęga rzeki wtulonej w szmaragdową ramę puszczy, które do dziś zarastają olbrzymie obszary, czekające na osadników.

Puszcze kanadyjskie, dotąd niewytrzebione, ciągną się na setki kilometrów, co dla naszych podróżników nie było wygodne.

— Jeżeliby się nam przypadek jaki zdarzył i musielibyśmy znowu lądować, nie daj Boże — powtarzał Nills, spoglądając na morze ostrych wierzchołków jodłowych — działalibyśmy się razem z „Kondorem” na te drzewa jak owad na szpilki.

Istotnie, było to bardzo niebezpieczne. Kapitan „Kondora” trzymał się więc na znacznej wysokości, aby — jak mówił — mieć trochę czasu, w razie czego, na wybranie odpowiedniego miejsca.

Była może trzecia po południu, gdy Edwin, mający doskonały wzrok traper, zawołał:

— Zdaje mi się, że dostrzegam pasące się bizona!

— Bizona? — spytał ironicznie Nills. — Czy pan nie wie, że od kilkunastu lat zwierzęta te wytępiono doszczętnie w Stanach i w ogóle w całej Ameryce? Nie pozostało po nich nic; wytrzebiono piękne zwierzęta, które jeszcze przed trzydziestu laty chodziły stadami liczącymi po milion głów. Skądże więc mogły się wziąć tutaj?

— A jednak dostrzegam zwierzęta bardzo zbliżone do bizonów i gdyby nie to, że nasz prezydent republikanów napowietrznej pędzi z taką szybkością, mógłbym sprawdzić, czy się mylę, czy też istotnie w tutejszych puszczach jakieś drobne stadko uniknęło zagłady.

Zamiast odpowiedzi Jerzy zwolnił nieco biegu, a nawet zakreślił wielkie koło.

— Pan Hinton ma doskonale oczy — rzekł inżynier, który patrzył na rozciągającą się tu polanę przez dobre szkła Zeissa. — Pasie się tam kilkanaście zwierząt, do złudzenia przypominających bizona.

— To byłoby dopiero ciekawe odkrycie! — krzyknęła zachwycona Edyta. — Można by z tego stadka wyhodować bizona na nowo, łącząc je z tymi, które się znajdują w Parku Narodowym pod ochroną. O, co do mnie, byłabym ustanowiła bardzo surowe kary na strzelców, którzy pozbawili naszą ojczyznę naturalnego bogactwa, zgładzając z powierzchni ziemi ciekawy gatunek zwierząt. W ogóle Ameryka jest bardzo uboga w większe zwierzęta. Bizon był właśnie największym ze wszystkich czworonogów Nowego Świata i dlatego ci, co go wytępilli, są niegodziwcami!

— Bardzo słusznie oburzasz się, kochana siostró — wtrącił Jerzy, który także śledził z ciekawością stadko. — Niezadługo taki sam los spotka wiele innych pożytecznych zwierząt na kuli ziemskiej.

— W Ameryce Północnej wycinają lasy i niezadługo kraj będzie pozbawiony drzewa — dodał Nills.

— Tak, to bizona! — powtórzył Edwin. — Wie pan co, panie Airman? Musimy koniecznie wylądować.

— Przecież pan nie będzie polował na te biedne zwierzęta — zaprotestowała Edyta. — Byłaby to zbrodnia. Niech sobie żyją.

— Ale odkrycie to warte jest stwierdzenia. Porobimy zdjęcia fotograficzne i prześlemy je władzom kanadyjskim, żeby wzięły pod opiekę to stadko.

— Tak to co innego.

— A czy wylądujemy tutaj bezpiecznie? — zapytał inżynier.

— Och, miejsca jest dość! — zawołał Edwin.

— W takim razie możemy poświęcić bizonom kilkanaście minut — zgodził się dowódca samolotu.

„Kondor”, zakreśliwszy jeszcze parę kół w przestrzeni, zawisł nad polaną i wypatrywszy sobie równe miejsce, siadł na polanie, o tysiąc metrów zaledwie od stada.

— Przygotuj pan aparat fotograficzny — rzekła Edyta. — Czy mogę panu towarzyszyć w pańskiej wycieczce?

— Dobrze, pójdziemy oboje! Tylko trzeba postępować bardzo ostrożnie, bo bizona łatwo się płoszą. Jeżeli zaś uciekną, wszystko stracone.

— Wiatr wieje od lasu, trzeba więc zejść z drugiej strony — rzekł Nills.

— Istotnie, musimy skrajem puszczy posunąć się dość daleko. Będziemy skradać się pomiędzy zaroślami, żeby nas bizona nie dostrzegły — rzekł Edwin. — Ja prowadzę, proszę za mną!

Bizona szczypały z apetytem soczystą trawę, odwrócone tyłem do myśliwych.

Nills, Jerzy i inżynier pozostali przy samolocie, Edwin zaś i Edyta posuwali się chytliwym ku stadku.

— Musimy zbliżyć się na kilkanaście kroków, żeby zdjęcie się udało — mówił półgłosem Edwin. — Teraz oto położmy się i pełzajmy na podobieństwo Indian, żeby nas czujne zwierzęta nie dostrzegły. Czy to nie będzie uciążliwe dla pani?

Ale Edyta z uśmiechem wyciągnęła się na ziemi i naśladując swego towarzysza, czołgała się za nim jak wąż w wysokiej trawie.

Hinton miał w pogotowiu aparat. Karabin swój pozostawił Jerzemu, żeby mu nie zawadzał w ruchach, nie zamierzał bowiem strzelać do bizonów.

W ten sposób, zachowując jak największe ostrożności, nasza para zdołała się zbliżyć na kilkadziesiąt kroków do stadka, które liczyło kilkanaście młodych i starych okazów.

Bizona przedstawiały się imponująco. Stare byki, z wielkimi, ciemnobrunatnymi grzywami, zaczynały wietrzyć podejrzliwie; przewodnik stada, z łbem spuszczonego ku ziemi, grzebał raciami ziemię i wodził czerwonymi oczyma dokoła. Czuć było, że lada chwila stado pierzchnie.

— Pozostań pani tutaj, proszę, zwierzęta bowiem zaczynają przeczuwać coś niedobrego — rzekł Hinton do swej towarzyszki. — Ja spróbuję zbliżyć się jeszcze bardziej, może mi się uda zrobić zdjęcie, chociażby z odległości kilkunastu kroków.

— Dobrze — odparła Edyta.

Edwin obejrzał się na pannę i przekonawszy się, że go posłuchała, czołgał się dalej ze zdwojoną ostrożnością. Nie było się co dłużej namyslać.

Edwin znajdował się w odległości co najwyżej trzydziestu kroków od stadka.

Podniósł się więc, trzymając w pogotowiu swój doskonały aparat migawkowy⁷⁴. Zaledwie się jednak wyprostował, gdy nagle rozległy się tuż nad jego uchem przeraźliwe wycia i zanim zdołał się zorientować, kilka par potężnych łap powaliło go na ziemię i skrępowало w mgnieniu oka. Leżał na ziemi w trawie, a nad nim stało kilku Indian, najprawdziwszych czerwonoskórych, ze strzelbami i nożami w rękach. Równocześnie Edwin usłyszał pisk i płacz Edyty, która wzywała pomocy, szarpiąc się z napastnikami.

Młodzieniec chciał zerwać więzy, ale rzemienie były mocne i zaciśnięte jak należy. Przypomniał sobie zresztą, że nie ma broni i złość go ogarnęła.

— Któż wy jesteście? — zagadnął po angielsku Indianina, który położył na nim swą wielką rękę.

— Należy do szczepu⁷⁵ Wyjącego Wilka.

— Dlaczego napadacie na nas, kiedy nie zamierzaliśmy wyrządzić wam nic złego?

— Chciałeś zabić nasze bizona.

— Wasze bizona? — powtórzył zdumiony Edwin. — Alboż do was należy to stado?

— Należy do szczepu.

— Więc to oswojone bizona?

— Nie oswojone, ale i nie dzikie; trzymamy je, bo są naszą własnością.

— Ależ ja nie miałem zamiaru strzelać do stada. Patrzcie, mam przy sobie aparat fotograficzny zamiast broni. Zamierzałem tylko zrobić obraz, wizerunek tych zwierząt. Puśćcie mnie! W pobliżu znajdują się moi towarzysze, doskonale uzbrojeni, którzy wam wypowiedzą walkę i uwolnią nas niezawodnie.

⁷⁴aparat migawkowy (daw.) — aparat fotograficzny. [przypis edytorski]

⁷⁵szczep — tu: niewielka grupa etniczna, którą, pośród innych grup, wyróżnia wspólny język, obyczaje, wierzenia itp. [przypis edytorski]

— Nasz wódz mówi z nimi! — odparł lakonicznie Indianin.
— Alboż wie, gdzie się znajdują?
— Spadliście właśnie z powietrza i nie wyrządzilibyśmy wam nic złego, gdybyście nie napadli na nasze stado.

Edwin zaniepokoił się.

„Widocznie Indianie wysłędzili samolot i kto wie, czy nie udaremnią całej naszej podróży” — myślał.

— Nie czyńcie przynajmniej nic złego mojej towarzysze — rzekł, oglądając się niepokojnie.

Ale w tej właśnie chwili ukazało się dwóch Indian prowadzących Edytę. Biedaczka była bardzo przerażona; płakała, patrząc na Edwina.

— Daruj pani, ale nie mogę nic uczynić, żeby cię uwolnić — rzekł smutnie. — Mam jednak nadzieję, że „czerwoni”⁷⁶ nie zrobią pani nic złego, inaczej odpowiedzieliby surowo wobec komisarza rządowego.

— Nie mam do pana żadnych pretensji, panie Edwinie — odrzekła Edyta, uspokajając się.

Indianie, nic nie mówiąc, wzięli na ramiona Edwina, niby wiązkę skór, dali znak pannie, żeby szła naprzód i udali się w kierunku lasu.

Niebawem Hinton ujrzał ponad swoją głową konary starych drzew; gałęzie krzewów chlostały go po twarzy, tak iż musiał zamknąć oczy.

Pochód ten trwał dobre pół godziny, po czym Edwin poczuł, że leci w przestrzeń... Nie był to jednak upadek w przepaść; rzucono go po prostu na miękkie kobierce mchów. Oboje z Edytą znajdowali się przed dużym namiotem ze skór, czyli wigwamem indiańskim, z którego wyszła kobieta i zaczęła z ciekawością przypatrywać się jeńcom.

Edwin, podróżując na ramionach Indian, doznawał uczuć i myśli niedających się opisać. Miotła nim trwoga, górująca nawet nad myślą o osobistym bezpieczeństwie, że Indianie mogą zniszczyć w napadzie ślepego fanatyzmu „Kondora”, dzieło tyloletnich wysiłków jego towarzysza, Airmana. Albo, co także byłoby fatalne, opanują cudowną maszynę latającą i pokażą potem każdemu, kto ją zapragnie oglądać. Tajemnica, strzeżona tak zazdrośnie, stanie się własnością ogółu, a miliony, które spodziewał się otrzymać za swój genialny wynalazek Amerykanin, staną się mitem; tak czy owak, spotkanie to mogło pociągnąć za sobą jak najgorsze następstwa.

O siebie ani o Edytę Edwin nie lękał się; wiedział, że Indianie nie są dziś tak srogimi wrogami „białych”⁷⁷ jak dawniej, że należą do na wpół ucywilizowanych obywateli Kanady czy Stanów i że nigdy nie zamordowałiby białych, którzy nie uczynili im nic złego.

Przecież podchodził do bawolów bez broni, nie zasłużył więc na zarzut kłusownictwa. Nieporozumienie to wyjaśni się prędzej czy później. Ale co będą myśleli Airman, inżynier i Nills? Czy zaczną ich szukać? Czy złudzeni pozorami napadu ze strony Indian, nie wdadzą się z nimi w nierówną walkę zbrojną, która skończyć by się musiała ich klęską?

Wszystkie te myśli w najwyższym stopniu denerwowały Edwina. Leżał na mchu, przeklinając swoich ciemiężców.

Nie można było dłużej zachowywać się biernie. Należało działać.

Jeniec obejrzał się. Był pilnowany przez wojownika, siedzącego o parę kroków od niego z podwiniętymi, zwyczajem czerwonoskórych, nogami i ze strzelbą w rękę. Drugi wojownik pilnował Edyty, która miała swobodę ruchów.

— Wojownik! — odezwał się Edwin do Indianina. — Czy rozumiesz po angielsku?

— Rozumiem cokolwiek! — odpowiedział Indianin nienajgorszą mową Szekspira. — Czego jeniec sobie życzy?

— Chcę pomówić z waszym naczelnikiem. Dopuszciliście się na nas gwałtu bez żadnego powodu. Muszę to wyjaśnić i żądam natychmiastowego widzenia się z nim.

— Naczelnika tutaj nie ma.

⁷⁶czerwoni — pogardliwe określenie ogółu rdzennych mieszkańców Ameryk. Uznawane za obraźliwe, nie powinno być stosowane, ponieważ narzuca określenie człowieka jedynie przy pomocy koloru skóry. [przypis edytorski]

⁷⁷białi — określenie grupy etnicznej o jasnym zabarwieniu skóry. Podobnie do określeń „czerwoni”, „żółci” nie powinno być stosowane, ponieważ narzuca określenie człowieka jedynie poprzez kolor jego skóry. [przypis edytorski]

— Gdzie więc przebywa?

Indianin uśmiechnął się z lekka; na jego pomarszczonym obliczu malowała się podejrliwość.

— W swoim domu.

— Czy przyjdzie tutaj?

Indianin kiwnął głową i pograżył się w milczeniu.

Upłynęło znów pół godziny. Położenie wydało się Edwinowi nie do zniesienia.

— Uwolnijcie mi z więzów nogi — rzekł wreszcie. — Przecież nie macie prawa krępować mnie jak jakiego złoczyńcę!... Wniosę zażalenie do komisarza rządowego na barbarzyńskie obejście się z nami.

Milczenie.

— Zapłacicie drogo za swoje zuchwalstwo — wołał, srożąc się coraz bardziej, Hinton.

— To jest niegodziwy, podstępny napad, za który nie minie was kara!...

Indianin nie odzywał się. Był zapałszy w dal, jakby nie do niego mówiono.

— Czy brat mój rozumie, czego żądam?! — ryczał dalej Hinton.

Czerwonoskóry kiwnął głową.

— Powtarzam, rozwiąż mi nogi!

— Błdy człowiek ucieknie! — odparł lakonicznie Indianin.

— Daję słowo, że nie będę się starał uciec. Nie pozostawię przecież mojej towarzyszki na waszej łasce i niełasce. To się nie zgadza z naszymi pojęciami o honorze.

— Spełniam rozkaz. Musisz czekać na przybycie naczelnika.

Edyta wtrąciła się do rozmowy.

— Gdyby mnie puścili, dałabym znać o wszystkim bratu — rzekła.

— Spróbuj pani.

Młoda panna podniosła się; zaledwie jednak zrobiła parę kroków, gdy Indianin chwycił ją za ramię.

— Pozostań — rzekł.

Edyta pozostała więc na miejscu, obrzuciwszy swego stróża pogardliwym spojrzeniem.

Znowu upłynęła godzina. Przez ten czas nasi jeńcy nasłuchiwali bacznie, czy nie odezwie się w pustyni leśnej wystrzał ze sztucera. Ale panowała cisza. Wobec tego oboje zachodzili w głowę, co się mogło stać z ich towarzyszami.

Czyżby tak niespodziewanie zaskoczyli ich Indianie, że nie mogli nawet dać ognia w swojej obronie? Edyta знаła energię i odwagę brata, nie wątpiła więc ani na chwilę, że broniliby się.

To samo myślał Edwin. Ani Nills, ani inżynier Burnett nie należeli do ludzi, którzy by w razie napadu wahali się użyć broni. Jakże więc wytłumaczyć sobie tę ponurą ciszę, jaką panowała w sąsiedztwie? Nawet nie starano się ich odszukać.

Musiło się stać coś nadzwyczajnego.

Niepokój obojga pojmanych wzrastał z każdą chwilą.

— Wie pan co? Zaczynam przypuszczać, że inżynier i Nills, dostrzegłszy niebezpieczeństwo grożące „Kondorowi”, zdążyli uruchomić samolot i odlecieli pozostawiając nas tutaj!

— Cóż znowu! Brat miałby panią zostawić na pastwę czerwonym? Nigdy w to nie uwierzę!

— Jeżeli nie pozostawił, to dlaczego nas nie broni ani nie szuka?

I Edyta wybuchnęła nowym potokiem łez, które jednak nie wzruszyły Indianina, natomiast rozdzierały w kawały serce Edwina, zmuszonego być niemyym świadkiem rozpaczliwej towarzyszki, a niemogącego jej w niczym dopomóc.

Z jego zaciśniętych ust zaczęły się sypać przekleństwa na głowy czerwonoskórych. Młodzieniec odgrażał się, że urządzi wyprawę zbrojną przeciwko całemu plemieniu i spustoszy ich siedziby ogniem i mieczem, jeżeli natychmiast nie wypuszczą go na wolność. Groźby te nie robiły jednak najmniejszego wrażenia na wojownikach.

— Niech pan nic nie mówi, bo jeszcze pan pogorszy nasze położenie — prosiła Edyta.

— Przecież nie mogą nas długo trzymać. Cała sprawa musi się wyjaśnić. Czekajmy, aż się zjawi naczelnik plemienia. Pogadamy z nim i zapewne nas wypuszczą.

— Skoro pani tak radzi, będę milczał! — zawołał zrezygnowany Edwin. — Ale przysięgam, że jeśli ci ludzie uczynią pani najmniejszą krzywdę, zemszczę się na nich straszliwie.

— Wierzę panu! — odparła panna, wzruszona współczuciem towarzysza. — Tymczasem jednak czekajmy cierpliwie na wodza.

Edwin dotrzymał obietnicy. Leżał w milczeniu przez parę godzin, ale rzecz dziwna, wódz nie zjawiał się. Jeńcy niebawem zmiarkowali, że i stróże ich dzielą ten niepokój.

W obozie indiańskim działo się coś nadzwyczajnego. Nadjechał oddział złożony z kilkunastu wojowników na koniach i przywiózł jakąś ważną wieść. Niebawem wyległo przed chaty wszystko, co żyło. Rozpoczęły się narady. Starcy zasiedli przy ognisku z fajkami i przez dobrą godzinę rozmawiali, żywo gestykulując. Od czasu do czasu wskazywano w stronę jeńców, którzy starali się dociec powodów tego wiecu.

— Który spomiędzy tych wojowników jest waszym wodzem? — zapytał w końcu Edwin swojego strażnika.

Ale Indianin nie odpowiedział. Przeciwnie, rzucił złe spojrzenie na jeńca.

— Widzę, że starsi przybyli. Dlaczego nas nie wypuszczacie na wolność? — nalegał dalej Hinton, w którym znów zaczęło się budzić oburzenie.

Słowa te najwidoczniej zwróciły uwagę radców szczepu. Jeden z nich podniósł się i dał znak strażnikom, którzy pilnowali jeńców.

W jednej chwili potężne ramiona porwały Edwina i jak piórko zanieśli go przed ognisko. Tutaj rozwiązano mu, a raczej rozluźniono nieco więzy na rękach i posadzono na ziemi.

— Czy jesteś towarzyszem człowieka z obłoków? — zagadnął go jeden ze starców.

Był to piękny typ Indianina. Oczy, dziwnie wwiercające się w duszę, wlepił w Edwina i czekał odpowiedzi, śledząc jego fizjonomię.

„A więc Airman nie znajduje się w niewoli — pomyślał sobie nasz traper — inaczej nie zadawano by mi podobnego pytania”.

— Tak jest, mamy zaszczyt być towarzyszami człowieka, który dostał od Wielkiego Ducha skrzydła i może na nich latać, a nawet wznosić się do samego nieba, gdzie na obłokach siedzi Pan Świata i patrzy na ziemię.

Edwin zauważył, że słowa jego wywarły wrażenie na Indianach, chociaż przyzwyczajone do ukrywania uczuć oblicza synów puszczy na pozór pozostały spokojne.

— Po co Wielki Duch zesłał na ziemię człowieka o wielkich skrzydłach? — zagadnął po dłuższej chwili milczenia starzec.

— Dał mu ważne polecenie, które my znamy — odparł Edwin, przybierając najpoważniejszą, na jaką mógł się zdobyć, minę.

— Jakież to jest polecenie?

— Dotyczy ono przyszłości czerwonych twarzy.

— Mów!

— Nie będę mówił, póki jestem jeńcem.

Starcy spojrzeli po sobie pytająco.

— Dlaczego zbliżyłeś się do naszych stad? — zapytał inny starzec.

— Bo Wielki Duch kazał swoim wysłannikom, do których i my należymy, zobaczyć, ile bizonów jeszcze pozostało w krainach zamieszkałych przez jego czerwone dzieci — odrzekł bez wahania traper znający naiwną wiarę Indian.

— Po co Wielki Duch pragnie to wiedzieć?

— Zlitował się on nad dolą starych dziedziców tych puszczy, wylewa łzy nad tym, że nie mają oni już na co polować, i gniewa się srodze na blade twarze, które wytępiły bawoły i pozbawiły przez to łowów jego najmilsze dzieci.

— Wielki Duch jest sprawiedliwy i wszechmocny! — zawołał jeden ze starców.

— On kłamie! — krzyknął inny.

Nastąpiło milczenie. Wszystkie oczy wpiły się w twarz Edwina, jakby starając się dociec, ile jest prawdy w jego słowach.

Hinton pojmował wagę chwili — zrobił wysiłek woli, żeby się nie zdradzić.

Nie zaprotestował jednak, tylko obrzucił pogardliwym spojrzeniem tego, który zrobił mu ubliżający zarzut.

Pozycja społeczna,
Przywódca

— Jeżeli jesteście wysłaniami Wielkiego Ducha, to dlaczego każdy z was nie ma skrzydeł tak jak ptaki? — odezwał się trzeci Indianin z rady.

— On jeden, człowiek z obłoków, jest wysłancom, który widział Wielkiego Ducha, a nawet otrzymał od niego rozkazy. My zaś — dodał Edwin, wskazując na Edytę — jesteśmy tylko jego sługami.

— A skąd pochodzicie?

— Z kraju Wielkiego Ducha.

— Czy nie możecie polecieć do wysłanca Wielkiego Ducha?

— Nie możemy, ponieważ wzięliśmy nas do niewoli. Ale Wielki Duch widzi, jak postępujecie z jego sługami, i odwróci swoje oblicze od was i waszych nieszczęść.

— Jeżeli dasz słowo, że nie uciekniesz, przywrócimy ci swobodę ruchów — rzekł najstarszy z Indian.

— Powiedziałem już wam, że nie mam skrzydeł, a więc nie mogę unieść się w obłoki tak jak mój naczelnik.

— A gdzie on jest i dlaczego zabrał ze sobą naszego wodza, Krzyczącego Orła?

Błyskawica radości przeleciała przez mózg Edwina.

— Zabrał wodza, Krzyczącego Orła? — powtórzył ze zdziwieniem. — Kiedy się to stało?

— Niedawno.

— Mój brat porwał Krzyczącego Orła, ażeby was ukarać za wzięcie do niewoli i skrzywdzenie jego siostry! — zawołała Edyta. — Nie zwróci go wam, dopóki nie wypuścicie mnie i mego towarzysza.

— Jesteście więc wolni. Idźcie i powiedzcie człowiekowi z obłoków, że wracacie cali i zdrowi. Niech i on pozwoli zejść ze swych skrzydeł Krzyczącemu Orłowi — rzekł przewodniczący rady.

Z tymi słowy starzec sam przeciął nożem rzemienie na nogach jeńca.

— Zwróćcie mi zabrane przedmioty.

Po chwili położono przed Edwinem jego aparat fotograficzny, nieuszkodzony.

— Możecie odejść — rzekł jeden z wojowników.

Edwin potrząsnął głową.

— Zaprowadźcie nas na miejsce, skąd wysłanec Wielkiego Ducha zabrał w obłoczne krainy Krzyczącego Orła — rzekł.

— Uczynimy tak, chodźcie za nami.

— Dajcie nam konie!

I temu żądaniu uczyniono zadość. Po chwili Edwin i Edyta siedzieli na pięknych siodłach indiańskich, pod którymi rżały doskonałe mustangi⁷⁸, i poprzedzani przez kilku wojowników, pomiędzy którymi znajdował się i najstarszy z rady, pocwałowali przez las.

W kilkanaście minut ujrzeli polanę, na której wylądował w południe „Kondor”. Indianin zatrzymał się w miejscu noszącym świeże jeszcze ślady stóp ludzkich i kół samolotu.

Edwin wprawnym okiem trapera badał ślady i dowiedział się wkrótce, czego mu było potrzeba.

— Kto był z wodzem?

Indianie pokazali mu dwóch wojowników, których nasz traper postanowił wy badać.

Czerwoni jednak odpowiadali bardzo niechętnie na pytania.

Z wielkim trudem udało się dowiedzieć Edwinowi paru szczegółów zajścia.

Wojownicy, spostrzegłszy samolot spuszczający się na ziemię, po pewnym wahaniu pobiegli w jego stronę, ale dopiero wtedy, kiedy ujrzeli wychodzących z niego białych. Podczas gdy jedni brali w niewolę Edwina i Edytę, inni, z wodzem na czele, chcieli zatrzymać żeglarzy napowietrznych. Olbrzymi ptak wzniósł się jednak z szumem w powietrze, unosząc z sobą Krzyczącego Orła. Stało się to tak szybko, iż żaden z nich nie zdążył przeszkodzić porwaniu. Do „Kondora” zaś nie śmieli strzelać w obawie zranienia albo zabicia wodza.

Oto wszystko.

⁷⁸mustang — rasa dziedzicznych koni, zamieszkujących tereny Ameryki Północnej. Przywiezione na kontynent przez hiszpańskich okupantów. Dzisiaj zagrożone wyginięciem i od 1971 r. objęte szczególną ochroną. [przypis edytorski]

Pozyskawszy te cenne wskazówki, Hinton zamyślił się głęboko.

„Co zrobić? Jak skomunikować się z Airmanem? Nie ulegało żadnej wątpliwości, że samolot powróci niebawem tutaj albo wyląduje w sąsiedztwie i jeden z towarzyszy Airmana zjawi się, żądając uwolnienia jeńców w zamian za wydanie zakładnika; należało jednak przedsięwziąć pewne środki ostrożności”.

Czy Indianie uwierzyli wszystkiemu? Czy nie knują zdrady?

Po dłuższym namyśle Hinton postanowił żądać od Indian, żeby wrócili do wioski albo przynajmniej usunęli się na znaczną odległość. Zgodzili się i Edwin z Edytą pozostali sami na leśnej łące.

Edwin usiadł na głazie, pośrodku łąki, gdzie niedawno wylądował, „Kondor”, zrobił obok siebie miejsce Edycie i oboje spoglądali w niebo niespokojnymi oczyma.

— Co mamy teraz zrobić? — pytała od czasu do czasu zdenerwowana tym całym przeżyciem Edyta. — Przecież nie mamy żadnej pewności, że Jerzy tutaj powróci i narazi się na ponowny napad ze strony tych czerwonych niegodziwców! Byłoby to zresztą nieroztropnością z jego strony.

— Przecież nie pozostawi pani bez pomocy! — pocieszał ją Hinton.

— Pan go nie zna! — wybuchnęła z goryczą panienka. — On gotów mnie poświęcić i oddać w niewolę, byleby nie utracić „Kondora” i nie odkryć swej tajemnicy.

Edwin uśmiechnął się.

— Złe pani ma wyobrażenie o swoim bracie i jestem pewien, że to tylko nerwy przez panią mówią, bo w gruncie rzeczy nie wierzy pani sama, by miał swoją najukochańszą siostrę pozostawić w rękach Indian.

— To dlaczego nie przychodzi nam z pomocą? Już wieczór się zbliża.

— Tutaj nie powróci zapewne — domyślał się młodzieniec — ale przyśle kogoś, żeby nas odszukał.

Nad polaną leśną zaległa głęboka cisza. Tylko drozdy⁷⁹ nuciły melancholijnie gdzieś w gąszczu, a z pobliskiego jeziora dochodziło trzepotanie się ptactwa wodnego powracającego z moczarów leśnych na noclegi.

Była szósta po południu; od godziny przeszło nasza para siedziała nieruchomo na kamieniu, z głowami podniesionymi do góry.

Edwina zaczynało ogarniać zniechęcenie.

Słońce pod wieczór już dobrze zniżyło się ku horyzontowi, gdy wtem młodzieniec, mający nieporównany słuch, drgnął całym ciałem.

— Słyszysz pani?

— Tak, słyszę jakiś dziwny szum.

— To jest szum śmigła obracającego się na „Kondorze”.

— Ech, nie może być!

— Bo pani nie słyszała latającego „Kondora”, znajdując się na ziemi w pewnej od niego odległości. Ale ja miałem po temu sposobność nie raz i nie myłę się.

— Ale samolotu nigdzie nie widać! — mówiła z pewnym niedowierzaniem Edyta, rozglądając się dookoła.

— Zaraz powinien się ukazać.

Szum, podobny do odległego grzmotu wodospadu górskiego, stawał się coraz wyraźniejszy. Po kilku minutach nie ulegało już wątpliwości, że „Kondor” nadlatywał.

Edwin przysłonił oczy dłonią i patrzył prosto pod słońce.

— „Kondor”! — zawołał.

— Gdzie?

— Tam! Pławi się w zorzy wieczornej.

Edyta klasnęła triumfująco w dłonie.

— A widzi pani! Brat nie oddał pani na pastwę czerwonoskórym.

— Kochany, dzielny Jerzy!

Patrzyli oboje na zwiększającą się szybko plamkę, która niebawem przybrała wyraźne kształty samolotu.

⁷⁹drozd — podrodzina małych ptaków śpiewających, występujących na wszystkich kontynentach prócz Antarktydy. [przypis edytorski]

„Kondor” prul powietrze z nadzwyczajną szybkością i wkrótce znalazł się nad polaną, ale na bardzo znacznej wysokości.

— Obawiają się strzałów z ziemi!... — rzekł Hinton.

— Przecież muszą wylądować!

Para jeńców z biciem serca śledziła manewry samolotu. Były one bardzo zagadkowe.

„Kondor” zakreślał koła ponad polaną, ale nie opuszczał się niżej.

Nagle od czarnej masy odłączyło się coś białego i zygzakowatymi ruchami spadło na ziemię.

— To papier! — zawołał Edwin.

— List do nas!

Oboje starali się wymiarkować, w którym miejscu spadnie arkusz papieru.

Nareszcie zdołano określić w przybliżeniu punkt. Edwin pobiegł w tym kierunku, Edyta za nim.

Był to istotnie list, pisany czerwonym ołówkiem na dużym arkuszu białego papieru. Edyta odczytała go jednym tchem:

Mamy na pokładzie wodza indiańskiego. Wiemy o waszej przygodzie. Chcemy wymienić jeńców. Oświadczcie Indianom, że w razie podejrzanego ruchu z ich strony niezwłocznie odleciemy z wodzem. Za pół godziny wyląduję. Jerzy Airman

— Nareszcie! — zawołał Edwin. — Pozostań pani tutaj, a ja pokażę list Indianom.

Edyta skinęła głową.

Młodzieniec, nie tracąc ani chwili, pobiegł w stronę lasu, do którego cofnęli się czerwonoskórzy.

I oni dostrzegli już „Kondora”. Na ich twarzach, zwykle marmurowo spokojnych, malowało się zaniepokojenie.

Ujrawszy Edwina, zbliżającego się z papierem w ręku, podeszli do niego z wielkim szacunkiem.

Przeczytał im wyraźnie telegram napowietrzny i dodał:

— Wojownicy Krzyczącego Orła muszą przyrzec, że nie przeszkodzą odlecieć wysłannikowi Wielkiego Ducha. Inaczej wódz ich będzie wzięty w obłoczne krainy i stawiony przed jego sąd. Towarzysze nigdy nie ujrzą Orła pomiędzy sobą.

Słowa te wywarły silne wrażenie. Jeden z Indian w długiej przemowie, pełnej mallowniczych porównań, przenośni i pochwał dla latającego człowieka, zapewnił solennie, że podwładni Krzyczącego Orła zrobią wszystko, czego się od nich żąda, byle odzyskać utraconego naczelnika.

Po tych zapewnieniach Edwin powrócił do oczekującej go z najwyższą niecierpliwością towarzyszek.

— Załatwione! — zawołał z daleka.

— Boże, dzięki ci! — westchnęła panna, której to wszystko mocno już nadszarpnęło nerwy. — Niechże Jerzy ląduje jak najprędzej.

— Trzeba mu dać znać! — odparł Edwin.

— Ale jak?

— Proszę o białą chusteczkę; oto krzaki leszczyny. Utnę pręt i zrobimy flagę.

Tak też uczyniono. Minęła cała godzina, zanim znów „Kondor” się ukazał; wylądował tak niespodzianie, że to zdziwiło Edwina.

Nie przypuszczał, żeby samolot zdolny był do tak szybkich manewrów.

Z „Kondora” wyskoczył inżynier i dawał energiczne znaki młodej parze, żeby zajmowała swoje miejsca.

Traper rzucił podejrzliwe spojrzenie dookoła, ale Indianie, ukryci na skraju lasu, zachowywali się lojalnie.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że kilkanaście „sokolich par oczu”⁸⁰ śledziło samolot spomiędzy drzew puszczy.

Na przedniej platformie siedział Krzyczący Orzeł, przywiązany do kadłuba i oszołomiony swoją mimowolną podróżą napowietrzną.

⁸⁰sokolich par oczu — (od określenia „sokoli wzrok”) o osobach z doskonałym wzrokiem. [przypis edytorski]

— Nic złego ci nie uczynili, siostrzyczko? — pytał troskliwie Jerzy.
— Ja nie mam prawa się uskarżać. Chyba pan Hinton.
— Pał ich diabli! — odparł traper. — Nie traćcie czasu, wyrzućcie Krzyczącego Orła i odlatujmy, bo za nic ręczyć nie podobna.

— A może by go przewieźć do Cieśniny Beringa? — rzekł złośliwie inżynier. — Odbyłby niezłą podróż.

— Dajcie pokój! — zawołała Edyta.

— Tak, trzeba dotrzymać umowy — rzekł Hinton. — Gdzie mój sztucer? Biorę na cel Krzyczącego Orła i wpakuję mu kulę w łeb, jeżeli Indianie będą usiłovali nam przeszkadzać. Ekspeduj go, inżynierze!

Burnett rozciął więzy naczelnika i zepchnął go z platformy. Jerzy puścił równocześnie w ruch motor i samolot już się zaczął toczyć po ziemi, kiedy Krzyczący Orzeł dotknął jej stopami. Przewrócił się i „Kondor”, unosząc się, przeleciał nad nim.

— Żegnaj, waleczny wodzu! — krzyknął za nim inżynier.

— A opowiedz swoim, jak to się lata! — huknął Nills.

„Kondor” podnosił się szybko i po upływie minuty znajdował się poza zasięgiem strzałów. Wtedy miss Edyta rzuciła się na szyję bratu.

— Mój dobry, kochany Jerzy, nie zapomniałeś o mnie!...

Dowódca „Kondora” rzucił siostrze pełne miłości spojrzenie.

— Jak to było z tym Krzyczącym Orłem? Musisz mi opowiedzieć szczegółowo. Czy was napadli na „Kondorze”?

— Ja to pani opowiem krótko i węzłowato⁸¹ — odezwał się Nills.

— No dobrze. Tylko prędeej, bo umieram z ciekawości!

— Otóż, kiedy pani z mister Hintonem odeszła fotografować stadko bizonów, myśmy za wami patrzyli, póki nie zniknęliście w trawie. Ani nam do głowy nie przyszło, żeście w niebezpieczeństwie. Siedzę i palę fajkę, inżynier rozgląda się wokoło, jeden tylko dowódca nie zasypia gruszek w popiele⁸², ale opatruje maszynę i ma wszystko w pogotowiu. To nas właśnie zbawiło. Bo kiedy ja wytrząsam popiół z fajki, a inżynier patrzy w całkiem inną stronę, rozlega się wycie, jakby wściekłych wilków, i kilka czerwonych diabłów wyskakuje z trawy. Czołgali się w gąszczu niepostrzeżenie i wyskoczyli jakby spod ziemi. Krzyczący Orzeł na przedzie, a jakże! Widzę, że źle. Inżynier szuka sztucera, ale nie ma pod ręką żadnej broni, ja zaś myślę: „Ha, trzeba zmykać!” I nie pytając o rozkaz puszczam w ruch śmigło; motor zaraz zaczyna działać. „Kondor” toczy się po trawie, choć wolno, bo wysoka. A czerwonoskórzy gonią uparcie za nami, wyraźnie chcą zatrzymać uciekający im samolot. Krzyczący Orzeł dopadł i uczeplił się „Kondora”. Czuje, że ziemia spod nóg mu ucieka, patrzy w dół — dźwignęliśmy się ze dwadzieścia metrów albo i więcej. Krzyczący Orzeł wisi sobie i nogami w powietrzu merda. Więc ja, ot, tak, biorę go za czuprynę i pomagam wgramolić się. Czerwonoskóry formalnie zgłupiał. Nie wie, co się z nim dzieje — patrzy na nas, ślepiami wywraca i ani mru-mru!

„Coście od nas chcieli? Zatrzymać ptaka? Oho! Nie wasza siła! A coście zrobili z pannenką i mister Hintonem, którzy poszli bizony oglądać?”

Ja go pytam, a on nic! Oczy zamknął i siedzi sztywno, jakby kij połknął. Dobra godzina minęła, zanim odzyskał jaki taki rezon⁸³. Ale wciąż patrzy na nas jak na czarodziejów, magików z piekła rodem. Wnet to zmiarkowaliśmy, ale nie wiemy, co począć, jak po was wrócić. Po godzinie wylądowaliśmy na obszernej równinie bezleśnej i odbyliśmy walną naradę.

Od Krzyczącego Orła dowiedzieliśmy się, że bizony były jego własnością. Znalazł w zeszłym roku stado, ostatnie może, które uniknęło zagłady, i trzymał je w puszczy pod strażą, w zamiarze sprzedania tych niedobitków rządowi Stanów.

Pastuchy miały nakazane nie dopuszczać nikogo obcego do stadka. Przyznał się w końcu naczelnik, że was oboje pochwycili jego ludzie i że nas także chcieli zatrzymać.

⁸¹węzłowato — w skrócie. [przypis edytorski]

⁸²nie zasypiać gruszek w popiele — nie przegapić. Słowo *zasypiać* znaczy tu nie dopilnować czegoś śpiąc. Dawniej suszyło się gruszki w gorącym popiele i jeżeli ktoś zasnął i nie dopilnował, gruszki nie nadawały się do spożycia. Spora liczba użytkowników języka posługuje się zwrotem *nie zasypywać gruszek w popiele*, ale jest to niepoprawne, gubi sens i wynika z nieznamomości etymologii. [przypis edytorski]

⁸³rezon — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

Rada w radę postanowiliśmy wodza wziąć na zakładnika i ja miałem z czerwonoskórnymi o panienkę i pana Hintona pertraktować. Polecieliśmy nad łąkę zobaczyć, co się z wami dzieje, bo to zawsze z góry lepiej widać. Patrzymy, a tu panienka z panem na kamieniu siedzą. Pan Burnett już chciał się opuścić na ziemię i zabrać państwa bez straty czasu, ale kapitan „wysłał” list i dobrze się stało.

No, a z wami jakże było?

Edyta w krótkich słowach opowiedziała dzieje swej niewoli.

— Awantura mogła się źle skończyć — rzekł inżynier, kiedy Edyta umilkła.

— Tak — dodał Hinton — powinniśmy sobie powinszować.

— Odtąd będziemy zachowywali większą ostrożność przy lądowaniu! — zawołał Airman.

— A czyby nie złożyć skargi do rządu kanadyjskiego na Indian? — zaproponował inżynier.

— Uchowaj Boże! Przygoda nasza nabrałaby niepotrzebnie rozgłosu, zaczęto by mówić, a co gorzej, pisać o samolocie — protestował Jerzy.

— Niby i bez tego nie piszą! — wtrącił Nills.

— Te gazety mają strasznie długie języki! — zawołała miss Edyta. — Warto by je poprzycinać.

— Każdy redaktor chce zainteresować swoich czytelników sensacyjną wiadomością.

— Co do mnie, najbardziej obawiam się fotografów — rzekł Jerzy. — Jedno dobre zdjęcie migawkowe, zrobione zniechcącem, a co gorzej z bliska, byłoby dokumentem niezaprzeczonym i mogłoby zdradzić tajemnicę budowy samolotu, przynajmniej w grubszych zarysach.

— Nie omieszkać wystrzegać się obiektywu fotograficznego, skoro ten jest dla nas równie niebezpieczny jak wylot armaty! — odparł z powagą Edwin.

— Słońce poczyną zachodzić — przerwała Edyta. — Gdzie będziemy nocowali?

— W tym właśnie sęk — rzekł Airman. — Straciliśmy dużo czasu i nie dolecimy do punktu, gdzie znajduje się skład paliwa. Trzeba zatem spędzić noc gdzieś w ustronnym miejscu. Panie Hinton, panu polecam wypatrzenie czegoś odpowiedniego.

Edwin pochylił lunetę i bacznie zaczął śledzić okolicę.

Po godzinie podniósł rękę na znak, że chce mówić.

— Dostrzegam obszerną polanę wśród lasu — rzekł. — Nie jestem jednak pewien, czy grunt nadaje się do wylądowania.

— Dlaczegoż to? — zagadnął inżynier.

— Wydaje mi się trochę wilgotny.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku, ale z wysokości paruset metrów nie podobna było dobrze rozpoznać, jakie własności ma teren.

Airman nie chciał błędzić po nocy, zniżył więc lot tak dalece, że „Kondor” unosił się kilkanaście metrów zaledwie ponad ziemią.

— Mokro i wilgotno! — zawołała Edyta. — Ani myślę tu nocować! Komary zjadłyby nas żywcem.

Brat uznał widać słuszność tego protestu, bo „Kondor”, zakreśliwszy koło w powietrzu, popłynął z warkotem dalej.

— Obawiam się, że wypadnie nam wrócić tutaj — rzekł Jerzy. — Jeżeli nie spotkamy dogodnego miejsca, musisz pogodzić się z komarami, kochana Edyto.

— Tak źle nie będzie — odparła panienka, śmiejąc się. — Lećmy tylko prędzej, bo słońce zaczyna już zachodzić.

Kapitan samolotu był niezadowolony, nie lubił bowiem lądować po zachodzie słońca.

Cóż jednak było robić?

Dopuścił więcej benzyny do motoru, śmigło zaczęło się prędzej obracać i „Kondor” popłynął ze zdumiewającą szybkością, lecz minął kwadrans, a nie można było dostrzec miejsca odpowiedniego do opuszczenia się na ziemię.

— Czy te lasy nigdy się nie skończą? — sarknął Nills.

Edwin nie odejmował oka od lunety.

— Mgła się podnosi! — zawołał inżynier.

Rzeczywiście, z ziemi wydobywały się opary, które w chłodnym powietrzu zgęszczały się szybko.

Już nie było widać rzek i strumieni płynących puszcza pomiędzy dwoma zwartymi ścianami drzew. Mgła podnosiła się i niebawem dosięgła wierzchołków jodeł i świerków.

— Czy nie dostrzega pan wolnej przestrzeni? — zagadnął niecierpliwie Airman.

— Mgła pokrywa wszystko! — odparł inżynier.

W zapytaniu kierownika znać było zdenerwowanie, które udzieliło się wszystkim.

— No, to wracajmy na owo mokradło, gdzie nie pozwoliłam ci wylądować, Jerzy! Popęliłam błąd, wtrącając się do nie swoich rzeczy.

— Przecież nic już nie widać! — mruknął niechętnie Nills.

Panna spojrzała w dół.

Samolot płynął ponad olbrzymim morzem mgły, którego miękkie fale kłębiły się, jak okiem sięgnął. Ostatnie promienie słońca ślizgały się po jego powierzchni, rzucając dziwne, krwawe odbłaski.

— Ocean krwi! — wykrzyknął inżynier, nie mogąc oprzeć się urokowi tego niepospolitego zjawiska.

— Cudowne! Przepiękne! — zawtórowała mu Edyta, klaszcząc z zachwytu w dłonie.

— Piękne! Ale ciekawa rzecz, jak my teraz wylądujemy?! — zawołał Nills.

Airman także nie brał udziału w tych uniesieniach. Ze zmarszczoną chmurnie brwią i zaciśniętymi ustami wpatrywał się we wzbierający ciągle ocean, jakby chciał zajrzeć na samo jego dno.

Ale nadaremnie natężał wzrok. Morze oparów falowało łagodnie, w atmosferze panowała cisza. Już nawet szczyty największych świerków nikły w subtelnych objęciach mgły. „Kondor” był jakby nieruchomo zawieszony w przestrzeni — nie mając pod sobą uciekających w dal drzew, rzek i skał, podróżni utracili możliwość dostrzegania ruchu własnego samolotu.

— Głupie położenie! — syknął inżynier, pojmując doskonale, jakie następstwa mogła za sobą pociągnąć ta podróż po omacku.

— Wzniesmy się wyżej! — doradzał Hinton.

Airman wzruszył ramionami.

— Póki nie widzimy wierzchołków drzew, utrzymujemy się w dostatecznej wysokości — rzekł. — Spójrz pan na mapę — dodał — czy nie ma tu jakich gór w pobliżu?

Hinton szybko spełnił polecenie dowódcy.

— Znajdujemy się na płaszczyźnie zniżającej się powoli ku Oceanowi Lodowatemu⁸⁴ — rzekł. — W każdym razie nie zawadzi podnieść się cokolwiek, ażeby uniknąć niespodziewanego zderzenia.

— Słusznie!

Samolot, znalazłszy się kilkadziesiąt metrów ponad mglistą zasłoną, płynął dalej na tym samym poziomie.

Jerzy spoglądał z rosnącym niepokojem na gasnące słońce. Po kilku minutach jaskrawoczerwona tarcza zanurzyła się w morzu oparów, które nagle wyzłociło się i roziskrzyło ognistymi racami. Fale mieniły się jak olbrzymie opale. Barwy te jednak wnet poczęły blednąć. Nadchodziła noc, zakrywając wszystko nietoperzowymi skrzydłami. W kwadrans po zniknięciu słońca pod widnokregiem zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

— Cóż teraz będzie? — zawołała Edyta, kiedy piękne widoki znikły bezpowrotnie.

Nikt jej nie odpowiedział.

— Ja się boję, Jerzy! — rzekła, przysuwając się do brata.

— Jak dotąd nic nam jeszcze nie grozi. Może mgła zniknie, a przy świetle księżyca... — próbował ją uspokajać Edwin.

— To fatalne! — zawołał Jerzy. — Cała nadzieja, że niebo będzie czyste, a gwiazdy dostatecznie rozproszą ciemności nocne.

Wszyscy spojrzeli na horyzont, ale podnoszące się od zachodniej strony chmury źle wróżyły o niedalekiej przyszłości.

— Jeżeli nie znajdziemy miejsca dogodnego do opuszczenia się na ziemię, to spędzimy całą noc w powietrzu, a jutro rano wylądujemy bezpiecznie — pocieszała towarzyszy Edyta.

⁸⁴Ocean Lodowaty — też: Ocean Arktyczny. [przypis edytorski]

— Tak, ale bez kropli benzyny będziemy wędrowali pięćset kilometrów puszcami, żeby dotrzeć do naszego składu! — zawołał zirytowany już porządnie Jerzy.

Panna umilkła.

Teraz dopiero zrozumiała całą grozę sytuacji wytworzonej przez mgłę, no i przez nią samą — Edytę Airman.

Można było lecieć jeszcze z tysiąc kilometrów do samego rana, to prawda, ale taka długa podróż wyczerpałaby doszczętnie paliwo.

A wtedy samolot, niezdolny do podniesienia się z ziemi, pozostałby gdzieś w puszczy, kto wie, może na zawsze — jeśli szczęśliwym przypadkiem nie spadłby w sąsiedztwie jakiejś osady, w której można by nabyć beczkę benzyny.

Położenie pogarszało się z godziny na godzinę.

Chmury pokrywały niebo i około dziesiątej wieczorem zapanowały nieprzeniknione ciemności, które denerwowały do najwyższego stopnia naszych żeglarzy.

— Teraz już nie wiem, jak kierować „Kondorem”! — zawołał inżynier. — Zapalcie reflektor.

W ciemnościach nie podobna było rozróżnić ani szybkości, ani kierunku lotu, ani wysokości, na jakiej znajdował się samolot. Była to podróż po omacku, w całym znaczeniu tego wyrazu. Airman sam usiadł do steru.

Nareszcie udało się zapalić latarnię. Przekonano się jednak, że „Kondor” płynął w tak gęstej mgłę, iż światło nie mogło się przez nią przedrzeć.

— Trzeba się wznieść wyżej! — rzekł Edwin.

W tej chwili jednak rozległ się straszny łomot, Hinton uderzony czymś upadł i, zdjęty trwożą, usiłował szeroko rozpostartymi rękami pochwycić za cokolwiek. „Kondor” w mgłę napotkał jakąś przeszkodę i wpadł na nią z całym rozpędem. Wśród krzyku, który wydobył się równocześnie ze wszystkich piersi, nastąpiło kilka gwałtownych wstrząsów i samolot zatrzymał się.

VIII. NOCNA PRZYGODA

Starcie się „Kondora” z niedostrzegalną wśród mgły przeszkodą nastąpiło tak niespodziewanie i było tak gwałtowne, że upłynęła dobra chwila, zanim żeglarze napowietrzni przyszliznęli do siebie.

Pierwsza odezwała się Edyta, wzywając rozpaczliwie ratunku. Była ona wraz z inżynierem zamknięta w tylnej kabine. Wskutek wstrząsu uderzyła silnie głową o ścianę, przgniatając inżyniera siedzącego na trzcinowym krześle. Hinton chciał wyjść i dowiedzieć się, co się stało, ale gałęzie zatarasowały wejście do kabiny pilotów, gdzie się znajdował Jerzy z mechanikiem. Reflektor zgasł i głębokie ciemności otoczyły samolot.

— Uspokój się, pani! — rzekł, podnosząc panienkę. — Zdaje mi się, że znajdujemy się na ziemi i nie grozi nam upadek z wysokości. Czy pani nie jest ranna?

— Gdyby nie to, że ściana jest wyłożona korkiem, rozbiłabym się w drobne kawałki — odparła Edyta.

— Światła, światła! — zabrzmiał głos Airmana.

Hinton przypomniał sobie o latarce elektrycznej i po chwili snop ostrego światła przeszył mroki.

— Znajdujemy się pośród drzew! — zawołał ze zdumieniem inżynier, wydobywszy się spod szczątków zgniecionej krzesła.

— Spadliśmy na las? — pytał Hinton. — A zatem znajdujemy się na szczycie jakiegoś wielkiego drzewa i lada chwila runiemy na ziemię?

— Nie jest tak źle! — odparł Jerzy. — Poświeć no pan!

Airman, który natychmiast po starciu zatrzymał motor, teraz odważnie wyskoczył z kabiny i... stanął na twardym gruncie.

— Kto cały, może wysiadać! — zawołał. — Edyto, inżynierze!

Przy blasku latarki stwierdzono niebawem, że „Kondor” znajduje się wśród gęstych zarośli olszyny i wierzbiny, porastających dość wilgotną równinę. Był to szczęśliwy traf. Gdyby bowiem samolot uderzył przy całym swym pędzie w wysoki las, niezawodnie uległby zniszczeniu, a jego pasażerowie ponieśliby ciężkie obrażenia.

— No, tym razem udało się! — mruczał Nills, którego głównie interesował motor i śmigło. — Nam dostało się niezgorzej, ale maszyna w porządku, to grunt!

— Co ci jest, Nills? — zagadnęła Edyta, zbliżając się do mechanika.

— Mam wrażenie, że sto dzikich kotów rzuciło mi się do twarzy.

— Zaraz cię opatrzę, biedaku! Panie Hinton, proszę rozpaść duży ogień, bo po ciemku nic się nie da zrobić. Mój Boże! To ja, nikt inny, ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało! Muszę więc odpokutować za wszystkich. A ty, braciszku, nie jesteś ranny?

— Nic wielkiego! Skończyło się na stłuczeniach, a przecież groziło nam najwyższe niebezpieczeństwo. We mgle nie sposób się było zorientować. Zdawało mi się, że lecę paręset metrów nad ziemią, gdy tymczasem szybowałem tuż nad nią.

— Wysokościomierz zawiódł?

— Bynajmniej, wskazuje osiemset pięćdziesiąt metrów. Teren podniósł się po prostu. Musimy znajdować się w pobliżu jakichś wyniosłości, stąd nauka na przyszłość: nie latać nigdy w nocy.

Wnet, dzięki staraniom Edwina, w pewnej odległości od samolotu rozpalono ognisko. Buchnął płomień, przy którego blasku oceniono dokładnie sytuację. „Kondor”, lecąc z szybkością przynajmniej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, natrafił na niskie zarośla, które ścinał jakiś czas, ale skutkiem doznawanego oporu zwolnił biegu i ugrzązł w gąszczu. Najgorzej wyszedł z przygody Nills, któremu gałęzie niemiłosiernie podrapały twarz; straciłby może wzrok, gdyby nie to, że grube okulary zabezpieczały mu oczy.

Jerzy czuł się zawstydzony i upokorzony. Postąpił jak niedoświadczony nowicjusz. Zamiast w porę wylądować, dał się namówić siostrze do szukania innego miejsca, spóźnił się, nie przewidział mgły, słowem — skompromitował się gruntownie we własnych oczach, no i towarzysze, choć milczeli, w głębi duszy stracili do jego kierownictwa dotychczasowe zaufanie.

Airman starał się zbagatelizować przygodę wbrew swemu sumieniu.

— No, Nills, maszyna w porządku, he? Zaraz obejrzę skrzydła i kadłub — powiedział.

Uważny przegląd nie wykazał poważniejszych uszkodzeń. Stalowa blacha w paru miejscach nosiła ślady uderzenia gałęzi, ale żadna ważniejsza część nie była naruszona. Słowem — „Kondor” wyszedł cało z tej katastrofy.

— Byłoby z nami znacznie gorzej, gdybyśmy natrafili na grubsze drzewo — rzekł Jerzy. — Ale te krzaki nie mogły stawiać znaczącego oporu stalowym skrzydłom i kadłubowi. Śmigło zresztą zmiatało przed nami wszystko, co mu stało na drodze, formalnie torowało nam ścieżkę w zaroślach.

— Mój Boże, ale i ty jesteś pokaleczony! — zawołała Edyta, przyglądając się zakrwawionej twarzy brata.

— Kilka podrapań nic nieznaczących — uspokajał siostrę Jerzy. — Trochę okładów, a za parę dni śladu z tego nie będzie. Daleko trudniejsza sprawa ze startem. W tym gąszczu daremnie staralibyśmy się wznieść w powietrze. Edwinie, czeka pana nie lada zadanie!

— Mamy siekiery i łopaty! — odparł Hinton. — Jutro skoro świt weźmiemy się wszyscy do pracy.

Uspokoiwszy się co do całości samolotu, podróżni rozłożyli się obozem w pobliżu wielkiego ogniska, rozsiewającego dokoła przyjemne ciepło. Edyta sporządziła kolację, którą spożyto w wesołym nastroju. Nawet obandażowany mechanik brał udział w pogawędce o niedawno doznanej przygodzie.

Skoro świt nastał, rozejrzano się bacznie dookoła. Poza „Kondorem” widniała szeroka ścieżka, wyrębana w krzakach uderzeniami stalowego śmigła i skrzydeł, ciągnąca się na paręset metrów w tył. Edwin z właściwą sobie praktycznością postanowił skorzystać z tej pracy samolotu.

— Zamiast torować sobie drogę naprzód, obrócimy „Kondora” i wzniesiemy się tym szlakiem, trzeba tylko usunąć pieńki wierzb i olch, tak żeby powstał zupełnie równy teren. To nam wprawdzie zajmie dużo czasu, ale nie ma innej rady.

Ponieważ Nills był cierpiący, więc zwolniono go od tej pracy. Reszta załogi uzbrojona w siekiery i łopaty zaczęła energicznie karczować krzaki.

Robota postępowała dość szybko. Mimo to dopiero nad wieczorem drugiego dnia tor był oczyszczony na długość ponad dwustu metrów. Spędzono jeszcze jedną noc u ogniska

w oczekiwaniu przyjaznego wiatru, który istotnie zmienił nad ranem kierunek. Puszczono w ruch motor.

— No, w drogę! — zawołał Airman.

Lotnicy zajęli miejsca. Śmigło zaczęło się obracać z zawrotną szybkością. „Kondor”, pchnięty potężną siłą ośmiuset koni mechanicznych, zaczął się toczyć wyrąbaną w zarosłach drogą i zanim ta skończyła się, wzniósł się lekko, musnąwszy zaledwie kółkami wierzchołki zarośli.

Inżynier wydał głośny okrzyk triumfu. Samolot znowu znajdował się w swoim żywiole.

Do południa przelecano z łatwością przestrzeń dzielącą obozowisko od składu benzyny, który znajdował się u jakiegoś farmera nieinteresującego się zgoła sprawami żeglugi napowietrznej. Zabrano paliwa tyle, że dopełniono zapas rezerwowego.

Otucha wstąpiła w serca, cieszą się znów szybko zmieniającą się panoramą. Lasy niebawem skończyły się, na jakiś czas przynajmniej, i podróżowano ponad otwartą okolicą, a więc bezpiecznie.

Przez następnych parę dni podróż napowietrzna odbywała się bez najmniejszej przeszkody. „Kondor” robił swoje tysiące kilometrów z dokładnością pociągu na dobrze urządzonej drodze żelaznej.

Ponieważ jednak Edwin Hinton miał znaczne trudności w urządzeniu składów paliwa na Dalekiej Północy, więc musieli, chcąc nie chcąc, trzymać się okolic wysuniętych bardziej na południe, bliżej Gór Skalistych.

Samolot dziesiątego dnia od wyruszenia na podróż szykował się do przeprawy przez pasma górskie.

Zanim jednak teren stał się niebezpieczny, Airman wylądował na równej płaszczyźnie, żeby przygotować się do trudnej przeprawy.

— Szkoda, że nie udało się panu znaleźć miejsc odpowiednich na skład benzyny nieco dalej — rzekł do Hintona, badając przez lunetę pasmo śnieżnych gór rozciągające się od północy ku południowi.

— I ja bardzo żałuję. Ale czyż można było powierzać tak ważny depozyt koczownikom, którzy ciągle przenoszą się z miejsca na miejsce? — odparł Edwin. — Wyobrażam sobie, jakbyśmy wyglądali, gdyby człowiek mający pilnować naszego paliwa przeniósł się ze swymi reniferami⁸⁵ o paręset mil na wschód. A nie byłoby w tym nie nadzwyczajnego.

— Istotnie — powiedział Jerzy, nie odejmując lunety od oczu. — Musimy zatem zrobić bardzo ryzykowną, przynajmniej to otwarcie, próbę: zmusić „Kondora”, żeby przeleciał na drugą stronę tego łańcucha.

Edwin machnął ręką.

— Wolalbym nie zapuszczać się pomiędzy te szczyty, które nie wyglądają przystępnie. Skoro jednak nie dadzą się one wyminąć... — rzekł mechanik.

— Nie dadzą w żaden sposób, mój drogi Robercie!

— Ha, to trudno! Musimy zatem poszybować w ten labirynt stromych gór, gdzie czyha na nas tysiące niebezpieczeństw...

— Aż tysiące? — jęknęła Edyta.

— Chciałbym wiedzieć jakich! — wtrącił z uśmiechem Edwin.

— Nie mogę tać przed wami, drodzy towarzysze, tego, co nas może tutaj spotkać — rzekł poważnie Airman. — Nad równinami powietrze porusza się bez przeszkód, ale tutaj, w górach, zachowuje się ono jak woda w bieżącej szybko pomiędzy skałami rzece; zmienia co chwila kierunek, tworzą się więc niespodziewane i niedające się dostrzec wiry powietrzne, bardzo dla „Kondora” zdradliwe. Musimy się przygotować na niespodziewane uderzenia wiatru z różnych kierunków, które jeżeli będą silne, łatwo mogą przewrócić samolot...

Dowódca wyprawy mówił to wszystko powoli, dobitnie, patrząc przy tym w oczy towarzyszom. Nie chciał widocznie pozostawiać ich w nieświadomości.

— Dziękuję panu za szczerość — odparł Edwin. — Na co się to jednak przyda? Oddaliśmy się panu bez zastrzeżeń, ja przynajmniej, i stanie się, co ma się stać. Albo dokonamy naszej podróży szczęśliwie, albo zginiemy na polu chwały.

Niebezpieczeństwo

⁸⁵renifer — gatunek ssaka z rodziny jeleniowatych, zamieszkuje arktyczną tundrę. [przypis edytorski]

— Ja też tak myślę — przytaknął inżynier. — Skoro nie można wyminąć tych gór, zapuszczajmy się w nie śmiało. Odwagi nikomu z nas nie brakuje! Niech żyje władca atmosfery, Jerzy Airman!

— Niech żyje! — wykrzyknął z zapałem Nills. — Powiadam panu przy świadkach, że nie będę miał do pana najmniejszej pretensji, jeżeli skręcimy kark w tych górach.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Nills bowiem miał niezmiernie uroczystą minę, dając zobowiązanie.

— No, tak źle nie będzie, kochany Robercie! — rzekł inżynier, klepiąc po ramieniu mechanika. — Jeżeli jednak mamy się zabezpieczyć, to musisz jak najdokładniej zbadać, w jakim stanie znajduje się motor.

— I oczyścić go dokładnie! — dodał Jerzy.

— Ma się rozumieć! Może pan być spokojny.

— Obejrzymy go razem — rzekł inżynier. — Najmniejsze niedopatrzenie może w tych warunkach pociągnąć za sobą następstwa jak najgorsze.

Nills istotnie sprawdzał stan motoru z sumiennością, która niemalże doprowadzała do rozpaczy Edytę. Na tej czynności, której towarzyszyło oliwienie i czyszczenie każdej składowej części, upłynął cały następny dzień.

Przez ten czas Edyta, dla skrócenia sobie oczekiwania, błądziła po łące górskiej, pośrodku której spoczywał „Kondor”, i szukała pięknych a rzadkich roślin. Z kwiatów, jakich nie ma u najpierwszego nawet ogrodnika nowojorskiego, uwiła kilka wspaniałych girland⁸⁶ i ozdobiła nimi fotele swoich towarzyszy.

— Jeżeli zginiemy, to wśród kwiatów — rzekła z uśmiechem, z którym było jej tak do twarzy, że Edwin nie mógł od niej oderwać zachwyconych oczu.

Spędzono jeszcze jedną noc na hali w otoczeniu łagodnych wzgórz. Jerzy bowiem badał stan pogody i puszczał kilka próbnych baloników, pragnąc wy badać dobrze siłę i kierunek wiatru w wyższych szlakach atmosfery.

Dopiero trzeciego dnia pod wieczór otrzymał pomyślne wyniki i postanowił skorzystać ze spokoju, jaki panował w powietrzu.

— No, siadajcie, moi państwo! — rzekł, zwracając się do oczekujących niecierpliwie i trochę już zdenerwowanych towarzyszy. — Wiatru prawie wcale nie ma i trzeba kuć żelazo, póki gorące. Inżynierze, pilnuj motoru. Panie Hinton, staraj się pan zawsze mieć na widoku jakąś halę albo łagodne zbocze, gdziebyśmy mogli wylądować w razie wypadku. Ty zaś, kochana Edyto, siedź cicho i nie mów ani słówka. Muszę mieć uwagę do najwyższego stopnia natężoną, od tego zależy bezpieczeństwo naszej przeprawy.

— Będę siedziała jak trusia⁸⁷! — odparła panienka.

Kiedy już poradzono się dostatecznie map szczegółowych i wytyczono sobie drogę w napowietrznych szlakach, Jerzy kazał wszystkim przygotować się do odlotu.

Podróżni zajęli swe zwykłe miejsca. Edwin usiadł przy okienku, żeby móc dokładnie widzieć okolicę i wybrać punkt odpowiedni do wylądowania.

— No, baczność! — zawołał nareszcie kapitan samolotu. — Startujemy!

Inżynier na komendę puścił w ruch motor. „Kondor” już po kilkunastu sekundach znajdował się nad dolinami wyżłobionymi przez potoki.

Od razu można było poznać, że „Kondor” znajduje się w sąsiedztwie polarnej niziny północnoamerykańskiej, śnieg bowiem leżał w dolinach.

Jerzy z natężoną uwagą trzymał ręce na sterach. Edwin widział, jak zaczyna działać ster pionowy i jak pod jego wpływem „Kondor” wznosi się stale w górę.

W kwadrans zaledwie potem samolot był paręset metrów nad polaną, skąd się niedawno wznosił i, jak orzeł krążąc w powietrzu, wzbijał się coraz wyżej i wyżej.

— Dlaczego nie lecimy prosto, ale zataczamy takie wielkie koła, braciszku? Ale prawda. Nie odpowiadaj mi! Zapomniałam, że nie wolno cię niczym zajmować.

— W tej chwili nic nam nie grozi — odparł Jerzy, uśmiechając się. — Powietrze jest zupełnie spokojne. Zataczamy zaś kręgi w tym celu, żeby na najmniejszej przestrzeni zyskać jak najwięcej na wysokości, moja kochana siostro! Jeśli sobie przypominasz, na wielu kolejach albo nawet na zwyczajnych górskich ścieżkach droga, zamiast iść prosto

⁸⁶girlanda — element dekoracyjny zbudowany z podwieszonych gałęzi, wiązek kwiatów i owoców. Też sznur z żarówkami czy małymi lampkami. [przypis edytorski]

⁸⁷trusia — królik. [przypis edytorski]

pod górę, krąży jakiś czas w kółko i stopniowo, nieznacznie wznosi się w górę. „Kondor”, podobnie jak lokomotywa albo i wóz zwyczajny, nie może pokonywać znacznych pochyłości. Oto dlaczego krąży. A my znajdujemy się w odległości kilkunastu zaledwie kilometrów w linii powietrznej od grzbietu, przez który musimy przeskoczyć...

— Rozumiem już, rozumiem doskonale! Ach, jak to pięknie tak krążyć coraz wyżej i wyżej! O, znowu przelatujemy nad polaną, gdzie niedawno spoczywaliśmy, prawda, panie Hinton?

— Tak jest, proszę pani — powiedział Edwin. — Ale obecnie znajdujemy się o jakieś dwa tysiące metrów ponad nią!

W miarę tego jak „Kondor” wzbijał się w górę, widnokrąg rozszerzał się wspaniale. Nagie, skaliste szczyty, pokryte lodowcami, rozścielały się pod nogami żeglarzy powietrznych, ziemia zapadała się coraz głębiej i głębiej, a linia widnokładu była ciągle na wysokości oka.

Edwin badał przejścia pomiędzy górami i wreszcie jedna z przełęczy otwarła się przed „Kondorem” jak olbrzymie wrota lodowe prowadzące na drugą stronę łańcucha.

— Prosto! — zawołał Hinton, pokazując na szczybę w ścianie skalnej.

Jerzy kiwnął głową.

„Kondor” przestał już krążyć jak wielki drapieźnik, upatrujący zdobyczy, i sunął w prostej linii z szybkością strzały. Potężny mur górski rósł w oczach. Pod nogami żeglarzy przemykały jak widziadła lodowce błyszczące w słońcu, niby wypolerowane srebro, dźwięgające na swych barkach wielkie odłamy skał, które wędrowały na równiny; na oślepiająco białym tle lodowców biegły błękitne wstęgi potoków. A nad tym wszystkim panowały dziko najeżone turnie, przebijające swymi skalistymi, czarnymi szczytami koronę wiecznych śniegów.

Na lewo, na prawo, jak okiem sięgnął, ciągnęły się niedostępne szczyty Gór Skalistych, jedne dziksze od drugich. Podróżni siedzieli z zapartym oddechem i podziwiali w milczeniu tę cudną, pełną poetycznego powabu panoramę.

Samolot śmiało zapuścił się nad przełęcz. Mur skalisty, poszczerbiony dziwnie, zniżał się tutaj o kilkaset metrów. Między tymi zębami wielkiej piły skalistej przedostał się „Kondor”, minął szczęśliwie najwęższe przejście i po chwili znajdował się już na drugiej stronie łańcucha. Zaledwie jednak minął przełęcz, kiedy uderzyła weń nagle silna wichura płynąca aż z wybrzeży Oceanu Lodowatego.

Samolot zachwiał się w powietrzu, ale doświadczony i pewny siebie lotnik w jednej chwili przygotował się do walki. „Kondor” zamiast spaść w otchłań, pochylił się, poddając pod wiatr spodnią powierzchnię wielkich skrzydeł. Wicher dźwignął go na swoich barkach w górę. To zmaganie się wichru z samolotem trwało minutę zaledwie. Niebawem naruszona równowaga była przywrócona i „Kondor” popłynął majestatycznie w zachodnim kierunku.

Edyta spojrzała w dół i, aby uniknąć zawrotu głowy, zamknęła oczy.

Tam, daleko w dole, rozwierały się potworne przepaście, ciągnące, jak się zdawało, nieprzepartą siłą na swoje dno „Kondora”. Inżynier także przymknął powieki, ażeby nie patrzeć w otchłań, która sprawiała mu przykrość. Tylko Edwin, który nieraz zapuszczał się w Góry Skaliste i znał dobrze ich tajniki, spoglądał śmiało w dół, dając wskazówki dowódcy statku napowietrznego.

W pół godziny po przebyciu przełęczy lodowce skończyły się, ustępując miejsca nagim, skalistym zboczom, zarosłym karłowatymi drzewkami. Była to kraina straszliwie dzika, pustynna. „Kondor” leciał nad tymi odludnymi okolicami, w kierunku źródeł rzeki Jukon⁸⁸; Airman chciał jednak uniknąć drugiej przeprawy przez Góry Skaliste, które tutaj tworzyły kilka równoległych pasm, i sunął otwierającą się przed nim, szeroką na jakieś sto mil angielskich⁸⁹ doliną, sięgającą aż do Oceanu Lodowatego.

— No, przeprawa udała się, chwała Bogu! — zawołał, odwracając głowę do siedzącej za nim siostry. — Edyto, możesz już patrzeć w dół. Nie lecimy nad przepaściami.

⁸⁸Jukon — rzeka w Ameryce Północnej. Jedna z większych (3185 km długości). Źródło znajduje się w prowincji Jukon w północnej Kanadzie a ujście na Alasce. [przypis edytorski]

⁸⁹mila angielska — też: mila międzynarodowa, jednostka odległości, ok. 1609 m. [przypis edytorski]

— Jak to dobrze! Przyznaję, że mnie ciarki przechodziły, kiedy rzuciłam okiem tam, w dół. Drżałam na samą myśl, co by się z nami stało, gdyby jaki silniejszy podmuch wiatru albo wir strącił nas na dół. Oddycham swobodniej. Czy już można rozmawiać?

— Można. Oto zniżamy lot!

„Kondor” istotnie zaczął się stopniowo opuszczać i osiadł na pięknej polanie podgórskiej.

Tutaj spożyto wieczerzę i przenocowano wygodnie po denerwującej przeprawie. Pogoda bowiem była wspaniała i nic nie wróżyło burzy. Edwin zatopił się w mapach, badając, gdzie znajduje się obecnie „Kondor”. Wziął sekstans⁹⁰ i oznaczył szerokość geograficzną. Okazało się, że samolot dostał się już pod 63° szerokości północnej i 124° długości na zachód od Greenwich⁹¹.

— Znajdujemy się na równinie polarnej, która zajmuje całą północną okolicę lądu amerykańskiego — rzekł Hinton. — Jesteśmy w prowincji Jukon, położonej w okolicy źródeł rzeki tej samej nazwy, toczącej swe chłodne wody do Oceanu Spokojnego.

— Wody, w których znajduje się złoto! — dodał inżynier.

— A tak. Sławne Klondike⁹², stolica złota, leży na naszej drodze — rzekł Edwin. — Ponieważ jest to jedyne niemal miasto w tych pustynnych okolicach, więc musieliśmy w jego sąsiedztwie zrobić skład benzyny. Jutro zatem odwiedzimy stolicę górników, którzy na tym odludziu szukają szczęścia.

Przywdziano ciepłe, podbite futrem kurtki, bo temperatura, pomimo sierpnia, obniżała się szybko, w miarę tego jak samolot zapuszczał się na północ.

Krajobraz stawał się przy tym coraz monotonna i dzikszy. Tylko najniżej położone okolice wolne były od śniegu leżącego grubą warstwą, pomimo lata, na północnych stokach gór i na szczytach. W dolinach, zasłoniętych z paru stron wyniosłościami, nie topniał on nawet w sierpniu. Puszcze, niedawno jeszcze zajmujące olbrzymie obszary, zniknęły, ustępując miejsca karłowatym zaroślom. Jednym słowem, kraina podbiegunowa leżała u stóp leżącego „Kondora”.

— Musimy przebyć czym prędzej pustynię Jukonu — mówił dowódca samolotu.

— Tak, jak najprędzej. W razie bowiem przymusowego lądowania znajdziemy się w położeniu bez wyjścia. Nie uwierz pan, ile mnie kosztowało dostarczenie zapasu benzyny w te odludne okolice — mówił Hinton. — Chciałem cokolwiek bardziej na północ znaleźć godnych zaufania ludzi, ale daremnie. Trzeba było mimo woli urządzić stację opałową w krainie złota, w Klondike, co nie jest bardzo przyjemne.

— Tak, istotnie, wolałbym uniknąć górników, są to bowiem ludzie, na których nie można wcale liczyć, jeżeli zachorują na gorączkę złota — rzekł Jerzy.

— A u kogo znajduje się nasza benzyna? — zagadnęła Edyta.

— Niedaleko Dawson City⁹³, u pewnego kupca, który sprzedaje górnikom żywność i inne rzeczy.

— Daleko od miasta?

— Tuż niedaleko, o parę kilometrów zaledwie.

— Mój Jerzy, nie żałuj maszynie opału — prosiła miss Edyta. — Mnie te dzikie strony jakoś nie przypadają do serca. Boję się, sama nie wiem czego, ale te śniegi wyglądają tak ponuro.

Samolot szybował ponad szeroką doliną, podobną do wielkiej, zamrożonej rzeki, spod powierzchni której wystawały gdzieniegdzie, niby wyspy, płaty nagiej ziemi. Zbliżano się do koła biegunowego; dni stawały się tak długie, że „Kondor” mógł żeglować w przestworzach przez szesnaście godzin bez przerwy, ale Airman czuł się za bardzo zmęczony kierowaniem maszyną, aby korzystać z przyjaznych warunków.

— Skierujemy się jeszcze bardziej ku zachodowi, żeby nie posuwać się zbyt daleko na północ. Po wypoczynku możesz pan zająć moje miejsce — rzekł Jerzy do Burnetta.

⁹⁰*sextans* — też: sekstant, kątomierz nawigacyjny — urządzenie zbudowane z obiektywów i zwierciadeł, służące do nawigacji, mierzy wysokość ciał niebieskich nad horyzontem. [przypis edytorski]

⁹¹*Greenwich* — dzielnica Londynu, przez którą przebiega umowny południk zerowy, w odniesieniu do którego oblicza się długość geograficzną, wyrażaną w stopniach. [przypis edytorski]

⁹²*Klondike* — treść akapitu sugeruje, że Klondike to miasto, jednak jest to nazwa rzeki w północno-zachodniej Kanadzie, prawego dopływu Jukonu. [przypis edytorski]

⁹³*Dawson City* — miasto nad rzekami Jukon i Klondike, to tu w 1896 r., po odnalezieniu znacznej ilości złota, rozpoczęła się „gorączka złota”. [przypis edytorski]

Zaraz tego samego dnia, po krótkim przystanku na śnieżnej przestrzeni, Burnett zajął miejsce pilota.

Pokazało się, że inżynier doskonale wypełniał swoje obowiązki, co w znacznej mierze można było przypisać temu, że to on zbudował samolot, posuwający się równo, niemal automatycznie w powietrzu i zachowujący przepysznie równowagę.

— Bardzo mnie to cieszy — mówił Jerzy — że mogę odpocząć. Nie macie pojęcia, moi drodzy, jak takie naprężenie uwagi nuży. Wieczorem czuję się kompletnie do niczego; ani palcem nie chce mi się ruszyć. W razie gdyby warunki zmieniły się, ustąpisz mi pan znów miejsca, inżynierze kochany!

IX. ZŁOTO CZY ŻYCIE?

Przez ten dzień „Kondor” przeleciał, korzystając z wiatru i długiego dnia, z górą tysiąc dwieście kilometrów i znajdował się nad wieczorem w złotodajnych okolicach, w miejscu, które jest przedmiotem marzeń tylu ludzi pragnących spróbować szczęścia w tych pustyniach.

Smutne to są okolice. Od południa dostępu do nich broni, sięgające aż do Oceanu Spokojnego, pasmo niebotycznych Gór Skalistych, gdzie się wznoszą najwyższe szczyty w całej Ameryce. Od zachodu rozciąga się aż do Cieśniny Beringa rozległy, pustynny kraj, od północy zaś — niezmierzone równiny polarne, sięgające aż do wybrzeży Oceanu Lodowatego. Kto zatem pragnie się dostać do krainy złota, ten musi przedzierać się przez nadbrzeżne pasma górskie niedostępnymi przełęczami i dolinami dzikimi, gdzie prawie przez cały rok leży śnieg. Klondike jest więc niejako twierdzą naturalną, w której przyroda złożyła nieprzebrane skarby, jakby je chciała zabezpieczyć przed chciwością człowieka.

Na nic się jednak nie zdały te ostrożności. Ludzie, parci gorączką złota, znaleźli skarby aż tutaj; i dziś w niedostępnych na pozór krainach północnych, wśród puszczy i gór zaroilo się od górników ryzykujących życie w niebezpiecznych poszukiwaniach.

Ludzie ci żyją jak zwierzęta, pozwalają się niemiłosiernie wyzyskiwać handlarzom dostarczającym po najgorszych w świecie drogach żywności do kopalń, pracują ciężko przez kilka miesięcy, ażeby potem przehulać zdobyte złoto w najgorszych towarzystwach.

O tym wszystkim rozmyślał Edwin, patrząc z góry na ciągnący się w nieskończoność labirynt wzgórz, na śnieżne obszary, którym udało się uniknąć promieni letniego słońca, na karłowaciejące od mrozów lasy.

W oddali błysnęła wstęga srebrzysta. Była to rzeka Jukon, w której korycie drzemie złoty piasek.

Dosięgnawszy jej brzegów, „Kondor” skierował się cokolwiek ku północy i szybował jak olbrzymi zimorodek⁹⁴, trzymając się zakrętów tej wielkiej rzeki szumiącej pośród skalistych wybrzeży.

— Czy jesteśmy daleko od źródeł Jukonu? — zagadnął Jerzy Edwina.

— O dwieście kilometrów mniej więcej, kapitanie! — odparł, uśmiechając się, traper.

Kapitan samolotu uznał jednak, że podróż ponad bystrą rzeką, najeżoną skałami, pełną wodospadów, nie jest bynajmniej bezpieczniejsza aniżeli lot ponad górami pokrytymi śniegiem. Skierował więc „Kondora” cokolwiek ku zachodowi i pomykano znów ponad zboczami nagimi, pustynnymi, które kiedy niekiedy podnosiły się, jeżyły lasem karłowatym i nagimi wierzchołkami stromych skał, nieznoszących na dumnym karku obroży lodowców.

— Smutno tutaj — rzekła Edyta.

— A jednak ja dostrzegam na tle śniegów czarną plamkę — rzekł Edwin, śledząc bacznie okolicę swoimi sokolimi oczami. — Zdaje mi się, że to ludzie, a raczej człowiek.

Wzrok podróżnych zwrócił się w kierunku zachodnim. Istotnie, na tle śnieżnej powłoki majaczyła plamka. Przez lunetę widać było człowieka ciągnącego z wysiłkiem najwyższym, przy pomocy paru psów, małe saneczki. Nagle samotny podróżny zatrzymał się i usiadł bezradnie na sankach. Nie widział on jeszcze samolotu, a jednak nie posuwał się dalej pomimo zapadającego mroku.

⁹⁴zimorodek — mały ptak rybożerny, w Polsce przebywa tylko w okresie lęgowym, na stałe zamieszkuje południową Europę i Azję, zimuje w północnej Afryce i w Indonezji. [przypis edytorski]

Za chwilę dopiero, zauważywszy widocznie samolot, zaczął machać rękami, składać błagalnie dłonie, starając się wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę.

— Ten od razu odgadł, że nasz samolot to nie ptak! — rzekł Nills.

— Błaga najwidoczniej o pomoc! — rzekła Edyta. — Może zabłąkał się w tych śnieżnych obszarach! Trzeba by koniecznie zapytać go, czego sobie życzy. A może głód mu grozi? Wiadomo przecie, z jak strasznymi trudnościami muszą walczyć w tych okolicach podróży.

— To go zapytaj! — rzucił żartobliwie Jerzy.

— Och, niegodziwy z ciebie chłopiec! — zaprotestowała Edyta. — Proszę cię, nie bądź egoistą, zatrzymaj „Kondora” na chwilę. Nie możemy przecież pozostawić bliźniego bez pomocy.

Człowiek-ptak wymawiał się, ale siostra nie ustępowała.

W jej serduszkach obudziła się litość dla samotnego wędrowca, który wyciągnął do niej dłonie o pomoc, i postanowiła dać mu ją koniecznie.

— Musisz wylądować na chwilę — nalegała — mój kochany braciszku! Może on potrzebuje żywności, może z głodu pada. Przecież znajdujemy się o sto mil z górą od zamieszkałych okolic. Z tym biedakiem musi być źle!

Nie mogąc się oprzeć prośbom ukochanej siostry, Airman zniżył lot i niebawem „Kondor” lekko osiadł na białym kobiercu.

Ujrzawszy to, samotny wędrowiec opuścił saneczki i biegł naprzeciwko niebieskiemu przybyszowi, nie zdradzając ani śladu przestrochu.

Edwin wyszedł na jego spotkanie z karabinem w ręku.

Podróżny dopadł do Hinton, ale nie zatrzymał się przy nim. Zobaczył uśmiechniętą twarzyczkę Edyty i, wiedziony widocznie jej dobrotliwym, przychylnym wyrazem, zbliżył się do „Kondora” i padł przed panienką na kolana.

— Pani, ktokolwiek jesteś, czy z ziemi, czy z nieba pochodzisz, nie daj mi zginąć marnie!

— Czego panu potrzeba? — zagadnęła przyjacielsko Edyta.

— Zabierzcie mnie ze sobą!

— To niepodobieństwo! — odparł Airman. — Nie mamy miejsca w samolocie.

— Jak to, nie znajdzie się miejsce? — powtórzył rozpaczliwie podróżny, załamując dłonie.

— Skąd się pan tu wziął? — zagadnął Hinton, który bacznie obserwował fizjonomię nieznajomego.

Wędrowiec wyglądał bardzo oryginalnie. Na jego wychudłej, zbiedzonej twarzy jaśniały tajemnym ogniem oczy. Jego wzrok latał gorączkowo i przeskakiwał z jednej twarzy na drugą. Nieznajomy nie potrafił widocznie oprzeć się podejrzeniom i starał się wybadać, z kim ma do czynienia.

Był on odziany w kosztowne futra, ale zaledwie z grubsza wyprawione; na nogach miał buty, zniszczone mocno. Za pasem sterczały mu dwa rewolwery i nóż w rodzaju sztyletu hiszpańskiego.

— Kto pan jesteś? — zagadnął Edwin, podchodząc.

— Nieszczęśliwy poszukiwacz złota, który daremnie przez rok cały starał się znaleźć cokolwiek w tej podłej krainie. Obecnie wracam, a raczej staram się wrócić do Klondike, a stamtąd do zamieszkałych okolic, póki zima nie zetnie mrozem ziemi i wody. O, straszna tutaj zima, nie życzę nikomu zapoznać się z nią bliżej! Lato spędziłem o kilkadziesiąt mil stąd nad rzeką, o której mówiono, że toczy złoty piasek na swym dnie. Pokazało się jednak, że to zwyczajny piasek, a ja zmarnowałem tylko rok i zdrowie na płonnych poszukiwaniach. Obecnie usiłuję dostać się do jakiegoś miasta. Żywności mi zabrakło, psy, które ciągną sanie, padają ze znużenia. Jeżeli mnie nie zabierzecie z tej pustyni, jutro, pojutrze najdalej i ja zginę bez ratunku.

Lotnicy nasi patrzyli z politowaniem na mówiącego, który rzeczywiście wyglądał jak żywy szkielet. Znać było po nim cierpienia i niedostatek, długą pracę w ciężkich warunkach — całe życie górnika było wypisane na jego twarzy.

— Żal mi pana bardzo! — rzekła Edyta, ocierając łzę, która ukazała się pod jej powieką.

— O, jak widzę, pani ma bardzo dobre serce. Błagam, przemów za mną, niech mnie statek powietrzny zabierze, niech mnie wyniesie z tych strasznych pustkowi, gdzie mnie czeka śmierć z głodu albo z zimna! Bóg to wam stokrotnie wynagrodzi!

W gestach, w mowie nieznanego było jakąś komedię. Edwin obserwował bacznie górnika.

— Po cóż ciągniecie te sanki, skoro sami ledwie nogi włóczycie? — zagadnął.

— Mam na nich skromne zapasy żywności i sprzęty, bez których żaden poszukiwacz złota nie może się obejść — odparł zmieszany górnik.

Oczy jego pobiegły w kierunku saneczek i spoczęły na nich z najwyższym niepokojem. Zerwał się z klęczek i cofnął pośpiesznie.

— Jerzy, proszę cię, zabierzmy tego biedaka! — szeptała Edyta. — Czyż nie widzisz, jaki on wycieńczony?

— Ciężko będzie!

— „Kondor” udźwignie jeszcze jednego podróżnego!

— To prawda, ale gdzie go posadzimy?

— W kabinie. Już ja biorę to na siebie! — mówiła żywo Edyta, podniecona nadzieją. — Nie odmawiaj mu tego. Przecież nie pozwolisz, żeby zginął tutaj bez pomocy?!

— No, zresztą, mógłbym to uczynić, ale nie podejmuję się odstawić go dalej niż do Dawson City. Na prośbę mojej siostry — powiedział człowiek-ptak, zwracając się do nieznanego — gotów jestem udzielić panu pozwolenia, pod warunkiem jednak, że w najbliższej zamieszkaney okolicy zсадimy pana na ziemię.

— „Kondor” nie podźwiga się⁹⁵! — powiedział ironicznie Nills, dotykając chudych ramion górnika. — Sama skóra i kości.

— Dzięki ci, mój inżynierze! — zawołał poszukiwacz złota. — Jakiż to cudowny wynalazek! Górnicy ze skóry nieraz wyłażą, żeby się tutaj dostać, a pan w parę godzin może przelecieć od oceanu w najbogatsze okolice! Przepraszam pana, ale ośmielię się zapytać, ile kosztuje taki ptak sztuczny?

— Jest to rzecz całkiem nowa i nie mógłbym jej sprzedać — odparł Jerzy.

— Nawet za dziesięć tysięcy dolarów? — zagadnął górnik, patrząc w oczy Airmanowi.

— Cóż to znaczy dziesięć tysięcy dolarów! — przerwał Edwin.

— No, to może by pan wynajął ten cudowny przyrząd latający za dziesięć tysięcy dolarów na miesiąc...

— Komu? — zagadnął człowiek-ptak, zdziwiony tą propozycją.

— No, mnie choćby...

— Panu, a to po co?

— Tutaj, jak panu wiadomo, złoto jest wszędzie: w górskich potokach, w szczelinach skalnych, ale, niestety, placery⁹⁶ są niedostępne, bo leżą w górach, do których nie sposób się nieraz dostać. Tylko żywności brak. Otóż gdybym ja miał taką piękną maszynę, która może przelatywać ponad górami i przepaściami, dostawiałbym żywność dla górników i zrobiłbym na tym doskonały interes.

Airman śmiał się.

— Przykro mi bardzo, ale nie mogę panu ani wynająć mojego samolotu, ani wejść z panem w spółkę. Nie przeczę jednak, że to interes korzystny.

Górnik westchnął.

— W takim razie mogę się zabierać? — zapytał.

— Siadaj pan tutaj, pomiędzy tymi panami — oparł Airman.

— A moje saneczki gdzie postawić?

— Saneczek nie zabierzemy, gdyż nie ma miejsca.

Nieznanomy zbladł.

— Panie, niech pan zgodzi się wziąć i saneczki także! — zawołał, błagalnie składając ręce. — Znajduje się na nich moje całe mienie.

— No, nie ma ono znów tak wielkiej wartości — rzekł Edwin. — Chętnie dam panu pewną zapomogę, ażeby pan kupił sobie inne narzędzia na miejsce straconych.

Chciwość

⁹⁵podźwiga się (daw.) — tu: nadwyrężyć siły; przedźwigać się. [przypis edytorski]

⁹⁶złoto placerowe — drobiny złota oddzielone od macierzystej żyły i przeniesione do osadów piaskowych lub żwirowych. Najczęściej występują w korytach rzek lub strumieni. [przypis edytorski]

— Och, nie, ja nie mogę rozstać się z moimi rzeczami! — mówił górnik, cofając się trwożnie ku saneczkom. — Nie, za nic w świecie!...

— Ależ dam panu kilkadziesiąt dolarów, to sobie kupisz za to, czego ci będzie potrzeba! — zawołał zniecierpliwiony Edwin — Decyduj się pan szybko, bo nie mamy czasu.

— Siadać! — dodał Nills ciągnąc za rękaw nieznajomego.

— To może panowie pozwolicie mi zabrać chociaż dwa woreczki z najcenniejszymi przedmiotami? — mówił górnik, na którego twarzy malowało się uczucie zawodu.

— Jeżeli nie są zbyt ciężkie, to i owszem — odparł Jerzy.

— No, dawaj je pan tutaj, tylko żywo! — dorzucił Robert.

Górnik podniósł koldrę przykrywającą saneczki i wydobył z samego dna dwa spore skórzane worki. Pochwycił jeden z nich z największym wysiłkiem i dźwigał, uginając się.

— Jak widzę, straciłeś pan całkiem siły! — rzekła ze współczuciem Edyta. — Pomóż mu, Robercie!

Nills chciał wziąć drugi worek, ale nieznajomy rzucił się ku niemu z krzykiem:

— Proszę nie ruszać!

Robert był tegim chłopem, pomimo to z największym wyęczeniem zdołał unieść za ledwie na parę cali⁹⁷ worek. Górnik podbiegł ku niemu i wyrwał mu go z rąk.

— Uf, nie dziwię się, że panu ciężko! — rzekł Robert.

— Co tam może być? — zagadnęła Edyta, mocno zaintrygowana.

— Próbkki, próbkki ska! — żywo odparł górnik. — Zaręczam, że nic więcej!...

— No, no, nie widziałem nigdy tak małego worka, który byłby tak ciężki — mruknął Robert, spoglądając podejrzliwie na nieznajomego. — No, przyznaj się pan — dodał, klepiąc go poufale po ramieniu — że tam jest cokolwiek piasku złotego. Tylko ten szlachetny metal może mieć taki ciężar właściwy!

— Co znowu?! Myli się pan. Są tam przeważnie próbkki.

— Czy nie można by ich obejrzeć? — zagadnął Edwin, uśmiechając się. — Ja znam się cokolwiek na skałach, będę więc mógł dać panu dobrą radę.

— Nie, nie, dziękuję panu! To zabrałoby zbyt wiele czasu — odparł górnik, miesząc się coraz bardziej pod krzyżowymi pytaniami żeglarzy napowietrznych.

— No, nie mamy i my czasu — przerwał Jerzy. — Jeżeli pan chce, możemy pana zabrać, ale bez tych próbek, które są tak niemiłosiernie ciężkie.

Górnik rzucił na Edytę rozpaczliwe spojrzenie.

— Pani, wstaw się za mną! — zawołał znowu.

— Nic na to nie poradzę! Jeżeli mój brat mówi, że nasza maszyna nie podźwignie pańskich worków, to musi mieć słuszość. Rozumiemy, że ma pan ze sobą złoto, i nie zamierzamy pana pozbawiać owocu ciężkiej pracy, ale nie jesteśmy w stanie zadośćuczynić pańskiemu żądaniu w całej jego rozciągłości. Sądzę jednak, że pan sobie da radę bez nas.

Górnik załamał ręce.

— Sił mi już braknie! — zawołał. — Czyż nie widzicie, że ledwie się na nogach trzymam? Żywności nie mam wcale.

— Możemy panu użyczyć cokolwiek z naszych zapasów! — odezwał się Jerzy.

— Dam panu tysiąc dolarów za dostawienie mnie do Dawson City z moimi workami! — błagał górnik, składając ręce jak do modlitwy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Trudno będzie przekupić naszego dowódcę, który jest bardzo bogaty! — zawołał Robert urągliwie. — Ja bym chętnie się na to zgodził, cóż z tego, kiedy nie mam czasu!

Położenie było tragiczne i śmieszne zarazem. Podróżni otoczyli wieńcem poszukiwacza złota, który widocznie walczył sam ze sobą.

— Dam dziesięć tysięcy, to jest połowę posiadanej przeze mnie sumy! — jęczał.

Ale widząc, że uśmiech nie schodzi z twarzy napowietrznych ludzi, wpadł znowu w przygnębienie. Siadł na sankach i bezradnie i patrzył na „Kondora”.

— Więc odrzucasz pan naszą pomoc? — zagadnął go Nills.

— Ludzie bez serca! — mruczał górnik, przewracając oczami. — Zostawiają tutaj na pastwę losu bliźniego, pozwalają mu umrzeć w pustyni...

⁹⁷cal (ang. inch) — jednostka miary = 2,54 cm. [przypis edytorski]

Edwin machnął ręką.

— No, co pan wolisz: złoto czy życie? — zagadnął krótko i węzłowato. — Musisz się raz zdecydować.

— Siadamy! — przerwał kapitan samolotu, zmęczony tą sceną.

— Nie, nie! — zaprotestował górnik, czepiając się ręk miss Edyty. — Nie zostawiajcie mnie tak, nie mam co jeść.

Edyta poszła do „Kondora” i za chwilę powróciła, niosąc nieco żywności.

— Masz pan, żebyś nie mógł powiedzieć, że cię pozostawiamy na pastwę głodowej śmierci. Widocznie bardziej kochasz złoto niż siebie samego. Na to nie ma rady. Żegnamy pana!

Wszyscy zajmowali już swoje miejsca. Jerzy, zanim puścił w ruch motor, raz jeszcze zwrócił się do górnika:

— Pięć tysięcy dolarów w złocie możesz pan zresztą zabrać ze sobą. To pokaźna sumka dla człowieka, który nic nie posiada!

— Sto tysięcy pozwól mi pan zabrać!

— Ho, ho, worek zawiera ładną sumkę! — mruknął Nills, który widocznie zazdrościł górnikowi.

— Nawet dziesięciu nie!

— No, życzymy panu szczęśliwego powrotu! — rzekła Edyta, rozczarowana widocznie do swojego protegowanego.

Nieznajomy nie poruszył się nawet. Siedział na workach ze złotem, jakby gotów bronić swojego skarbu do ostatniego tchnienia. Patrzył szklanym wzrokiem, jak „Kondor”, poderwany siłą swego potężnego motoru, porwał się z dna doliny i poszybował w górę.

Siedział tak długo i niebawem zniknął z oczu naszych żeglarzy.

— Ten sknera woli zginąć niż rozstać się ze złotem — rzekł inżynier. — Oto do czego prowadzi chciwość! Potrafi zagłuszyć nawet instynkt samozachowawczy!

X.

KŁOPOTY MILIONERA

W porcie Vancouver⁹⁸, gdzie kończy się wielka linia kanadyjskiej kolei żelaznej łączącej Atlantyk z Pacyfikiem, czyli Oceanem Spokojnym, stał dnia 18 sierpnia pod parą⁹⁹ piękny, prywatny jacht Samuela Hintona, czekając na kogoś, komu snadź¹⁰⁰ nie było bardzo pilno. Statek ten zasługiwał na uwagę znawców, był bowiem zbudowany według najświeższych zasad techniki. Turbiny parowe nadawały mu szybkość dwudziestu sześciu węzłów¹⁰¹.

Była to zatem szybkość torpedowców¹⁰², budowanych z takim nakładem kosztów przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Ale i wewnętrzne urządzenie statku, noszącego wymowną nazwę „Złotej Strzały”, było wprost zdumiewające.

Jacht można było porównać do cacka kosztownego, a jednak użytecznego. W każdym szczególe widniała staranność technika, nie liczącego się z wydatkami, i zbytek bogacza, pragnącego wzbudzić zazdrość w kolegach-milionerach. Salony i kabiny były to jakby gablotki do przechowywania żywych klejnotów przeznaczone. Dzieła sztuki spotykałeś tutaj na każdym kroku. Kosztowne tkaniny i obicia, meble z rzadkiego drzewa, jednym słowem — rozrzutność niesłychana, ale — co rzadko się zdarza u amerykańskich milionerów — połączona z dobrym smakiem.

„Złota Strzała” znajdowała się w porcie kanadyjskim pod parą od dwóch czy nawet trzech dni. Kapitan jej, młody marynarz o energicznej postawie, liczący około trzydziestu lat, przechadzał się nerwowo po błyszczącym jak lustro pokładzie i paląc swoją krótką fajeczkę, spoglądał roztargnionym wzrokiem dokoła.

Bogactwo

⁹⁸Vancouver — miasto portowe na zachodnim wybrzeżu Kanady, przy granicy ze Stanami Zjednoczonymi. [przypis edytorski]

⁹⁹pod parą — w znaczeniu „gotowy do drogi”, silniki rozgrzane a para w tłokach sprężona. Zwrot funkcjonuje również we wszystkich kontekstach związanych z poruszaniem się pojazdem silnikowym, nie tylko maszyną parową. [przypis edytorski]

¹⁰⁰snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

¹⁰¹węzeł (ang. knot) — jednostka prędkości używana w żegludze, 1 węzeł = 1,852 m/h. [przypis edytorski]

¹⁰²torpedowiec — stosunkowo niewielki okręt nawodny, którego główną siłę ognia stanowiły torpedy. Na początku XX w. ich prędkość maksymalna wynosiła ok. 24 węzłów. [przypis edytorski]

Kiedy niekiedy jego pytający wzrok zatrzymywał się na budce, gdzie siedział telegrafista.

— Czy aparat nie odzywa się? — rzucał mniej więcej co godzinę pytanie kapitan „Złotej Strzały”, przykładając oczy do małej szybki.

Ale zawsze odpowiadano mu to samo:

— Depesza nie nadchodzi!

Na stole stał aparat przyjmujący depesze iskrowe.

Nagle odezwały się sygnały. Młody telegrafista natężył uwagę.

Tak, nie ulegało wątpliwości: fala elektryczna, wypuszczona z jakiejś lądowej stacji, może z samego Chicago, wpadła do wrażliwych na nią przyrządów, umieszczonych na „Złotej Strzale”, przynosząc wieści tak niecierpliwie oczekiwane.

Depesza, którą przyjęto na pokładzie, brzmiała, jak następuje:

Wyjeżdżam wagonem własnym. Stanę w ciągu dwudziestu czterech godzin na pokładzie. Być w gotowości. Samuel Hinton

Depeszę tę wręczono bez chwili zwłoki kapitanowi; ten przeczytał ją, uśmiechnął się z zadowoleniem i przywołał do siebie młodszego oficera.

— Czy miss Ewa w kajucie? — zagadnął.

— Tak, jest u siebie. Czeką na depeszę.

— Sam ją zaniosę — odparł kapitan, składając papierek.

Kapitan Bolton wyjął z kieszeni lusterko, przejrzał się, poprawił wąsy, przybrał uśmiech, jak mógł najpoważniejszy, i z zamaszystą miną zastukał do mahoniowych drzwi jednej z najobszerniejszych kajut pokładowych. Zajmowała ją od wczoraj córka Samuela, a najmłodsza siostra Edwina Hintona, miss Ewa, oczekująca z utęsknieniem na pokładzie „Złotej Strzały” przybycia ojca. Ujrawszy wchodzącego kapitana, zerwała się z kozetki¹⁰³, gdzie siedziała zarzucona dziennikami, i podbiegła doń z wyciągniętymi rękami.

— Przyjeżdża?! — zagadnęła niecierpliwie.

— Jutro o tej porze. Oto depesza, którą właśnie otrzymaliśmy — odrzekł kapitan, kłaniając się dwornie córce milionera.

Miss Ewa, młoda panna licząca co najwyżej dwadzieścia pięć lat, przebiegła ją szybko oczami i opadła znów na swoją kozetkę.

— Tak zwieźle. Nic a nic dowiedzieć się z tego nie można! — jęknęła. — Mój Boże, dlaczego też ojciec każe mi się tak denerwować? Czyż nie wie, jak mnie ta cała sprawa obchodzi, jak dalece jestem niespokojna o Edwina? Co też temu chłopcu przyszło do głowy! Wprost nie chce się uwierzyć!

— Och, mister Edwin był zawsze bardzo ekscentryczny i można się było po nim wszystkiego spodziewać — wtrącił kapitan.

— Tak, wszystkiego, ale nie tego, proszę pana! Wiedzieliśmy, że lubił wałęsać się po całych Stanach ze strzelbą, ale namiętność myśliwska przy jego doświadczeniu i ostrożności nie groziła mu nigdy takim niebezpieczeństwem jak to szalone wprost przedsięwzięcie. Bo powiedz pan sam, panie Bolton, czy to nie graniczy z szaleństwem puszczać się jakąś maszyną latającą w towarzystwie nieznanym ludzi, którym życie widocznie się sprzykrzyło, albo i aferzystów?...

— Nie sądzę bynajmniej, żeby ów wynalazca był aferzystą — odparł kapitan. — Jest to po prostu człowiek opętany manią wynalazczą, tak niestety dziś rozpowszechnioną, człowiek uczciwy, ale...

— Kto wie, może pan masz słuszość, ale niechby sobie sam nadstawiał karku! Po co namawiać na podobnie niedorzeczne podróże ludzi, którzy nigdy nie zajmowali się tymi rzeczami? I to jeszcze ludzi młodych, bogatych, kochanych! Boże, co my się namartwimy z powodu tego Edwina! Ojciec, chociaż zajęty swoimi sprawami, nie może o nim zapomnieć, a ta ostatnia historia rozgoryczyła go do reszty. Czy to prawda, proszę pana, że ów wynalazca wybiera się w podróż naokoło świata na swym samolocie? Ojciec mi o tym pisał, ale nie mogłam uwierzyć.

¹⁰³kozetka — niewielka, dwuosobowa kanapa z oparciami, zwykle nierozkładana. [przypis edytorski]

— Oto dowód, że ojciec pani, miss Ewo, miał jak najdokładniejsze informacje! — odparł Bolton, podając pannie parę świeżych dzienników.

Piękna miss Ewa przerzuciła gazety i oczy jej, głębokie, czarne jak u Kreolki¹⁰⁴, zatrzymały się na ustępach zaznaczonych czerwonym atramentem.

Były to depesze z Kanady, donoszące o tym, że widziano tam w wielu miejscach samolot kierujący się na północny zachód.

— Mój Boże, więc to prawda! — jęknęła miss Ewa. — I my nie jesteśmy w stanie zapobiec temu?...

— Właśnie mamy zamiar spróbować...

— Nie zdążymy!

— Kto wie? Jeżeli ich jaka przeszkoda powstrzyma w drodze, to zjawić się możemy w porę.

— Ojciec jak na złość spóźnia się. Panie Bolton, jak pan sądzi, czy nie byłoby lepiej nie czekać na ojca i zaraz, bezzwłocznie, podnieść kotwicę? Niech pan to weźmie na swoją odpowiedzialność, błagam pana!

Z tymi słowy panna złożyła jak do modlitwy ręce przed Boltonem i wpatrywała się weń oczyma, w których zakręciły się łzy.

Młody marynarz zarumienił się pod tym spojrzeniem.

— Czy pani nie wie, że ja na jedno słowo pani gotów jestem uczynić wszystko, nawet to, co mogłoby ściągnąć na mnie gniew ojca pani, ba, gorsze wreszcie następstwa?! Idę więc dać rozkaz! Para jest, za pół godziny odpłyniemy.

— Ale dokąd? — jęknęła z rozpaczą miss Ewa.

— Dokąd pani rozkaże! — odparł Bolton, kłaniając się.

— Boże! Właśnie że ja nie wiem dokąd! Ale to pan powinienes wiedzieć! Od czego jesteś kapitanem okrętu?

— Tak, pani, domyślam się, ale domysł nie równa się pewności. O ile mi się zdaje, podróżni kierują się ku Cieśninie Beringa, zamierzając przepłynąć przez morze do Azji. Zresztą kto to zgadnie? Może się mylę? Jeżeli są oni tak zuchwali, że chcą odbyć podróż naokoło świata, to mogą równie dobrze przepłynąć się bardziej na południe albo na północ od tego punktu.

— Tak, ma pan słuszość; po nich można się spodziewać największych szaleństw. Przecież i na balonach trudno jest przelecieć nad morzem, a jakież porównanie między balonem, starym, wypróbowanym wynalazkiem, a jakimś ptakiem mechanicznym, który może się łatwo popsuć!

Nastała chwila milczenia, podczas której Bolton nie spuszczał zachwyconych oczu z miss Ewy.

Wreszcie młody marynarz odwrócił się i chciał wyjść z kajuty, a przynajmniej udał, że wychodzi.

— Co pan chce zrobić?! — zawołała panna.

— Każę podnieść kotwicę.

Miss Ewa uśmiechnęła się z widocznym zadowoleniem.

— Jeszcze poczekamy jedną dobę na ojca. Ale daję słowo, na dłużej nie starczy mi cierpliwości! Mój Boże, brat łada chwila może przypłacić życiem to swoje wariackie latanie po obłokach.

Piękna panna przechadzała się nerwowo po kajucie, zatrzymując się często przed lustrem i poprawiając instynktownie włosy.

— Proszę pana — rzekła po chwili milczenia, patrząc z ukosa na kapitana Boltona.

— Jestem do usług! — odparł marynarz, kłaniając się.

— Jak najszybciej możemy płynąć na „Złotej Strzale”?

— Trzydzieści węzłów przy dobrej prędkości¹⁰⁵ pary.

— To ile dni potrzebujemy, żeby dostać się do Cieśniny Beringa?

¹⁰⁴Kreole — początkowo nazwa używana na określenie potomków Europejczyków, którzy urodzili się w Ameryce Łacińskiej lub na południu Stanów Zjednoczonych i nie mieli przodków wśród rdzennej społeczności. Później termin ten zaczął obejmować również potomków rodzin mieszanych. [przypis edytorski]

¹⁰⁵prędkość — ciśnienie. [przypis edytorski]

— To się dokładnie nie da obliczyć. Mamy do przepłynięcia dwa tysiące mil morskich¹⁰⁶, biorąc w przybliżeniu. Płynąc zaś dzień i noc bez przerwy, przy sprzyjającej pogodzie, będziemy robili osiemset mil na dobę, to znaczy, że ostatecznie można by stanąć w Cieśninie Beringa za trzy dni!

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że na dalekiej północy żegluga nie jest bardzo pewna, że burza albo silny wiatr to zjawiska pospolite na tych szerokościach. Licząc się z trudnościami, dołożymy jeszcze jedną dobę.

— Widzę z tego, że za tydzień dopiero zarzucimy kotwicę.

— Tak sądzę!

— A jeżeli oni nas uprzedzą i będą tak nierozsądni, że się zapuszczą ponad ocean?

— Hm!... W takim razie spóźnimy się!

— Pan jest niedobry, bardzo niedobry! Niech pan nie zapomina, że tu idzie o mojego brata, o Edwina!

— Są przeszkody, których nie przezwycięży nawet...

Kapitan uciął i spuścił oczy.

— Nawet?... Mów pan, kapitanie!

— Nawet... największe, najpotężniejsze uczucie — dodał cicho Bolton.

Piękna miss nic nie odpowiedziała, tylko załamała ręce nieco teatralnym gestem.

— Jeżeli przyjdzie depesza...

— Będzie ją pani czytała w tej samej chwili...

— Do widzenia, kapitanie, a wieczorem zdaj mi raport, czy wszystko w porządku!

Młody kapitan zasalutował po wojskowemu i opuścił kajutę.

Na „Złotej Strzale” wszystko, jak powiedzieliśmy, znajdowało się w stanie podnieconego oczekiwania.

Załoga, poczynając od oficerów i inżynierów, a kończąc na palaczach, od trzech dni nie opuszczała statku, gotowego na pierwsze skinienie wypłynąć z portu. Nie brakowało niczego.

O północy przysła druga depesza iskrowa, którą kapitan posłał niezwłocznie córce milionera.

Mister Hinton donosił, że przybędzie na czas, i raz jeszcze kładł nacisk na to, żeby wyruszyć natychmiast po jego wstąpieniu na pokład.

Istotnie, zjawił się punktualnie. Zaledwie noga jego dotknęła trapu, rozległ się sygnał, potem turkot windy parowej, która ze zgrzytem podnosiła kotwicę z dna morskiego.

Kapitan zbliżył się do przybyłego i zraportował:

— Na pokładzie „Złotej Strzały” wszystko w porządku! Stosownie do rozkazu, podnosimy kotwicę.

Milioner, czując kołysanie statku i słysząc charakterystyczny turkot kołowrotów i łańcuchów, kiwnął głową zadowolony.

— Jesteś pan człowiekiem punktualnym. Dziękuję panu.

Podał kapitanowi dłoń, którą ten skwapliwie uściśnął.

Uśmiech błogości rozlał się po licach młodego marynarza, który wiedział, że to, co usłyszał, było w ustach milionera największą bodaj pochwałą.

Tak, bo Hinton był znanym pedantem, który nienawidził ludzi niedotrzymujących terminu, spóźniających się, niesłownych; otaczał zaś wielkim szacunkiem tych, którzy potrafili spełniać swoje obowiązki bez względu na trudności.

A kapitanowi Boltonowi, jak się domyślamy, bardzo zależało na opinii milionera, którego majątek szacowano na sto czy więcej milionów dolarów.

Nie upłynął więc kwadrans od chwili, w której mister Hinton znalazł się na „Złotej Strzale”, kiedy ta, popychana swymi turbinami o sile dziesięciu tysięcy koni mechanicznych, pomknęła pomiędzy okrętami stojącymi w porcie i w godzinę potem znajdowała się już na otwartym morzu, pozostawiając na północy wyspę Vancouver¹⁰⁷.

Milioner przywitał się serdecznie z córką, która rzuciła mu się na szyję.

¹⁰⁶*mila morska* — jednostka odległości używana w nawigacji morskiej i powietrznej, odpowiada 1852 metrom. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Vancouver* — tu: kanadyjska wyspa na Oceanie Spokojnym, oddalona od miasta Vancouver (leżącego na wybrzeżu) o ok. 60 km na zachód. [przypis edytorski]

— Jak to dobrze, że nareszcie przybywasz, ojczule! — zawołała miss Ewa. — Gdybyś nie był przyjechał w porę, podnieśliśmy bez ciebie kotwicę.

— I zupełnie słusznie! — rzekł Hinton. — Jeżeli idzie o ważne rzeczy, opieszczałców należy pozostawiać i nie liczyć się z nimi.

— Czy jest nadzieja, że zdążymy? — pytała trwożnie miss Ewa, tuląc się do ojca.

— Mam dobre nowiny — odparł milioner. — Doniesiono mi, że samolot tych wariatów nie pokazał się w przeciągu całego tygodnia. Przynajmniej nikt go nie widział w Kanadzie środkowej. Dowód to, że jakaś przeszkoda musiała ich w drodze zatrzymać.

— A może ulegli jakiemuś nieszczęśliwemu wypadkowi?

Milioner zamyślił się.

— To bardzo prawdopodobne, niestety! Ale nie przypuszczajmy najgorszych rzeczy. Patrzcie, oto depesze, które mi nadesłali moi korespondenci.

Z tymi słowy milioner rzucił garść papierów na stół i miss Ewa zaczęła je chciwie czytać.

— Widziano ich w Manitobie w pobliżu miasta Winnipeg, a potem w prowincji Alberta! Jakże szybko lecą!... W ciągu dwóch dni dostrzeżono ich w punktach odległych o dwa tysiące kilometrów. Hm! To znaczy, że ta ich maszyna latająca nie jest znowu takim humbugiem¹⁰⁸, jak sądziłam. Leci szybciej aniżeli pociąg pośpieszny!

— Daleko prędzej, moje dziecko! — odparł Hinton. — Jak ja obliczałem, robią oni czasami do tysiąca pięciuset kilometrów na dobę, a przecież w nocy nie lecą...

— Kto wie?... Po Edwinie...

— Można się wszystkiego spodziewać, chciałeś pewnie powiedzieć, moja Ewuniu, nieprawdaż? I masz słuszość. Ten chłopiec jest dzielnym wariatem, ale na nieszczęście wariatem, i niczym więcej. Mój Boże, gdyby ten bzik, zamiast włóczyć się po świecie nie wiadomo po co, zechciał wziąć się do uczciwej pracy, to zajęłaby już znacznie dalej niż nawet na tym ptaku mechanicznym! Ma energię, spryt, stanowczość, brak mu tylko pracowitości. Zrobiłbym go swoim plenipotentem, oddałbym mu pod zarząd zakłady metalowe w Chicago albo inne fabryki, zamiast powierzać je obcym. On przy swoich zdolnościach łatwo by u mnie zarobił sto tysięcy dolarów rocznie! Co ja mówię?! Podwyższyłbym mu niezadługo pensję do stu dwudziestu tysięcy dolarów, jeśli tylko chciał się wziąć energicznie do roboty.

— Przecież Edwin mógłby sam coś przedsięwziąć, proszę ojca.

— To prawda! Ale cóż o tym gadać, kiedy Edwin ma najwyraźniejszego bzika, jakąś manię włóczęgowską, która mnie doprowadzała do rozpacz, póki się z tym nie pogodziłem.

Nastąpiła chwila milczenia. Milioner, wzburzony, przechadzał się po eleganckiej kajucie swej córki.

Nagle zatrzymał się i uderzył pięścią w stół.

Ewa spojrzała na ojca z niepokojem.

— Czy ty wiesz — zagadnął milioner — ile Edwin wydał na tę całą awanturę, z której teraz musimy go wydobyć?

— Pewnie kilkanaście tysięcy dolarów.

— Co, kilkanaście tysięcy? Żartujesz sobie chyba, moje dziecko?! Jak się dowiedziałem od dyrektora banku, gdzie ma złożone swoje kapitały osobiste po matce, podniósł¹⁰⁹ on ni mniej, ni więcej, tylko dwieście tysięcy dolarów, z których na pewno nie pozostało ani śladu.

Ewa uśmiechnęła się.

— No, cóż w tym złego? Ma przecież prawo wydawać swoje pieniądze.

— Nie odmawiam mu tego prawa, ale zważ, moja droga, że te pieniądze poszły na zadośćuczynienie kapryswi, niebezpiecznej zachciance, z której nikomu nic nie przyjdzie! Organizacja tej szalonej podróży pochłonie jeszcze większe sumy! I pomyśleć, że ja, Hinton, rozpoczynałem swoją karierę z dziesięcioma dolarami w kieszeni, gdy mój syn, mając milion, do niczego nie dojdzie!

¹⁰⁸humbug — sprawa lub produkt agresywnie reklamowane jako coś doskonałego, co po jakimś czasie okazuje się oszustwem. [przypis edytorski]

¹⁰⁹podnieść — tu: wypłacić (o sumie pieniędzy). [przypis edytorski]

— Nie wiadomo jeszcze! — zaprotestowała miss Ewa, stając w obronie brata, którego bardzo kochała.

— A ja ci powiadam, że do niczego! Bo kto zaczyna od takich szaleństw...

— Przecież sam powiedziałeś, ojcze, że ich maszyna lata doskonale...

— Ależ to nie jego maszyna, tylko cudza!

— Może zawarli spółkę?

— Zrobi interes, jeżeli zaasekuruje¹¹⁰ na kilkaset tysięcy dolarów tego wariata, który z nim polecał.

— Ależ, ojcze!

Stary Hinton, miotany oburzeniem, wybiegł z kajuty córki, usiadł w swojej, urządzonej jak najwygodniejszy gabinet do pracy, i zaczął pisać depesze, które natychmiast wysyłała w przestrzeń stacja telegrafu znajdująca się na pokładzie.

W ten sposób, dzięki nieporównanemu wynalazkowi telegrafu bez drutu¹¹¹, milioner znajdował się ciągle w kontakcie ze światem, ba, nawet giełda przysyłała mu co dzień sprawozdania z kursów.

Bogacz korzystał doskonale z wynalazku. W parę godzin bowiem po przybyciu na pokład, otrzymawszy doniesienie, że akcje towarzystwa konkurencyjnego spadły skutkiem jego manewrów na giełdzie nowojorskiej, wysłał zlecenie swoim bankierom, ażeby kupili papierów tych na sumę dwustu tysięcy dolarów, a nawet, w razie utrzymania się niskiego kursu, za czterysta tysięcy.

W sześć godzin potem przyszła depesza, że papiery kupiono po niskim kursie. Milioner zatarł ręce i pobiegł do córki.

— Doskonale można pracować tutaj dzięki stacji iskrowej, którą sobie niedawno zaprowadziłem! — zawołał. — Przepyszny wynalazek! Czy wiesz, kochana Ewo, że akcje Iron Company spadły na łeb, na szyję w ciągu ostatniego tygodnia? Moje zabiegi powiodły się znakomicie. Kazałem właśnie nabyć te papiery i zarobiłem na nich sześćdziesiąt tysięcy, tutaj, na pokładzie!

Uśmiechnął się z zadowoleniem i usiadł koło córki, patrząc jej w oczy.

— Tutaj? — powtórzyła Ewa. — Jak to dobrze, mój ojcze, że możesz pracować, a jednocześnie wypoczywać, być na morzu, oddychać świeżym powietrzem, zamiast dusić się w wielkim mieście. Dobrze robisz, że korzystasz z najnowszych wynalazków. A jednak nie doceniasz wszystkich zdobyczy techniki.

— Jak to?... Nie możesz mi czegoś podobnego zarzucić... Przecież zaprowadziłem turbiny na „Złotej Strzale”, żeby powiększyć jej szybkość, posiadam swoje wagony na głównych stacjach kolejowych, sprawiłem sobie samochód, który robi sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, mam na jachcie stację telegrafu bez drutu, słowem: zaprowadzam wszystko, co tylko może oszczędzić czasu i trudu. Tylko w ten sposób człowiek dwudziestego wieku potrafi podołać wytężonej pracy, której inaczej nie zniosłyby jego nerwy.

— A jednak odrzucasz bez rozpatrzenia maszynę, która leci w tej chwili z Edwinem w przestworzach z szybkością dwustu i więcej kilometrów na godzinę.

— Ależ, moje dziecko, ty też niedawno wyrażałaś się tak samo jak ja o tych „latawach”!

— Tak, ale widzę teraz, że się pomyliłam, że jest to wielki wynalazek, większy może nawet niż samochody i telegraf bez drutu.

— Nie, nie, nie przedstawia on potrzebnego dla solidnych ludzi bezpieczeństwa! Nigdy w życiu nie powierzyłbym swojej osoby maszynie latającej, która może lada chwila spaść i roztrzaskać się w kawałki! No, ale i mniejsza o to! Nie mam czasu sprzeczać się z tobą. Muszę posłać jeszcze kilka zleceń, korzystając z tego, że moje urządzenie telegraficzne działa. Niebawem odległość pomiędzy „Złotą Strzałą” a lądem tak bardzo się powiększy, że fale elektryczne nie będą mogły już dolatywać do niego. Więc trzeba się śpieszyć.

¹¹⁰zaasekurować — ubezpieczyć. [przypis edytorski]

¹¹¹telegraf bez drutu — w odróżnieniu do pierwszych telegrafów, korzystających z sieci kablowej, telegraf bez drutu (też: telegraf bezprzewodowy) wykorzystywał fale radiowe. Pierwszy prototyp został skonstruowany przez polskiego inżyniera Juliana Ochrowicza w 1903 r. [przypis edytorski]

„Złota Strzała” pędziła bez wytchnienia po Oceanie Spokojnym, parta potężną siłą swych turbin parowych, i zbliżała się coraz bardziej do miejsca, gdzie stykają się dwa światy — Stary i Nowy, przedzielone cieśniną noszącą nazwę sławnego podróżnika Beringa, który zginął na wybrzeżu Kamczatki, przysypany piaskiem w jaskini, gdzie go towarzysze, ciężko chorego, złożyli na wypoczynek.

Mister Hinton, jadąc, pracował istotnie bez wytchnienia pomimo protestów córki. Dopiero kiedy mu powiedziano, że „Złota Strzała” zbliża się do cieśniny, porzucił swój pływający gabinet i przeniósł się pomimo chłodu na pokład, ażeby przypatrywać się pierwszym krom pędzonym z dalekiej północy. Półwysep Alaska i ciągnące się długim łańcuchem ku zachodowi Wyspy Aleuckie¹¹² znajdowały się już poza statkiem, który kołysał się z wolna na ciężkich falach Morza Beringa¹¹³.

Aż dotychczas pogoda była bardzo piękna i to do pewnego stopnia niepokoiło milionera.

— Jeżeli wiatr będzie im sprzyjał, to przelecą cieśninę bez przeszkody — rzekł stary Hinton do córki. — W takim zaś razie nie zdołamy się z nimi spotkać.

— Kapitan Bolton zapowiada znaczny spadek ciśnienia.

— To dobrze, to bardzo dobrze! Pragnąłbym, żeby nawet wybuchnęła nawałnica, nic bowiem innego nie zdołałoby ich powstrzymać.

W trzy dni po opuszczeniu portu ukazała się na widnokręgu wielka Wyspa Świętego Wawrzyńca¹¹⁴ zagradzając swym potężnym, skalistym cielskim wejście do szerokiej cieśniny.

Od tej chwili należało zdwoić uważność. Wszystko przemawiało za tym, że samolot znajdował się w pobliżu cieśniny. Umieszczono na szczycie masztu marynarza obdarzonego sokolim wzrokiem, na drugim maszcie osadzono porucznika z lunetą morską i kazano im uważnie śledzić sklepienie niebieskie i dać znać umówionym sygnałem, skoro tylko ukaże się ptak olbrzymi.

W salonie siedział mister Hinton, pochylony nad kartą¹¹⁵, i odbywał ważną naradę z córką i kapitanem Boltonem.

— Jak pan sądzi, w którym miejscu ci „latawcy” mogą się przeprawić? — zagadnął marynarza.

— Nie jestem żeglarzem powietrznym, nie potrafię więc tego odgadnąć.

— To bardzo dobrze, że nie wydajesz pan sądu zbyt pośpiesznie. Tak należy zawsze postępować w wątpliwych wypadkach. Jeżeli jednak rzucić domysł, który może się wydać słusznym, to samolot powinien przeprawić się przez morze w najwęższym miejscu cieśniny, zatem pomiędzy Przylądkiem Dieżniowa¹¹⁶, uważanym za najbardziej wysunięty ku wschodowi kraniec lądu azjatyckiego, a Przylądkiem Księcia Walii¹¹⁷, stanowiącym zachodni skraj Ameryki. Cieśnina nie ma w tych okolicach więcej niż kilkadziesiąt mil morskich szerokości¹¹⁸. Jak mi się jednak zdaje, ci wariaci wcale się tędy nie przeprawiają.

— Dlaczego, proszę ojca? — zagadnęła miss Ewa.

— Dla tej prostej przyczyny, że obawiają się spotkania.

— Z kimże to? — zagadnęła Ewa. — Mnie opowiadano, że tutaj, oprócz wielorybików, trudno spotkać kogokolwiek.

— Ba, nie w tym rzecz! — zawołał milioner, śmiejąc się. — Oni lękają się prawdopodobnie ciekawskich. Przecież wiadomo im chyba, że ich podpatrzono. To wystarcza.

— Tak, i dlatego mogą szukać przeprawy właśnie tam, gdzie ich nie oczekują.

¹¹²Wyspy Aleuckie — archipeląg w północnej części Oceanu Spokojnego, między półwyspem Alaska a Półwyspem Czukockim (administracyjnie należący do Stanów Zjednoczonych). [przypis edytorski]

¹¹³Morze Beringa — akwen w północnej części Oceanu Spokojnego, oddzielony od jego głównej części łańcuchem Wysp Aleuckich. [przypis edytorski]

¹¹⁴Wyspa Świętego Wawrzyńca — wyspa na Oceanie Spokojnym, leżąca na południe od Cieśniny Beringa pomiędzy Alaską a Półwyspem Czukockim (administracyjnie należy do Stanów Zjednoczonych). [przypis edytorski]

¹¹⁵karta (daw.) — mapa. [przypis edytorski]

¹¹⁶Przylądek Dieżniowa — przylądek leżący na wschodnim krańcu Półwyspu Czukockiego w granicach Rosji kontynentalnej. [przypis edytorski]

¹¹⁷Przylądek Księcia Walii — przylądek na wschodnim wybrzeżu Alaski. [przypis edytorski]

¹¹⁸Cieśnina nie ma w tych okolicach więcej niż kilkadziesiąt mil morskich szerokości — 45,3 Mm (84 km). [przypis edytorski]

Przypuszczenie Hintona sprawdziło się nieledwie¹¹⁹ natychmiast. Jeszcze bowiem trwała narada w salonie „Złotej Strzały”, kiedy dano znać, że jakiś statek ukazał się na wschodzie.

Był to duży parowiec pasażerski amerykańskiego pochodzenia, powiewała bowiem na jego maszcie gwiazdzista flaga Stanów Zjednoczonych. Parowiec ten zdążył także całą siłą pary ku Cieśninie Beringa.

— Spróbuj mu pan posłać depezę iskrową — rzekł milioner, przypatrzawszy się przez lunetę nieznanemu statkowi.

Rozkaz wykonano natychmiast, ale odpowiedzi nie było. Najwidoczniej parowiec nie miał na swoim pokładzie urządzeń telegraficznych. Zbliżono się więc jeszcze bardziej i zapytano o cel podróży za pomocą zwyczajnych sygnałów chorągiewkowych¹²⁰, które są tak dokładne, że wszystko da się nimi wyrazić.

„Płyniemy do Cieśniny Beringa” — odpowiedziano.

— A co?... Nie mówiłem?! — zawołał milioner. — Oni na pewno wiozą gapiów.

„Cel podróży?” — pytano ze „Złotej Strzały”.

„Przejażdżka turystyczna na morze polarne”.

— Doskonale! Trzeba im błagować, że mamy na swoim pokładzie wyprawę naukową — radził Hinton.

Tak się też stało.

„Złota Strzała” płynęła teraz ku lądowi Ameryki, starając się zbliżyć jak najbardziej ku łańcuchowi niskich wzgórz.

Kraj był na ogół płaski. Wielka równina polarna spadała tutaj ku oceanowi; gdzieś tam tylko na powierzchni tej niziny ukazywały się nagie pagórki. Na nie zwracano szczególniejszą uwagę.

W ten sposób, śledząc wybrzeża pustynne i niebo, które zaczynało się zachmurzać, posuwano się coraz wolniej...

„Złota Strzała” znalazła się pod wieczór naprzeciwko ujścia rzeki Jukon do morza, a skoro zapadły ciemności, postanowiono zarzucić kotwicę o parę mil od lądu.

Noc spędzono niespokojnie. Oficerowie czuwali, kotły były pod parą, ażeby w razie silnego wiatru albo jakiegoś alarmu znowu rozpocząć przerwana podróż.

Słońce wzeszło poza mglistą zasłoną, ale w parę godzin potem rozjaśniło się i wstał prześliczny poranek letni. Wybrzeża było widać jak na dłoni. Płynięto o dwie mile zaledwie od brzegu. Nie ograniczono się jednak do tego, ale spuszczone szalupę wyścigową Hinton, zaopatrzoną w motor stukonny. Do łodzi wsiadł sam mister Hinton z miss Ewą. Na tym szybkim stateczku, który w biegu pozostawić za sobą potrafił nawet turbinową „Złotą Strzałę”, milioner zbliżył się jeszcze bardziej do niskich wybrzeży. Przetrzęsano wszystkie wysepki, wszystkie wzgórza, szukając jakiegokolwiek bądź śladu żeglarzy napowietrznych.

W ciągu dnia zrobiono trzysta dwadzieścia mil morskich i pod wieczór, kiedy połączono się z jachtem, ten znajdował się już u samego wejścia do właściwej Cieśniny Beringa.

Przez całą noc, korzystając z pięknej pogody, „Złota Strzała” krążyła po cieśninie. Z pokładu obserwowano w dalszym ciągu niebo, ale na jego ciemnobłękitnym tle nie dostrzeżono nic. Nie spodziewano się zresztą ujrzeć samolotu, nikt bowiem nie wierzył w to, żeby żeglarze napowietrzni posunęli tak dalece swoją śmiałość i chcieli przeprawić się przez morze po ciemku.

Skoro się tylko rozwidniło, jacht zaczął znów swoje poszukiwania. Mijały jednak godziny jedna za drugą, a nic nie zauważono. Milioner zaczynał już tracić nadzieję.

— Przelecieli gdzie indziej — rzekł do kapitana Boltana — a my tu niepotrzebnie czas tracimy.

— Można jeszcze czekać, proszę pana?

¹¹⁹nielewkie (daw.) — prawie. [przypis edytorski]

¹²⁰sygnały chorągiewkowe — też: kod flagowy, system komunikacji przy pomocy chorągiewek, z których każda odpowiada jednej literze alfabetu lub jednej cyfrze. W kodzie istnieje kilka komunikatów podstawowych (złożonych z jednej, dwóch lub trzech chorągiewek) i możliwość ułożenia dowolnego przekazu w jakimkolwiek języku (metodą „litera po literze”). Kod jest jednym z elementów Międzynarodowego Kodu Sygnałowego. [przypis edytorski]

— Najwyżej dwa dni. Jeżeli przez ten czas nie odnajdziemy tych półgłówków, to wracam do domu, bo interesy nie pozwalają mi na takie marnotrawstwo czasu.

„Złota Strzała” przez owe dwa dni pełniła swoje zadanie bardzo sumiennie. Zaglądano do wszystkich zatok, wysadzano nawet marynarzy na ląd, ażeby szukali w okolicy śladów samolotu. Wszystko to jednak na nic się nie zdało.

Trzeciego dnia rano Hinton wydał rozkaz i „Złota Strzała” zaczęła płynąć we wskazanym przez milionera kierunku. Niebawem ukazała się Wyspa Świętego Wawrzyńca, jacht opuszczał więc Cieśninę Beringa i wkrótce miał żeglować po otwartym morzu.

Nagle jednak z masztu, gdzie siedział marynarz, rozległ się umówiony sygnał. Wszyscy wiedzieli, że okrzyk strażnika oznacza: „Samolot w powietrzu!” Nic więc dziwnego, że zelektryzował on wszystkich. Miss Ewa wypadła na pokład, zarzuciwszy na siebie płaszcz, mister Hinton odłożył swoje papiery i wybiegł na mostek kapitański.

— Gdzie, gdzie? — pytano zewsząd.

Przez chwilę nie było nic widać; dopiero kiedy marynarz z bocianiego gniazda określił kierunek, dostrzeżono przez lunety na niebie białozółtą plamkę, która zwiększała się szybko i wkrótce przybrała postać samolotu.

Mister Hinton rozkazał wywiesić na maszcie swoją flagę.

— Poznają ją stamtąd! — rzekł.

Wszyscy, nie wyłączając wolnych palaczy i smarowników, kucharza i posługaczy, wylegli na pomost.

— Całą siłą pary! — zakomenderował milioner.

Kapitan Bolton, który bacznie obserwował przez silną lunetę samolot znajdujący się na wysokości przynajmniej trzech tysięcy metrów, zauważył, że wielki ptak, zamiast posuwać się poziomo, wyraźnie zniża swój lot, i to w bardzo szybkim tempie.

„Zauważyli nas!” — pomyślał kapitan i podał lunetę staremu Hintonowi.

— Ależ oni spadają najwyraźniej! — zawołał milioner.

Ushłyszawszy te słowa, Ewa z płaczem przytuliła się do ramienia ojca.

— Albo też zamierzają się spuścić na powierzchnię morza — dodał Bolton.

Z najwyższym niepokojem śledzono manewry samolotu. Już można go było doskonale obserwować gołym okiem. Wielki ptak pikował, ześlizgując się po mocno pochyłej linii spod obłoków. Niebawem znajdował się o tysiąc metrów zaledwie od jachtu w prostopadłej linii.

— Motory nie funkcjonują! — zawołał Bolton.

Nadstawiono uszu, ale z góry nie dolatywał charakterystyczny grzmot silnika.

„Złota Strzała” płynęła w ten sposób, żeby znaleźć się jak najbliżej mechanicznego ptaka w chwili, kiedy ten dotknie powierzchni oceanu.

— Spadają, spadają! — rozległy się głosy.

Nie podobna było wątpić dłużej, że jakaś przygoda spotkała żeglarzy napowietrznych, zmuszając ich do ryzykownego szukania oparcia na falach, które skutkiem silnego wiatru toczyły pienne swe grzbiety z ponurym szumem.

Najwyższy niepokój ogarnął nie tylko Ewę i starego Hintona, ale całą załogę jachtu.

Kiedy więc samolot zniżył się tak bardzo, że niemal dotykał potężnymi skrzydłami wierzchołków bałwanów, na pokładzie rozległ się ogólny okrzyk przerażenia.

XI.

CHYBIONA PRZEPRAWA

Ludzi i ich energię poznaje się w takich właśnie chwilach jak ta, która nastąpiła po katastrofie. Panna Ewa, nieprzytomna, biegała po pokładzie, potem przypadła do ojca i z głośnym płaczem rzuciła mu się na piersi.

— Edwin! Edwin! — szlochała.

Ale mister Hinton nie należał do mazgajów ani do niedołęgów. Odrzącił łagodnie, lecz stanowczo córkę i pędem pobiegł na przód statku.

— Szalupę motorową na wodę! — krzyknął.

Ale zauważył, że szalupa już się kołysała w powietrzu na łańcuchach. Kapitan Bolton był jeszcze przytomniejszy i szybszy w swych postanowieniach aniżeli milioner.

W jednej chwili wskoczył do łodzi, a za nim dwóch marynarzy, którzy znajdowali się najbliżej. Nie upłynęły dwie minuty, kiedy szybka szalupa pomknęła jak strzała w kierunku, gdzie samolot zniknął sprzed oczu patrzących.

Stojący na pokładzie szalupy milioner widział dokładnie skrzydła samolotu walczącego z falą. Drżał z obawy, że sztuczny ptak lada chwila pograży się w odmętach. Jakież więc było jego zdziwienie, kiedy zbliżywszy się, zauważył, że ten unosi się lekko na fali dzięki dwóm długim, szczelnie zamkniętym pływakom.

Na przedniej części gondoli stał jakiś człowiek, dając znak motorówce, żeby się nie zbliżała nadmiernie.

Bolton jednak nie zwracał uwagi na gesty lotnika. Wówczas stała się rzecz dziwna, gdyż śmigło zaczęło się obracać i samolot, ślizgając się po powierzchni fal, powoli oddalił się od marynarzy.

Milioner zaklął.

Potem, natężywszy piersi, wyrzucił z nich tak potężny okrzyk, że ten zagłuszył szum bałwanów i łoskot motoru.

— Edwinie, Edwinie!

W odpowiedzi na to z kajuty wyskoczył młody Hinton i nachyliwszy się do pilota, powiedział mu parę słów do ucha. Równocześnie z okienka kajuty wychyliła się ku zdumieniu milionera główka młodej kobiety.

Wielki ptak mechaniczny zatrzymał się, pozwalając motorówce podpłynąć na odległość kilkunastu metrów.

— Jakim cudem znalazłeś się, ojczu, tutaj właśnie w chwili, kiedy zmuszeni byliśmy opuścić się na morze? To nadzwyczajne! — zawołał Edwin.

— Czekałem na ciebie w Cieśninie Beringa! — odparł z zadowoleniem milioner.

— Skądże się dowiedziałeś, że będziemy tędy lecieli? — pytał zainteresowany młodzieniec.

— Z dzienników, mój chłopcze.

— Z dzienników?

— Wszyscy zajmują się waszym wariackim przedsięwzięciem. Niedawno spotkaliśmy parowiec wiozący parę setek ciekawych, którzy chcą na własne oczy zobaczyć szaleńców odbywających podróż naokoło świata samolotem.

— Więc nie dało się zachować tajemnicy?! — jęknął Edwin.

— Czy cokolwiek zdoła się ukryć przed okiem amerykańskiego reportera? — uśmiechnął się milioner. — No, ale zaproponuj swoim towarzyszom, żeby opuścili nareszcie swoją łupinę, którą fala lada chwila może przewrócić. Zabieram was wszystkich na pokład „Złotej Strzały”. Bóg otacza wyraźnie swoją opieką naiwne dzieci zrywające kwiaty nad przepaścią.

— Zaproponuję im to, choć mocno wątpię, czy się zgodzą — odparł Edwin. — Nie zapominaj, kochany ojczu, że nie jesteśmy bynajmniej rozbitkami potrzebującymi pomocy. Ot, jakaś drobna niedokładność w działaniu motoru zmusiła nas do opuszczenia się na morze, ale niebawem udamy się w dalszą drogę.

— Nie przeszkadza to jednak przyjąć zaproszenia.

Edwin powtórzył towarzyszom swoją rozmowę z ojcem. Airman nie chciał z początku nawet słuchać o przerwie w podróży, ale wreszcie dał się na to namówić.

Umówiono się więc, że jacht zarzuci kotwicę u najbliższej wyspy, której sylwetka rysowała się na widnokręgu, samolot wylądował tamże i naprawiwszy swój motor, puścił się w dalszą podróż.

Okazało się jednak, że motor nie jest bynajmniej uszkodzony. Nills zabrał się rażno do dzieła i w godzinę samolot znajdował się już w doskonałym stanie.

— Możemy lecieć! — rzekł Airman.

Niebawem „Kondor” majestatycznie wzniósł się pod obłoki, wprost z powierzchni oceanu, budząc zachwyt załogi. Równocześnie ruszył jacht.

Gdy „Złota Strzała” zbliżała się do umówionej wyspy, z daleka już dojrzano z pokładu jachtu kołyszącego się lekko na fali „Kondora”. Wkrótce potem jego twórca postawił nogę na pokładzie jachtu, którego załoga, ze starym Hintonem na czele, zgotowała mu owacyjne przyjęcie.

Podróż

Podczas gdy załoga jachtu przypatrywała się z najwyższym zajęciem samolotowi, leżącemu, jak wielki ptak wodny, na zwierciadlanej powierzchni zatoki, żeglarze napowietrzni zebrali się w zbytkownie urządzonej sali jadalnej. Za stołem, pięknie przybranym na cześć gości, główne miejsce zajmowała Edyta, a obok niej usadowiła się miss Ewa, której niesłuchanie zaimponowała powabna siostrzyczka wynalazcy.

Edwin musiał opowiadać szczegółowo swoje przygody ojcu, który coraz bardziej interesował się żegluga napowietrzną.

— Więc motor funkcjonował bez zarzutu dotychczas? — pytał Bolton, którego zajęła techniczna strona wynalazku.

— Doskonale! Czekaliśmy na wybrzeżu dwa dni, podczas których sprawdziliśmy silnik. Jerzy postanowił przebyć morze jednym skokiem. Wzniesiliśmy się więc do dziesięciu tysięcy metrów, żeby w rozrzedzonej atmosferze osiągnąć maksymalną szybkość, to znaczy czterysta kilometrów na godzinę.

— Czterysta kilometrów! — wykrzyknął zdziwiony milioner.

— Tyle osiągnęliśmy podczas próbnego lotu, ojczu. Moglibyśmy więc przebyć cieśninę w godzinę, gdyby nie to, że specjalne urządzenie motoru, które pozwala wznosić się na duże wysokości, odmówiło posłuszeństwa, zaczęliśmy więc opuszczać się szybko lotem ślizgającym. I oto dlaczego nasz „Kondor”, naśladując ptaka wodnego, spoczął na powierzchni oceanu.

— Teraz rozumiem, dlaczego przez dłuższy czas daremnie wypatrywałem was w obłokach — rzekł stary Hinton.

— Jerzy rozebrał na części motor, żeby go sumiennie zbadać. Zapewne nie dość mocno przykręcił jakąś śrubkę...

— I ja tak sądzę — westchnął Jerzy. — Nadmiar gorliwości zaszkodził sprawie.

— Losy wasze i na przyszłość będą zależne od drobnych na pozór szczegółów — rzekła Ewa. — Do czasu sztuka¹²¹. A co by było, gdybyście wylądowali przymusowo, przelatując nad śnieżnymi górami Alaski? Drzę na samą myśl o tym, kochany Edwinie. Nie pozwolę ci jeszcze raz narażać się na coś podobnego. Tu się nieodwołalnie skończy twoja podróż.

— Czy bierzesz mnie w niewolę, siostrzyczko? Musiałabyś wprzód stoczyć ze mną krwawą walkę, zanimbym pozwolił nałożyć na siebie pętą.

Uczta przeciągnęła się parę godzin. Kiedy wreszcie wstano od stołu, milioner wyraził chęć obejrzenia „Kondora”, na co Jerzy natychmiast się zgodził.

— Chętnie wzniosę się z panem — rzekł.

Ale stary Hinton nie przyjął zaproszenia, twierdząc, że jego interesy są za rozległe i za poważne, aby je mógł narażać dla karkołomnej, jak się wyraził, wycieczki.

— Nie dano by sobie beze mnie rady — rzekł, śmiejąc się — pozwólcie mi więc żyć jeszcze.

Airman nie nalegał. Za to Ewa, biorąc przykład ze swej odważnej rówieśniczki, z łatwością dała się namówić i bujała przez pół godziny pod obłokami, ku niepomiernej trwodze ojca. Kiedy wreszcie wylądowano, przycisnął ją do piersi, jakby cudownie ocaloną z wielkiego niebezpieczeństwa.

XII. NIESPODZIEWANE ODKRYCIE

Nazajutrz, po nocy spędzonej w zbytkownie urządzonych kajutach, Nills, który pozostał w samolocie, zawiadomił kierownika wyprawy, że „Kondor” jest doprowadzony do wzorowego porządku i może ruszyć w dalszą drogę.

Ewa zaprotestowała jednak stanowczo. Chciała, żeby brat zrezygnował z udziału w niebezpiecznej podróży, i Hinton nalegał na to samo. Edwin jednak nie dał się nakłonić do opuszczenia towarzyszy.

W drodze targów ułożono, że lotnicy pozostaną przez czterdzieści osiem godzin na pokładzie jachtu jako goście, ażeby przyjść do siebie po wyczerpujących wrażeniach, po czym dopiero, wypocząwszy, rozpoczną na nowo swoją zuchwałą podróż.

¹²¹do czasu sztuka — zwrot podobny znaczeniowo do: „doputy dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie” lub „jest dobrze, dopóki jest dobrze”. [przypis edytorski]

Edwin widząc na skałach masy ptactwa, a nawet rozrzucone tu i ówdzie czarne plamy, w których doświadczonym okiem myśliwca rozpoznał foki, zaproponował urządzenie polowania. Jego projekt z radością podchwycili Nills i Edyta. Wybrano się więc we trójkę. Nasi myśliwi dostawszy się po dość stromych zboczach na pierwszy niejako stopień skalistego wybrzeża, znaleźli się wobec szeregu szczytów, które były ojczyzną milionów ptactwa. Edwin chciał się przyjrzeć gniazdom i nabrać świeżych jaj. Namówił więc towarzyszy, ażeby się z nim razem wdrapali na wierzchołki.

Wycieczka opłacała się doskonale. Myśliwi mieli do dźwigania kilkadziesiąt sztuk wszelkiego gatunku okazów ptaków, pomiędzy którymi Edwin dostrzegł od razu parę osobliwości.

Postanowiono razem zwinąć zdobycz i zrzucić ją ze skał na taras nadbrzeżny, skąd ją miano zabrać. W ten sposób nie potrzebowano się spuszczać z ciężarem na plecach po śliskich zboczach.

— A gdybyśmy jeszcze zrobili małą wycieczkę w głąb wyspy? — zaproponowała Edyta, która widocznie była spragniona przechadzki po lądzie.

— Doskonale!... Wedrzemy się na najwyższy szczyt, panujący nad całą wyspą. Zgadza się pani na to?

Edyta przystała chętnie i nasza trójka zaczęła znów wdrapywać się po stokach skalnych, z rzadka zarosłych mchem i karłowatymi drzewkami, które dawały jednak jakieś takie oparcie.

Od czasu do czasu Edwin, przyzwyczajony do wycieczek górskich, zatrzymywał się i badał, którędy najbezpieczniej iść. Od wierzchołka oddzielało naszą trójkę nie więcej jak sto metrów, kiedy nagle Hinton wydał okrzyk zdziwienia.

— Co to takiego leży na szczycie tej góry? — zagadnął, zatrzymując się.

Wszyscy spojrzeli na wierzchołek i ujrzeli na nim przedmiot niezmiernie zagadkowy. Było to coś podobnego do wielkiej, szarożółtej szmaty, uczezionej do skały i wpłątanej w rosnące tam, karłowate krzewy.

Edwin wydobył pryzmatyczną lornetkę Zeissa i przyłożył ją do oczu.

— Nie mogę rozpoznać — rzekł. — Wygląda to na szczątki jakiegoś namiotu. Bardzo bym chciał dotrzeć tam i zobaczyć, czy nie natrafiliśmy czasem na jakich robinsonów¹²² albo na ich ślady.

— Cóż by tutaj robili robinsonowie? — zawołała, śmiejąc się, Edyta. — Przecież w tych okolicach roi się od statków wielorybnych, które wybawiałyby rozbitków, jeśliby ci znajdowali się na wyspie.

— Tak by należało sądzić, a jednak trzeba obejrzeć z bliska te szczątki!

— W takim razie nie traćmy czasu na gadanie! — przerwał, zawsze skory do czynu, Nills.

I z tymi słowy pierwszy zaczął się pięć po dość przykrym w tym miejscu zboczu. Za nim podążali Edwin z miss Edytą.

Nielatwo było dotrzeć do tajemniczego przedmiotu, ale po dłuższych usiłowaniach zbliżono się doń o tyle, że można było rozpoznać cośkolwiek.

— Tak, są to szczątki jakiegoś wielkiego namiotu płóciennego, który wiatr podarł w strzępy — rzekła Edyta. — Jak mi się zdaje, ludzi już tam nie ma. Nie uda się więc wybawić robinsonów.

Edwin potrząsnął głową.

— Mylisz się, pani — rzekł.

I szedł dalej, aż wreszcie z wielkim wysiłkiem wdarł się na szczyt i stanął tuż przy owych szczątkach. Nills wnet go dogonił i spojrzawszy wydał okrzyk zdziwienia.

Na ostrych odłamkach leżała olbrzymia, postrzępiona wichrami szmata, oplątana siecią sznurów. Obok, pomiędzy dwoma potężnymi kamieniami, tkwił okrągły kosz.

Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby rozpoznać te szczątki.

— Balon! — zawołała Edyta, biorąc w ręce jeden ze strzępów.

— Tak, pani, to resztki dużego aerostatu, który został aż tu zapędzony przez wichry. Gondola utkwiała pomiędzy skałami i balon pozostał tutaj.

¹²²robinsonowie — rzeczownik użyty do określenia rozbitków, jako rz. pospolity pisany małą literą. [przypis edytorski]

Wszyscy, zaciekawieni, zbliżyli się do kosza.

Była to niewątpliwie gondola balonu, ale gondola niezwykła.

Przed wszystkim uderzyły widzów jej nadzwyczajne rozmiary i solidność budowy.

Była ona kryta, jak gdyby dla ochrony żeglarzy od zimna i słoty¹²³, a nadto podzielona na dwa piętra — niższe i wyższe. W wyższym znajdowały się okienka, przez które z łatwością można było widzieć cały widnokrąg i dostać się do górnej części gondoli. Z jej wielkości łatwo się każdy domyślił, że i sam balon musiał mieć niepospolite wymiary, jeżeli unosił tak znaczny ciężar.

Nills z trudem dotarł do drzwiczek i przez nie dostał się do wnętrza górnej kajuty. Za nim wszedł Edwin i podał dłoń zaciekawionej i śmiejącej się towarzysze.

— Oryginalny domek — mówiła panienka, wychylając się przez okienko. — Jacyś miłośnicy podróży napowietrznych zbudowali sobie taki statek i pewnie spędzili w nim niejeden dzień, zanim ulegli rozbiciu! Urządzili się nawet z wygodami; patrzcie, podłoga wysłana grubym wojłokiem na korku.

— Doskonale chroniąca od zimna kombinacja — odezwał się Nills.

— A tutaj półeczka drewniana! — zawołała miss Edyta.

Młody Hinton rozglądał się badawczo, usiłując odgadnąć pochodzenie balonu. Przez głowę przewijały mu się najśmielsze przypuszczenia, a pomiędzy nimi jedno nabierało coraz silniejszego prawdopodobieństwa.

— Czy kabina jest połączona z dolną częścią? — zapytał.

— Tak — odparł Nills.

Uklękawszy, pochwycił za klamkę w podłodze i szarpnął. Rozwarły się małe drzwiczki, od których prowadziła w dół drabina.

Hinton z bijącym ze wzruszenia sercem zszedł na dół.

Okienka były tu przymknięte. Uderzył w jedno z nich kolbą sztucera — do kajuty wpadł strumień powietrza.

Edwin wciągnął w płuca przenikliwą woń napelniającą izdebkę i spojrzał badawczo na podłogę.

Tak, nie mylił się. Tu niegdyś, choć bardzo dawno, znajdowały się psy.

Podłoga była pusta, ale na ścianach przy słabym świetle można było dostrzec czarne, długie włosy psie.

Młodzieniec prowadziłby zapewne dłużej swoje badania, gdyby nie radosny okrzyk Edyty:

— Panie Edwinie, znalazłam coś ważnego! Chodź pan tu co prędzej!

Edwin w jednej chwili znalazł się znów na górnym pięterku gondoli.

Miss Edyta trzymała w ręku otwartą puszkę.

— Patrz pan, to blaszane pudełko od jakichś konserw było zawieszane na drucie u sufitu. Z początku nie zauważyłam, ale potrąciwszy niechcący o nie głowę, otwarłam. Jest w nim jakiś papier.

— Dokument?

Edwin wziął zwitek papieru, rozwinął go i zbliżył się do okienka. Edyta patrzyła mu przez ramię.

Od razu dało się zauważyć, iż papier ucierpiał nieco od wilgoci, przykrywką nie pasowała bowiem dokładnie do puszki. Przeciekający przez dziurawy daszek deszcz dostał się snadź do wnętrza albo też para wodna uszkodziła metal, dość że na papierze widniały duże, rdzawe plamy, które w kilku miejscach wyjarły pismo skreślone anilinowym ołówkiem¹²⁴. To i owo jednak dało się odczytać.

U góry była wyraźnie wypisana data: 18 sierpnia 1897 roku, pod nią zaś miejscowość.

¹²³słota — deszcz, często długotrwały. [przypis edytorski]

¹²⁴anilinowy ołówek — (też: ołówek kopiowy, chemiczny). Specjalny rodzaj ołówka, którego rdzeń stanowi glinka nasączona barwnikiem. Pozostawiał zapis odporny na ścieranie gumką (lecz nieodporny na wilgoć). Anilina była rodzajem silnie toksycznego, błękitnego barwnika. Aby pisać ołówkiem kopiowym należało zwilżyć rdzeń, do czego często stosowano ślinę, co było powodem zatrucia. [przypis edytorski]

Ziemia Fränkla ¹²⁵, 88° 14' szerokości północnej, 122°... długości zachodniej od Greenwich. Balon po ...krotnym lądowaniu dotknął ziemi nieznanej po ostatni. Na pokładzie wszystko w porządku. Pogoda zimna, ale spokojnie. Gołębie od dawna powypuszczane. Lina, służąca do zbożenia od kierunku wiatru, wstracona, mimowolne wzniesienie się do 3000 metrów wysokości, stąd Dalsza wyprawa na sankach. Zimowisko urządzamy na Odsyłamy balon i dokument, ale nadzieja nikogo nie opuszcza, kopia dziennika podróży będzie pozostawiona na wisku. Pozdrowienia ojczyźnie, krewnym i znajomym. Andrée¹²⁶, Strindberg¹²⁷, Fränkel¹²⁸...

— Andrée! Andrée! — wykrzyknęła Edyta. — Ten sam, który zginął bez wieści w wyprawie do bieguna?

Edwin kiwnął poważnie głową i zdjął w milczeniu czapkę.

— Znajdujemy się wobec szczątków statku powietrznego, który, być może, stał się grobem trzech bohaterów i męczenników nauki! Towarzysze! Uczcijmy pamięć tych ludzi, którzy położyli życie w ofierze na ołtarzu wiedzy!

Nills odkrył głowę. Edyta uklękła i zaczęła odmawiać modlitwę za umarłych.

— Nie pamiętam dobrze historii tej wyprawy — rzekła, wstawszy. — Nie interesowałam się wówczas sprawami żeglugi napowietrznej.

— Naturalnie, nie dziwię się wcale temu, miss Edyto!

— No, to niech pan opowie cokolwiek o wyprawie Andréego.

— Bardzo chętnie. Przypomnę pani najważniejsze fakty, jakie pozostały mi w pamięci.

Wszyscy teraz zajęli miejsca na górnym pokładzie, otoczonym galeryjką, tam gdzie kiedyś zapewne stali uczestnicy wyprawy, i Edwin, coraz bardziej się zapalając, zaczął przypominać fakty, które zatarły się już zapewne niejednemu w pamięci.

Oto co mówił młody Hinton o jedynej w swoim rodzaju wyprawie trzech bohaterów w krainę wiecznych lodów i śniegów.

— Wiadomo wam, kochani towarzysze — zaczął — że do bieguna północnego daremnie starano się dotrzeć na saniach ciągnionych przez psy. Najbardziej jednak zbliżono się do tego tajemniczego punktu Ziemi w ostatnich kilku latach.

Dzielną Nansen¹²⁹, w towarzystwie porucznika Johansena¹³⁰, opuściwszy swój okręt „Fram”, który lody niosły po zygzakowatej drodze w kierunku bieguna bardzo powoli, zdołał po wielkich trudach przekroczyć o kilkanaście minut 86° szerokości północnej, co było wielkim powodzeniem.

Działo się to na krótko przed wyruszeniem wyprawy Andréego.

Odkrycie Nansena entuzjazmowało cały świat. Dzielną ten podróżnik w sposób malowniczy i dokładny zobrazował niesłychane trudności towarzyszące podróżnikom, którzy posuwają się po lodowcach, gdzie ciągle trzeba torować sobie drogę przez wały kry powstające podczas tak zwanego „ciśnienia lodów”. W lecie szczeliny w krach tamują drogę i bez łodzi nie podobna posuwać się naprzód. Jednym słowem, na zasadzie doświadczeń Nansena i jego poprzedników, wszyscy doszli do przekonania, że drogą zwyczajną nieprędko jeszcze uda się wydrzeć biegunowi jego tajemnicę. Wówczas zjawił się śmiały, zuchwały nawet, powiedzmy, projekt Andréego.

¹²⁵ *Ziemia Fränkla* — informacja podana przez autora jest błędna. Ziemia Fränkla znajduje się na Grenlandii. Nie zgadzają się też współrzędne geograficzne podane dalej w liście. Ziemia Fränkla znajduje się na 73°16'N 27°15'W. [przypis edytorski]

¹²⁶ *Andrée, Salomon August* (1854–1897) — szwedzki fizyk, polarnik, organizator próby zdobycia bieguna północnego balonem w 1897r. [przypis edytorski]

¹²⁷ *Strindberg, Nils* (1872–1897) — szwedzki inżynier, fotograf, uczestnik próby zdobycia bieguna północnego balonem w 1897 r. [przypis edytorski]

¹²⁸ *Fränkel, Knut* (1870–1897) — szwedzki inżynier, polarnik, uczestnik próby zdobycia bieguna północnego balonem w 1897 r. [przypis edytorski]

¹²⁹ *Nansen, Fridtjof* (1861–1930) — podróżnik, zoolog, polarnik i dyplomata norweski. W wyprawie do bieguna północnego (1893–1896) dotarł najdalej ze wszystkich dotychczasowych wypraw polarnych. Bieguna jednak nie zdobył. Wyprawa zakończyła się na Wyspie Franciszka Józefa, ok. 1000 km od bieguna północnego. [przypis edytorski]

¹³⁰ *Johansen, Hjalmar* (1867–1913) — norweski polarnik, uczestnik wyprawy F. Nansena do bieguna północnego. [przypis edytorski]

Jeżeli tak trudno jest zbliżyć się do bieguna na sankach ciągnionych przez psy albo na okręcie, to należy przelecieć nad tymi nieskończonymi lodowcami i szczelinami w polach lodowych, przelecieć na skrzydłach wiatru, dotrzeć z szybkością czterdziestu albo nawet sześćdziesięciu kilometrów na godzinę do celu, potem ponad biegunem dostać się na drugą półkulę i wylądować po dwóch tygodniach czy po miesiącu w Ameryce Północnej, w okolicach Alaski.

— Tu, gdzie się właśnie znajdujemy! — zawołał Nills.

— I gdzie, jak się pokazuje, spadł ostatecznie balon Andréego — dodał Edwin. — Początkowo miał wziąć udział w wyprawie doktor Nils Ekholm¹³¹, ale wycofał się; według jego głębokiego przekonania, balon Andréego zbyt krótko mógł się unosić w powietrzu, tracił bowiem za wiele gazu, a przyrządy, służące do zbaczania od kierunku wiatru, nie działały należycie.

Zaofiarowano się zbudować Andréemu inny balon, ale naczelnik wyprawy tak dalece ufał w swój statek napowietrzny, iż odrzucił wszelkie propozycje i zamierzył puścić się w podróż z dwoma towarzyszami: Fränklem i Strindbergiem, z obranego na Spitsbergenie¹³² punktu.

Przed wzniesieniem się balon ucierpiał znacznie skutkiem wiatru, chociaż znajdował się w szopie; tracił dziennie po sto jedenaście kilogramów siły nośnej. Podczas odlotu rzucił go wiatr o belkę i powłoka jeszcze bardziej się uszkodziła, co źle wróżyło o powodzeniu wyprawy. Nie dość jednak na tym. Balon miał ciągnąć po lodzie długą linę, która nie pozwalałaby mu wznieść się za wysoko, gdyż przytrzymałaby go przy ziemi. Korzystając z tego, że przy zmniejszonej szybkości balonu, hamowanego liną, dał się odczuwać wiatr, zabrano rodzaj żagli, dzięki którym spodziewano się zboczyć nieco z linii prądu powietrznego.

Statek Andréego dał się więc do pewnego stopnia kierować i po tym obiecywał sobie wiele dowódca wyprawy.

Wyruszone ze Spitsbergenu, spod 79° 43' szerokości północnej, a 10° 52' długości wschodniej od Greenwich, w dniu 11 lipca 1897 roku. Otóż w chwili wzniesienia się balon utracił aż dwie trzecie liny, która miała mu służyć zamiast balastu. Skutkiem tego wzniósł się od razu do ośmiuset metrów, zamiast szybować stale, jak sobie projektowano, na wysokości trzystu metrów. Nie mając balastu, podróżni nie mogli tak daleko żeglować, jak pragnęli, słowem — wyprawie nie poszczęściło się od pierwszej chwili. Szybkość wiatru wynosiła podczas wzlotu czterdzieści cztery kilometry na godzinę. Gdyby balon żeglował ciągle z tą samą prędkością na północ, to osiągnąłby bieguna po dwudziestu czterech godzinach, a w Cieśninie Beringa znalazłby się w półczwartej¹³³ doby.

Wyprawa wzięła ze sobą zapasów na rok, sanki, psy, broń, słowem — zaopatrzona była dobrze. Nie zapomniano także o gołębiach pocztowych i blaszanych puszkach pływających, czyli bojach, gdzie miano umieszczać depesze i powierzać je oceanowi. 17 sierpnia nadeszła pierwsza wiadomość od Andréego, datowana 13 lipca, a wysłana przez gołębia. Potem znów znaleziono boje, z których dowiedziano się, że balon, pędzony cyklonami, to jest wirowymi prądami powietrza, zdołał w ciągu dwóch dni i nocy przebyć zaledwie dwieście kilometrów drogi. Znalazłszy się w oku cyklonu, to jest w samym środku wiru, musiano na jakiś czas zatrzymać się; wylądowano więc i naprawiono uszkodzenia. Z tego widać, jak zawodnie jest liczyć na wiatry zmieniające ciągle kierunek.

— Dwieście kilometrów w czterdzieści osiem godzin! — powtórzyła Edyta, potrząsając główką. — Jakże mi żal tego Andréego i jego towarzyszy! My na „Kondorze” możemy zrobić tyleż w godzinę i gdybyśmy chcieli, potrafilibyśmy dotrzeć do bieguna w dwie doby...

Kiedy Edwin skończył opowiadanie o wyprawie Andréego¹³⁴ i jego towarzyszy, zaległo milczenie. Wszyscy pogrążyli się w rozmyślaniu. Czy chcieli sobie wyobrazić roz-

¹³¹Ekholm, Nils Gustaf (1848–1923) — szwedzki meteorolog, profesor Uniwersytetu w Uppsali. [przypis edytorski]

¹³²Spitsbergen — wyspa leżąca w archipelagu Svalbard na Morzu Arktycznym, administracyjnie należąca do Norwegii (jest to największa wyspa tego kraju). [przypis edytorski]

¹³³półczwarta (daw.) — trzy i pół. [przypis edytorski]

¹³⁴wyprawa Andréego — Umiński przedstawia historię wyprawy Andréego nie do końca zgodnie z faktami. Pozostałości obozu i ciała podróżników zostały odnalezione w 1930 r. na wyspie Kvitøya, niedaleko Spitsbergenu, czyli 4500 km w linii prostej (przecinającej bieguna) od Morza Beringa. [przypis edytorski]

paczliwą walkę bohaterów z lodowcami, z zimnem zabójczym i jeszcze okropniejszymi aniżeli głód i zimno ciemnościami? Czy zastanawiali się nad nieznanym losem śmiałków, którym zdawało się, że na balonie, będącym igraszką wiatrów, dotrzeć zdołają tam, dokąd daremnie usiłowali dostać się ci wszyscy, co pozostawiali kości w krainie wiecznych lodów od trzech wieków¹³⁵?...

Obrazy, wywołane przez wyobraźnię, musiały być straszne, bo Edyta wstrząsnęła się, jakby pod lodowatym powiewem podbiegunowego orkanu.

— Jak oni musieli cierpieć! — wyszeptała ze współczuciem.

— Odkryliśmy niezaprzeczenie szczątki wyprawy Andrégo — rzekł Hinton, składając dokument w puszcze. — Jest to niespodzianka dla świata, który już zwątpił, czy kiedykolwiek dowie się czegoś pewnego o trójce bohaterów. I my niewiele wiemy, to prawda, ale zdobyliśmy przeświadczenie, że jednak balon dotarł daleko na północ.

— Ale co się stało z Andréem?... — zapytała Edyta.

Edwin wzruszył ramionami.

— Bóg to raczy wiedzieć! — rzekł. — Po bliższym zastanowieniu się trzeba wysunąć najbardziej pesymistyczny wniosek, że odważni żeglarze powietrzni zginęli w tych odległych okolicach; do tej pory bowiem wróciliby do ojczyzny, gdyby pozostali przy życiu.

Po powrocie opowiedział towarzyszom w paru słowach, co im się zdarzyło.

Zainteresowanie naszej trójki udzieliło się i twórcy samolotu.

Niezwłocznie pobiegli obaj z inżynierem na skały, potem wspólnymi siłami zniesiono szczątki balonu na niżej położone miejsce.

Człowiek-ptak, wysłuchawszy całej historii odnalezienia szczątków balonu Andrégo, doznał żywego wzruszenia.

— To był wspaniały pomysł, lecz przedwczesny — rzekł. — Co jednak dla balonu Andrégo było zadaniem niewykonalnym, dla mojego „Kondora” stanowiłoby igraszkę.

— Lecieć do bieguna?! — powtórzyła z przerażeniem Edyta. — Przecież tam nie ma składów nafty ani benzyny!...

— Naturalnie! — potaknął Nills. — I w dodatku założyć ich nie można.

Nastąpiło milczenie.

Jerzy rozważał coś w myśli, Nills gwizdał, Edwin chodził dookoła szczątków balonu, założywszy w tył ręce, inżynier patrzył na kołyszącą się „Złotą Strzałę”, która stała na kotwicy o milę zaledwie od brzegów wyspy.

— Istotnie — rzekł — nie podobna założyć składów paliwa na lodach pędzonych bez przerwy z miejsca na miejsce przez prądy i wiatry. Gdyby to się nawet udało, nie sposób byłoby odszukać blakających się po oceanie zapasów, a bez paliwa „Kondor” jeszcze mniej wart aniżeli zwyczajne saneczki.

Człowiek-ptak słuchał, ale zamiast przyznać słuszność tym wywodom, zaczął coś obliczać w swoim notatniku. Towarzysze patrzyli nań ze zdziwieniem.

Czyżby istniała jakaś, najmniejsza choćby, możliwość takiego przedsięwzięcia? Nie — to byłoby nadzwyczajne szaleństwo, pomysł, który zrodzić się może tylko w głowie wariata niezdolnego trzeźwo myśleć i logicznie oceniać warunki, uwzględniać wszystkie za i przeciw.

A jednak Jerzy, zamiast porzucić rozpoczęte obliczenie, pogrążył się w nim coraz bardziej. Poprosił Edwina o podręczną mapę, rozłożył ją na niewielkim kamieniu i zaczął mierzyć odległości...

— No i cóż? — rzucił Edwin, niezdolny już do zapanowania nad pożerającą go ciekawością.

— Zaraz, zaraz! — bronił się Jerzy, nie odwracając głowy.

Znowu upłynęła długa chwila, podczas której Edwin ze swojej strony także robił obliczenia.

¹³⁵ci wszyscy, co pozostawiali kości w krainie wiecznych lodów od trzech wieków — historia eksploracji dalekiej północy sięga najprawdopodobniej czasów przed X w. Zwiększone zainteresowanie daleką północą (XV w.) łączy się z potrzebą znalezienia krótszej drogi między Oceanem Atlantyckim a Pacyfikiem (do tej pory szlak żeglugowy prowadził wokół przylądka Horn na południowym krańcu Ameryki Południowej). Owocem tych poszukiwań było odkrycie Przejścia Północno-Zachodniego (dopiero w 1851 r.). Pierwsze udokumentowane wyprawy, które miały na celu zdobycie samego bieguna północnego odbywały się od początku XIX w. [przypis edytorski]

„Złota Strzała» mogłaby nas zawieźć możliwie najdalej na północ — myślał. — To znaczy, że znajdowalibyśmy się pod kołem biegunowym. Jeżeli lody pływające nie byłyby zbyt gęste i grube, a tego można by się w obecnej porze spodziewać, to kto wie, czy nie dotarlibyśmy dalej nieco aniżeli pod 67° szerokości, przypuśćmy pod 70°. W takim razie od bieguna dzieliłaby nas, w linii powietrznej, przestrzeń dwudziestu stopni. Licząc zaś, że obwód południka ma czterdzieści milionów metrów, to owe dwadzieścia stopni znaczą osiemną część czterdziestu tysięcy kilometrów, czyli około dwóch tysięcy dwustu kilometrów”.

Na twarzy Edwina zakwitł rumieniec. Zdjął czapkę i z okrzykiem triumfu wyrzucił ją w górę.

„Tylko dwa tysiące dwieście kilometrów? Ależ »Kondor« może tego dokonać w ciągu doby!...”

— Co, czego pan się cieszy? — zagadnęła Edyta, podbiegając do Edwina.

— Obliczyłem, obliczyłem!

— Co pan obliczył?

— Że »Kondor» może w ciągu jednej doby dotrzeć do samego bieguna.

Edyta nachmurzyła czoło.

— Ja nie chcę zapuszczać się pomiędzy lody i śniegi i panu też nie pozwolę! — zawołała.

— Ani ja! — dodał filozoficznie Nills, zapalając fajeczkę. — Wymówiłem to sobie na samym początku podróży. Prawda, panie Jerzy?

— W takim razie oboje z Edytą pozostaniecie — rzekł człowiek-ptak.

Wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem...

— Jak to, więc wyprawa jest na serio projektowana?! — zawołał inżynier, nie wierząc własnym uszom.

— Nie należy w każdym razie do rzędu mrzonek, kochany inżynierze!

— Boję się o ciebie! — zawołała Edyta na wpół z płaczem. — Mój Boże, ty nie wrócisz stamtąd! Nie chcę, nie puszczę cię!

Jerzy uśmiechnął się.

— No, no! Nie masz jeszcze powodów do wątpienia! — rzekł. — Uspokoisz się, skoro mnie wysłuchasz!

— No, mów!

— Otóż pan Hinton obliczył trafnie, że przestrzeń dzielącą Cieśninę Beringa od bieguna północnego »Kondor» w warunkach normalnych mógłby przelecieć w jedną dobę, a nawet prędzej. Mniejsza zresztą o czas; przypuśćmy, że podróż trwałaby nawet trzy dni z przerwami. Idzie tu w gruncie rzeczy o to, czy zapas benzyny wystarczy na przebycie czterech tysięcy paruset kilometrów. Wiemy dobrze, że licząc w to rezerwę, paliwa na dwie doby starczy; ale trzeba by się przygotować na nieuniknione niespodzianki; dlatego też benzyny musiałbym zabrać tyle, żeby przelecieć z pięć tysięcy kilometrów. Dałoby się to osiągnąć pod jednym warunkiem.

Jerzy wahał się przez chwilę, śledząc badawczo wrażenie, jakie słowa jego wywierają na towarzyszach.

— Pod jakim to warunkiem? — przerwał niecierpliwie Edwin.

— Że »Kondor» będzie dźwigał dwie osoby zamiast pięciu.

— Jeżeli tylko o to idzie, to jestem gotów towarzyszyć panu — rzekł krótko Hinton.

Te proste słowa podziałały jak piorun na obecnych. Przez chwilę byli osłupieni, potem rozległ się potrójny protest.

— Niebezpieczna awantura! — rzekł Nills, wypuszczając fajeczkę z zębów.

— Nigdy nie zgodzę się na to! — krzyknęła Edyta.

— Dwa zuchwałstwa na raz! — rzucił inżynier.

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują — odparł Jerzy, uśmiechając się. — Lot nad polami lodowymi nastrocza daleko mniej niebezpieczeństw aniżeli podróż nad lądem. Tu idzie o co innego: trzeba mieć dużą szansę, że się nie pozostanie na Dalekiej Północy; mówiąc inaczej, należy mieć zaufanie do »Kondora», że nie zawiedzie. Co do mnie, wierzę w niego i dlatego chętnie dokonałbym tej wycieczki w krainę nieznanych lodów.

— On to nazywa wycieczką! — oburzyła się Edyta.

— Jakże inaczej nazwać podróż, która trwać będzie trzy do czterech dni?! — rzekł Airman, śmiejąc się zuchwale. — To, co dla wszystkich dawniejszych podróżników było zadaniem przewyższającym siły ludzkie, dla nas jest łatwe. Wszystko zależy od szczęścia. My zaś — rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Edwina — lubimy igrać z niebezpieczeństwem.

— To mój żywioł! — zawołał Hinton.

XIII.

WYCIECZKA W KRAINĘ WIECZNYCH LODÓW

Nie od razu ośmielono się powiedzieć milionerowi o projekcie tak niespodziewanie powziętym; naradzano się tylko w kajucie Edwina nad tym, w jaki sposób złamać upór Samuela Hinton, który chciał koniecznie wrócić do Chicago bez straty czasu.

Edwin, znając spryt kobiecy swojej siostry, postanowił wciągnąć ją do spisku.

Sprowadzono więc młodą pannę na wspólne narady i wtajemniczono ją w całą historię.

Miss Ewa zmieniła cokolwiek swe niedawne pojęcia o żegludze powietrznej; zaufanie, żywione przez Jerzego do samolotu, udzieliło się i jej także.

Człowiek poważny i mądry, a za takiego miała Airmana, nie upierałby się przy swoim projekcie podróży naokoło świata napowietrznym statkiem, gdyby jego „Kondor” nie przedstawiał wysokich gwarancji. Widziała zresztą „Kondora” w locie, chociaż w niefortunnej dla niego chwili, i przejęła się bardzo doniosłością wynalazku.

Spodziewano się więc z jej strony mocnego poparcia.

Miss Ewa zainteresowała się bardzo odnalezieniem balonu na wyspie; wypowiedziała jednak słuszne zdanie, że nie należy przypominać mister Hintonowi o tej nieudanej próbie dotarcia ponad lodami do bieguna. Dlaczegożby nowe usiłowanie miało doznać takiego samego niepowodzenia?

— Czy nie lepiej od razu wystąpić z projektem zapuszczenia się jak najdalej ku północy?

— Wyda się to ojcu kaprysem, nic więcej — rzekł Edwin.

— Od was zależy nadać wyprawie poważny charakter.

— Czy jest na statku zapas benzyny? — zagadnął przezorny inżynier.

— Tak, jest kilka beczek — odpowiedział Bolton.

Miss Ewa wzięła na siebie oznajmienie o wyprawie ojcu i wywiązała się z zadania wcale zręcznie. Pod wpływem jej argumentów milioner zmiękł o tyle, że zgodził się poświęcić tydzień swego drogiego czasu i posunąć się, o ile można, na północ od Cieśniny Beringa, a nawet pozwolił Edwinowi wziąć udział w tej krótkiej, jak go zapewniała córka, wycieczce na północ.

Młoda panna, jak się pokazało, miała wielki wpływ na ojca, nic więc dziwnego, że milioner, choć po długim wahaniu, zgodził się oddać na usługi Airmana i Edwina swój statek.

Dużą trudnością do pokonania było załadowanie samolotu na pokład, ale tym zajął się energiczny kapitan Bolton. Za pomocą dwóch silnych kranów¹³⁶ okrętowych, którymi rozporządzał jacht, wciągnięto podwieszony na łańcuchach samolot i umocowano go tak, aby nie mógł się poruszać.

Tutaj przymocowano go starannie linami, tak iż kołysanie się statku nie mogło wywrządzić mu żadnej szkody.

Okręt ten, doskonale zaopatrzony we wszystko, stanowić miał cenną podstawę operacyjną dla zuchwałej wyprawy pod biegun.

Podniesiono nazajutrz kotwicę i podróż rozpoczęła się.

„Złota Strzała” prula swym wysmukłym kadłubem ultramarynową¹³⁷ toń, na której zniżające się słońce znaczyło długą, ginącą w nieskończoności, złocistą drogę. Droga ta prowadziła prawie prosto na samą północ. Wyglądało to, jakby dobre duchy śiały wstęgę złotą jachtowi i zapraszały go w dalekie, tajemnicze krainy, gdzie się rodzą góry lodo-

¹³⁶kran (z ang. *crane*) — tu: dźwig. [przypis edytorski]

¹³⁷ultramaryna — intensywny błękit. [przypis edytorski]

we i boreasze¹³⁸. Dzienna gwiazda na krótko zniknęła pod widnokręgiem, ale wspaniała zorza¹³⁹, pełna purpury, fioleatów i pereł, nie zgasła na niebie ani na chwilę.

Rano jednak kapitan Bolton przyszedł z wieścią przykrą. Kiedy nasi podróżni, obudzzeni z krótkiego snu, wyszli na pokład, przed oczami ich rozeszła się olbrzymia ławica¹⁴⁰, ciągnąca się hen, daleko, jak tylko oko sięgnąć mogło. Tu leżał kres żeglugi wodą. „Złota Strzała” wygasła połowę palenisk i lekko kołysała się przed tamą, która nagle wyrosła na jej drodze.

W południe oznaczono położenie geograficzne. Okazało się, że jacht dotarł pod 73° 25' szerokości północnej i 168° długości zachodniej.

— Dalej nie posunę się ani na milę! — oznajmił smutno kapitan Bolton, zbadawszy lody przez doskonałą lunetę morską z wysokości bocianiego gniazda.

„Złota Strzała” zarzuciła więc kotwicę na polu lodowym i zaczęto przygotowania do zuchwałej wycieczki.

Temperatura sprzyjała zamiarom, termometr bowiem wskazywał zaledwie cztery stopnie poniżej zera. Było więc ciepło, jak na lato podbiegunowe, i należało korzystać z warunków, które rzadko się tutaj zdarzają. Sierpień kończył się, we wrześniu bywa równie pogodnie i ciepło, ale najwyższe, że się tak wyrazimy, „upały” nie przekraczają w krainach wiecznego lodu nigdy jakichś paru stopni ponad zero.

Pogoda także nie pozostawiała nic do życzenia. Wiał lekki wiatr od południa, który tylko mógł pomóc „Kondorowi” w jego podróży. Słowem — wszystko składało się jak najlepiej.

Samuel Hinton wpadł na genialny pomysł zużytkowania radia dla celów wyprawy.

— „Złota Strzała” ma doskonałe przyrządy do telegrafowania bez drutu — rzekł. — Możemy przysyłać wiadomości na odległość kilku tysięcy kilometrów. Zabierzcie zatem przyrządy telegraficzne, a będziecie stale wiedzieli, co się z nami dzieje.

— A czy wy będziecie także otrzymywali od nas wiadomości? — zagadnął Airman, któremu ten projekt niezmiernie się podobał.

— W pewnych granicach, tak. Wasz przyrząd nie jest tak potężny jak nasz, nie macie anten, czyli masztów z drutami, a takie anteny są niezbędne do puszczania na wielką odległość fal elektrycznych; jednakże, jeżeli zużytkujecie szkielet metalowy waszego samolotu, to będziecie mogli przysyłać depesze, jak sędzę, przynajmniej na tysiąc kilometrów.

Niezwłocznie więc zabrano się do zmontowania stacji radiotelegraficznej na samolocie. Nie zabrało to wiele czasu.

Wszystkie niepotrzebne albo niezdatne do wycieczki w lodową krainę przedmioty pozostawiono, jako zbyt ciężki balast. Natomiast zabrano broń, ciepłą odzież, kompas, mapy, sekstans, chronometr, narty, odpowiednie obuwie i worek do spania z futra, bardzo lekki, ale nieoceniony na wypadek, gdyby coś zatrzymało dłużej pod biegunem podróżników.

Przygotowania te zajęły cały dzień. Nazajutrz rano — chociaż trzeba powiedzieć, że nocy o tej porze wcale pod szerokością siedemdziesięciu paru stopni nie ma¹⁴¹ — jacht przybił do grani pola lodowego i znowu za pomocą kranów spuszczone samolot, tym razem na gładką powierzchnię lodu. Zrobiono próbny lot. „Kondor”, pomimo kąpiei i przymusowego wypoczynku, unosił się, jak jego imiennik, pewien siebie i potężny. Motor pracował doskonale, a Nills, zapytany o niego, ręczył głową, że wszystko znajduje się w porządku.

Wobec tego Edwin, żegnany z bijącym sercem i tajemnie ocieranymi łzami przez miss Edytę, westchnieniami zaś i pocałunkami przez kochającą siostrę, a uściskami ze strony towarzyszy, siadł obok Airmana, który z zimną krwią, nie wdając się w ceremonie pożegnalne, chwycił za ster samolotu.

— Baczność!

¹³⁸boreasz — tu: północny wiatr. Też: grecki bóg tegoż wiatru. [przypis edytorski]

¹³⁹zorza polarna — zjawisko świetlne obserwowane na wysokich szerokościach geograficznych, im bliżej bieguna tym zjawisko intensywniejsze. Powstaje w wyniku kontaktu wiatru słonecznego z ziemską magnetosferą. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ławica — tu: ogromny wał, utworzony przez nakładające się na siebie kry lodowe. [przypis edytorski]

¹⁴¹nocy nie ma — na biegunie i w okolicach okołobiegunowych dzień i noc trwają dłużej niż w strefie umiarkowanej. Ekstremalne długości występują bezpośrednio na biegunie (jest to odpowiednio 6 miesięcy dnia i 6 miesięcy nocy), zjawisko to wynika z ruchu obiegowego Ziemi wokół Słońca. [przypis edytorski]

Nills puścił w ruch śmigło, motor zaczął szumieć i „Kondor”, potoczywszy się z zaskakującą łatwością po gładkiej powierzchni, wleciał lekko nad pole lodowe.

— Będziemy się kierowali po linii możliwie prostej na północ — rzekł Airman. — Zależy nam na tym, żeby nie zbacać z drogi; w ten sposób oszczędzimy opału. Nie obawiam się żadnych przeszkód, bo te, z jakimi walczyli zwyczajni podróżnicy, nas nie mogą powstrzymać, a wyższe góry lodowe z łatwością wymijać potrafimy przy jasności dziennej.

— Czy będziemy lecieli z najwyższą szybkością? — pytał Hinton.

— Nie, przekonałem się bowiem, że motor pracuje najekonomiczniej, jeżeli lecimy nie więcej niż dwieście kilometrów na godzinę. Podnosząc chyżość¹⁴² lotu do maksimum, narażamy się na to, że maszyna może się popsuć, to raz; a po wtóre, opór powietrza tak dalece wzrasta, że do pokonania go trzeba wypalać potrójną niemal ilość benzyny.

Edwin patrzył w dół. Pole lodowe było pełne nierówności. Wzgórza, pokryte kilkoma warstwami śniegu, ciągnęły się daleko, a spomiędzy nich tu i ówdzie wystawały jakieś wyższe szczyty. Żaden z nich nie przekraczał jednak wysokości kilkunastu metrów.

Ale okazało się, że pole lodowe nie było tak obszerne, jak nasi żeglarze powietrzni przypuszczali. Nie upłynęło bowiem dwadzieścia minut, kiedy ustąpiło ono miejsca popękanej ławicy. Ławica ta, składająca się z kry grubej na metr albo półtora, nosiła na sobie wyraźne ślady ciśnienia lodów — tajemniczego zjawiska, opisywanego przez wielu badaczy stref polarnych. Lodowce wskutek parcia na siebie kruszą się w wielu miejscach i spiętrzają z łoskotem działowych strzałów w wały, nieraz na kilkanaście metrów wysokie i długie na kilka kilometrów. Wały takie są właśnie główną zaporą dla podróżników, łączą się bowiem w rodzaj sieci, którą nasi żeglarze z wysokości stu metrów doskonale mogli obserwować. Był to niekończący się labirynt komórek lodowych, z których podróżnicy muszą albo wyrąbywać się toporami, jak Cagni¹⁴³, który dotarł cokolwiek dalej od Nansena na północ, albo też wydostawać się z trudem, przenosząc na rękach ciężko ładowne sanie.

Teraz dopiero Edwin zrozumiał, na czym polegają trudności wypraw podbiegunowych i jak idealnym, zdumiewającym wynalazkiem jest „Kondor” unoszący ich na swych skrzydłach ponad tymi nieprzebytymi niemal przeszkodami, z szybkością dwustu kilometrów na godzinę.

W myśli przesuwają mu się obrazy strasznych trudów ponoszonych przez badaczy, którzy chcieli zbliżyć się do końca osi ziemskiej.

Anglik Parry¹⁴⁴ w 1827 roku dotarłszy z okrętem do Spitsbergenu, rozpoczął z trzema oficerami i dwudziestoma czterema majtkami wyprawę na saniach, które ciągnęli ludzie. Wyprawa napotykała jednak wały lodowe jeden za drugim, doznając nieprzewidywanych przeszkód na każdym kroku. Żeby zdać sobie sprawę, jak wyczerpująca była ta podróż, dość przypomnieć, że w ciągu dnia nie zdołano nieraz posunąć się dalej aniżeli na milę angielską! Po trzydziestu sześciu dniach ciągłej walki z lodowcami przebyto zaledwie trzysta dziewiętnaście kilometrów. Wyprawa dotarła do punktu odległego jeszcze o osiemset jedenaście kilometrów od bieguna. A i tę przestrzeń przebyto częściami¹⁴⁵ łodziami, które ciągnięto na sankach. Parry przekonał się, że podczas lata śnieg staje się grząską, a lody pękają; nie podobna więc po krach dotrzeć do bieguna. Trzeba czekać do jesieni, ale wówczas mrozy dochodzą do czterdziestu kilku stopni!

Wielu męczenników spoczywa w krainie wiecznych lodów i północnej nocy biegunowej!

Imiona tych bohaterów, prócz kilkunastu nazwisk jaśniejących szczególniejszym blaskiem chwały, poszły w niepamięć.

Historia

¹⁴²chyżość — prędkość. [przypis edytorski]

¹⁴³Cagni, Umberto (1863–1932) — włoski polarnik, admirał Włoskiej Królewskiej Marynarki Wojennej. W latach 1899–1902 brał udział w wyprawie do bieguna północnego. Dotarł najdalej ze wszystkich poprzednich wypraw, pobił rekord F. Nansena o ok. 40 km. [przypis edytorski]

¹⁴⁴Parry, William Edward (1790–1855) — angielski żeglarz i polarnik, w 1827 r. dotarł najbliższej bieguna północnego ze wszystkich dotychczasowych wypraw. Rekord ten utrzymał się przez kolejne 49 lat. [przypis edytorski]

¹⁴⁵częściami (daw.) — dziś: po części, częściowo. [przypis edytorski]

W 1875 roku kapitan Markham¹⁴⁶, wysłany przez Naresa¹⁴⁷ z Ziemi Granta¹⁴⁸, pomimo znacznych ulepszeń w technice podróżniczej, nie posunął się dalej od Parry'ego, bo zrobił zaledwie sto kilometrów po lodzie, wycierpiawszy wiele od zimna i głodu. Greely¹⁴⁹ wysłał kapitana Lockwooda¹⁵⁰, który także z wielkim mozołem w 1881 roku posunął się na saniach cokolwiek dalej. I on jednak nie zdołał przebyć więcej aniżeli czterysta osiemdziesiąt kilometrów. I za jaką cenę! Nansen, używając lekkich saneczek grenlandzkich i zaprzęgu psów, posunął się, dzięki swej sile i wytrzymałości, znacznie dalej, bo poza 86° szerokości.

Dzieliła go od bieguna przestrzeń zaledwie czterystu dwudziestu kilometrów, ale nie mógł nawet marzyć, żeby ją przebyć; zabrakło mu żywności i omal nie zginął z głodu ze swym towarzyszem. Ocaliło ich szczęśliwe polowanie i spotkanie wyprawy amerykańskiej na Ziemi Franciszka Józefa¹⁵¹.

Cagni wziął się na sposób: pozakładał bowiem pomocnicze składy zapasów żywności na obranej drodze; miał także psy, lekkie sanki i odważnych towarzyszy, a pomimo to, po stu czterech dniach spędzonych na ruchomych lodowcach, żywiąc się w końcu psim mięsem, zdołał posunąć się zaledwie o pięćdziesiąt cztery kilometry dalej od poprzednika. Nieskończony szereg wałów lodowych, składających się z bezładnie spiętrzonych odłamków kry, stwarzał takie przeszkody podróżnikom, że ci, wyczerpawszy siły i zasoby, musieli się cofać. Słowem — nie powiódł się żaden ze szturmów przypuszczonych do twierdzy, poza którą ukrył się biegun północny.

„Kondor” płynął bardzo szybko ponad zmieniającą się ciągle ławicą lodową. Często natrafiano na zatoki i wielkie szczeliny w lodzie, w których igrał Ocean Lodowaty ciemnoniebieską, wpadającą w szmaragdowy odcień falą; ale te obszary wolnego od kry morza nie miały nigdzie więcej nad kilkanaście kilometrów szerokości. Raz tylko samolot szybował ponad jeziorem mającym zamiast brzegów spiętrzone wały lodowe; ciągnęło się ono na trzydzieści może kilometrów.

Edwin siedział na swoim miejscu, obok człowieka-ptaka, który, jak zwykle, z zimną krwią dzierzył ster w dłoniach.

— Doprawdy, podróż pod biegunem idzie nam zbyt gładko — rzekł, nie odwracając głowy Jerzy. — Nie ma pan pojęcia, jakiego uczucia doznaję, kiedy sobie pomyślę o trudach znoszonych przez tylu podróżników, którzy musieli przedzierać się krok za krokiem przez wały złożone ze spiętrzonych straszliwie odłamów kry. Toż to męka prawdziwa i wstyd mi niemal, że ja przelatuję z taką bajeczną lekkością ponad tymi przeszkodami, z którymi walka pochłonęła zdrowie i życie tylu dzielnych ludzi!

— Nie wiadomo, co nas jeszcze czeka — odparł Edwin. — Obawiam się, czy w tym chaosie znajdziemy miejsce zdadne do wylądowania. Jak dotąd, nie widzę równej powierzchni, chociaż zrobiliśmy ze sto kilometrów.

— Musimy w razie potrzeby opuszczać się na powierzchnię wody — rzekł, zamyślając się Airman.

Edwin miał pełnić podczas podróży obowiązki meteorologa i przyjmować depesze radiowe, gdyby nadchodziły, a niezależnie od tego musiał wziąć na siebie obowiązki palacza i dawać baczność na motor.

¹⁴⁶Hastings Markham, Albert (1841–1918) — angielski odkrywca, pisarz, oficer Królewskiej Marynarki Wojennej. [przypis edytorski]

¹⁴⁷Nares, George Strong (1831–1915) — oficer Królewskiej Marynarki Wojennej, polarnik, podróżnik. W 1875 r. zorganizował wyprawę do bieguna północnego, do którego nie dotarł. W lecie 1876 r. został zmuszony do odwrotu z okolic północnego wybrzeża Grenlandii. [przypis edytorski]

¹⁴⁸Ziemia Granta — wysunięty najdalej na północ punkt, leżący w granicach Kanady, oddalony o 770 km od bieguna północnego. [przypis edytorski]

¹⁴⁹Greely, Adolf (1844–1935) — oficer Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, polarnik, weteran wojny secesyjnej. W 1881 r. dowodził wyprawą polarną, która miała na celu założenie bazy naukowej na północno-zachodnim wybrzeżu Kanady. [przypis edytorski]

¹⁵⁰Lockwood, James Booth (1852–1884) — polarnik, oficer Amerykańskiej Marynarki Wojennej. [przypis edytorski]

¹⁵¹Ziemia Franciszka Józefa — archipeląg leżący w północno-zachodniej części Morza Barentsa, jest to najdalej wysunięty na północ punkt Rosji. Archipeląg jest oddalony o 900 km od bieguna północnego. [przypis edytorski]

Znał on już dobrze tę duszę „Kondora”; ucho jego chwyciło wszelkie, najsubtelniejsze nawet różnice w wydawanych przez maszynę dźwiękach, różnice, które były jakby mową żelaznego systemu cylindrów, tłoków i dźwigni.

Wiedział, co znaczą wybuchy nagłe i głośnie, podobne do gniewnego szczekania olbrzymiego brytana¹⁵², przypominające syczenie węża, to znów głuche albo ostre dźwięki. Tymi dziwnymi, a tak różnorodnymi odgłosami motor mówił opiekunowi o swoich potrzebach i dolegliwościach, groził, uskarżał się niby żywa istota.

Edwin znał o tyle tę mowę stalowego pracownika, że potrafił zadośćuczynić jego życzeniom, chociaż zdarzało się, że nie rozumiał jakiejś skargi. Wtedy, zaniepokojony, pytał siedzącego przed nim Airmana, a ten dawał mu nieomyłne wskazówki.

Słońce zniżało się, rzucając mocno skośne promienie, które zapalały na wzgórkach lodowych złociste iskry. Bryły, na wpół przezroczyste, płonęły w nich jak olbrzymie, szlachetne opale wszystkimi barwami tęczy.

Mewy i jaskółki morskie oddawały się tam z zapalem rybołówstwu: spadały jak kamień w błękitnoszmaragdową toń i po chwili wlatywały ze zdobyczą w dziobie. Petrel drapieżny czatował w błękitach na szczęśliwych łowców i rzucał się za nimi w pogoń. Mewa, uciekająca w trwodze, wypuszczała z dzioba rybę, petrel chwycił ją w powietrzu i połykał chciwie. Scena podobna odbyła się parokrotnie tuż ponad głową Edwina śledzącego z zajęciem życie skrzydlate.

Ptaki wydawały się panami wszechwładnymi krainy wiecznych lodów i przestrzeń bielila się od tysięcy bijących w powietrzu skrzydeł; rozgwar ptasich głosów rozchodził się w dali, brzmiał jakby niemiłknący chór.

Nigdzie nie natrafiano na wolne od lodów morze. Nansen i Cagni mieli słusność utrzymując, że olbrzymi ocean podbiegunowy, niewiele ustępujący rozległością Atlantykwowi, nie pozbywa się w ciągu roku ani na jedną chwilę lodowych więzów. Lata w tych wysokich szerokościach nie ma wcale.

Gdy temperatura podnosi się wyżej zera, wiekowe lodowce nieco odtajają w promieniach słońca. Tworzą się strumyki i jeziora, ale te strumyki płyną w łożyskach lodowych; jeziorka, głębokie nieraz na parę metrów, także mają dna z lodu; lód i lód, niezniszczalny, opierający się nawet półrocznemu dniowi, podczas którego słońce nie schodzi z widnokręgu! Lód na lądach tworzy formacje niemal tak stare jak skały, na których spoczywa.

Podczas lata skorupa, skuwająca morza polarne, tylko nieco się rozluźnia, pęka i błękitne oko morskie patrzy tu i ówdzie swobodnie w niebo, które się w nim przegląda. Mieszkańcy tych pustkowi budzą się na kilka miesięcy do życia — ptactwo przylatuje z południa.

Ten gwar, to życie bujne i śpieszne trwa, dopóki słońce nie spocznie nad samym horyzontem i nie wyjawi zamiaru zstąpienia na szereg miesięcy w przepaści oceanu, a noc ametystowa¹⁵³, jednolita, ukoronowana cudną zorzą biegunową, nie wróci na swój mroźny tron, iskrzący się w promieniach księżyca milionami brylantów.

Ale w tej chwili gwiazda dzienna stała jeszcze dość wysoko nad lodami; zniżała się wprawdzie nieco ku widnokręgowi o północy, ale potem, nie dotykając go, znowu sunęła wyżej, zakreślając bez przerwy koło.

Podróż była tak szybka, że Edwin mimo woli czuł jakiś niewytłumaczony lęk — lęk ludzi, którzy doznają zbyt wielkiego szczęścia, którym trudne sprawy udają się zbyt łatwo. Ludzie tacy, w nadmiarze powodzenia pogrążeni, żywią w głębi duszy taką właśnie trwogę przed możliwą zmianą losu.

Zadziwiająco piękna była pogoda! Jak gdyby sprzymierzyła się z naszymi szczęśliwcami. Słońce promieniało uśmiechem, rzucając olbrzymi cień „Kondora” na srebrzyste lodowce.

Kiedy w południe wylądowano dla określenia szerokości geograficznej, Edwin, po wtórzywszy pomiary wysokości słońca za pomocą sekstansu, znalazł liczbę 85° 48' szerokości północnej, a 165° 10' długości zachodniej od Greenwich. Znaczyło to, że w ciągu tak krótkiego czasu „Kondor” zbliżył się o przeszło siedem stopni ku północy i znajdował się niewiele dalej od bieguna aniżeli sławny Nansen i Cagni.

¹⁵²brytan — wielki, silny pies. [przypis edytorski]

¹⁵³ametyst — fiolet. [przypis edytorski]

Sprawdziwszy jak najsumienniejsze te wyniki, Edwin śpiewał z radości. Szczęśliwi żeglarze uściskali sobie dłonie.

— Wieczorem będziemy się znajdowali nad samym biegunem! — powiedział Jerzy takim tonem, jakby chodziło o jakieś znane od dawna miejsce na powierzchni kuli ziemskiej.

— Nie, to nie może być, ja chyba śnię! — zawołał Edwin, pocierając czoło. — A może byśmy zatrzymali się tutaj do jutra?

— A to po co? — zaśmiał się Jerzy. — Pogoda jest ładna, należy z tego korzystać.

— Ja się po prostu boję. Nie wiem czego, ale nie potrafię się oprzeć jakiemuś złemu przeczuciu — mówił Edwin, biegając po polu lodowym, na którym spoczął „Kondor”.

— Et, nie pora na takie mazgajstwa! — zawołał Airman. — Teraz powinniśmy wyżyć całą naszą energię, a nie poddawać się fali uczuć, która chce osłabić naszą wolę. No, siadajmy natychmiast! Pilno mi przeżyć ten kawałek drogi!

— Kawałek! — wybuchnął Hinton, podnosząc ręce do nieba, jakby protestował przeciwko lekkomyślnemu wyrażeniu się towarzysza. — Ależ nie! Należy wypocząć, zjeść obiad, doprowadzić nerwy do porządku. Rozstawię namiot; niech się pan zdrzemnie cokolwiek. Musi pan być wypoczętym, musi pan pewną ręką i okiem niezmaconym kierować „Kondorem” w tej ważnej chwili.

Airman potrząsnął głową.

— Nie zmrużyłbym powiek ani na chwilę. I we mnie dzieje się coś dziwnego, czego nie odczuwałem dawniej. Gorączką mnie zaczyna palić. Lećmy, lećmy prędzej! Każda godzina jest droga...

Hinton jakiś czas wahał się, ale nie mógł się oprzeć tym słowom. Skinął głową. Wtedy człowiek-ptak, zjadłszy tylko parę tabliczek czekolady, zajął swoje stanowisko. Motor zaczął wnet działać i „Kondor” znów wzleciał ponad płaszczyznę lodowców, kierując się zuchwale ku wielkiemu swemu celowi.

Młodzieniec wyrzucał sobie, że nie opanował gorączki swej własnej i swego towarzysza. Leciąc przez dziesięć czy dwanaście godzin bez przerwy, na to potrzeba było żelaznej wytrwałości. A w gruncie rzeczy pośpiech taki nie tylko że nie był potrzebny, ale, przeciwnie, mógł się okazać fatalnym w skutkach. Każdy żołnierz, który ma o świcie wystąpić do krwawego boju, powinien wypocząć należycie i zebrać siły na decydującą chwilę.

Ale Edwin nie miał dość woli, żeby postąpić według wskazówek rozsądku. Lecieli więc znów z zawrotną szybkością. Hinton czuł, że wibracje motoru stały się znacznie silniejsze, i spostrzegł, że człowiek-ptak poddaje coraz więcej benzyny do cylindrów.

Widać, że i on był już ogarnięty szaleem niecierpliwości.

— Nie, nie śpiesz się pan tak! Może się coś w maszynie popsuć! — błagał Edwin, powoli wracając do równowagi.

Ale człowiek-ptak nie zważał na jego słowa.

Samolot leciał tak przez półtorej godziny.

Nagle motor zaczął oddychać nienormalnie, wybuchać od czasu do czasu. Było to ostrzeżenie, że cylindry zbyt silnie się rozgrzały. Edwin dotknął dłonią ramienia towarzysza.

Człowiek-ptak usłyszał jednak sam tę skargę motoru i za chwilę „Kondor”, zakreśliwszy wielkie półkole, usiadł lekko jak albatros na równej ławicy zasłoniętej od strony wiatru szeregiem lodowych pagórków.

Tutaj miano przenocować, a raczej wypocząć przez dziesięć godzin.

Pierwszym czynem na obozowisku było oznaczenie szerokości geograficznej. Słońce zakreślało niemal poziomy krąg na niebie, stąd trudność niemała, zwłaszcza że mgła wisiała nad widnokręgiem i tarcza słoneczna nie miała wyraźnych konturów. Ale człowiek-ptak doskonale znał się z sekstansem i po trzykrotnych pomiarach otrzymał wreszcie liczbę bardzo zbliżoną do rzeczywistości.

Edwin stał nad nim i czekał niecierpliwie wyniku.

— Ile? — zagadnął.

— Pokazuje się, że lecieliśmy z nadzwyczajną szybkością — rzekł Jerzy. — „Kondor” jest istotnie doskonałym żeglarzem powietrznym. Robiliśmy bowiem czterysta kilometrów na godzinę i znajdujemy się mniej więcej pod 88° 22’ szerokości.

Zanim jednak nasi podróżnicy udali się na spoczynek, aparat iskrowy zaczął się poruszać. Znak to, że wysłano z jachtu depeszę. Brzmiała ona, jak następuje:

Nadchodzi burza z południowego wschodu. Podnosimy kotwicę i oddalamy się od pola lodowego. Kiedy pogoda nastanie, dotrzemy jeszcze dalej na północ. Dotąd na pokładzie wszystko w porządku. Hinton, Bolton, Ewa, Edyta, Burnett, Nills

— To niedobrze! — rzekł Jerzy, odczytawszy depeszę iskrową. — Wprawdzie nie ma obawy, żeby burza dosięgła aż do bieguna, ale „Złota Strzała” może być narażona na niebezpieczeństwo większe aniżeli my tutaj.

Edwin także zamyślił się głęboko. Leżąc w worku, przeniósł się myślą w te odległe strony, gdzie pozostała miss Edyta i jej towarzysze: może teraz walczą z burzą? Airman, który chciał czuć pierwszy, spoglądał niespokojnie na barometr. Ten jednak szedł w dalszym ciągu w górę. Nic nie zwiastowało zmiany pogody. A jednak „Złota Strzała”, tam, w dali, walczyła z burzą! Co za cudowna rzecz ten samolot, no i telegraf bez drutu, który potrafi uprzedzić o burzy, szalejącej gdzieś daleko!

Tak myśląc, Edwin zasnął smacznie w futrzanym worku, pod jedwabnym namiotem, w mile przenikającym całą jego istotę ciepło. Podniecony bliskim sąsiedztwem bieguna, nie mógł jednak długo spać.

Jeszcze nie upłynęło sześć godzin, kiedy opuścił worek i ciepłe miejsce zaofiarował Jerzemu, który był bardzo znużony.

Człowiek-ptak pogrążył się zaraz we śnie głębokim, niemal letargicznym, który trwał całe dziesięć godzin, ku wielkiemu zniecierpliwieniu Edwina.

Kiedy Airman wyszedł nareszcie z namiotu, Edwin powitał go jak zmartwychwstałego.

— Nigdy jeszcze noc, a raczej dzień nie wydał mi się równie długi! — zawołał. — Takie kolejne czuwanie zabiera nam wiele drogiego czasu i gdybyśmy wyruszyli po ośmiodzinnym wypoczynku, już byśmy mieli pod nogami koniec osi ziemskiej!

— Czekają nas wzruszenia przyjemne albo i przykre, w każdym razie silne — rzekł Jerzy. — Musimy zatem mieć wypoczęte nerwy. Teraz już będziemy lecieli bez przerwy.

— Jeżeli obliczenia pańskie nie zawierają błędów, powinniśmy dotrzeć tam za dwie godziny mniej więcej.

— Na pewno są trafne, jak to zresztą sprawdziliśmy obaj. No, zajmuj pan swoje miejsce!

W milczeniu przygotowano samolot do podróży.

Edwinowi biło serce, kiedy siadał obok człowieka-ptaka.

„Kondor” wzbił się w powietrze wśród ogłuszającego krzyku skrzydlatych rzesz, zatoczył parę kół i skierował się ku północy.

Niebo, dotąd pogodne, zawlokło się obłokami; zerwał się dość silny wiatr przeciwny; zanosilo się na zmianę pogody, gdyż i barometr opadał po trochu.

Pomimo to olbrzymi ptak leciał z szybkością około dwustu kilometrów na godzinę.

Edwin obserwował okolice podbiegunowe, które dzięki zdumiewającemu wynalazkowi odsłaniały przed nim odwieczne swe tajemnice.

Stare, rozległe ławice, wały, nawet góry lodowe znikły tutaj — dowód najlepszy, że ziemi nigdzie w pobliżu nie było.

Młodzieniec wziął aparat fotograficzny i co pół godziny dokonywał zdjęć z wysokości jakichś paru set metrów.

Nagle Edwin poczuł, że vibracje motoru zaczynają słabnąć. Jerzy zamierzał opuścić się na srebrzysty całun.

— Czy już? — zagadnął Hinton.

Dowódca wyprawy skinął głową.

Za chwilę kolosalny ptak usiadł lekko na gładkiej powierzchni lodu.

— Jeżeli się nie pomyliłem, znajdujemy się na biegunie północnym albo tuż obok niego! — rzekł Airman, zeskakując ze swego miejsca.

Edwin chciał naśladować towarzysza, ale wzruszenie nadmierne podcięło mu nogi.

Zeszedł wreszcie na krę i ogarnął wzrokiem pustynię lodową, w której spoczął samolot.

— Biegun? Tutaj?

— Zaraz się przekonamy! — odparł Airman z uśmiechem, wyjmując ze skrzynki sekstans i chronometry.

Człowiek-ptak zabrał się do pomiarów astronomicznych, ale wnet natknął się na nieprzewidziane trudności. Spostrzeżono, że słońce nie obracało się, zakreślając ognisty krąg wzdłuż całego horyzontu, lecz stało w jednym punkcie na niebie. Było to zjawisko tak oryginalne, że nasi podróżni przyglądali mu się z ciekawością nadzwyczajną.

Pomimo to Airman oznaczył, jak potrafił najdokładniej, wysokość słońca i, porównawszy otrzymane liczby z tablicami astronomicznymi, potrząsnął głową.

— Nie jesteśmy jeszcze na samym biegunie. Brak nam dziesięciu minut, ponieważ minuta ma na biegunie wartość tysiąca ósmuset sześćdziesięciu metrów, jesteśmy przeto od końca osi ziemskiej oddaleni o osiemnaście kilometrów z okładem.

Hinton powtórzył pomiary, ale przy parustopniowym mrozie trudno mu było manewrować delikatnymi śrubkami. Nadto ręka trzymająca sekstans drżała mu lekko, dość że otrzymał liczbę różniącą się o sześć minut od obserwacji towarzysza.

— Teraz już nic nie wiem! — zawołał zniechęcony.

— W takich warunkach trudno określić szerokość geograficzną z pomyłką mniejszą nad parę minut — rzekł Jerzy. — Dlatego też nigdy nie uda się ani nam, ani naszym następcom wyznaczyć z całą dokładnością położenia bieguna.

— Tak, ale należy zbliżyć się doń jak najbardziej. Siadajmy na „Kondora” i przelećmy jeszcze z dziesięć kilometrów. Tylko w jakim kierunku?

— Na samym biegunie, który jest nieruchomy, słońce pozornie stoi w miejscu. Jedyną pewną wskazówkę dać nam może gwiazda biegunowa, która tutaj powinna się znajdować w samym zenicie. Cóż z tego, kiedy jest biały dzień. Czekać zaś nocy polarnej, która trwa tu akurat pół roku i rozpoczyna się z dniem 23 września, nie możemy.

— A zatem nie możemy nigdy powiedzieć: biegun ziemski jest tu, w tym miejscu?! — zawołał rozgoryczony Edwin.

— Naturalnie. Zwłaszcza że ten biegun nie leży na lądzie, lecz pośród ruchomych lodów, gnanych przez prądy i wichry.

— To okropne! Nie zastanawiałem się nigdy nad tym.

— Pamiętaj pan jeszcze, kochany panie Hinton, że oś ziemską zmienia ciągle swoje położenie, że co kilka tysięcy lat inna gwiazda będzie Gwiazdą Polarną.

— Tak. Jest to zjawisko dobrze znane w astronomii — przytwardził Edwin. — Trzeba też uwzględnić łamanie się promieni świetlnych w atmosferze, skutkiem czego gwiazdy stają się widzialne, choć w istocie znajdują się jeszcze pod horyzontem. Jednym słowem — tysiąc okoliczności sprzyściło się przeciw nam! Nic nie jest pewne tu, pod biegunem! Nie masz ani godziny, ani stron świata...

— I nie może być mowy o południu, o środku dnia... Przecież jesteśmy w punkcie przecięcia się wszystkich południków. Można więc przyjąć, że znajdujemy się pod każdym południkiem, a zatem, kochany Edwinie, jest teraz tak dobrze północ, jak piąta rano albo południe. Mamy tu jeden półroczny dzień i takąż noc.

— Chaos! — jęknął młodzieniec, chwytając się za głowę. — W każdym razie lećmy, zróbmy wszystko, co leży w naszej mocy.

Airman zgodził się.

„Kondor” przeleciał jeszcze dziesięć kilometrów na równym tutaj pancerzu lodowym.

— To tu! — zawołał Hinton, wyskakując.

Po kilkakrotnych pomiarach, które za każdym razem dawały inne cyfry, podróżni nasi doszli ostatecznie do przekonania, że nigdy nie zdołają dokładniej aniżeli w przybliżeniu do pięciu kilometrów oznaczyć położenia bieguna północnego.

Zresztą było to dla nich całkiem zbyteczne. Biegun północny, jak już można się było zorientować, leżał nie na lądzie, ale pośród odwiecznej pustyni lodowej, na ławicach wędrownych, na których niepodobieństwem byłoby nawet zatknąć sztandar na czas dłuższy albo złożyć w puszcze metalowej dowód, że dotarł tutaj człowiek. Budowa kopczyka z kawałków lodu także byłaby zabawką, niczym więcej. Za parę dni kopczyk ze sztandarem znalazłby się o kilkanaście mil na wschód albo na zachód i praca byłaby daremna.

— Nie jesteśmy przecież dziećmi — rzekł Edwin, skończywszy ostatni pomiar — nie żywimy czczych ambicji. Jak przystało na poważnych badaczy, rozejrzyjmy się po

okolicy, poróbnmy spostrzeżenia, na jakie nas stać, a przede wszystkim donieśmy o sobie towarzyszom.

— Hm! Spróbujmy chociaż...

Człowiek-ptak potrząsnął głową, ale nic już nie mówiąc, zaczął składać przybory do wysłania w przestrzeń fali elektrycznej. Ażeby zapewnić sygnałom większy zakres, ustawił maszt sygnałowy na najwyższym wzgórku, opatrzył dobrze baterię i puścił prąd jak najsilniejszy.

Ułożono wspólnie depeszę, która miała taką treść:

Biegun północny, dnia 6 września 19... r. Dotarliśmy wreszcie do najbardziej wysuniętego ku północy punktu. Biegun leży wpośród wiecznych lodów, na pełnym morzu. Trudności w oznaczeniu położenia geograficznego wielkie. Pogoda piękna. Jutro wyruszymy z powrotem. Wszystko w porządku.
Pozdrowienia. Jerzy Airman, Edwin Hinton

Wysławszy w lodową przestrzeń depeszę, nasi lotnicy oczekiwali z utęsknieniem odpowiedzi. Niestety, nie nadchodziła. Dowód, że fala elektryczna nie dotarła do miejsca przeznaczenia.

XIV. WSPÓŁZAWODNIK

„Kondor”, opuściwszy punkt, w którym krzyżują się wszystkie południki, leciał równo przez parę godzin, pożerając, według wyrażenia Edwina, lodowe obszary.

Pozostawiono za sobą przestrzeń jakichś trzystu do czterystu kilometrów, kiedy nagle na nieprzejrzaną, lśniącobiałą szacie, okrywającą podbiegunowe okolice, zamajaczyło kilkanaście czarnych, pelzających punkcików, które przez lunetę okazały się ciągnionymi przez psy saneczkami.

— Eskimosi¹⁵⁴! — zawołał Hinton.

Ale Jerzy potrząsnął przecząco głową.

— Tu, w tych stronach, na pełnym morzu, z dala od jakiegokolwiek lądu? Tuziemcy unikają tych niedogodnych okolic, gdzie nawet wpośród lata trudno o zwierzynę. Są to raczej podróżnicy, którzy przedsięwzięli wycieczkę na saneczkach z okrętu znajdującego się w pobliżu.

Edwin, usłyszawszy przypuszczenie towarzysza, zaczął śledzić widnokrąg; nigdzie jednak nie dostrzegł sylwetki okrętu żeglującego albo stojącego pośród lodów.

„Czy opuścić się i pomówić ze śmiałymi badaczami, czy też szybować dalej bez przerwy?” — pytał sam siebie Airman.

Rozsądek nakazywał, aby się nie zatrzymywać, uczucie zaś zalecało porozumieć się z podróżnikami.

„Jest ich zaledwie kilku, jak to już wyraźnie widać przez lunetę. Kto wie, czy nie znajdują się w ciężkim położeniu; może cierpią na brak jakiegoś przedmiotu, którym rozporządzamy na »Kondorze«? Może łaknąć wieści ze świata albo chcą podać wiadomości o sobie do ojczyzny? Trzeba wylądować, dodać im otuchy lub udzielić pomocy”.

Powziąwszy to postanowienie, Jerzy skierował samolot wprost na saneczki torujące sobie z niezmiernym wysiłkiem drogę wśród wałów lodowych.

Wylądowano o dwa kilometry przed saniami, mniej więcej na ich przypuszczalnej drodze.

— Ja pozostanę przy »Kondorze», pan zaś idź i rozmów się z nimi — rzekł Jerzy. — Kto wie, czy nie zdołamy im wyświadczyć jakiejś ważnej usługi.

Hinton w milczeniu skinął głową, wziął okuty kij, sztucer, buty podbite gwoździami i żwawym krokiem ruszył na spotkanie podróżników.

¹⁵⁴*Eskimosi* — określenie ludzi zamieszkujących obszary wysokich szerokości geograficznych (arktycznych lub subarktycznych). Dzisiaj nazwa ta jest uznawana za obraźliwą (pochodzącą od słów: „zjadacze surowego mięsa”) i nie powinna być używana. Neutralna nazwa to *Innuici* (co w języku Inuitów znaczy „ludzie”). [przypis edytorski]

Przeprawy przez bariery, składające się z ostrych, spiętrzonych bezładnie odłamów grubej kry, nastręczały duże trudności nieprzywykłemu do nich młodzieńcowi; ze szczytów pagórków widział jednak saneczki, które posuwały się naprzód z istic żółwią powolnością.

Upłynęło parę godzin, zanim dotarł do celu.

Kiedy jego postać zarysowała się na tle lodowców, samotni wędrowcy wydali okrzyk zdziwienia i zatrzymali saneczki.

Psy pociągowe, osadzone na miejscu, szczekając zajadle, rzuciły się ku obcemu przybyszowi.

Do Edwina zbliżył się mężczyzna tęgiej budowy.

— Kto pan jesteś? — pytał, wyciągając dłoń, z której ściągnął uprzednio grubą, futrzaną rękawicę.

Edwin wymienił swoje nazwisko, stan i pochodzenie. Z kolei przedstawił się podróżnik. Był to również Amerykanin — naczelnik wyprawy podbiegunowej, znany badacz, kapitan D. W krótkich słowach opowiedział swoje przygody. Wyruszył z Bostonu¹⁵⁵ na statku przez siebie wykwapowanym, w niezłomnym zamiarze dotarcia do bieguna. Lody uwięziły okręt, urządził zatem wycieczkę na saniach w towarzystwie jednego z marynarzy i Eskimosów, umyślnie w tym celu zabranych z Grenlandii.

— Jak mi się zdaje, znajdujemy się obecnie pod 86° szerokości północnej — rzekł kapitan D. — I mam nadzieję, że zdołamy tym razem dopiąć celu, który stanowi zarazem jedyny cel mojego życia. Brałem już udział w trzech wyprawach nieudanych; ta będzie ostatnią, wierzę w to niezachwianie. A pan? Czy wolno zapytać, jakim cudem znalazłeś się sam jeden, odziany tak lekko, w tych odległych stronach? Pański okręt musi być tuż, niedaleko! Jakże się cieszę! Uzupełnimy nasze zapasy, które są mocno nadwerżone; głównie potrzeba mi pożywienia dla psów. Spodziewam się...

— Przykro mi, że nie będę w stanie ziścić pokładanych we mnie nadziei — odparł Edwin z żalem. — Żadnego statku nie ma w pobliżu...

— Czy i pan bierze udział w wyprawie saniami? — zagadnął kapitan D., marszcząc brwi niechętnie.

— Broń Boże, nie przyjechałem tu sankami...

— Więc chyba z nieba spadłeś?! — zawołał dowódca wyprawy podbiegunowej.

— Zgadłeś pan!

— No, no! Dość tych żartów, panie Hinton. Czas drogi, nie traćmy go na grę w ślepą babkę¹⁵⁶! Zaprowadź pan nas do swoich towarzyszy, z którymi prędzej może dojdę do porozumienia.

— Mam tylko jednego towarzysza.

— To niepodobieństwo!

— Zapewniam pana, że nie myślę o przekomarzaniu się z panem. Wracam ze swoim towarzyszem na samolocie spod bieguna!

Na twarzy kapitana D. malowały się kolejno najrozmaitsze uczucia, które Edwin wyraźnie mógł odczytać z gry mięśni i wyrazu oczu. Naprzód podróżnika opanowało zdumienie, które wnet ustąpiło miejsca gniewowi, a gniew równie szybko przeszedł w przestrach.

Kapitan utkwiał przenikliwy wzrok w młodzieńcu, jakby pragnął sięgnąć do głębi jego duszy.

— Nieszczęśliwy obłąkańcze! — zawołał. — Trudno pojąć, jak człowiek chory, samotny, źle odziany może błąkać się w tej pustyni i nie zginąć od razu? Noe, sam tu¹⁵⁷!

Stojąca przy sankach brodząca postać nadbiegła na wezwanie i Edwin stanął oko w oko wobec dwóch nieznajomych.

¹⁵⁵ *Boston* — miasto w północno-wschodniej cz. Stanów Zjednoczonych (w stanie Massachusetts). Jedno z najstarszych miast w USA (pierwsze osiedla założone w 1630 r.). W Bostonie znajdują się renomowane uczelnie m.in. Uniwersytet Harvarda i Massachusetts Institute of Technology (MIT). [przypis edytorski]

¹⁵⁶ *ślepa babka* — (też: ciuciubabka) gra grupowa, w której jedna osoba ma zasłonięte oczy a jej zadaniem jest odnaleźć i zidentyfikować pozostałych członków grupy. Nazwa gry została tu użyta jako metafora gry pozorów. [przypis edytorski]

¹⁵⁷ *sam tu* (daw.) — chodź tu. [przypis edytorski]

— Powiada, że z bieguna północnego wraca! — zaśmiał się szyderczo kapitan, wskazując na młodzieńca. — Wariat! Ale skąd u licha się tu wziął?

Brodaty marynarz, noszący imię przedpotopowego patriarchy, spojrzał badawczo na Edwina, który także uśmiechał się, bo rozweseliła go ta pomyłka.

— Nie straciłem bynajmniej zmysłów — rzekł spokojnie. — Idźcie za mną, a zaprowadzę was do samolotu, który nas zaniósł do bieguna na swych skrzydłach. Szybując w przestworzach nad waszymi głowami, pomyśleliśmy, że potrzebujecie czegoś. Rad bym stać się wam użytecznym, moi panowie, w miarę możliwości. Proszę za mną!

Z tymi słowy Hinton zawrócił i podpierając się kijem, kroczył naprzód, a za nim, dysząc ciężko ze wzruszenia, postępował kapitan D. ze swoim towarzyszem.

Dowódca wyprawy skinął i drugi jego towarzysz, Eskimos, ruszył jego śladem.

— Przepraszam pana bardzo! — zawołał kapitan, doganiając Edwina. — Ale spotkanie samotnego człowieka na krańcu świata, o setki mil od zamieszkanym okolic, każdemu musi nasunąć najdziwniejsze przypuszczenia. Więc przybyłeś pan tutaj na maszynie latającej i utrzymujesz, że wspólnie z towarzyszem swoim dosięgnęliście samego bieguna?

— Upewniam pana zupełnie serio, że dokonaliśmy tego czynu, o który kusiło się bezowocnie tylu podróżników odrzekł poważnie młodzieniec. — Ale zawdzięczamy to nie tyle osobistej odwadze i wytrwałości, ile wiekopomnemu wynalazkowi, który pozwolił nam pokonać przeszkody.

— A skąd masz pan pewność, że dotarliście do samego bieguna?! — zawołał nagle kapitan, zatrzymując się.

— Dokonaliśmy bardzo starannych pomiarów, które każdy może sprawdzić.

— Ulegliście pomyłce! Przecież nie jesteście żeglarzami.

Hinton spojrzał na kapitana, który widocznie, pod wpływem przygnębiającej wiadomości o szczęśliwych współzawodnikach, tracił swą równowagę psychiczną.

Zaległo długie milczenie.

Młodzieniec, dotknięty nieco wyrażonymi przez podróżników wątpliwościami, szedł, nie mówiąc ani słowa. W głębi duszy żałował kapitana i doznawał prawdziwej przykrości uprzytomniwszy sobie teraz, jak boleśnie musiał on odczuć tę wiadomość.

Badacz zadawał mu ciągle pytania, na które jednak otrzymywał bardzo lakoniczne odpowiedzi.

Wreszcie po uciążliwym marszu ujrano z wału lodowego „Kondora”, spoczywającego na obszernej krze.

Kapitan na widok samolotu stanął jak wryty i pożerał formalnie wzrokiem tajemniczą maszynę.

— Więc to nie żarty? Przylecieliście aż tutaj?! Niechże obejrzę ten cudowny wynalazek.

Chciał iść do samolotu, lecz Edwin powstrzymał go energicznym gestem.

— Budowa maszyny latającej stanowi tajemnicę mojego towarzysza, który nie pokazuje jej nikomu. Proszę więc pana pozostać tutaj, aż przyprowadzę genialnego wynalazcę, z którym odbyłem podróż napowietrzną do bieguna.

Młodzieniec nie potrzebował jednak iść do „Kondora”, ujrzał bowiem Airmana zbliżającego się na spotkanie przybyszów.

— Miło mi dotknąć dłoni człowieka, który stworzył tak doskonałe narzędzie do przenoszenia się z miejsca na miejsce i który potrafił je tak dobrze zastosować dla dokonania największego geograficznego odkrycia — rzekł kapitan, wyciągając swą prawicę do Jerzego.

Człowiek-ptak skłonił się z uśmiechem.

— Czy nie moglibyśmy pomóc w czymś panom? — zapytał uprzejmie. — Zapewne także udajecie się na północ?

— Jeżeli to prawda, że dotarliście już do bieguna, nie mamy po co iść dalej! — odparł z goryczą kapitan.

— Istotnie. Udało się nam to względnie łatwo.

Twarz kapitana wykrzywiła się boleśnie.

— Nie zasługi, ale szczęście. Tak często bywa na świecie! — mruknął.

— Czy nie moglibyśmy być panu w czym użyteczni? — powtórzył Airman. — Może pragniecie podać o sobie wiadomości światu? Mamy telegraf bez drutu na pokładzie naszego statku powietrznego.

Kapitan poruszył się niespokojnie.

— A czy donieśliście o swoim odkryciu, moi panowie? — zagadnął nagle.

— Jeszcze nie, bo na tak wielkie odległości przyrządy nasze nie działają; ale mam nadzieję, że jutro albo pojutrze najdalej będziemy w stanie wręczyć listy, jeżeli nam je pan powierzy.

Kapitan milczał ponuro, rzucając pełne nienawiści spojrzenia na szczęśliwych współzawodników.

— Niechże mi będzie wolno popatrzeć na cudowną maszynę... — rzekł z przekąsem czy niedowierzaniem.

— Powiedziałem, że to tajemnica wynalazcy — odparł Hinton. — Chyba z daleka...

— Kiedy tak, to napiszę parę listów i będę bardzo wdzięczny, jeżeli je panowie doręczą, komu należy — rzekł. — Niestety to potrwa z godzinę; nie jestem bowiem przygotowany.

— Chętnie poczekamy, aż pan skończy.

— A czy pozostawiliście panowie dokumenty na biegunie? — rzucił Noe.

— Ach, panu idzie o dokumenty?! — zawołał Jerzy. — Ale po co sobie zadawać tyle trudu w miejscu, gdzie prócz ruchomych lodów nie ma nic zgoła?

Kiedy Jerzy wymówił te słowa, na twarzy kapitana zakwitł uśmiech zadowolenia i z piersi wyrwało się westchnienie ulgi.

— Tak, tak... — rzekł. — A zatem wybaczenie, panowie, jeżeli stracie godzinę czasu; postaram się skreślić jak najprędzej moje depecze.

Z tymi słowy kapitan oddalił się, pozostawiając naszych lotników samych.

— Żał mi tego człowieka — rzekł Airman po chwili milczenia. — Widzieć tak rozwiane swoje marzenia i zmarnowane wysiłki długich miesięcy, a może i lat, to bardzo bolesne. Lepiej było może nie zaczepiać ich; oszczędziliby sobie w ten sposób zawodu.

Rozległ się strzał, a raczej dwa strzały, które zły się w jeden.

To Edwin widząc, co się dzieje, z zadziwiającą przytomnością umysłu zerwał z ramienia sztucer i wypalił, na szczęście w samą porę.

Kula z jego winchesterki trafiła w zabójczą broń, odrzucając ją daleko. Napastnik stał z opuszczoną bezwładnie ręką.

Towarzysze kapitana zatrzymali się. I oni mieli broń. Lada moment mogli z niej zrobić użytek. Nie było ani jednej chwili do stracenia. Młodzieniec, trzymając pod lufą swej broni napastników, cofał się krok za krokiem do samolotu, zajął swe miejsce i w tej samej chwili Airman puścił w ruch motor.

Jeszcze jednak „Kondor” nie zdołał wznieść się w górę, gdy Noe palnął doń ze swej broni myśliwskiej. Kula gwizdnęła tuż koło uszu Edwina, który odpowiedział ze sztucera.

Nie trafił jednak skutkiem wibracji, w jaką motor wprawiał samolot. Padł drugi strzał z dubeltówki, ale też nikogo nie zranił. Samolot znajdował się już ponad lodami i szybko się oddalał. W parę minut potem grupa napastników zniknęła na tle śniegów.

Teraz dopiero nasi lotnicy ochłonęli z wrażenia.

— Łotry! — krzyczał Edwin. — Zapłacić nam taką niewdzięcznością za nasze dobre chęci! Żałuję, że nie położyłem trupem tego nędznika. Dreszcz mnie przenika na samą myśl, że mógł pana trafić. Jak to dobrze, że nie rozstaję się nigdy ze sztucerem! To przyzwyczajenie ocaliło nam obu życie. Nie wątpię bowiem, że załatwiwszy się z panem, postaraliby się i mnie sprzątnąć ze świata. Wiedzieli od nas samych, żeśmy nie pozostawili żadnych śladów swego pobytu na biegunie. Gdyby nas zatem zamordowali, ciała nasze wrzucili do morza, samolot zaś zniszczyli za pomocą ognia, to nasze odkrycie przepadłoby wraz z nami w tej pustyni lodowej. A wtedy kapitan śmiało mógłby utrzymywać, że to on pierwszy dotarł jeśli nie do samego bieguna, to bardzo odeń¹⁵⁸ niedaleko.

Długo nasi żeglarze powietrzni nie mogli się uspokoić. Przygoda była bowiem nie spodziewana i niezwykła.

— Na przyszłość będziemy starannie unikali spotkania z ludźmi! — rzekł Airman. — Czy kule nie uszkodziły samolotu?

¹⁵⁸odeń — od niego. [przypis edytorski]

Edwin zaczął oglądać mechanizm i niebawem przekonał się, że pocisk trafił w jedną z podpórek podtrzymujących skrzydło i prawie zupełnie ją zdruzgotał.

Kiedy zakomunikował o tym Jerzemu, ten niezwłocznie zatrzymał motor.

„Kondor” opuścił się na lodowiec i lotnicy zajęli się jego naprawą.

Na nieszczęście nie mieli zapasowej podpórki, połączyli więc obie złamane części drutem.

— Jest to małe uszkodzenie, ale w razie silnego naporu wiatru na skrzydło „Kondor” byłby narażony na poważne niebezpieczeństwo — rzekł Jerzy zmartwiony. — Musimy bardzo uważać na samolot i nie lecieć zbyt szybko.

— Ach, niegodziwiec! — oburzał się Edwin. — Ładnie pojmuję szlachetne współzawodnictwo na polu nauki i odkryć geograficznych!... Człowiek taki nie zasługuje na tytuł uczonego, bo goni za groszem i rozgłosem. Obrzydliwość!

— No, no! Uspokój się pan. Kto wie, czy kapitan D. ubiega się o materialną korzyść jedynie. Być może, że jest to człowiek pożerany ambicją, a tacy są właśnie najniebezpieczniejsi.

W pierwszej chwili Edwin gotów był wrócić i z wysokości paruset metrów razić aż do skutku kulami ze swego celnego sztucera wyprawę opryszków, jak się wyrażał.

Pełen wyrozumiałości Jerzy wydawał mu się człowiekiem, którego można podziwiać, ale nie naśladować.

Nie było jednak czasu na zemstę, bo samolot szybował na południe bez przerwy i wymagał teraz podwójnej czujności.

Piękna pogoda skończyła się. Od południowego wschodu nadchodziły groźne chmury, zajmując coraz większą część widnokręgu. Zrywał się wiatr, i to wiatr boczny, z którym bardzo trudno było walczyć „Kondorowi”.

W cztery godziny po napadzie pogoda pogorszyła się na tyle, iż Airman począł na serio myśleć o wyładowaniu.

W odległości paru mil widniało równe pole lodowe, gdzie też opuszczono się na ziemię.

— Tu musimy przeczekać burzę! — rzekł Jerzy, rozglądając się dookoła.

Widnokrąg szybko przybierał ponure barwy. Chmury, początkowo ciemnopopielate, stawały się sine. Słońce niebawem schowało się za nimi i wyglądało jak brudnopomarańczowa tarcza.

— Będzie zawierucha! — mruczał Edwin.

XV. KŁĘSKA

Niepokój ogarnął naszych żeglarzy napowietrznych. Rozpoczęli przygotowania w celu odparcia ataków zbliżającej się nawałnicy.

— Wicher może łatwo nadwerżyć samolot — rzekł człowiek-ptak, marszcząc brwi.

— Musimy zatem zabezpieczyć skrzydła od silnych podmuchów.

— Ale jak? — zagadnął Edwin.

— Zbudujmy wał ochronny.

I nie zwlekając, Jerzy chwycił za oskard¹⁵⁹ i zaczął rąbać duże kawały lodu. Przez godzinę pracowali obaj z wielkim natężeniem, ale nie zdążyli jeszcze skończyć zamierzonej ściany lodowej, kiedy orkan zawył tak gwałtownie, iż „Kondor” zachwiał się na podłożu śnieżnym.

— Baczność! — krzyknął Edwin, strwożony niesłuchanie.

— Podawaj pan bryły lodu, trzeba obciążyć samolot! — rzekł Airman.

Edwin znosił szybko kawały lodu i kładł je do kabiny.

Drugie uderzenie wichru nie było tak silne jak pierwsze i samolot, cięższy już, nie poddał mu się tak łatwo. Niebezpieczeństwo nie minęło jednak, przeciwnie, należało się przygotować na najgorsze wypadki.

Teraz Jerzy pilnował „Kondora”, Edwin zaś wznosił dalej wał, mający za zadanie powstrzymać nieco napór huraganu. Wnet się przekonano, że usiłowania te są spóźnione.

¹⁵⁹oskard — narzędzie podobne do kilofa, lecz zakończone z jednej strony płaskim elementem przypominającym motykę, z drugiej — metalowym ostrzem. [przypis edytorski]

Ażeby dać skuteczną ochronę „Kondorowi”, trzeba było pracować co najmniej kilka godzin.

Edwin widząc, jak wichur szarpie skrzydłami olbrzymiego ptaka, drżał z obawy, że strzaskają się one lada chwila.

— A czyby nie można odśrubować skrzydeł? — pytał Hinton.

— Nie odważę się na to.

Lotnicy czekali z biciem serca strasznej chwili, kiedy „Kondor”, pochwycony przez orkan, pogruchoce się w kawałeczki o pierwszy lepszy wał lodowy.

— Jaka szkoda, że nie przewidzieliśmy zawczasu kierunku wichru! — westchnął Edwin. — Mogliśmy bowiem stanąć u stóp bariery lodowej w odpowiednim miejscu i zyskalibyśmy bardzo skuteczną ochronę.

Jerzy potrząsnął głową.

— Na nic by się nie zdało. Wichur bowiem, jak to zauważysz pan niebawem, zmienia swój kierunek.

— Istotnie, przed godziną wiał od południa, a teraz od południowego zachodu. Z tego wnioskuję, że mamy do czynienia z cyklonem¹⁶⁰, czyli z burzą wirową.

— Nie ulega to żadnej wątpliwości! — potwierdził Airman.

Nastąpiła długa chwila milczenia, przerywana poświstami orkanu. Z ciemnoburego nieba zaczęły spadać z szaloną szybkością płatki śniegu, znacząc się plamkami na odzieży lotników.

— Śnieg! — zawołał Edwin.

— W tych szerokościach pada on nawet w pośrodku lata — rzekł Jerzy, otrząsając rękaw. — Nie martwi mnie to bynajmniej, przeciwnie, jestem nawet zadowolony. Śnieg bowiem, ległszy grubą warstwą, pogrzebie samolot i zabezpieczy go od wiatru.

Airman miał słuszość. Warstwa śniegu odegrałaby rolę koldry względem „Kondora”. Na nieszczęście huragan hulał w pustyni podbiegunowej z coraz większą energią.

Zadymka stała się tak gęsta, że lotnicy nie widzieli nic nawet w odległości paru kroków. Zresztą nie byłoby nawet na co patrzeć w tej pustyni, gdzie nie istniało nic prócz śniegu i lodu.

Mijała godzina za godziną, burza szalała. Zdawało się chwilami, że „Kondor”, porwany, wzleci w przestrzeń i zniknie w zwałach chmur.

Na szczęście warstwa śniegu rosła z każdą chwilą. Niebawem była tak gruba, że znikły pod nią skrzydła.

— Zabierz pan łopaty, będą nam potrzebne — rzekł głucho Jerzy.

Hinton mechanicznie spełnił rozkaz. Odłożył na bok łopaty, bez których nie podobna byłoby odkopać pogrzebanego w śniegach „Kondora”. Wyciągnął także worek do spania i podręczne zapasy żywności.

„Człowiek ma dziwny instynkt samozachowawczy — myślał młodzieniec. — Przecież obaj zdajemy sobie wyraźnie sprawę, że zginiemy bez ratunku, a jednak mamy jeszcze nadzieję, chcemy walczyć”.

Tymczasem śnieg nie przestawał padać. Od czasu do czasu Edwin musiał wyciągać na wierzch namiot i różne przedmioty, żeby nie zniknęły w tym grząskim puchu.

Co do Jerzego, ten nie ruszał się wcale. Byłby zagrzebany żywcem, gdyby nie Hinton.

Płatki śniegu słały puszysty grobowiec samolotowi i śmiałym lotnikom, którzy wtargnęli w państwo wiecznych lodów. Burza pastwiła się nad bezsilnymi ikarami. Oni już nie bronili się nawet i obojętnie patrzyli, jak śnieżycy kładzie na nich swe lodowate ramiona.

Kiedy po trzydziestu ośmiu godzinach straszna burza podbiegunowa skończyła się wreszcie, „Kondora” nie było wcale widać spod grubej warstwy śniegu.

Wystawał tylko szczyt namiotu, w którym rozbitkowie nasi szukali schronienia przed lodowatymi podmuchami huraganu, zasunięci w swój futrzany worek do spania.

Spędzili całą dobę jakby w letargicznym odrętwieniu. Dopiero kiedy zza chmur wyrzało upragnione słońce, odważyli się wychylić ze swego worka.

Ściany namiotu ugiwały się pod ciężarem śniegu tłoczącego się ze wszystkich stron. Edwin, pochwytywszy łopatę, z trudem wydostał się na zewnątrz.

¹⁶⁰cyklon — cyrkulacja powietrza w obszarze wyżu barycznego. Powietrze w cyklonie krąży wokół bezwietrznego środka, nazywanego okiem cyklonu. [przypis edytorski]

Świat podbiegunowy odzyskał swoją zwykłą krasę. Wszystko drzemało pod srebrną powłoką, tak jasną, że razila spoglądające na nią oczy.

Słońce podbiegunowe zabrało się wnet do pracy. Jego promienie, jeszcze ciepłe pomimo zbliżającej się jesieni, zaczęły topić śnieg, który niebawem zrobił się tak miękki, że nie można było chodzić po nim bez nart. Termometr wskazywał sześć stopni ponad zero.

Gdyby nawet samolot nie został zgnieciony grubą warstwą śniegu, którą przykrył go cyklon, nie potrafiłby się wznieść o własnych siłach z tego grzęzawiska.

Słońce zbudziło z odrętwienia Jerzego. Wyszedł z namiotu i zabrał się do odkopywania „Kondora”.

„Czyżby »Kondor« nie był zgubiony bez ratunku? — pomyślał Edwin, patrząc na pracującego towarzysza. — Jest więc jakaś maleńka nadzieja?”

Ale niebawem podróżni przekonali się, że siły ich opuszczają. Od czterdziestu godzin obaj nie mieli nic w ustach. Edwin, chcąc nie chcąc, musiał więc pomyśleć o ugotowaniu obiadu. Gdy Airman z zaciekłością usiłował uwolnić samolot spod grubej warstwy śniegu, Edwin krzątał się żwawo. W godzinę zapachniała doskonała zupa mięsna i odgrzane konserwy. Jerzy jadł w milczeniu.

— No i cóż? — zagadnął nieśmiało Edwin, kiedy skończono posiłek i zabrano się do picia kawy.

— Nie wiem! Zdziwiłbym się jednak, gdyby „Kondor” pod tak olbrzymim ciężarem uciskającym jego skrzydła nie doznał uszkodzeń. Gdyby nawet wyszedł z małym szwankiem, nie wyruszymy stąd tak prędko.

Edwin powiódł okiem po niezmiernym białym całunie okrywającym wszystko.

— Więc tu mamy zginąć? — rzekł.

Jerzy machnął ręką i pochwycił porzuconą łopatę. Edwin ujął za drugą i obaj ze świeżą energią wzięli się do odgrzebywania samolotu, który zniknął w śniegu bez najmniejszego śladu.

Pot im wystąpił na czoła, a jednak nie ustawali ani na chwilę. Po czterech godzinach ostrze łopaty zadzwieczało na stali. Airman dokopał się do prawego skrzydła. Pokazało się, że warstwa pokrywająca samolot miała dwa i pół metra grubości. Należało więc usunąć olbrzymią masę śniegu, ażeby oswobodzić „Kondora”.

— Musimy odpocząć — rzekł Edwin, ciężko dysząc. — Niech się pan położy w namiocie i postara się zasnąć zaraz po posiłku, który przygotowuję. Będziemy pracowali na zmianę.

Ale Jerzy, zdenerwowany niepewnością, nie potrafił zmrużyć oka. Zjedzono kolację. Potem obaj lotnicy wsunęli się razem do futrzanego worka i wnet głęboki sen skleił im powieki.

Kiedy się przebudzili, zegarki, uważnie nakręcone przedtem, wskazywały drugą po północy. Spano zatem jedenaście godzin bez przerwy. Edwin czuł się teraz pełen energii i ochoczo zabrał się do pracy.

Nareszcie po dwudziestu czterech godzinach ciężkiego trudu zdołano oswobodzić „Kondora” z sypekich więzów.

Jerzy z drżeniem serca wsunął się pod stalowe skrzydła, ażeby zbadać, w jakim stanie znajduje się samolot.

Edwin oczekiwał ze wzruszeniem.

— Dach od kajuty zdruzgotany! — rozległ się wreszcie głos.

— A skrzydła? Skrzydła i motor?

— Zdaje mi się, że prawe skrzydło ugięło się nieco pod ciśnieniem. Chodź no pan tutaj, Edwinie.

Hinton zaczął wyrzucać śnieg z kabiny, ale wnet zatrzymał się, doszedł go bowiem silny zapach rozlanej benzyny.

Jeden z aluminiowych rezerwuarów, przedziurawiony gwoździem ze złamanego szkieletu kabiny, był zupełnie pusty.

— Trzysta litrów benzyny wyciekło! — zawołał Edwin trwożnym głosem.

Airman zaklął siarczyście.

— Tysiąc kilometrów mniej! — zawołał, rzucając łopatę.

Taka poważna strata osłabiała niepomrotnie nadzieję powrotu do „Złotej Strzały”. Drugi zbiornik pozostał jednak nietknięty. Razem miano w zapasie benzyny najwyżej na tysiąc pięćset kilometrów.

Ale nie na tym skończyły się poniesione klęski.

Dolne urządzenia nie wytrzymały ciężaru przygniatającego samolot. Oba koła były zgięte w ósemki, podpórki, na których spoczywały pływaki, połamały się, skutkiem czego „Kondor” był pozbawiony możliwości lądowania.

Lotnicy przyglądali się z niemą rozpaczą tym spustoszeniom dokonany przez śnieg.

— Czy zdołamy to wszystko naprawić? — jęknął wreszcie Edwin.

— Mamy koła zapasowe — odparł Jerzy chmurnie — ale wątpię, czy się nam uda naprawić wiązania podwozia. Na to potrzeba sporo zdrowego drzewa, którego tutaj daremnie byśmy szukali.

— A więc jesteśmy unieruchomieni?

Hinton spojrzał błagalnie na towarzysza. Wierzył niezłomnie w jego geniusz, żywił więc niegasnącą nadzieję, że twórca samolotu zdoła jakoś zaradzić nieszczęściu. Widząc jednak, że Airman stoi chmurny i milczący, usiłował go pocieszyć.

— Połatamy jakoś wiązania! — wyszeptał nieśmiało.

— Nie zaniedbamy uczynić wszystkiego, co od nas zależy — rzekł poważnie Jerzy.

— Trzeba przede wszystkim zupełnie oswobodzić „Kondora” ze śniegu.

Po paru godzinach zadanie to było spełnione, tak iż lotnicy mogli obejrzeć dokładnie dolną część kadłuba.

Osie od kół były zgięte, ale nie połamane dzięki tej okoliczności, że zrobiono je ze stali. Koła nie ucierpiały zbyt wiele i z pewnym nakładem pracy można je było doprowadzić do porządku. Za to oba pływaki znajdowały się w stanie opłakany. Drażki, którymi przytwierdzono je do kadłuba samolotu, w kilku miejscach były złamane.

— W takim stanie nie podobna wzlecieć — rzekł Airman. — Pływaki odgrywają rolę saneczek, są bowiem pod spodem zaopatrzone w drewniane płozy. Koła zaś w śniegu grząskim i głębokim nie nadają się wcale ani do lądowania, ani do wzlotu. Trzeba więc za wszelką cenę naprawić pływaki i wyprostować prawe skrzydło, które lękam się, czy wytrzyma.

— Jak długo potrwa reperacja? — zagadnął Edwin.

— Gdybyśmy mieli materiał, to znaczy drzewo, w kilka dni naprawilibyśmy pływaki. Ale skąd je weźmiemy? Do najbliższego lasu jest ze trzy tysiące kilometrów.

Edwin spuścił głowę.

— No, ale nie należy do ludzi, którzy czekają z założonymi rękami śmierci, chociażby nieuniknionej! — zawołał Jerzy. — Będziemy się bronili do ostatka. Do pracy więc!

Założono wśród topniejącego śniegu warsztat. Rozebrano dolne rusztowanie za pomocą narzędzi, znajdujących się w samolocie, i reperowano mozolnie pływaki. Okazało się, że Hinton był wcale niezłym cieślą, a Jerzy pierwszorzędnym mechanikiem. Połamane podpórki latano skrupulatnie kawałkami blachy i stalowymi drutami. Po czterdziestu ośmiu godzinach wytrwałej pracy „Kondor” znów znajdował się, pozornie przynajmniej, w porządku.

— Zanim puścimy się w drogę, należałoby wypróbować samolot — rzekł Airman, kiedy pochowano już narzędzia i zwinięto namiot.

— Co do mnie, jestem innego zdania — odparł Edwin. — Nic nie ryzykujemy, puszczając się w dalszą drogę bez prób. Jeżeli przy następnym lądowaniu podpórki trzasną, znajdziemy się w takim samym położeniu jak obecnie, ale przybliżymy się o dobry kawał drogi do „Złotej Strzały”, która, mam nadzieję, czeka na nas. Obserwowałem aparat radiotelegraficzny, ale ten milczy. Widocznie dzieli nas zbyt wielka przestrzeń. Niebawem jednak spróbujemy uzyskać połączenie.

Airman musiał przyznać słuszność zdaniu towarzysza. Wzniesiono się więc niebawem i znów „Kondor” szybował ponad polami lodowymi i jeziorami, kierując się prosto na południe.

Jerzy starał się lecieć ze średnią szybkością, żeby oszczędzać benzynę, której zapas zmniejszał się zastraszająco. Robiono przeciętnie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę,

musiano jednak walczyć z silnym wiatrem przeciwnym, który niepokojąco szamotał się z „Kondorem”. W tych warunkach benzyny spalało się znacznie więcej aniżeli normalnie.

Po sześciogodzinnej podróży motor zaczął kapryścić. Wydobywały się zeń jakieś dziwne odgłosy zrozumiałe tylko dla jego twórcy.

— Zdaje mi się, że jeden albo dwa cylindry¹⁶¹ przestały działać — rzekł zaniepokojony pilot. — Musimy koniecznie wylądować.

— Ja sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli zamiast na pole lodowe opuścimy się na jezioro słonej wody, widoczne tam w dali.

— To prawda — odparł Airman, kierując „Kondora” we wskazanym przez Edwina kierunku.

Obaj lotnicy z biciem serca oczekiwali tego, co miało nastąpić. Czy zreperowane podwozie nie połamie się na nowo pod ciężarem samolotu?

Kiedy więc pływaki dotknęły powierzchni spokojnego jeziora, Edwin na rozkaz Airmana zajął miejsce Nillsa na przedniej platformie, ażeby natychmiast w razie potrzeby puścić w ruch motor.

Na szczęście podwozie wytrzymało. „Kondor” unosił się lekko na wodzie pluskającej maleńkimi falami.

O kilkadziesiąt metrów zaledwie od niego leżał płaski brzeg pola lodowego.

Na jego białym tle Edwin dostrzegł kilkanaście czarnych plam. Przyjrzawszy się im uważnie, nasz lotnik poznał, że ma przed sobą grubą zwierzynę.

— To morsy¹⁶²! — zawołał.

Samiec znajdujący się na straży stadka, liczącego kilkanaście sztuk, podniósł głowę na widok olbrzymiego ptaka, z szumem opuszczającego się na jego dziedzinę.

Zamiast jednak dać sygnał do ucieczki, ryknął gniewnie.

— Oho, książę pan wita nas niezbyt przyjaźnie! — zawołał Edwin, śmiejąc się.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, kiedy potwór z pluskiem skoczył do wody i szybkimi ruchami przednich nóg popłynął w kierunku „Kondora”.

— Baczość! — krzyknął Jerzy.

Edwin domyślając się nieprzyjacielskich zamiarów morsa, starał się dostać do kabiny, gdzie się znajdował jego sztucer. Nie zdążył jednak pochwycić za broń, kiedy duża głowa wynurzyła się tuż przy prawym pływaku. Mors sapiąc przypatrywał się swymi okrągłymi ślepiami samolotowi, biorąc go zapewne za olbrzymiego ptaka.

— Prędej, prędej! — wołał Jerzy, puszczając w ruch śmigło.

Młody Hinton miał już w ręku swoją celną winchesterkę; zanim jednak zdołał wymierzyć, już para długich, ostrych kłów zanurzyła się w pudle pływaka.

Potwór zamierzał ponowić cios, gdy kula sztucera trafiła go między oczy. Na szczęście motor już działał. Airman zręcznie zrobił pół obrotu na prawo i „Kondor” dźwignął się z wielką trudnością, pochylony silnie na prawy bok. Z otworów w pływaku wyciekły strumienie wody.

— Masz, lotrze! — wołał Hinton, dając powtórnie ognia do rzucającego się konwulsyjnie olbrzymia.

Dzięki przytomności pilota „Kondor” zdołał uniknąć okropnego niebezpieczeństwa. Woda, która dostała się do wnętrza pływaka, nie wylała się jednak zupełnie, musiano więc koniecznie wylądować na ławicy.

Zaledwie jednak „Kondor” dotknął lodu, gdy rozległ się głuchy trzask, któremu towarzyszyło przekleństwo Airmana.

Spojone z takim nakładem pracy podwozie, gdzie były osadzone koła i pływaki, połamało się znowu. „Kondor” ślizgał się jakiś czas po gładkiej powierzchni kry, po czym zatrzymał się nieruchomo u podnóża ciągnącej się zygzakowato w dal, lodowej bariery.

¹⁶¹cylinder — część układu mechanicznego, komora, w której porusza się tłok, sprężający paliwo i w której to paliwo jest spalane. [przypis edytorski]

¹⁶²mors — duży (długość dochodząca do 3 m, waga — do 1500 kg), drapieżny ssak żyjący u wybrzeży Oceanu Arktycznego i w północnych obszarach Pacyfiku. [przypis edytorski]

XVI. ZA PRZYKŁADEM ORŁÓW

Po nieudanej próbie zreperowania „Kondora” położenie naszych rozbitków powietrznych jeszcze się pogorszyło. Stracili już wszelką, najmniejszą nawet nadzieję. Znajdowali się o półtora niemal tysiąca kilometrów od „Złotej Strzały”, wśród niezmiernych pustkowi arktycznego oceanu.

Najbliższym, a może i jedynym lądem była Ziemia Franklina¹⁶³, na której daremnie szukano by drzewa, tak jak i na każdym innym lądzie w tych okolicach. Gdyby nawet las znajdował się o kilkadziesiąt kilometrów od samolotu, nie mogliby z niego nasi lotnicy skorzystać; nie mieli bowiem sanek dla odbicia choćby tak małej podróży po lodzie.

Pozostało im jeszcze na kilka dni żywności; Edwin mógłby upolować niedźwiedzia, fokę czy morsa, bo zwierzyny nie brakowało, zwłaszcza w jeziorach i szczelinach między polami lodowymi.

Jeżeli tego nie uczynił, to tylko dlatego, że już stracił nadzieję ocalenia.

„Kondor” leżał nieruchomy, bezwładny, można rzec, nieżywy na śniegu i już nie miał podnieść się więcej!

Upływał już ósmy dzień od wyruszenia w tę nieszczęsną podbiegunową podróż. Ten tydzień, a zwłaszcza ostatnie dni wydawały się rozbitkom powietrznym niezmiernie długie.

— Mój Jerzy — rzekł jednego dnia Edwin. — Pozostało mało czasu. Śmierć nadchodzi. Nie można jednak umrzeć, nie pozostawiając światu szczegółowego opisu naszej podróży, a także planów samolotu.

— Plany znajdują się u Burnetta, który potrafi według nich zbudować drugiego „Kondora”. Co zaś do naszej podróży, jak pan uwiadomisz o jej wynikach świat, kiedy nasz telegraf bez drutu nie działa?

— Umieścimy opis w blaszanym pudełku i pozostawimy tutaj. Lody z czasem muszą stopnieć, oddadzą więc nasz dokument morzu, a prądy zanoszą go światu po dwu czy więcej latach. Proszę, weź się do opisu, ja zaś udam się na polowanie — powiedział Edwin, w którego wstąpiła nowa energia.

Przyniósł papier i pióro z samolotu, przynaglił towarzysza do pracy, sam zaś zarzucił sztucer na ramię i wolnym krokiem poszedł w kierunku szczeliny, skąd dochodził jego uszu gwar ptactwa.

Musiał przechodzić przez zwały spiętrzonych lodowców, zanim dostał się do wolnej od lodów powierzchni morza. Nad nią unosiły się liczne mewy i różne ptactwo morskie. W dali, na krze szmaragdowej widniały duże, ciemne plamy, w których wprawne oko myśliwego rozpoznało foki.

Należało obejść dokoła jezioro słonej wody, ażeby zbliżyć się do zwierzyny. Edwin szedł śmiało, przeskakując przez węższe szczeliny.

W końcu jednak musiał się zatrzymać, natrafił bowiem na rozpadlinę szeroką na kilka metrów, która ciągnęła się bardzo daleko.

— Ha, trudno! Trzeba ją obejść! — mruknął młodzieniec. — Mam czasu dosyć!

Poszedł w prawo, bo w ten sposób zbliżał się ku dostrzeżonym fokom znajdującym się w odległości około tysiąca metrów.

Po godzinie niebezpiecznej wędrówki zbliżył się już na strzał do zwierząt, które jednak nie okazywały najmniejszego niepokoju. Wobec tego Edwin postanowił podejść jeszcze bliżej, aby mieć pewniejszą zdobycz.

„Te twory najwidoczniej nigdy nie miały do czynienia z człowiekiem! — myślał. — Patrz na mnie i ani myślą opuścić swoich leży¹⁶⁴. Kiedy tak, to podejść jeszcze bliżej!”

Ale szczelina zakręcała na prawo i Edwin nie mógł wykonać swego zamiaru.

Zdając sobie sprawę z tego, że nie dość jest zastrzelić zwierzynę, ale jeszcze trzeba mieć do niej dostęp, kroczył wolno wzdłuż szczeliny, upatrując dogodnego miejsca do przeprawienia się na drugą stronę.

¹⁶³*Ziemia Franklina* — błąd autora, polarnik John Franklin został upamiętniony w nazwach: Cieśnina Franklina, Dystrykt Franklina, Góry Franklina i Zatoka Franklina. Wszystkie te miejsca znajdują się w północnej części Kanady. [przypis edytorski]

¹⁶⁴*leże* — miejsce odpoczynku; kwatera. [przypis edytorski]

Pole lodowe, po którym szedł młodzieniec, było grube na dwa metry, składało się zaś z licznych warstw, świadczących, że lodowiec ma już kilka lat.

Nagle drogę zastąpiła mu bariera dość świeżego pochodzenia.

Powstała ona zapewne podczas ostatniej burzy, kiedy olbrzymie lodowce, pędzone huraganem, wpadały na siebie i spiętrzały się w wysokie wały.

Edwin zarzucił sztucer na ramię i zaczął wdzierać się na potrzaskane lody o ostrych jeszcze kantach.

Wtem oko jego spoczęło na przedmiocie, który jaskrawo odbijał kształtem i barwą od otoczenia.

„Co to sterczy spośród kry? Co to złoci się świeżą drzazgą na tle olbrzymich szmaragdów podbiegunowych?”

Edwin dotknął przedmiotu ręką i wydał głośny okrzyk radości i triumfu.

Drzewo! Olbrzymi pień drzewa, uwięziony pomiędzy lodami, zamarznięty od Bóg wie jak dawna w ławicy, miotany wraz z nią tajemniczymi prądami! Zbawcze drzewo, przyniesione tutaj być może z Syberii¹⁶⁵ północnej albo z Alaski! Materiał do naprawy „Kondora”, który leży tam, skazany na zgubę, jak ciężko ranny ptak.

Hinton zapomniał o fokach, które patrzyły na jego radość obojętnymi, okrągłymi oczami, zapomniał o głodzie. Zawrócił w kierunku namiotu, a gdy już zbliżył się o tyle, że mógł być dostrzeżony przez Jerzego, stanął na szczycie wału lodowego, zatknął chustkę na końcu lufy od sztucera i powiewał nią w kierunku swego towarzysza.

Człowiek-ptak spostrzegł Edwina i z bijącym sercem biegł ku niemu.

— Co się stało? — pytał zdyszany, dopadłszy wreszcie Edwina.

— Znalazłem coś, czego właśnie szukamy! — odparł po prostu młodzieniec.

Jerzy spojrzał nań niedowierzająco, ale wzruszenie Edwina wykluczało wszelkie wątpliwości. Obaj mężczyźni poszli szybko do miejsca, gdzie Hinton znalazł kłodę. Airman ukląkł i z biciem serca wpatrywał się w nią, macał palcami, stukał, jakby nie wierzył własnym zmysłom. Potem, nic nie mówiąc, ścisnął długo i mocno dłoń towarzyszowi.

*

Upływały dwa tygodnie od chwili opuszczenia jachtu, kiedy skończono naprawę „Kondora”.

Wydobycie ciężkiej i grubej kłody z uścisków lodowca, pocięcie jej na części za pomocą wątych narzędzi, obrobienie na podpórki, wszystko to kosztowało naszych rozbitków niezmiernie wiele pracy.

Nie ustawiali jednak w wysiłkach, aż wreszcie ujrzeli „Kondora” uleczonego i gotowego do lotu.

Była to już druga połowa września; jesień zbliżała się szybkimi krokami; słońce krążyło nisko nad samym widnokregiem. Niedługo sroga zima i noc północna zawitają a w te smutne krainy.

Ale teraz niewiele sobie robili z tego wszystkiego nasi lotnicy. Bardziej trapiła ich myśl, że nie mogli podać o sobie wiadomości towarzyszom ze „Złotej Strzały”. Może inżynier, nawet miss Edyta, nie mówiąc już o Samuelu Hintonie, stracili nadzieję ujrzenia zuchwałych podróżników i jacht odpłynął na południowe morza, uważając wyprawę za straconą, a jej członków za nieżyjących. Niestety, przypuszczenia te były bardzo uzasadnione. Nie można by mieć nawet za złe mister Hintonowi, gdyby dał rozkaz odpłynięcia.

Telegraf bez drutu nie działał na odległość półtora tysiąca kilometrów, ale jutro, pojutrze najdalej, łączność powinna być przywrócona, jeżeli tylko „Złota Strzała” znajdowała się na północ od Cieśniny Beringa.

Lotnicy nasi z łatwą do zrozumienia niecierpliwością oczekiwali wieści o „Złotej Strzale”, bo zdawali sobie sprawę, że ich życie zależy teraz od spotkania się z jachtem.

Próbny lot udał się znakomicie; „Kondor” odzyskał swobodę i pewność ruchów. Naučení doświadczeniem, nasi lotnicy zabrali ze sobą zapasowe podpórki, aby nie znaleźć się znów w trudnym położeniu.

¹⁶⁵ Syberia — kraina geograficzna w północnej części Azji, leżąca w granicach Rosji, rozciągająca się między Uralem, Oceanem Arktycznym, Mongolią i Pacyfikiem. Powierzchnia Syberii to ok. 12,5 mln. km², obszar ten zamieszkuje ok. 31 mln. osób (gęstość zaludnienia w 2010 r. wynosiła 2,4 os. na km²). [przypis edytorski]

19 września, czyli piętnastego dnia od opuszczenia „Złotej Strzały”, „Kondor” porzucił okolice, gdzie omal nie pozostał na zawsze, i szybkim lotem zdążył na południe, bo Jerzy nie żałował benzyny, byleby jak najprędzej dostać się w niższe szerokości i nawiązać łączność z jachtem.

Gdy nasi lotnicy przelecieli około ośmiuset kilometrów, zdecydowali się nadać depeszę iskrową na „Złotą Strzałę”.

Edwin czynił przygotowania z bijącym sercem.

— Czy fala elektryczna dogoni „Złotą Strzałę”, która, być może, płynie już daleko poza Cieśniną Beringa ku San Francisco?

Należy jednak spróbować.

I Edwin ułożył depeszę:

Przez dwa tygodnie byliśmy odcięci od świata pod 87°. „Kondor”, porwany przez burzę i z trudnością naprawiony, podąża na południe. Gdzie „Złota Strzała”? Oczekujemy niecierpliwie wiadomości. Jerzy, Edwin

Przyrządy działały poprawnie. Hinton usiadł na złomie lodu przy aparacie i z trwogą oczekiwał odpowiedzi.

Mijały minuty, potem kwadranse, a odpowiedź nie nadchodziła.

Hinton po godzinie znów zatelegrafował — na próżno.

— „Złota Strzała” odpłynęła do San Francisco! Teraz już nie podobna o tym wątpić — rzekł opuszczając dłonie.

— Jesteśmy więc pozostawieni samym sobie! Widocznie uważają nas za umarłych! — przytwardził Jerzy. — Ale spodziewam się, że nie zginie my, jeżeli tylko uda nam się dostać poza koło biegunowe, na ląd stały. Nie traćmy zatem czasu.

Siedząc znów na pokładzie „Kondora”, słuchając głębokiego oddechu motoru, widząc w dole znikające w dali lodowce, nasi lotnicy czuli się tak szczęśliwi, jak gdyby ktoś uwolnił ich nagle z ciężkiego więzienia, w którym oczekiwali kąpieli.

Pragnąc wynagrodzić stracony czas, Jerzy z początku rozwinął dużą szybkość; ale wnet, opamiętawszy się, że zapas benzyny jest skromny, zwolnił lotu, chociaż ciągle szybowano z prędkością gołębia pocztowego.

Wejść w kontakt ze „Złotą Strzałą”! To był główny cel naszych podróżników.

Samolot odzyskał swoją sprawność. Ani się nie obejrzano, kiedy olbrzymi ptak zbliżył się do okolic, które przed paru tygodniami opuścił.

Hinton, nie tracąc nadziei, patrzył na morze przez lunetę, chcąc jak najprędzej ujrzeć „Złotą Strzałę”.

— Jeżeli na nas czekają, to powinni znajdować się w pobliżu! — powtarzał od czasu do czasu.

— Cóż z tego, kiedy zapas benzyny wyczerpuje się! — odparł człowiek-ptak, spoglądając z niepokojem na zbiornik.

— W takim razie wylądujemy i puścimy depeszę iskrową — radził Hinton.

Tak też uczyniono.

Telegraf działał dobrze i na pewno mógł dogonić jacht, choćby ten znajdował się dość daleko poza Cieśniną Beringa.

Tym razem nie czekano długo na odpowiedź. Nadeszła po upływie dziesięciu minut zaledwie i brzmiała, jak następuje:

„Złota Strzała” 70° 24’ szerokości północnej, 171° 32’ długości zachodniej od Greenwich. Uszczęśliwieni wiadomością od was. Zapędzeni przez burzę na południe, nie możemy posunąć się na północ z powodu ławic. Czekamy na was z największą niecierpliwością. Burnett, Ewa, Edyta, Nills, Bolton

— Podpisu mojego ojca nie ma. Co to znaczy? — pytał Hinton, odczytawszy depeszę. — Czyżby powrócił do Stanów?

Ale Jerzy nie odpowiadał. Zajmowało go zupełnie co innego.

— Odsunęli się jeszcze od nas, zamiast się zbliżyć. To fatalne! — zawołał wreszcie, mnąc papier w dłoni. — Oszczędzałem jak się dało benzyny, ale strata, jaką ponieśliśmy, jest zbyt znaczna, żeby ją powetować. Znajdujemy się o parę kilometrów od dawnego

stanowiska „Złotej Strzały”. Za parę godzin „Kondor” będzie znów bezwładny i żadne już wysiłki nie podniosą go w powietrze. No, ale skoro już jesteśmy w kontakcie ze „Złotą Strzałą”, położenie nasze nie należy do złych.

— Poczekaj pan. Wyślemy do nich depeszę z żądaniem, aby koniecznie popłynęli naprzeciw nas. W ostateczności niechaj wysła sanie z paroma ludźmi i zapasem benzyny.

Jerzy uśmiechnął się ironicznie.

— Znajdujemy się mniej więcej pod 73° szerokości i 165° długości, to znaczy, że od jachtu dzieli nas, lekko licząc, przestrzeń siedmiuset kilometrów. Mamy zaś zapasu paliwa, jak sądzę, przy największej oszczędności na trzysta kilometrów.

Edwin zwiesił głowę. Obliczenie to było nieubłagane!

— W każdym razie trzeba, aby oni wiedzieli, tam na jachcie, o naszych kłopotach! — rzekł.

Za pierwszą pobiegła druga depesza.

Odpowiedź nadeszła taka, jaką z góry przewidział człowiek-ptak.

Radzono zbliżyć się samolotem jak najbardziej, obiecywano zaś ze swej strony skorzystać z pierwszej możliwości, ażeby posunąć się dalej na północ, choć olbrzymie pole lodowe leżało na drodze jachtu.

Niepodobna było żądać więcej od towarzyszy pozostających na „Złotej Strzale”. Nie mogli oni przelecieć na skrzydłach, jak „Kondor”, ponad lodami, które zapewne otoczyły ich zewsząd i tamowały każdy ruch.

— Lećmy! — zawołał stanowczo Edwin. — Im bliżej do nich, tym lepiej.

Ale człowiek-ptak nie śpieszył się. Usiadł na złomie lodowym i pograżył się w głębokich rozmyślaniach.

Od czasu do czasu odwracał głowę w kierunku wiatru, badając jego kierunek i siłę.

— Czy mam siadać? — zagadnął Edwin, którego paliło pragnienie jak najprędszego ujrzenia Edyty i Ewy.

— Po cóż się śpieszyć?

— Lepiej przecież czekać pod niższymi szerokościami aniżeli tracić czas tutaj, gdzie nie można nawet marzyć o spotkaniu z jakimkolwiek okrętem.

— A jednak musimy czekać.

Edwin zamilkł. Postanowienie człowieka-ptaka wydawało mu się niedorzecznością. Zbyt wiele jednak żywił zaufania do wielkiego wynalazcy, ażeby mu to powiedzieć. Kto wie, czy w tej głowie nie zrodziła się jakaś myśl genialna.

Edwin, nic się już nie odzywając, rozłożył namiot i zabrał się do przyrządzania posiłku, którego obaj pilnie potrzebowali.

Odgrzewał na maszynce resztki tłustej foki zabitej przed tygodniem. Gdyby nie ta zdobycz, nasi lotnicy od dawna cierpieliby głód, bo zapasy zabrane z jachtu już się wyczerpały.

Zjedzono przesiąknięte tranem mięso z apetytem, wypito po kubku gorącej herbaty, po czym Airman znów przyglądał się uważnie obłokom ciągnącym dość szybko po niebie.

Na takich tajemniczych obserwacjach minął jeden dzień. Przez ten czas Edwin porozumiewał się co parę godzin z towarzyszami na jachcie.

Ewa wysłała do niego drugą depeszę, w której obiecywała zrobić, co tylko będzie leżało w jej mocy, ażeby jak najprędzej uściskać oplakanego już brata. Edyta dołączyła także parę życzliwych słów dla młodzieńca.

Ta rozmowa za pomocą iskry elektrycznej była prawdziwą rozkoszą dla Edwina. Musiał jednak oszczędzać prąd, żeby go nie zabrakło w decydującej chwili.

Wypoczynek był tym razem długi, bo samolot nie wybierał się nazajutrz w podróż.

Jerzy ciągle badał chmury. Wreszcie trzeciego dnia, kiedy cierpliwość Edwina niemal się wyczerpała, człowiek-ptak dał znak do odjazdu.

Od kilku godzin wiał silny wiatr. Ale Jerzy był zadowolony. Siadł wesoło na swoje miejsce.

— Mnie się zdaje, że nie zalecimy daleko w takich warunkach! — ośmielił się zauważyć Edwin. — „Kondor” będzie doznawał znacznego oporu i spadnie jego normalna szybkość! Będzie to tylko daremnym zużyciem benzyny, której już tak niewiele pozostało w zbiorniku.

— Miałbyś pan słuszość zupełną, gdybyśmy lecieli ciągle za pomocą motoru — odparł Jerzy.

Edwin rozłożył ręce ze zdumienia.

— Czyż możemy lecieć inaczej?! — zagadnął.

— Spróbujemy zaraz.

— Bez motoru? Chyba żartujesz pan sobie ze mnie?

— Bynajmniej — odparł poważnie Airman. — Czy pan nie słyszałeś nigdy o locie żaglowym wielkich ptaków morskich i lądowych? — zagadnął po chwili milczenia.

— Nic mi o tym nie wiadomo!

— Posłuchaj więc. Od dawna znana jest rzecz, że ptaki mające duże i długie skrzydła są w stanie nie tylko latać bez poruszania nimi, ale nawet wznosić się w takiż sam sposób. Naturalnie, iż lot wymaga zużycia siły, powiedzmy lepiej: energii. W tym wypadku ptak nie zużywa własnej energii mięśniowej, ale korzysta umiejętnie z siły wiatru, podobnie jak statek żaglowy. Żaglowiec, lawirując, zwalcza wiatr jego własną siłą. Otóż i ja chcę pójść za przykładem orłów, sokołów, albatrosów, burzyków i innych żywych maszyn latających, o wiele zresztą doskonalszych od naszej.

Od dawna już przekonałem się, że „Kondor” ma silną tendencję do wznoszenia się, jeżeli płynie pod wiatr, i musiałem zwalczać tę jego dążność. Zobaczysz pan, jak będę z tego korzystał. No, w drogę!

Śmigło zawarczało i „Kondor” łatwo wzbił się ponad lodowce. Kiedy znalazł się na wysokości tysiąca metrów, człowiek-ptak nagle zatrzymał motor, ustawił za to w szczególny sposób ster głębokości. „Kondor” zmienił położenie w powietrzu, poddając wiatrowi swoją dolną powierzchnię. Wicher pochwycił go na barki i dźwignął potężnie w górę. Wznoszenie to było powolne, ale ciągle jak u zwykłego latawca. Airman z najwyższym natężeniem utrzymywał równowagę „Kondora”, tańczącego jak baletnica na linie na niewidzialnych ramionach wichury. Kiedy już zdołał podnieść się w ten oryginalny sposób na kilkadziesiąt metrów, szybkim i pewnym ruchem dźwigni zmienił położenie skrzydeł. Wtedy „Kondor” pochylał się dziobem naprzód i zaczynał szybko ślizgać się po powietrzu, jak to się działo zawsze, ilekroć w zamiarze lądowania zatrzymano motor. Dzięki temu posuwał się o kilkaset metrów dalej, po czym Airman powtarzał ów manewr. Edwin miał poleczone czuwać nad motorem i na pierwszy rozkaz puścić go w ruch.

Ponieważ lot żaglowy, jak go nazwał Jerzy, był niebezpieczny w pobliżu ziemi, więc wzniesiono się za pomocą motoru na wysokość tysiąca pięciuset metrów i tam, wśród bardzo przykrego zimna, manewrowano dalej.

Zdarzało się, że wiatr ustawał na krótko albo zmniejszał szybkość. Wówczas samolot zaczynał opadać. Ale Edwin puszczał na kilkadziesiąt sekund w ruch motor i niebawem „Kondor” odzyskiwał swój dawny poziom.

Kto by patrzył nań z dołu, nie mógłby się oprzeć wrażeniu, że ma nad głową olbrzymiego albatrosa, płynącego z nieruchomo rozpostartymi skrzydłami, jak to nieraz czynią te ptaki, towarzysząc dniami całymi okrętom na pełnym morzu.

Edwin był zachwycony tym pomysłem, który pozwalał znakomicie zaoszczędzić paliwa.

— Im bliżej pana poznaję, tym bardziej pana muszę podziwiać! — wołał pełen entuzjazmu dla człowieka-ptaka.

Ale Airman nie słuchał. Pochłonięty był całkowicie kierowaniem „Kondora”, najmniejsze bowiem wahanie, niedokładność w poruszeniach sterami, roztargnienie, mogły zwichnąć równowagę samolotu i spowodować ciężką katastrofę. Z tej przyczyny Hinton zachowywał się powściągliwie i w milczeniu śledził niezrównaną zręczność towarzysza wykonującego zdumiewające wprost manewry powietrzu.

Czasami, poczuwszy pod sobą wstępujący prąd powietrza, Jerzy zaczynał opisywać koła jak orły wzbijające się bez jednego wahnięcia potężnym skrzydłem na zawrotne wysokości. „Kondor”, za przykładem swego imiennika z Kordylierów, krążył długo, długo, wznosząc się stopniowo, ale ciągle, tak iż czasami dosigał obłoków i znikał w nich zupełnie. Dosięgnąwszy dwóch tysięcy metrów, „Kondor” zaczynał lecieć w prostym kierunku, zamieniając zyskaną energię na ruch zwykły, po linii lekko pochyłej.

Manewry te doskonale się udawały, świadcząc o odwadze i niesłychanej wprawie sternika.

Młodzieniec odzyskiwał nadzieję, że niebawem ujrzy Edytę, gdyż jak się przekonano z obliczeń, „Kondor” przez osiem godzin przeleciał około czterystu kilometrów. Nie była to normalna szybkość, ale w każdym razie dość znaczna.

Od „Złotej Strzały” dzieliła obecnie naszych lotników przestrzeń trzystu kilometrów zaledwie, którą przy dobrych warunkach można by przebyć w dwie godziny.

Zmierzono dokładnie ilość benzyny. Było jej zaledwie kilkanaście litrów — na niecałą godzinę lotu z motorem działającym normalnie. Trzeba więc było pozostawić ten szczupły zapasik na lot żaglowy, jak nazywał Jerzy swoje manewry.

Najgorzej, że wiatr z wolna, lecz wyraźnie zmieniał kierunek i niebawem z przyjaznego stawał się wręcz szkodliwy. Pragnąc jednak wyzyskać do ostatka prądy powietrzne, człowiek-ptak postępował w ten sposób: leciał jakiś czas pod wiatr, a kiedy już „Kondor” wzniósł się na znaczną wysokość, Jerzy nagle zmieniał kierunek i leciał na południe. Ponieważ płynąc pod wiatr, posuwano się wolno, z wiatrem natomiast bardzo szybko, więc koniec końców zyskiwano stosunkowo wiele.

Ostatecznie jednak musiało się to skończyć.

W zbiorniku po dwunastu godzinach takiej podróży pozostało zaledwie pięć litrów drogiego płynu.

„Kondor” legł więc znowu na ławicy lodowej, niezdolny do podróży, bezsilny.

Porobiono obserwacje astronomiczne, ustalające położenie geograficzne: 71° 20' szerokości i 166° 16' długości zachodniej. Znaczyło to, że samolot spoczywał o dwieście mniej więcej kilometrów od „Złotej Strzały”, w prostej linii.

Dzięki zatem manewrom Jerzego zdołano przelecieć pięćset kilometrów.

— Co teraz uczynimy? — zagadnął fraszobliwie Edwin, kiedy „Kondor” na dobre już spoczął na lodowcach.

— Przede wszystkim pošlemy depeszę, żeby się przekonać, czy jacht może przyjść nam z pomocą, czy też musimy liczyć tylko na siebie samych — odparł człowiek-ptak.

Telegraf bez drutu działał teraz znakomicie. Natychmiast nadeszła odpowiedź dość pocieszająca.

Bolton donosił, że jacht, korzystając z wiatru, który cokolwiek rozluźnił okowy lodowe, posuwał się powoli, choć stale, na północny wschód. Ale podróż była niezmiernie trudna. W ciągu całej doby przepłynięto zaledwie dwadzieścia mil morskich, i to narażając „Złotą Strzałę” na poważne niebezpieczeństwo. Bolton dodał jednak na zakończenie, że nie zważa na nic, byle spełnić rozkaz miss Ewy, która rozpacza na samą myśl, że jej ukochany brat może zginąć tak blisko od niej.

Z depeszy było widać, że towarzysze naszych lotników zdziwili się, jakim sposobem „Kondor”, pozbawiony benzyny, posunął się o pięćset kilometrów w kierunku południowo-zachodnim. Wyjaśnienia Edwin pozostawił jednak na później.

— No, musimy czekać, chociażby parę tygodni! — rzekł młodzieniec. — Najgorzej, że zbliża się jesień i może zamknąć „Złotą Strzałę” tutaj na północy, jeżeli ratowanie nas potrwa zbyt długo. Zapasów nie ma, nie jestem w stanie zgotować obiadu, rozporządzam bowiem tylko kawałkiem tłuszczu z foki, a konserw nie ma ani jednej puszki!

— Udać się więc na łowy, mój dzielny myśliwce, niebawem będziemy opływali w dostatki.

— To nie łatwo! — odparł Edwin.

Ale mimo to wziął sztucer i zaczął błąkać się nad brzegiem sąsiedniej szczeliny, wypatrując zdobyczy.

Miał szczęście, bo w odległości paruset metrów zaledwie ujrzął całe stado morsów. Podszedł na pięćset kroków i wycelował.

Padł strzał i jeden z olbrzymów, ugodzony kulą, wzniósł się na przednich łapach, potem runął w wodę, która zaróżowiła się od jego krwi.

Reszta potworów znikła pod lodami. To samo mogło stać się ze zdobyczą. Młodzieniec biegł więc, jak potrafił najprędzej, żeby dobić miotającego się konwulsyjnie morsa. Dał doń drugi i trzeci strzał z bliska, ale potwór żył ciągle.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Brzeg ławicy, na i której znajdował się myśliwy, załamał się, snadź¹⁶⁶ pod naporem potężnych cielsk, i Edwin wpadł do wody zimnej jak lód.

O parę metrów zaledwie od niego mors rzucił się, chrapiąc i jęcząc tak głośno, że Jerzy słyszał go wyraźnie o kilometr. Nie wiadomo, czy zwierz rozpoznał swego wroga, czy też nie, dość że jego wielki kiel zawadził o bok młodzieńca i dotkliwie go zranił. Z najwyższym wysiłkiem, omdlewając z bólu, Edwin wdarł się na krę i chwiejnym krokiem wrócił do samolotu.

Airman przestraszył się niezmiernie, widząc towarzysza broczącego obficie krwią. Natychmiast przebrał go i opatrzył ranę, która była na szczęście powierzchowna, chociaż ząb morsa rozdarł ciało na długości pięciu centymetrów aż do samych żeber.

— No, wywinąłeś się pan cudownie, bo niewiele brakowało, żeby ząb potwora zabił cię na miejscu — mówił Jerzy, układając pieczołowicie młodzieńca pod namiotem, w worku do spania.

— Skaleczenie, mam nadzieję, zagoi się w kilka dni. Nie mamy nic lepszego do roboty, jak leżeć i czekać. Teraz ja biorę na siebie trudy gospodarstwa!

Edwin miał silny organizm, przychodził więc do siebie bardzo szybko.

Przez ten czas wymiana depeš iskrowych pomiędzy jachtem a samolotem nie ustała. Wiedzano, że „Złota Strzała” powoli, lecz ciągle posuwa się na północny-wschód i obecnie znajduje się zaledwie o siedemdziesiąt pięć kilometrów od samolotu.

Pogoda była przepiękna i gdyby nie choroba Edwina, Jerzy czułby się zupełnie szczęśliwy.

Nareszcie piątego dnia po wypadku Edwina z morsem depeša oznajmiła, że „Złota Strzała”, przewyciężywszy mnóstwo przeszkód, dotarła na odległość trzydziestu zaledwie kilometrów od „Kondora”.

Airman postanowił zaryzykować ostatek benzyny.

Ułożył bezpiecznie Edwina, sam zajął swoje zwykłe miejsce i puścił w ruch motor.

Reszta benzyny spalała się szybko. Po dziesięciu minutach pozostało zaledwie parę litrów. Wtedy człowiek-ptak energicznym ruchem podniósł przedni ster i „Kondor”, dobywając ostatka sił, wzbijał się wyżej i wyżej.

— Musimy dojrzeć „Złotą Strzałę”! — zawołał do Edwina pytającego niespokojnie o powody tych manewrów.

Młodzieniec natężył wzrok i po chwili wydał okrzyk radości.

— Tam, tam! — wołał, wskazując palcem na czarną kreskę rysującą się na białym tle lodów.

„Kondor” leciał prosto na jacht. Nie doleciał jednak, siły go opuściły. Zaczął szybko zniżać swój lot i bezwładny spoczął na jeziorku, o kilka kilometrów od „Złotej Strzały”.

Edwin, choć go towarzysz powstrzymywał, pochwycił kij, przypasał sobie łyżwy i podążył naprzód.

Spostrzeżono go z pokładu „Złotej Strzały”.

Od statku oddzieliła się grupka ludzi, którzy dążyli naprzeciw młodzieńca. Jeszcze kilka wysiłków i Edwin mógł już rozeznaczyć przybywających.

Kapitan Bolton kroczył na czele. Za nim podążał Nills i Burnett, na samym zaś końcu w zgrabnych kostiumach szybko ślizgały się po równej powierzchni ławicy dwie postacie — miss Ewa i miss Edyta.

Burzliwe powitania. Młodzieniec uśmiecha się, wyciąga ramiona, patrzy w promieniącą szczęściem twarzyczkę panny Airman, potem nagle robi mu się słabo i pada nieprzytomny w objęcia inżyniera.

XVII. KRÓL PUSZCZY

Straceńcy, jak nazywała zdobywców bieguna północnego miss Ewa, wróciwszy na „Złotą Strzałę”, nie zużyli więcej nad ściśle przepisany przez lekarza okrętowego tydzień na wypoczynek, po czym „Kondor”, nareperowany doskonale, wyruszył znów w swoją, na tak długo przerwana podróż dookoła świata.

¹⁶⁶snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Samuel Hinton, wezwany interesami, nie doczekał nawet powrotu swojego syna, ale zabrał się na pierwszy napotkany wielorybiczny statek zdążający do San Francisco. Miliarder, dzięki telegrafowi bez drutu, wiedział już, że Edwin ocalał, i zrażony daremną interwencją, machnął na wszystko ręką.

Edwinowi nic już nie przeszkadzało lecieć z towarzyszami, którzy przyjęli go z zachwytem.

Ułożono dalszy plan podróży. „Złota Strzała” całą siłą pary wracała do Cieśniny Beringa, postanowiono bowiem wlecieć z tego samego miejsca, w którym podróż naokoło świata została przerwana. Jerzy byłby się wprawdzie zgodził rozpocząć dalszą drogę z wybrzeża Azji, lecz Edwin zaprotestował przeciwko temu ustępstwu.

— Jeżeli mamy odbyć podróż naokoło świata, to przeprowadźmy nasz plan z całą konsekwencją — nalegał młodzieniec.

Tak też uczyniono. Z samego środka cieśniny „Kondor” poszybował przy spokojnym powietrzu nad wodami i w niecałe pół godziny po wyruszeniu znajdował się już ponad Starym Światem¹⁶⁷.

Obawiając się tundr północnosyberyjskich, gorszych aniżeli pustynie Mongolii¹⁶⁸, człowiek-ptak ułożył już dawniej marszrutę w ten sposób, żeby jakieś tysiąc kilometrów przelecieć brzegami Morza Beringa, przeciąć Kamczatkę¹⁶⁹ w jej najbardziej ku północy wysuniętej części, potem znów nad brzegami Morza Ochockiego¹⁷⁰ posunąć się na południe, do ujścia potężnego Amuru¹⁷¹.

Stacje z paliwem były, jak wiemy, zawczasu urządzone i dlatego nasi lotnicy nie mogli ani na włos jeden zboczyć z wytyczonego przed wyjazdem szlaku.

Podróż nad wybrzeżami północnymi była bardzo monotonna. Z jednej strony rozciągała się bezgraniczna płachta oceanu, z drugiej zaś lesiste wybrzeża wschodniej Syberii, odwiedzane z rzadka przez rybaków japońskich i rosyjskich, którzy nawet nie zwracali uwagi na „Kondora” szybującego na wysokości paru tysięcy metrów.

W tych warstwach panował wiatr zimny, skutkiem czego Edyta przebywała stale w kabinie, pielęgnując Edwina, który jeszcze nie przyszedł do siebie po odniesionej na łowach ranie.

Był on wciąż bardzo osłabiony i wymagał czujnej opieki, jakiej mu młoda panna nie szczędziła.

Musiał jej opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami swoje przygody w zuchwałej podróży do bieguna północnego. Edyta słuchała z najwyższym zajęciem i czuła się nad wyraz dumna, że ten, któremu już od samego początku znajomości oddała swe serce, jest na równi z jej genialnym bratem zdobywcą tajemniczego punktu na globie ziemskim.

Jerzy, zajęty kierowaniem samolotu, brał udział w rozmowach tylko podczas krótkiego wypoczynku nocnego. Nasi podróżnicy, otrzymawszy zapas benzyny, rozbijali gdzieś w ustroniu obozowisko i piekli przy olbrzymim ognisku zakupione ryby czy też upolowaną zwierzynę.

Wszystkim bardzo zależało na tym, żeby jak najprędzej wydostać się z tych niegościnnych okolic pod cieplejsze nieco niebo. „Kondor”, prowadzony niezmordowaną ręką swego wynalazcy, przelatował codziennie olbrzymie przestrzenie nad pustynnymi wybrzeżami morskimi. Drugiego dnia pod wieczór przecięto Kamczatkę i szybowano, mając po lewej ręce burzliwe wody Morza Ochockiego, po prawej zaś długi łańcuch skalistych gór oddalających się coraz bardziej ku zachodowi. Na trzeci dzień dotarto do Ochocka¹⁷²,

¹⁶⁷*Stary Świat* — symboliczna nazwa Europy, Azji i Afryki (jako znanych Europejczykom od czasów starożytnych), utworzona w opozycji do Nowego Świata (obu Ameryk, Australii i Oceanii i Antarktydy). [przypis edytorski]

¹⁶⁸*Mongolia* — kraj azjatycki, rozciągający się między Rosją a Chinami, którego powierzchnia przekracza 1,5 mln. km². [przypis edytorski]

¹⁶⁹*Kamczatka* — półwysep we wschodniej części Rosji, usytuowany pomiędzy Morzem Ochockim i Morzem Beringa. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*Morze Ochockie* — morze w północnej części Oceanu Spokojnego. Jego powierzchnia wynosi ponad 1,5 mln. km². Morze Ochockie jest prawie w całości kontrolowane przez Rosję, wyjątek stanowi położony w centrum pas zwany „Peanut Hole” (55 km x 480 km), który jest uznawany za obszar wód międzynarodowych. [przypis edytorski]

¹⁷¹*Amur* — jedna z większych rzek Dalekiego Wschodu, długość przekracza 2800 km, przepływa przez Rosję, Mongolię i Chiny, wpada do Morza Ochockiego. [przypis edytorski]

¹⁷²*Ochock* — małe miasto portowe nad Morzem Ochockim. [przypis edytorski]

w pobliżu którego znajdował się skład benzyny, i znów nad samym morzem „Kondor” leciał do Udska¹⁷³. Była to najprzekrzesza część tej podróży nadmorskiej z powodu silnych wiatrów wschodnich, z którymi samolot musiał walczyć.

Od Udska Jerzy skręcił na zachód, a potem znowu na południe, w kierunku Błagowieszczeńska¹⁷⁴, żeby osiągnąć 50° szerokości północnej.

Szybowano nad Krajem Nadamurskim w górę Amuru, gdzie przeważały równiny okryte dziewiczymi puszciami. Lasów najbardziej się obawiał człowiek-ptak. Wiedział bowiem, że w razie nagłego zatrzymania się motoru musiałby opaść na szczyty olbrzymich drzew, co równałoby się katastrofie.

Edwin pałał chęcią zapolowania w puszczach, które widział w dole, ścielące się olbrzymią zieloną płachtą, ale Jerzy stanowczo się temu sprzeciwiał. Pierwszego zaraz dnia po opuszczeniu Udska nasi podróżnicy znaleźli się w kłopotcie, zbliżał się bowiem mrok, a nie podobna było nigdzie znaleźć dogodnego miejsca do wylądowania.

Jerzy, nauczony smutnym doświadczeniem w Kanadzie, zawczasu szukał przystani dla swego „Kondora”. Znalazł ją na samej rzece, która tutaj nie była tak szeroka jak przy ujściu, ale płynęła spokojnie.

Do puszczy było stąd zaledwie kilkaset metrów. Niebawem Nills rozpałił olbrzymie ognisko.

Przy świetle ognia krzątano się około wieczery. Ponieważ jednak brakowało świeżego mięsa, więc Edwin, zawsze skory do takich przedsięwzięć, ofiarował się dostarczyć zwierzyny.

Zapadał właśnie zmrok; czworonożni mieszkańcy puszczy niebawem mieli wychodzić nad rzekę dla ugaszenia pragnienia i poszczypania obficie rosnącej na mokradłach trawy.

Można więc było zapolować „na wychodnego”.

Tak też postanowił uczynić młodzieniec. Wziął swój sztucer i zbadawszy kierunek wiatru, zajął stanowisko w pobliskiej grupie krzewów, które doskonale ukrywały go przed wzrokiem zwierzyny opuszczającej puszcze.

Słońce zapadało za rzekę, cisza uroczysta, towarzysząca zwykle konaniu dnia, rozpościerała kojące swe skrzydła nad przyrodą układającą się do snu. Żaden listek na drzewie nie drgnął nawet; słychać było wyraźnie każdy najmniejszy szelest.

Edwin, z bronią gotową do strzału, siedział na kamieniu, walcząc z rojami natrętnych komarów, które kłuły go do krwi.

Tak upłynęło z pół godziny, gdy wtem w zapadającym zmroku zamajaczyła biała plama na tle pobliskich zarośli. Myśliwiec drgnął. Nie zdążył jednak rozeznaczyć kształtów zwierzęcia, gdyż ukryło się szybko.

Edwin, który już był podniósł broń do ramienia, zaklął cicho i zdjęty ciekawością, wysunął się ze swego stanowiska.

„Nie ulega wątpliwości, że stworzenie to ukryło się w wierzbowych zaroślach — myślał. — Warto je stamtąd wypłoszyć na otwarte miejsce”.

Myśliwy postanowił podejść ostrożnie do owej grupy krzewów stojących o kilkadziesiąt kroków zaledwie od rzeki, wtedy zwierz, zaniepokojony zbliżeniem się człowieka, wyskoczy na łąkę, no a reszta będzie kwestią celnego strzału.

Edwin nie wątpił nawet, że trafi, bo białe zwierzę na ciemnym tle stanowi doskonały cel; intrygował go tylko gatunek zwierzyny, na którą miał zapolować.

„Czyżby jaki nie znany mi gatunek jelenia o jasnej sierści? — myślał sobie. — Być może, że zwierz pokazał mi tylko brzuch biały, a sam jest innej maści. No, mniejsza zresztą o gatunek czy odmianę. Zwierzyna jest gruba, to mi wystarcza”.

Tak rozumując, młodzieniec z winchesterką pod pachą podkradał się na palcach do grupy krzewów. Co kilkanaście kroków zatrzymywał się i nadstawiał ucha.

Nagle drgnął i stanął jak wryty. Uszu jego bowiem doleciał głos, od którego żywiej zabiło mu serce.

Było to mruczenie, ale mruczenie olbrzymiego, rozgniewanego kota, któremu odbierają zdobycz. Równocześnie w ciemnej głębi zarośli błysnęły dwa żółtozielone punkty, podobne do wielkich, świętojańskich robaczek.

Polowanie

Polowanie

¹⁷³ *Udske* — najprawdopodobniej chodzi o małą wieś położoną na brzegu rzeki Uda. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ *Błagowieszczeńsk* — miasto we wschodniej części Rosji, leżące przy granicy z Chinami. [przypis edytorski]

Edwin szybko ochłonął z pierwszego wrażenia, przyłożył błyskawicznym ruchem sztucer do ramienia, wycelowal i już miał wystrzelić, gdy nagle z zarośli wysunęło się duże, białe zwierzę, w którym młodzieniec rozpoznał potężnego tygrysa.

Okazało się, że nad rzeką zajęło obok siebie stanowisko dwóch równie zręcznych myśliwców, którzy nie znosili konkurencji i byli śmiertelnymi wrogami. Nad Amurem, w Mandżurii¹⁷⁵ i w Chinach panuje niepodzielnie tygrys biały¹⁷⁶, o którego istnieniu długo powątpiewali przyrodnicy¹⁷⁷.

Tygrys biały nie ustępuje ani wielkością, ani odwagą lwu azjatyckiemu¹⁷⁸, który dotąd zamieszkuje północne prowincje Persji¹⁷⁹, położone nad Morzem Kaspijskim¹⁸⁰, a ci, co go znają, nie widzą zbyt wielkiej różnicy pomiędzy nim a jego rodzonym bratem, tygrysem bengalskim.

Olbrzymi zwierz, wydobywszy się z gęstwiny, przysiadł z lekka na wszystkie cztery łapy i wpatrywał się w człowieka roziskrzonymi ślepiami.

Byłby może rzucił się od razu, ale śmiałość Edwina, idącego naprzeciw, hipnotyzowała drapieżnika.

Odległość pomiędzy tygrysem a myśliwym zmniejszała się ciągle. Edwin zrozumiał, że nadeszła decydująca chwila. Przystanął i z wycelowanej winchesterki padł suchy strzał.

Zapadające ciemności sprawiły jednak, że pocisk, chociaż trafił w głowę, nie był śmiertelny. Tygrys zaryczał z bólu i w następnej sekundzie znajdował się już w powietrzu, jakby podrzucony niewidzialną sprężyną.

Zanim jednak biała masa runęła na młodzieńca, sztucer odezwał się po raz drugi i wspaniała tygrys legł w konwulsjach konania u samych nóg myśliwca.

Młodzieniec czekał, aż król puszczy przestanie się poruszać, po czym zdjęty ciekawością, zbliżył się do niego i zaczął mu się przypatrywać. Był to bowiem zwierz, jakiego nigdy nie widział.

— Wspaniała bestia! — mruknął, głaszcząc siwą sierść drapieżnika.

Cała ta scena rozegrała się o kilkaset zaledwie kroków od obozowiska. Hinton zagwizdał, naśladując traperów amerykańskich i za chwilę zjawił się Nills.

Można sobie wyobrazić jego zdziwienie i przestrasz, kiedy ujrzał Hintona wspartego nogą na ciele tygrysa.

Niebawem przy niezwyklej zdobyczy zgromadziła się cała załoga samolotu z Edytą na czele.

Panna Airman naprzód zbladła, ale wnet klasnęła w dłonie z radości, widząc, że młodzieniec wyszedł cało tej przygody.

— Niechże pani przyjmie ode mnie skórę z króla puszczy — rzekł Edwin, kłaniając się dworsko.

— Dziękuję, ślicznie dziękuję panu! Przyznam się, że nieraz już marzyłam sobie o takiej skórze. Mówiłam Jerzemu, że musi mi kupić futro z tygrysa, jak się wzbogaci.

— I co pani będzie z nim robiła? — zagadnął inżynier, śmiejąc się.

— Przykryję nim szeszlong¹⁸¹, a łeb tygrysa podłożę sobie zamiast poduszki pod głowę.

— No, masz szczęście! — rzekł człowiek-ptak. — Marzenia twoje spełniają się bardzo prędko. A przy tym musisz wiedzieć, że tygrys biały jest rzadkością w porównaniu z tygrysem zwyczajnym. No i dar tym przyjemniejszy, że drapieżnik padł od kuli naszego dzielnego mistra Hintona. Niech żyje Edwin!

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

¹⁷⁵Mandżuria — kraina historyczna, leżąca częściowo w północno-wschodniej części Chin i częściowo w na terenie Rosji nad Morzem Japońskim i Morzem Żółtym. Od południa graniczy z Koreą Północną. [przypis edytorski]

¹⁷⁶tygrys biały — tygrys biały nie jest odrębnym gatunkiem, jego ubarwienie (biała sierść z delikatnie zarysowanymi pasami) jest wariantem ubarwienia tygrysa bengalskiego. [przypis edytorski]

¹⁷⁷długo powątpiewali przyrodnicy — zwierzę było widywane już od XVI w., ale pierwsze pojmanie go miało miejsce dopiero w 1915 r. [przypis edytorski]

¹⁷⁸lew azjatycki — podgatunek lwa afrykańskiego. [przypis edytorski]

¹⁷⁹Persja — dziś: Iran, państwo leżące na Bliskim Wschodzie pomiędzy Morzem Kaspijskim, Zatoką Perską i Zatoką Ormiańską. [przypis edytorski]

¹⁸⁰Morze Kaspijskie — największe słone jezioro świata (dziś ok. 370 km²), leży na granicy Europy i Azji. [przypis edytorski]

¹⁸¹szezlong — mebel salonowy mający kształt wydłużonego fotela z wygodnym zagłówkiem, umożliwia odpoczynek w pozycji półleżącej. [przypis edytorski]

Nills i inżynier pochwycili na ramiona Edwina i wśród śmiechów nieśli go do obozowiska.¹⁸²

— No, no, dajcie pokój tym manifestacjom, bo niewiele brakowało, żeby tygrys mnie, a nie ja jego upolował! — rzekł Edwin.

Wieczór ten upłynął wesoło jak żaden. Nasi podróżnicy zasiedli przy wielkim ognisku. Edyta wydobyła ze spiżarni butelkę starego wina burgundzkiego i wszyscy wypili po kieliszku.

Nills zdarł skórę z tygrysa, która ważyła ze trzydzieści kilo, postanowiono więc wysłać ją do Ameryki przy pierwszej nadarzającej się sposobności, żeby nie obciążała samolotu.

XVIII. NIEGOŚCINNE PRZYJĘCIE

Po owej przygodzie Edwina z białym tygrysem samolot szybował dalej nad niezmiernymi przestrzeniami starego ładu. Szybko minął Kraj Nadamurski¹⁸³ i, niewiele sobie robiąc, unosił się nad Mandżurią.

Burnett kierował „Kondorem”, Jerzy zaś, Edwin, no i Edyta zebrali się w kabinie przy obiedzie.

— Będziemy teraz spędzali jak najwięcej czasu w atmosferze — mówił dowódca wyprawy naokoło świata. — Postaram się jak najmniej lądować, aby nadrobić wszystkie opóźnienia spowodowane naszymi przygodami w krainach polarnych. Lecąc po dwieście kilometrów na godzinę, co jest dla „Kondora” bardzo umiarkowaną szybkością, możemy w ciągu dwudziestu czterech godzin przebyć przestrzeń kolosalną...

— Niemal pięć tysięcy kilometrów — przerwał Edwin.

— W niższych warstwach atmosfery nasz silnik działa bez zarzutu i łatwo może nas utrzymać przez dobę ponad ziemią. Jeżeliśmy spadli na morze w Cieśninie Beringa, to tylko dlatego, że wzniósłem się za wysoko. Benzyna w karburatorze¹⁸⁴ oziębionym do trzydziestu stopni skraplała się, urządzenie wysokościowe silnika przestało działać. To prawdziwa przyczyna naszego upadku. Odtąd jednak nic podobnego nam nie zagraża. Będziemy się trzymali przeciętnie na poziomie dwóch tysięcy metrów, co nam pozwoli orientować się w terenie za pomocą busoli i mapy.

— Och, co do mnie, jestem spokojny! — odezwał się Nills. — „Kondor” spisuje się dzielnie. Nic zresztą w tym dziwnego, ma pilota pierwszej klasy. Pan Jerzy zna oba silniki jak swoją dłoń, zna wszelkie środki ostrożności, jakie należy stosować przed lotem i w powietrzu, ląduje doskonale.

— A te krzaki w Kanadzie? — wtrąciła złośliwie Edyta.

— Rozumie się na mapie jak marynarz — ciągnął dalej mechanik, nie zwracając uwagi na złośliwość panny — posługuje się równie dobrze wysokościomierzem, szybkościomierzem, jak busolą, pilotuje z jednaką pewnością nad morzem, jak nad puszcza, orientuje się zarówno za dnia, jak w nocy, według słońca czy gwiazd, jak wypadnie, jest przysięgłym meteorologiem, latał na wszystkich aparatach, jakie dotąd się zjawiały... Otóż co do mnie, powierzam mu się bez żadnych zastrzeżeń, niech leci, jak chce, którądy mu się podoba, i basta¹⁸⁵!

— Wiesz, Nills, zasypujesz mnie gradem niezasłużonych pochwał, które mi jednak nie przeszkadzają porozumieć się z wami — przerwał Jerzy. — Gdzie nasz najbliższy skład?

Edwin poszukał na mapie, zajrzawszy uprzednio do swoich notatek.

— Odtąd każda nasza stacja będzie łatwa do odnalezienia — rzekł. — Kazałem bowiem otoczyć je białym wapiennym kołem o średnicy dwustu metrów, które pan dostrzeże nawet o zmroku. Najbliższy skład paliwa umieściłem w domu pewnego chińskiego

¹⁸²wśród śmiechów nieśli go do obozowiska. — radość z udanego polowania jest znakiem czasu i dzisiaj dotyczy niewielkiej grupy ludzi. Obecnie zadawanie cierpienia zwierzętom nie jest powszechnie akceptowane (nie mówiąc o polowaniach na gatunki zagrożone wyginięciem). [przypis edytorski]

¹⁸³Kraj Nadamurski — właściwie Obwód Amurski, terytorium należące do Rosji, leżące nad rzeką Amur, graniczące od południa z Chinami. [przypis edytorski]

¹⁸⁴karburator (daw.) — dziś: gaźnik, element silnika spalinowego, dostarczający paliwo i powietrze do cylindra w celu spalania mieszanki. [przypis edytorski]

¹⁸⁵basta (wł.) — wystarczy. [przypis edytorski]

go handlarza herbatą, w Porcie Artura¹⁸⁶. Mamy do tego miejsca w linii powietrznej nie więcej nad tysiąc kilometrów.

— Zatem za pięć godzin powinniśmy tam dotrzeć — rzekł Jerzy. — Będę trzymał się kolei łączącej linię syberyjską z Portem Artura. Pogoda jest piękna, nie możemy więc zablądzić. A zatem, kochani towarzysze, od dziś robimy po cztery do pięciu tysięcy kilometrów na dobę, czyli inaczej mówiąc, jemy i śpimy w powietrzu, gdzie „Kondor” czuje się znacznie bezpieczniej niż na lądzie.

— Oby tylko silnik wytrzymał! — westchnął Nills.

— Wytrzyma, wytrzyma. Budowałem go tak, jak się buduje motory do samolotów pasażerskich, gdzie głównie idzie o ubezpieczenie się od upadku albo przymusowego lądowania. Jestem przekonany, że nawet przez czterdzieści osiem godzin nasz „Kondor” potrafiłby znajdować się bez odpoczynku w obłokach.

Jerzy mówił to z pewnością siebie, która rozproszyła wszelkie wątpliwości jego towarzyszy.

Dalsza podróż potoczyła się według ustalonego planu. Edyta, którą nużyło ciągle wglądanie przez okno, spędzała czas na czytaniu książek albo rozmowie z Edwinem. Konwersacja była jednak dość utrudniona, gdyż pomimo użycia tłumików turkot i szum motoru przeszkadzał się porozumiewać swobodnie. Co do Hintona, ten siedział godzinami nad mapą, śledząc uważnie szlak przebywany przez samolot, ażeby w razie potrzeby skorygować pomyłkę pilota. Był obserwatorem, jak się to mówi w języku lotniczym. Jerzy i Burnett co sześć godzin mieli się zmieniać przy sterach.

Do Edyty należało też przyrządzanie posiłków, tylko w powietrzu podróży musieli się wyrzec gorącego jedła i poprzestawać na zakąskach, które Edyta wyjmowała z puszek. Prawdziwy, gotowany przy ogniu obiad miano spożywać na powierzchni ziemi.

— Zbliżamy się do Mukden, stolicy Mandżurii — rzekł niebawem Burnett.

— Och, muszę się przyjrzyć temu miastu! — zawołała Edyta, chwytając za lunetę Zeissa.

— Niewiele pani zobaczy z tej wysokości.

— A na jakiej jesteście wysokości?

— Dwóch tysięcy pięciuset metrów! — odparł Edwin, patrząc na wysokościomierz.

— Widzę — mówiła Edyta — że lecimy ponad okolicą bezdrzewną, ale gęsto zaludnioną. Pełno tutaj wiosek i obsianych pól.

— Głównie prosem¹⁸⁷, zwanym kaoliang¹⁸⁸, w którym doskonale ukrywali się Japończycy podczas wojny z Rosjanami¹⁸⁹. Oho, widać już mury otaczające miasto. Mają one podobno szesnaście kilometrów długości. Wewnątrz tego pierwszego muru jest jeszcze drugi, zaopatrzony w baszty obronne. Zniżamy cokolwiek lot. To pewnie inżynier pragnie, żeby się pani lepiej przyjrzała miastu. O, w samym środku miasta sterczy zameczek, otoczony murem i pomalowany na żółto. Świeci się w słońcu jak pochodnia. Cudzoziemcy mają tam wstęp wzbroniony. Ale my sięgamy wzrokiem wszędzie. Tutaj krzyżują się główne szlaki łączące Mandżurię północną z południową i z Chinami. Dla dawnej dynastii cesarzy chińskich Mukden był miastem świętym, gdyż mieścił grobowce pierwszych władców Chin, pochodzących z tego kraju. Miasto niedawno liczyło około stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, głównie Chińczyków.

Edyta słuchała tych krótkich informacji swego towarzysza, nie odejmując szkieł od oczu. Święte miasto przesunęło się w ciągu minuty przed oczami naszych podróżnych, gdyż „Kondor” leciał szybciej niż wszystkie ekspresy na świecie i niebawem znów znalazł się nad polami uprawnymi. Doskonale widać było z tej wysokości linię kolejową prowadzącą do Portu Artura.

¹⁸⁶Port Arthur — dziś: Lüshunkou, dzielnica Dalian, chińskiego miasta leżącego nad Morzem Żółtym. [przypis edytorski]

¹⁸⁷proso — zboże, występujące w strefie międzyzwrotnikowej. [przypis edytorski]

¹⁸⁸kaoliang — błąd autora, kaoliang to chińska nazwa sorga. [przypis edytorski]

¹⁸⁹wojna z Rosjanami — wojna rosyjsko-japońska (8 lutego 1904 – 5 września 1905). Bezpośrednią przyczyną wojny był atak Japończyków na miasto Port Arthur (dziś: Lüshunkou). Wojna zakończyła się wielką klęską Rosji, co doprowadziło do niepokojów społecznych, które kulminowały w rewolucji w 1905 r. [przypis edytorski]

— Zbliżamy się do Liaoyang¹⁹⁰, drugiego znacznego miasta wslawionego wielką bitwą pomiędzy japońskimi a rosyjskimi wojskami — rzekł po kilku minutach Edwin, śledząc mapę. — Leży ono przy wielkiej drodze prowadzącej do portu Jingkou¹⁹¹. Widzi pani te pola porosłe bielejącymi krzakami? To plantacje bawełny, zaczynamy przeto szybować ponad krainami ciepłymi. Termometr wskazuje dziesięć stopni ponad zero. Jest mi już za gorąco w kurtce futrzanej, którą chowam do naszej garderoby, mam nadzieję, na długi czas.

Z Mukdenu do Pekinu¹⁹², stolicy Państwa Niebieskiego¹⁹³, jest w linii powietrznej niecałe osiemset kilometrów¹⁹⁴, to znaczy dla nas cztery godziny lotu.

— Jaka szkoda, że nie zatrzymamy się w tym mieście! — zawołała Edyta.

— Bardzo dobrze uczyniłem, omijając je — rzekł Edwin. — Na pewno przypłacilibyśmy dużymi kłopotami naszą ciekawość. W ogóle starałem się unikać wielkich zbiorowisk ludzkich.

— Morze, morze tam na zachodzie! — zawołała panna.

— I na wschodzie też majaczy wodna przestrzeń, spowita w niebieskawe mgły — dodał Edwin. — To znaczy, że znajdujemy się już na wybrzeżach półwyspu Liaotung¹⁹⁵. Przed nami Morze Żółte¹⁹⁶!

— Mój Boże, więc będziemy nad nim lecieli?

— Niestety, nie dało się tego uniknąć! Niebawem wylądujemy, zbliżamy się bowiem do historycznego Portu Artura. Tutaj rozpoczęła się owa wielka wojna w 1904 roku, w wyniku której Rosja została odepchnięta od Oceanu Spokojnego, a Japonia stała się pierwszą potęgą światową. Sam port, jak to zobaczycie, jest wspaniały. Ku morzu otwiera się wąskim przejściem, które Japończycy daremnie starali się zamknąć swymi branderami¹⁹⁷, żeby uwięzić stojącą w nim flotę rosyjską. Obawiam się tylko, czy Jerzy łatwo odszuka nasz skład opałowy.

— Muszę sam zająć miejsce u steru — rzekł Airman, który słuchał tych objaśnień. — Już widać przystań.

W parę minut potem „Kondor”, prowadzony wprawną ręką swego twórcy, zaczął opisywać koła, jak sęp nad zdobyczą, ponad Portem Artura zamkniętym od strony morza długim przesmykiem, zwanym „ogonem tygrysim”.

Okazało się, że znaki ustanowione przez Edwina były dobrze dostrzegalne z wysokości paru tysięcy metrów. Samolot zniżał się, szukając dogodnego punktu do wylądowania.

Edyta, która z ciekawością wyglądała przez okienko kabiny, nagle cofnęła się w głąb. O kilkaset metrów bowiem od samolotu trysnął obłoczek białego dymu i rozległ się głośny huk, jakby od wystrzału. Zaraz potem „Kondor”, zamiast opuszczać się dalej, zmienił kierunek lotu i poszybował ku morzu na południe. W ślad za pierwszym obłoczkiem ukazał się, już nieco bliżej, drugi i trzeci i chociaż motor huczał głośno, to jednak dały się wyraźnie odróżnić wystrzały armatnie z powierzchni ziemi.

— Strzelają do nas! — zawołał przerażony Edwin.

— Co znowu? — odparła uśmiechając się panna. — Dlaczegożby mieli strzelać?

— Wzięli nas za samolot wywiadowczy albo może za szpiegów! Co za nieroztropność z mojej strony! Zapomniałem, że forteca znajduje się w ręku Japończyków, z którymi nie ma żartów.

Obłoczki wybuchały to dalej, to znów bliżej samolotu. Teraz już wszyscy widzieli, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło „Kondorowi”. Jeżeliby jeden z tych pocisków szrap-

¹⁹⁰Liaoyang — prefektura miejska w północnej części Chin, blisko granicy z Koreą Północną. [przypis edytorski]

¹⁹¹Jingkou — dziś największe centrum portowe nad Morzem Żółtym. [przypis edytorski]

¹⁹²Pekin — stolica Chińskiej Republiki Ludowej. Drugie miasto w Chinach pod względem liczby ludności (w 2020 r. liczyło ponad 21 mln. ludzi). [przypis edytorski]

¹⁹³Państwo Niebieskie — też: Państwo Niebiańskie, potoczna nazwa Chin. [przypis edytorski]

¹⁹⁴osiemset kilometrów — właściwie ok. 600 km. [przypis edytorski]

¹⁹⁵Liaotung — półwysp leżący w północno-wschodnich Chinach. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Morze Żółte — część Oceanu Spokojnego, położona między Chinami kontynentalnymi a Półwyspem Koreańskim. Swoje żółte zabarwienie zawdzięcza osadom niesionym przez Żółtą Rzekę. [przypis edytorski]

¹⁹⁷brander — niewielki okręt wypełniony materiałami łatwopalnymi i/lub wybuchowymi. W czasie walki na morzu brander był podpalany, załoga opuszczała pokład a jednostka, puszczona z wiatrem lub prądem rzeki, uderzała w jednostki nieprzyjaciela, wzniecając pożar. Pomysł sięga czasów cesarstwa rzymskiego. [przypis edytorski]

nelowych wybuchł bliżej, odłamki jego poraniłyby śmiertelnie lotników, którzy nierozważnie zapuścili się nad forty.

Ale Jerzy spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, kierował samolotem. Nie wznosił się wyżej, ażeby wydostać się poza zasięg strzałów, lecz poddawszy benzyny, wypuścił „Kondora” z najwyższą szybkością. W parę minut potem obłoczki oddaliły się na pół kilometra, inne natomiast wyprzedzały samolot. Widząc to, Jerzy nagle skręcił na wschód i wnet „Kondor” szybował nad morzem.

Edwin odetchnął z ulgą, kiedy spostrzegł, że niebezpieczeństwo zmniejszyło się.

— Nic nam nie zrobią! — krzyknął triumfująco inżynier. — Kpimy z waszych pocisków! — dodał, wygrażając pięścią w kierunku baterii, które widać było wyraźnie na szczycie wału fortecznego. — Do widzenia w Tokio¹⁹⁸!

XIX. CYKLON

Kiedy samolot znalazł się poza zasięgiem pocisków artylerii japońskiej, Burnett zajął się dokładnym zbadaniem wszystkich części. Najpierw, naturalnie, zwrócił uwagę na motor i zbiorniki z benzyną, do połowy, niestety, wypróżnione. Niebawem przekonał się, że były one w zupełnym porządku. Za to skrzydła kryte blachą stalową, cienką, ale bardzo mocną, nosiły kilka śladów od kulek szrapnelowych, które poprzebijały małe otworki. Gdyby to było płótno, można by się obawiać, że dziury się rozszerzą pod naporem powietrza, w stalowych natomiast nie były specjalnie niebezpieczne.

— Jakie to szczęście, że żadna z tych tysięcy kulek, które wylatywały z pękających szrapneli, nie wpadła do kabiny — mówił Edwin, którego na tę myśl śmiertelna obawa przejmowała o Edytę. — Musi pani wiedzieć, że w jednym tylko pocisku bywa ich po kilkaset. W chwili kiedy szrapnel, nastawiony na pewną odległość, pęka, ten grad kulek ołowianych wysypuje się z niego. Ale artylerzyści japońscy źle celowali!

— Za co ich muszę pochwalić! — rzekła Edyta, uśmiechając się.

— Ile mamy paliwa? — zagadnął Jerzy, nie odrywając się od motoru.

— Na tysiąc kilometrów mniej więcej — odparł Burnett. — Musimy więc przelecieć nad Morzem Żółtym i dotrzeć do Szanghaju.

— Ależ tam nie ma zapasowych baryłek! — zaprotestował Edwin.

— Nic nie szkodzi! Kupimy benzyny i smarów. Szanghaj to duże miasto. Jest tam port lotniczy, gdzie wylądujemy, jak sądzę, bez przeszkody. A gdzie leży następny nasz magazyn?

— Dopiero w Kantonie¹⁹⁹! — odparł Edwin. — Umieszczałem stację od stacji o dwa tysiące kilometrów mniej więcej.

— Stąd do Szanghaju²⁰⁰ w linii powietrznej jest niecałe tysiąc — rzekł Airman. — Paliwa powinno nam więc starczyć.

Po tej krótkiej naradzie skierowano się prosto na południe. Unoszono się jakiś czas nad zatoką, potem znów ukazał się półwysep Szantung²⁰¹, zamykający do niej wejście od południa.

„Kondor” wnet znalazł się nad wodami burzliwego Morza Żółtego, które musiał przeciąć w kierunku południowym na przestrzeni jakichś sześciuset kilometrów.

— No, teraz się znów skąpiemy w wodzie! — zawołała Edyta, pochyliwszy się nad mapą. — Nie mam jakoś zaufania do podróży nad morzem po owej przygodzie w Cieśninie Beringa.

— Cóż znowu! — zaprotestował Edwin. — Dla „Kondora” to nic nieznacząca wycieczka. Za dwie, a najwyżej za półtrzeciej godziny²⁰² staniemy w Szanghaju.

Panienska pokiwała głową.

¹⁹⁸ *Tokio* — stolica Japonii. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *Kanton* — miasto we wschodnich Chinach, port nad Morzem Południowochińskim, liczba mieszkańców przekracza 15 mln. [przypis edytorski]

²⁰⁰ *Szanghaj* — miasto w Chinach, położone na wschodnim wybrzeżu, port nad Morzem Wschodniochińskim. [przypis edytorski]

²⁰¹ *Szantung* — półwysep we wschodnich Chinach, oddziela zatokę Pohaj od Morza Żółtego. [przypis edytorski]

²⁰² *półtrzeciej godziny* — dwie i pół godziny. [przypis edytorski]

— Tamte chmury mocno mi się nie podobają — rzekła, wskazując na wschód.

Hinton pobiegł wzrokiem za jej palcem i dostrzegł ciemnosiną smugę zaścielającą całą widnokrug na znacznej przestrzeni. Spojrzał więc uważnie na barometr.

— Stoi dość nisko — rzekł. — Należy go bacznie obserwować, w tych okolicach bowiem atmosfera bywa kapryśna.

Airman ze swej strony także zwrócił uwagę na zwał ciemnych chmur szybko rozszerzający się na niebie.

Nasz lotnik był doskonałym meteorologiem i przeczuwał zbliżającą się burzę.

W godzinę po opuszczeniu Szantungu „Kondor” znajdował się już nad pełnym morzem, po którym uwijało się dużo statków. Zauważono, że wszystkie kierowały się ku lądowi, chcąc przed burzą zawinąć do portu. Ale przestrzeń, która była dla „Kondora” igraszką, dla okrętów, a zwłaszcza dla dżonek²⁰³ chińskich, zaopatrzonych w żagle i dość prymitywnie zbudowanych, wydawała się olbrzymia.

— Nie zdążą — mruczał Nills, przyglądając się przez lunetę statkom, które jak muchy pełzały po brudnozielonej tafli morza.

W kwadrans po pierwszej obserwacji Edwin przekonał się że ciśnienie atmosferyczne opada gwałtownie. Uprzedził więc o tym Jerzego.

— Zdaje mi się, że nadciąga od wschodu burza, której nie zdołamy stawić czoła na otwartym morzu — odparł Jerzy, zaniepokojony poważnie. — Wobec tego muszę skierować się nieco ku zachodowi, żeby znaleźć się bliżej lądu; w razie konieczności będziemy tam szukali schronienia.

Jeszcze nie skończył tych słów, kiedy gwałtowne uderzenie wiatru pochyliło mocno „Kondora”. Niebo z ciemnosinego zrobiło się żółte. Słońce, jeszcze niezasłonięte, świeciło blade, nienaturalnie. Jakiś dziwny niepokój ogarniał naszych lotników; wiedzieli, że nadchodzi jedna z tych gwałtownych burz wirowych²⁰⁴, tak pospolitych na wodach wschodniochińskich.

— Do lądu, do lądu, Jerzy, inaczej utoniemy! — błagała Edyta.

— Co do mnie, wolałbym wznieść się na pięć kilometrów, gdzie zapewne nawałnica nie dałaby się odczuć — rzekł Airman, badając uważnie nieboskłon.

— Nie, nie, musimy na ziemi przeczekać burzę — nalegała panna, którą przerażał widok skłębionych i coraz groźniej przedstawiających się chmurzysk.

Jak się wnet okazało, był po temu najwyższy czas. Kierunek wichru stawał się zmienny, co zwiastowało cyklon.

— Moglibyśmy zejść mu z drogi, wracając ku północy — rzekł Airman. — Ale to by nas oddaliło od Szanghaju. A więc do lądu! Chociaż i tam niezbyt bezpiecznie podczas wichru.

„Kondor”, kierowany wprawą dłonią swego pilota, skręcił na zachód i z najwyższą szybkością, do jakiej był zdolny, starał się dotrzeć do lądu odległego o pół godziny drogi. Zanim jednak ukazała się na widnokręgu ziemia, złowrogie chmury zasłoniły zupełnie słońce, zrobił się gęsty mrok utrudniający orientację w przestworzach.

„Kondor” leciał na wyścigi z cyklonem. Kto kogo wyprzedzi? Od tego zależało ocalenie.

Okazało się wnet, że samolot ma szybkość większą niż środek cyklonu²⁰⁵ posuwający się w kierunku południowo-zachodnim. Niebo na jakiś czas wyjaśniło się i ukazał się ląd.

— To kolonia niemiecka, Kiaoczou²⁰⁶! — zawołał Edwin po parominutowej obserwacji. — Doskonale! Jest tam płytka zatoka osłonięta od wschodu, gdzie „Kondor” znajdzie jakie takie schronienie!

²⁰³dżonka — łódź żaglowa, charakterystyczna dla obszarów Dalekiego Wschodu, ma od jednego do trzech masztów a wyporność dochodzi (obecnie) nawet do 600 ton. [przypis edytorski]

²⁰⁴burza wirowa — też: cyklon. [przypis edytorski]

²⁰⁵środek cyklonu — też: oko cyklonu, bezwietrzny i bezchmurny obszar w samym centrum wiru powietrznego. [przypis edytorski]

²⁰⁶Kiaoczou — też: Jiaozhou, dawna kolonia Cesarstwa Niemieckiego, dzierzawiona od Cesarstwa Chińskiego w latach 1898–1914. Zajmowała powierzchnię ponad 500 km², położona była w północnej części cesarstwa na półwyspie Szantung. [przypis edytorski]

Po kilku minutach szalonego lotu statek napowietrzny unosił się nad zatoką Kiaoczou²⁰⁷, szukając dogodnego punktu. Minąwszy niedużą wysepkę, zniżył lot i osiadł, jak wielki ptak morski, na gładkiej powierzchni wód.

— W samą porę! — zawołał Burnett.

Niebo stało się niebawem czarne jak atrament. Głucha, ale znamienita cisza panowała w niższych warstwach atmosfery. Spokój ten nie wprowadził jednak w błąd Jerzego, który, posuwając się lekko po zwierciadlanej powierzchni zatoki, szukał jak najbardziej osłoniętego punktu. Znalazł go wreszcie o kilkadziesiąt metrów od zachodniego brzegu wyspy, mierzącej z półtora kilometra szerokości.

— No, Nills, zarzuć kotwicę — rzekł. — Fala nie może tu zrobić nam nic złego. Był wiatr nie był zbyt gwałtowny.

Nills spełnił rozkaz, ale jego poważna mina nie wróżyła nic dobrego.

— Taniec furii piekielnych zaraz się zacznie — rzekł. — Oto pierwszy grom.

Jasność żółtozielona załała nagle firmament, wkrótce potem potoczył się po niebie i odezwał tysięcznym echem w pobliskich wzgórzach przeciągły grzmot; po kilku sekundach gruchnęło powtórnie i odtąd błyskawice ani na chwilę nie ustawały. Niebo stanęło całe w ogniu. Zza pagórków wypadł orkan²⁰⁸ i uderzył tak potężnie w cichą dotąd powierzchnię zatoki, że zmałował ją niemal do dna. Stalowe skrzydła „Kondora” jęknęły głucho, linka kotwiczna szarpnęła gwałtownie.

— Obawiam się, że nas nie utrzyma — rzekł Jerzy. — Niech motor ani na chwilę nie staje. Musimy być gotowi na wszelki przypadek.

Następne uderzenie wichru było jeszcze silniejsze aniżeli pierwsze. Kotwica puściła i samolot zakoleśniał się na skotłowanej krótkiej fali, odpychany od lądu uderzeniami potężnego huraganu.

Wtedy Airman puścił w ruch śmigło i „Kondor”, ślizgając się po wodzie, starał się zająć poprzednie stanowisko. Nills znów zarzucił kotwicę, która tym razem chwyciła się dna mocno.

Airman, siedząc u sterów, usiłował utrzymać samolot tak, żeby huragan uderzał weń z przodu. Gdyby bowiem wziął „Kondora” z boku, łatwo mógłby go przewrócić i zniszczyć. Wszyscy znajdowali się na swoich miejscach. Wiatr dął tak gwałtownie, że powietrze stawało się czymś dotykającym, niemal twardym. Hinton widział, jak nadbrzeżna chata chińska, zbudowana z drążków bambusowych i kryta liśćmi, znikła nagle z powierzchni ziemi.

Drzewa gięły się jak trzciny, całe gałęzie oderwane od pni unosiły się ponad głowami naszych podróżnych.

„Kondor” walczył z huraganem jak żywa istota, mocował się z nim, nie dając się pochwyć z boku.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. „Kondor” nachylił się ku przodowi, potem wyrwał kotwicę i uniośł się w przestrzeń, chociaż motor nie pracował²⁰⁹.

— Trzymaj się dobrze, Nills! — zawołał Jerzy.

Śmigło zaczęło się szybko obracać, ale „Kondor” wisiał nieruchomo przez parę minut, potem znów osiadł na fali.

Na szczęście wyspa, chociaż niezbyt wysoko wznosząca się nad poziom morza, zasłaniała samolot. Gdyby nie to, burza pochwyliłaby go jak piórko. Ale i tak Jerzy miał niezmiernie trudne zadanie do spełnienia, chcąc utrzymać swój statek, miotany wichrem i falą równocześnie. Nieprzeniknione ciemności ogarnęły wszystko dokoła i jakiś okropny, dreszczem przejmujący szum, pomieszany z ogłuszającymi grzmotami, napełniał atmosferę. Nills czuł przy motorze, który szedł z umiarkowaną szybkością. Nie zarzucono na nowo kotwicy, gdyż w tych warunkach groziło to zatopieniem. Jerzy zachował sobie na wszelki przypadek swobodę ruchów. „Kondor” podnoszony przez wicher rwał

²⁰⁷ *zatoka Kiaoczou* — najprawdopodobniej chodzi o Zatokę Pohaj, nad którą leżała dawna kolonia Kiaoczou. Zatoka Pohaj leży w północnej części Morza Żółtego. [przypis edytorski]

²⁰⁸ *orkan* — najmocniejszy cyklon, występujący w rejonie Oceanu Indyjskiego. (Od niedawna nazwą tą określa się też silny huragan, występujący w Europie Północnej). Tu raczej użyty w przenośni, w znaczeniu „bardzo mocny wiatr”. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *choć motor nie pracował* — błąd logiczny. W poprzednich akapitach mamy informację, że motor pracował i śmigło było w ruchu. Narrator nie podał informacji na temat wyłączenia motoru. [przypis edytorski]

się w powietrze, jakby lękając się, że lada moment nieprzewyciężona potęga rzuci go o skały.

Były to okropne chwile. Edyta, Edwin i Burnett, przytuleni do siebie w głębi kabiny, milczeli przejęci grozą. Wydawało się wszystkim, nie wyłączając Jerzego, że „Kondor” ulegnie w tej nierównej walce pomimo osłony. To okropne zmaganie się z żywiołami trwało całą godzinę.

— Jaka szkoda, że nie zdjeliśmy w porę skrzydeł — mruczał Nills, siedząc wytrwale przy Airmanie.

Ale rada ta była spóźniona. Kondor musiał bronić się wszystkimi siłami. Edwin z podziwem patrzył na Jerzego, który ani na sekundę nie tracił zimnej krwi. Jeszcze dwukrotnie samolot został niemal porwany w powietrze, ale umiejętna ręka wybawiała go z niebezpiecznej sytuacji. Edyta była tak zdenerwowana tą walką na śmierć i życie, że leżała na wpół zemdłona, nawet Burnett był ogłuszony i przerażony. Nie miał dotąd pojęcia o gwałtowności tych burz wirowych, które przychodzą z Oceanu Indyjskiego, żeby w ciągu godziny spustoszyć całe miasta i zabrać tysiące ofiar ludzkich. Był przygotowany na najgorsze i formalnie zdziwił się, kiedy wśród szumu wichru usłyszał tryumfujący okrzyk Airmana:

— Tajfun mija! Jesteśmy ocaleni!

Na wschodzie niebo zaczęło się przejaśniać; głęboka noc zamieniała się najpierw w półmrok, potem żółta poświata rozplynęła się po wzburzonym do dna morzu i po zniszczonym lądzie. Strugi wody lały się z nisko pędzących obłoków, ale gromy stawały się coraz rzadsze.

— To był tajfun! — rzekł Jerzy. — Tego rodzaju burze trafiają się dość często na wschodnioazjatyckich morzach i wybrzeżach od czerwca do listopada. Zdaje mi się, że ta, która właśnie przeszła, nie należała do najsłabszych. Myślałem już, że „Kondor” ulegnie przemocy huraganu, którego szybkość dochodziła chwilami, jak sędzę, do sześćdziesięciu metrów na sekundę.

— Trup! — zawołał nagle Nills.

Tuż obok „Kondora” unosiło się na rozkołysanej powierzchni zatoki ciało młodego Chińczyka porwanego przez huragan. Przelatując nad wyspą, Jerzy widział był na niej kilkanaście chat krajowców. Obecnie nie pozostało po nich żadnego śladu. Na wodzie, prócz ciał ludzi i zwierząt, unosiły się gałęzie, a nawet całe drzewa powyrywane z korzeniami. Nasi podróżni ze zgrozą przyglądali się zniszczeniu.

— Jakie szczęście, że zdążyliśmy w porę schronić się tutaj — rzekł Nills. — Co by się z nami stało, gdybyśmy znaleźli się na otwartym morzu?

Jerzy milczał przez chwilę.

— Ja sędzę, że „Kondor” potrafiłby może stawić czoło burzy — rzekł. — Ma on, jak ci wiadomo, kochany Robercie, szybkość własną znacznie większą niż szybkość powietrza pędzonego przez cyklon czy tajfun, co zresztą wychodzi na jedno. Gdyby wicher miał jednostajny kierunek, nasz samolot pozwoliłby mu się unieść i pędziłby czterysta kilometrów na godzinę albo nawet i więcej. Całe niebezpieczeństwo w tym, że tajfun ma ruch podwójny: jeden wirowy, drugi zaś postępowy. Skutkiem tego musielibyśmy zakreślać koła o coraz mniejszej średnicy, aż w końcu dostalibyśmy się w sam środek burzy, gdzie powietrze jest zupełnie spokojne, a nawet na bezobłocznym niebie można dostrzec słońce. Badając z okrętu wiatry, marynarze odgadują, gdzie leży środek burzy i w jakim kierunku się ona posuwa, co im pozwala nieraz zejść jej z drogi.

— A pioruny? — zagadnęła Ewa, powoli przychodząc do równowagi psychicznej.

— Piorun łatwo mógłby trafić w „Kondora”, który jest prawie cały z metalu, i olbrzymia iskra elektryczna poraziłaby nas śmiertelnie albo zapaliłaby benzynę w zbiornikach. Te względy musiałem brać pod uwagę i dlatego wołałem przyjąć walkę pod osłoną lądu na powierzchni zatoki. No, Nills, teraz na ciebie kolej! Zbadaj uważnie, czy wicher nie wyrządził jakich szkód.

Mechanik sumiennie spełnił rozkaz i niebawem zaraportował, że stalowe skrzydła skutecznie oparły się naciskowi wichru. Kadłub i motor także znajdowały się w porządku. Tylko strumień wody dostały się do wnętrza kabiny i zmoczyły pościel oraz zapasy żywności. Jerzy niewiele sobie z tego robił.

— No, podziękujmy Bogu, że się na tym tylko skończyło. „Kondor” dzielnie się spisał, możemy mu odtąd zaufać.

— Mój braciszku, ale nie lećmy już nad morzem — błagała Edyta.

— Tylko jak?

— Moglibyśmy lecieć nad niziną chińską — odezwał się Edwin, zawsze popierający zdanie swej towarzyszki — wzdłuż Wielkiego Kanału²¹⁰, który zbudowano specjalnie po to, żeby omijać płytkie i kapryśne Morze Żółte.

— Dlaczego nie, jeżeli tak się obawiasz wody, Edyto? Będziemy zatem szybowali nad niziną okolicą Chin właściwych mającą największą gęstość zaludnienia, co mi się w razie przymusowego lądowania nie bardzo uśmiecha. Upaść na głowę jakiej rodziny chińskiej! Dziękuję za taką przyjemność!

— Co znowu?! — wykrzyknęła Edyta.

— Ależ tak! Pamiętaj, że Chiny właściwe mają, w przeciwieństwie do wschodnioazjatyckiej wyżyny, klimat wilgotny, obfitość rzek płynących przez żyzne okolice i dostatek deszczów przynoszonych tutaj przez monsun²¹¹ południowo-wschodni. Znajdujemy się w okolicach kapryśnego ujścia Rzeki Żółtej, czyli Huang He²¹²...

— Kapryśnego? — powtórzyła panna, która jak ogół kobiet słabo orientowała się w geografii²¹³.

— Tak, bo ujście tej wielkiej rzeki ulega zmianom. Teraz leży na północ od Szantungu, nad którym niedawno przelecieliśmy, to znów toruje sobie drogę do morza po jego południowej stronie. Huang He wylewa często, zabierając dziesiątki tysięcy ofiar. Ale te katastrofy, zdarzające się co kilka lat, nie zdołają zmniejszyć bajecznego zaludnienia. Dość powiedzieć, że w Chinach właściwych mieszka połowa wszystkich mieszkańców Azji. Ludziska mieszkają na tratwach pływających po rzece. Poczekaj, może będę ci mógł pokazać w Szanghaju takie pływające miasto! To ciekawa rzecz.

— Chciałabym zapoznać się bliżej z tym krajem, o którym tyle słyszałam.

— A więc lecimy nad lądem stałym! — rzekł Jerzy.

Musiano jednak poczekać, aż się burza zupełnie uspokoi. W parę godzin potem niebo wypogodziło się i słońce zalało bezmiarem światłości spustoszone przez tajfun okolice. Kiedy „Kondor” wzniósł się znów w powietrze i posuwał się na wysokości tysiąca metrów w kierunku południowym, oczom naszych żeglarzy przedstawił się widok okropny. Całe wioski leżały w gruzach. Sady, tak pracowicie obrabiane przez cierpliwych właścicieli, zamuliły zupełnie strumienie wody, poprzewracane drzewa zawały drogi, trupy zwierząt i ludzi płynęły unoszone prądem wezbranych strumieni. Wszystkie te denerwujące szczegóły widzieli nasi lotnicy dość dokładnie przez perspektywę²¹⁴, których nie odejmowali od oczu.

Tajfun, jak się okazało, przeszedł szlakiem szerokim na jakieś sto kilometrów. Minąwszy go, nasi podróżni znaleźli się znów w kwitnącej okolicy i lecieli ponad pięknymi łanami ryżu, plantacjami herbaty i morw, żywiących jedwabniki. Nic nie wskazywało tutaj, że nie opodał burza dosłownie zmiotła wszystko, co się znajdowało na powierzchni ziemi.

— To całe szczęście, że burze wirowe szerzą zniszczenie tylko na drodze, którą się posuwają — rzekł Edwin. — Inaczej Chiny od dawna zamieniłyby się w pustynię.

Edyta prosiła brata, żeby trzymał się jak najniżej. Mogli więc obserwować kraj z lotu ptaka.

Wioska leżała tutaj obok wioski. Był to, podobnie jak w Belgii, szereg osad stykających się jedna z drugą. Wszędzie uwijali się ludzie. Miasta otoczone były obronnymi

²¹⁰Wielki Kanał — najdłuższy na świecie kanał zbudowany przez człowieka. Budowę rozpoczęto w V w. p.n.e. Dzisiaj kanał ma ponad 1800 km długości i łączy miasto Hangzhou z Pekinem. [przypis edytorski]

²¹¹monsun — sezonowy wiatr, który przemieszcza masy powietrza od lądu w stronę oceanu w zimie i od oceanu w stronę lądu w lecie. [przypis edytorski]

²¹²Huang He — rzeka w północnych Chinach, druga, po Jangcy, rzeka w kraju, której długość wynosi ponad 5400 km. [przypis edytorski]

²¹³która jak ogół kobiet słabo orientowała się w geografii — nie ma żadnych potwierdzonych wyników badań, które wskazywałyby na prawdziwość tezy. Najprawdopodobniej jest to osobiste przekonanie autora. [przypis edytorski]

²¹⁴perspektywa (daw.) — tu: luneta a. w lm: lornetka; narzędzie optyczne przybliżające obraz odległych przedmiotów. [przypis edytorski]

murami z basztami i strzelnicami. Do bram prowadziły mosty, zwodzone na noc. Ryżowe pola stały pod wodą, wyciąganą z licznych kanałów za pomocą pierwotnych urządzeń poruszanych siłą ludzką lub zwierzęcą. Na ulicach wiosek i miasteczek pracowali rzemieślnicy, którzy na łoskot motoru podnosili głowy i zrywali się na równe nogi. Dzieciaki, przeważnie nagie, uciekały z głośnymi okrzykami przestachu, tuląc się do matek. Słowem — samolot szerzył nieopisaną panikę.

— Znać, że nie widziano tu maszyny latającej! — mruczał Nills.

Krajobrazy przesuwały się z zawrotną szybkością, chociaż Jerzy zwolnił biegu. Był to jakby film przewijający się na poziomo ustawionym ekranie.

W godzinę po odlocie z Zatoki Kiaoczańskiej²¹⁵ minięto Wielki Kanał i zbliżano się do Szanghaju, leżącego przy jednym z licznych ujść Jangcy²¹⁶.

Zanim „Kondor” wylądował, Edwin udzielił kilku pobieżnych informacji swojej towarzysze.

— Szanghaj liczy podobno półtora miliona mieszkańców²¹⁷, przynajmniej według naszych wiadomości, które nie są pewno dokładne — mówił. — Rzeka Błękitna, jak ją zwą Chińczycy, jest wspaniała i wielkością nie ustępuje Amazonce²¹⁸. Jest to najpotężniejsza rzeka w Chinach, dlatego nosi ona także miano „Syna Oceanu”.

— Bardzo poetyczne! — zawołała Edyta, śmiejąc się.

— Bo Chińczycy są poetami i ubóstwiają piękną przyrodę, zwłaszcza opiewają swe ogrody i kwiaty. Oto na widnokręgu ukazuje się wielkie jezioro. Jest ich tutaj kilkanaście i dostarczają one wody Wielkiemu Kanałowi. Jangcy wypływa z mało znanych okolic Tybetu²¹⁹. W prowincji Junnan²²⁰ nazywają go „Rzeką Złotego Piasku”, gdyż toczy w swym nurcie okruchy tego drogiego metalu. O jakie sześćset kilometrów od ujścia Jangcy przedziera się poprzez pasmo gór wapiennych, płynąc wąskim, ujętym w malownicze skały korytem na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Co najciekawsze, zbocza tych fantastycznych skał są starannie uprawiane przez rolników. Te jasne plamy rozrzucone na zielonawej płaszczyźnie, które pani widzi przez lornetkę, to właśnie jeziora. Zaraz będziemy szybowali nad jednym z nich. Prawda, jakie piękne?

Jego brzegi to jeden ogród! Pan Jerzy miał słuszość, kiedy mówił, że łatwo tu spaść na głowy Chińczykom. Miałoby to na pewno miejsce, gdybyśmy teraz musieli wylądować na tym jeziorze na przykład. Oto już Rzeka Błękitna. Co za wspaniała arteria wodna! Ma przynajmniej trzy kilometry szerokości. Śmiało może się równać z naszą Missisipi, którą Indianie nazywali również malowniczo „Ojcem Wód”. Ale oto i zbliżamy się do Szanghaju.

Rozmowa urwała się. Jerzy krzyknął bowiem, żeby się przygotowano do lądowania. „Kondor” zakreślał koła, mając na wschodzie ocean, a na południowym zachodzie wielkie jezioro. Airman z planem miasta przed oczami, szukał miejscowego portu lotniczego. Odnalazł go niebawem i „Kondor”, minąwszy nieskończoną ilość niskich domostw, rozrzuconych po obu brzegach rzeki, osiadł łagodnie na obszernym lotnisku.

— Wysiądać, Szanghaj! — zawołał uroczyście Nills.

XX.

NIESPODZIANKA W PAŃSTWIE ŚRODKA

Nasi lotnicy niebawem mieli sposobność przekonać się, że Państwo Środka (tak bowiem Chińczycy nazywają często swoją ojczyznę) nie pozostało bynajmniej w tyle za sąsiadami w dziele tworzenia floty powietrznej.

²¹⁵*Zatoka Kiaoczańska* — tutaj ponownie autor użył nazwy, która nie występuje w wykazie zatok Morza Żółtego; najprawdopodobniej chodzi o Zatokę Pohaj. [przypis edytorski]

²¹⁶*Jangcy* — też: Rzeka Błękitna. Najdłuższa rzeka Azji, trzecia co do długości na świecie, rozciąga się na ponad 6000 km. [przypis edytorski]

²¹⁷*półtora miliona mieszkańców* — w 1950 r. liczba ta wynosiła ponad 5 mln., w 2020 r. było to już ponad 22 mln. mieszkańców. [przypis edytorski]

²¹⁸*Amazonka* — rzeka w północnej części Ameryki Południowej, w zależności od sposobu liczenia długości ma: 6400 km lub 7400 km (co czyniłoby ją najdłuższą rzeką na świecie). [przypis edytorski]

²¹⁹*Tybet* — historyczna kraina geograficzna, leżąca w granicach Chin, u stóp Himalajów. [przypis edytorski]

²²⁰*Junnan* — prowincja w południowo-zachodniej części Chin, graniczy m.in. z Wietnamem i Laosem, stolicą jest Kunming. Region słynie z upraw wysokiej jakości herbaty i kawy. [przypis edytorski]

W Szanghaju bowiem zastali to, czego się nie spodziewali zobaczyć, mianowicie po europejsku urządzone lotnisko z szopami, wygodnie mieszczącymi kilkadziesiąt samolotów wojskowych i cywilnych. Oficer zarządzający stacją aeronautyczną w kilkanaście minut po wylądowaniu „Kondora” przyszedł powitać przybyszów, a przekonawszy się, że ich papiery znajdują się w porządku, okazał wielką uprzejmość. Wprawdzie Airman starał się nie dopuścić go z bliska do swego arcydzieła, ale potem, nie chcąc wzniesić jakichś podejrzeń, pokazał mu powierzchnie „Kondora”. W godzinę po przybyciu do Szanghaju zbiorniki były napełnione doskonałą benzyną sumatrzeńską²²¹, sprzedawaną w blaszanych, szczelnie zalutowanych²²² naczyniach. Dowiedziawszy się, że lotnisko rozporządza warsztatami mechanicznymi, Jerzy postanowił skorzystać z okazji i solidnie naprawić uszkodzone na północy podwozie „Kondora”. Uprzejmi Chińczycy zgodzili się dokonać naprawy do południa dnia następnego.

Właśnie Nills wysławiał pod niebiosa gościnność żółtych kolegów, kiedy poprzez tłum otaczający samolot przecisnął się młody człowiek w okrągłych okularach na płaskim, mongolskim nosie, o żywych ruchach i inteligentnej twarzy.

Podszedłszy do Jerzego, stojącego obok siostry, uklonił się z wyszukaną grzecznością.

— Jestem Li Szu, redaktor „Wschodzącego Słońca” — zarekomendował się. — Czy nie raczyłby mi pan udzielić kilku wyjaśnień dotyczących sławnej podróży samolotem naokoło świata?

Airman w najwyższym zdziwieniu spojrzał na towarzyszy.

— Daruje pan — rzekł, nie mogąc powstrzymać wzruszenia ramion — ale skąd panu wiadomo, że podróżujemy naokoło świata samolotem?

Dziennikarz chiński uśmiechnął się.

— Od kilku dni prasa chińska i europejska istniejąca w państwie naszym zajmuje się tym śmiałym przedsięwzięciem. Wszyscy podziwiają odwagę załogi „Kondora”, który, nieulekniony, przebywa z zawrotną szybkością morza i lądy, dążąc do dalekiego celu. Ale ja pierwszy spośród moich kolegów azjatyckich dostąpiłem szczęścia poznania panów i mam nadzieję, że otrzymam kilka ciekawych szczegółów, którymi podzielę się z czytelnikami „Wschodzącego Słońca”, a tych liczy się w Chinach na paręset tysięcy.

— Paręset tysięcy! — jęknął Airman. — Jestem niezmiernie dumny z tego, że raczono tutaj zwrócić uwagę na moją wycieczkę, ale...

— Pan to nazywa wycieczką?! — zawołał Chińczyk wesoło. — To skromność, dość rzadka u cudzoziemca! Proszę, niech pan odpowie łaskawie na kilka pytań, jakie ośmielę się panu zadać.

— Ależ, panie, podróż nasza miała być okryta ścisłą tajemnicą! — zaprotestował zrozpaczony Jerzy. — Nie pojmuję doprawdy...

— Szanowny dowódco! Telegramy ze Stanów przed tygodniem uwiadomiły cały świat o waszym przedsięwzięciu, przeto nie może ono dłużej pozostać w sekrecie.

Osaczony tak niespodziewanie, Jerzy musiał ulec. W nadziei jednak, że mu się uda zmylić czujność dziennikarzy całego świata, podał umyślnie kilka fałszywych informacji.

— Lecieliśmy z szybkością przeciętną stu kilometrów na godzinę poprzez Morze Ochockie i Japonię! — zaczął.

— Daruje pan, ale to chyba nieporozumienie — przerwał Li Szu — o ile mi bowiem wiadomo, przebywaliście panowie Cieśninę Beringa w najwęższym miejscu, spadliście w samym jej środku z powodu defektu w silniku, następnie lecieliście ponad Mandżurią i Portem Artura.

— Ależ to diabeł wcielony! — mruknął doprowadzony do rozpaczyny Burnett.

Li Szu uklonił się, złowiwszy te słowa.

— Nie, tylko dobry dziennikarz — rzekł z eleganckim ukłonem. — Teraz, skoro panowie widzicie, że nawet w Chinach dzienniki miewają dobre informacje, ośmielę się zapytać...

— Mów pan! — jęknął przybity Airman.

²²¹ *Sumatra* — wyspa w Archipelagu Malajskim, pomiędzy południowo-wschodnią Azją a Australią, w całości należy do Republiki Indonezji. [przypis edytorski]

²²² *lutowanie* — sposób łączenia materiałów metalowych przy pomocy wysokiej temperatury, która topi lut (spoiwo zbudowane przede wszystkim z cyny i ołowiu, lub cyny i miedzi), który wypełnia przestrzeń pomiędzy lutowanymi materiałami. [przypis edytorski]

— Dokąd panowie zamierzacie udać się z Szanghaju, uzupełniwszy tutaj swoje zapasy paliwa, których niestety nie mogliście odnowić w japońskim Porcie Artura?

— Polecimy prosto na południe do następnej stacji.

— To jest?

— Do Kantonu!

Li Szu umiejętnie prowadził swój wywiad i po dziesięciu minutach wyciągnął z dotkniętego do żywego niedyskrecją prasy Jerzego kilkanaście interesujących szczegółów. Osiągnąwszy swój cel, dziennikarz chiński z galanterią zaproponował naszym podróżnikom oprowadzenie ich po mieście.

Edyta, palająca chęcią poznania obyczajów i życia Chińskiego, chętnie przyjęła propozycję dziennikarza, który, jak się okazało, skończył uniwersytet w Oksfordzie²²³ i otrzymał wychowanie całkiem europejskie. Był on naczelnym redaktorem „Wschodzącego Słońca”, dziennika stawiającego sobie za zadanie zeuropeizowanie Państwa Środka.

Pomimo to Jerzy, Nills i Burnett patrzyli nań z pewną urazą, nie mogąc mu darować, że podpatrzył tak zręcznie moment wylądowania „Kondora” i wdarł się niedyskretnie w tajemnicę człowieka-ptaka. Ale Li Szu szybko zaskarbił sobie sympatię Edyty i Edwina. W jego przyjemnym towarzystwie nasi podróżni, z wyjątkiem Nillsa, który za nic w świecie nie pozostawiłby „Kondora” na pastwę ciekawego tłumu, udali się na zwiedzanie miasta położonego niedaleko ujścia Rzeki Błękitnej. Dzielnicę europejską pozostawiono na boku, zapuszczono się natomiast w labirynt ciasnych uliczek miasta chińskiego. Zjedzono obiad w restauracji krajowej, kosztując wszelkich specjałów miejscowych, nie wyłączając pletw rekina, zupy z gniazd jaskółczych i gąsienic smażonych w oleju. Edyta odważnie kładła do ust te przysmaki i wyśmiewała się z towarzyszy, którzy woleli ryż świeżo gotowany, ryby i owoce, sprzedawane tu za bezcen i bardzo piękne. Na zakończenie uczty pito z małych filiżanek doskonałą herbatę z ciasteczkami ryżowymi i konfiturami.

Edyta doznała przykrego zawodu, chodząc po ciasnych, brudnych uliczkach miasta. Podróżni z trudnością przeciskali się przez różnorodny tłum drepący w błocie po kostki, a miejscami po kolana. Nigdzie bowiem ani śladu bruków, choćby najzwyczajniejszych. Ciasnota. Domki piętrowe stłoczone jeden przy drugim. Placów, które są ozdobą wielkich miast europejskich, ani parków nigdzie nie dostrzeżono. Pomiędzy zbitym tłumem sunęły wozy, taczki, lektyki²²⁴, jeźdźcy dosiadający małych koników albo nawet bawołów. Co krok sklepy z wielkimi, jaskrawo pomalowanymi szyldami, noszącymi pretensjonalne napisy, na przykład: „Ozdoba Niebios”, „Uczciwy i Obfity”. Uliczki w większości są tak wąskie, że dwa wozy ledwo mogą się wyminąć. Od czasu do czasu napotymano wspaniałe lektyki, w których siedzieli poważni mandaryni²²⁵. Przed lektyką takiego dygnitarza biegły dwóch pacholków uzbrojonych w szable albo pałki i toruje drogę swemu panu. Za nimi kroczą chłopcy, dzierżąc na bambusowych tykach papierowe transparenty z napisami: „Schodźcie na bok” albo „Zachowajcie ciszę i spokój”, albo „Szacunek dla wysokiego mandaryna z koralową gałką”.

Poważni nauczyciele z okrągłymi okularami na nosie, kapłani z ogolonymi głowami, eleganci odziani w jedwabne, barwne szaty, pod ścianami domów przekupnie, zmieniające pieniądze poważnie siedzący przy swych stolikach, żebracy pokazujący straszliwe okaleczenia — oto główne typy snujące się po ulicach.

Edyta przez parę godzin błądziła w tym oryginalnym tłumie, ale w końcu, znużona, wsiadła z Edwinem do lektyki dźwiganej przez dwóch kulisów²²⁶. Towarzysze naśladowali ich skwapliwie.

Wysiadłszy, Edyta kazała sobie wróżyć staremu Chińczykowi i śmiała się, kiedy jej powiedział, że po wielu przygodach wróci do domu i niebawem wyjdzie za mąż.

²²³uniwersytet w Oksfordzie — publiczna uczelnia wyższa, najstarsza w Anglii (i w krajach anglosaskich), uważana za najlepszą uczelnię na świecie. Zlokalizowana w południowej części kraju, około 100 km od Londynu. [przypis edytorski]

²²⁴lektyka — środek transportu w formie sześciennego kabiny, niesionej przez tragarzy lub zwierzęta juczne. Korzystali z niej władcy, papież, arystokracja. [przypis edytorski]

²²⁵mandaryn — nazwa urzędnika w cesarskich Chinach. Urząd mandaryna istniał od 605 do 1905 r. Hierarchia obejmowała dziewięć stopni wojskowych i dziewięć stopni cywilnych. Od nazwy urzędu pochodzi nazwa języka mandaryńskiego (opartego na początku na dialekcie pekińskim), którym urzędnicy musieli się posługiwać. [przypis edytorski]

²²⁶kulis — najniższy opłacany robotnik, zatrudniany przy najgorszych pracach; tragarz. [przypis edytorski]

Wieczorem całe towarzystwo udało się do teatru, a wreszcie do hotelu w dzielnicy europejskiej, gdzie po raz pierwszy od paru tygodni wyspano się na porządnym łóżkach zasłanych świeżą bielizną²²⁷. Była to rozkosz, której sobie nasi podróżni nie mogli odmówić.

Nazajutrz, o dziewiątej uprzejmy Li Szu zjawił się w hotelu z paczką dzienników pod pachą i przetłumaczył na angielski najważniejsze ustępy dotyczące naszych lotników. Cała prasa miejscowa opisywała „Kondora” i jego odważnych pasażerów, przy czym podała szereg, zmyślonych naturalnie, ale bardzo za to ciężkich przeżyć, jakie miały spotkać wyprawę w drodze na daleką północ. Co najbardziej zdziwiło Airmana, to fakt, że dzienniki wynosiły pod niebiosa „jedyną od początku świata, zuchwałą do szaleństwa” podróż do bieguna północnego, dokonaną na samolocie.

— Nie rozumiem doprawdy, jakim cudem ludzie dowiedzieli się o naszej wyprawie! — zawołał Jerzy, zwracając się do Hinton. — Zaczynam pana podejrzewać, że wyrzuciłeś w drogę z „Kondora” telegraficzne sprawozdania.

— To kochany papa Hinton! — odparł filozoficznie Edwin. — Widocznie nie mogłem wytrzymać, żeby nie pochwalić się przed całym światem, że jego synek także potrafi się na coś poważnego zdobyć. Biedak, chciał w ten sposób podtrzymać w kołach chicagowskich moją nieco podupadłą opinię!

Wyjaśnienie to było prawdopodobne, ale nie poprawiło humoru Jerzemu.

Nasi podróżni chętnie wypoczęliby kilka dni w Szanghaju, gdyby nie to, że obawiali się zbyt wielkiego rozgłosu. Wobec tego Airman zajął się zaraz doprowadzeniem „Kondora” do dawnej sprawności. Przy pomocy Nillsa zmienił kilka części składowych motoru, zastępując je zapasowymi, i oznajmił towarzyszom, że nazajutrz wyrusza.

Na lotnisku w godzinę wyjazdu zgromadził się kilkunastotysięczny tłum, żądny oglądać ludzi, którzy zamierzali oblecieć świat na sztucznym ptaku. Między Chińczykami znaleźli się i Europejczycy, nie brakło też Amerykanów, którzy z konsulem Stanów na czele dobijali się o zaszczyt uściśnięcia dłoni Airmana i jego uroczej siostrzyczki. Ku wielkiej swej rozpaczy nasz wynalazca musiał pozować kilku zapalonym reporterom do zdjęć fotograficznych.

— Mój Boże — westchnął, kiedy ta operacja skończyła się — niczego tak się nie lękałem jak sławy przedwczesnej! Teraz dopiero zaczęły się udręki związane z popularnością.

— Będziemy unikali ludzi! — pocieszała go Edyta.

— Jak daleko mamy do Kantonu? — zagadnął po chwili milczenia Jerzy, zajmując miejsce u sterów.

— Około ośmiuset kilometrów w linii powietrznej — odparł Hinton.

— Czyby się zatem nie udało ominąć tej stacji, a lecieć dalej?

— Możemy zrobić jednym tchem cztery tysiące kilometrów, czy tak? — badał Edwin.

— Nawet pięć!

— W takim razie lećmy prosto do Kalkuty²²⁸, zmieniawszy ustanowiony poprzednio kurs na Kanton, Sajgon²²⁹, Bangkok²³⁰ (stolicę Syjamu²³¹), i Rangun²³² — zaproponował śmiało młodzieniec.

— A jaka przestrzeń dzieli nas od Kalkuty?

— Około trzech i pół tysiąca kilometrów w linii powietrznej — odparł Edwin, wymierzwszy odległość na mapie. — W takim razie droga prowadziłaby w górę Jangcy,

²²⁷bielizna — tu: pościel. [przypis edytorski]

²²⁸Kalkuta — miasto w zachodniej części Indii, stolica stanu Bengal Zachodni. Liczba ludności w aglomeracji w 2025 roku przekroczyła 15 mln. [przypis edytorski]

²²⁹Sajgon — dziś: Cho Hi Minh, miasto w południowej części Wietnamu, nad rzeką Sajgon. Największe w Wietnamie, liczba ludności aglomeracji wynosi ponad 14 mln. [przypis edytorski]

²³⁰Bangkok — stolica i największe miasto Tajlandii, liczba ludności w 2024 r. przekroczyła 10 mln. [przypis edytorski]

²³¹Syjamu — dziś: Tajlandia, państwo położone w południowej Azji, graniczące z Laosem, Wietnamem, Mjanmą i Malezją. Obecna nazwa państwa obowiązuje od 1949 r. [przypis edytorski]

²³²Rangun — największe miasto i do 2005 r. stolica Mjanmy (wariantowo: Birma). Liczba ludności w 2014 roku wynosiła ponad 7 mln. mieszkańców. [przypis edytorski]

potem nad pasmami górskimi Indochin²³³ i doliną Brahmaputry²³⁴. Czujesz się pan na siłach odbyć tak kolosalną przestrzeń w jednym, jedynym etapie? Byłby to przelot, jakiego, pochlebiam sobie, nikt dotąd nie dokonał bez odnawiania paliwa. Przedsięwzięcie jest jednak, według mnie, nieco ryzykowne!

— Wszystko zależy od stanu pogody — odparł Jerzy, wahając się. — Gdybym wiedział, że znowu tajfun nie stanie nam na drodze, spróbowałbym! Teraz, kiedyśmy odnowili motor, możemy zaufać naszemu statkowi powietrznemu.

— Przestrzeń dla nas nie istnieje — dorzucił Burnett z dumą. — Zwyciężyliśmy ją. Co do mnie, głosuję stanowczo za skróceniem drogi!

— I ja — odezwała się Edyta. — Wolę, żebyśmy, o ile możliwości, lecieli nad lądem stałym, przyznam się bowiem, że ocean przejmuje mnie jakąś trwogą.

— Ale co zrobimy, jeżeli zabraknie nam paliwa w tych niedostępnych krajach? Daremnie byśmy szukali benzyny w Tybecie albo u źródeł Brahmaputry — rzekł Jerzy. — Jak sądzisz, Nills?

Nills jednak miał sobie za punkt honoru dowieść, że dla „Kondora” nie istnieją żadne niemożliwości.

— Przecież mamy opału na pięć tysięcy kilometrów — zauważył.

— No tak. Posiadamy zatem w rezerwie benzyny na półtora tysiąca kilometrów! — powiedział z namysłem Jerzy. — Dobrze, lecimy do Kalkuty.

Postanowienie kierownika wyprawy przyjęto z zadowoleniem. W kilka minut potem „Kondor”, żegnany okrzykami przez tłum, wzniósł się w powietrze i skierował w górę wspaniałej rzeki, która mu miała służyć za drogowskaz.

XXI.

SZALONE POMYSŁY EDWINA

Po godzinnej podróży nowym szlakiem Jerzy przekonał się, że projekt Edwina był wyborny. „Kondor” płynął majestatycznie ponad spokojnie toczącym swe błękitne fale Jangcy, który tutaj, w pobliżu ujścia, rozlewał się na pięć, a nawet siedem kilometrów szerokości.

Oczy podróżników bawił rój statków najrozmaitszego kalibru i kształtu, snujących się po rzece. Były tam duże parowce o paru kominach, wysyłające ku pogodnemu niebu czarne wstęgi dymu, i wielkie dżonki paromasztowe, okryte żółtymi żaglami, i niskie, ledwie wystające nad powierzchnię, długie łodzie, pędzone przez kilkunastu tęgich wiosłarzy, i kruche łupiny rybackie, unoszące zaledwie jednego człowieka, i niezgrabne gabary²³⁵, obładowane węglem albo drzewem. Ruch był tu niemal tak żywy jak na Tamizie. Ale „Kondor” nie trzymał się dokładnie wszystkich zakrętów Syna Oceanu, który pomiędzy Szanghajem a Hankou²³⁶ zakreśla potężną literę „S”, lecz szybował, o ile możliwości, prosto na zachód, aby oszczędzić paliwo, którego miało starczyć na przebycie z górą trzech tysięcy kilometrów.

Jerzy, wobec przecudnej pogody, posadził Burnetta u steru i rozkoszował się widokiem, jaki roztaczał się w dole. Edyta, z perspektywą²³⁷ w ręku, śledziła z najżywszym zainteresowaniem ruch na ziemi i na rzece.

— Jacy ci Chińczycy szczęśliwi! — mówiła w zachwycie. — Nawet my, Amerykanie, możemy im pozazdrościć tych licznych, wspaniałych rzek płynących pośród ogrodów ciągnących się podobno na paręset mil po obu brzegach.

— Prowincje, przez które, a raczej ponad którymi przelatujemy, rzeczywiście noszą nazwę ogrodu chińskiego — przytwardził Edwin siedzący wciąż nad mapą. — Dolina Jangcy, jak to zresztą widać, jest niesłychanie urodzajna dzięki mułowi naniesionemu przez wypływające z gór strumienie. Ziemia rodzi tutaj wszystkie niemal płody ciepłe-

²³³Indochiny — obszar w południowej części Azji, częściowo pokrywający się z Indochinami Francuskimi (kolonia Francuska do 1954 r.) obejmuje dzisiejsze państwa: Laos, Kambodża, Wietnam, czasem termin poszerzany jest o Mjanmę, Tajlandię i Malezję. [przypis edytorski]

²³⁴Brahmaputra — rzeka w Azji, jej źródła sięgają Himalajom, płynie przez Chiny, Indie i Bangladesz. Jej długość to około 2900 km. [przypis edytorski]

²³⁵gabar (daw.) — płaska, szeroka łódź do przewożenia towarów. [przypis edytorski]

²³⁶Hankou — do 1949 r. oddzielne miasto w środkowo-wschodnich Chinach, dziś część miasta Wuhan. [przypis edytorski]

²³⁷perspektywa (daw.) — dziś: luneta. [przypis edytorski]

mu klimatowi właściwe. Mak, z którego pochodzi opium²³⁸, herbatę, bawełnę, pszenicę, wyborowe²³⁹ owoce. Toteż nigdzie na całym świecie nie namnożyło się tyle ludzi²⁴⁰, co tutaj. Widzi pani, lecimy nad jednym wielkim ogrodem. Jaka staranność w utrzymaniu plantacji, ile pracy wkłada Chińczyk w zraszanie swoich pól ryżowych, jak wyzyskuje każdy kawałek ziemi! Moglibyśmy się od niego wiele nauczyć.

Edyta parskała raz po raz śmiechem, śledząc przez swoje szkła objawy paniki, jakie budził „Kondor”. Widziano, jak wiosłarze z dużej barki wskakiwali z przerażenia do wody, ratując się wpław, kiedy „Kondor”, zniżwszy cokolwiek lot, unosił się o pięćset zaledwie metrów nad powierzchnią rzeki. Inżynier dostrzegł bowiem malowniczą, samotnie położoną w pośrodku koryta wysepkę, stromo opadającą skalistymi zboczami w nurty. W promieniach słońca lśniły na niej jakieś dwa budynki.

Krajobrazy w tej nizinnej dolinie były na ogół dość monotonne. Pewne urozmaicenie wносиły liczne miasta rozłożone po obu brzegach. Każde z nich było otoczone grubym murem z cegieł lub kamienia i zabudowane niskimi, parterowymi domkami, ponad którymi strzelały wyżej dachy pagód²⁴¹, kryte majolikową²⁴², barwną dachówką, błyszczącą wszystkimi barwami tęczy w promieniach słońca.

— Ani jednego automobilu! — jęknął żałośnie Nills.

— Nawet konie są tutaj rzadkością! — zawołała Edyta, która w domu zażywała siodła bardzo chętnie.

Oryginalność życia w Państwie Środka bawiła niezmiernie naszych podróżników śledzących dokładnie wszystko z wysokości tysiąca metrów za pomocą szkieł. Kiedy napotymano jakieś większe miasto, inżynier, który nigdy nie zwiedzał Chin, zniżał nieco lot, żeby lepiej obserwować powierzchnię ziemi.

Ale „Kondor” pochłaniał przestrzeń żarłocznie. Po trzech godzinach od opuszczenia Szanghaju Hinton uprzedził, że niebawem ukaże się największe miasto Państwa Niebieskiego.

— Jakież to? — zagadnęła zdziwiona Edyta. — Największym jest, o ile mi wiadomo, Pekin, stolica.

Hinton potrząsnął głową.

— Hankou, do którego się zbliżamy, uchodzi za jedno z najbardziej zaludnionych miast Chin — odparł. — Zawdzięcza to swemu idealnemu położeniu geograficznemu. Znajduje się bowiem w czworoboku utworzonym przez pierwszorzędne linie komunikacyjne, poza tym leży na wybrzeżu wspaniałej rzeki, która tu staje się niemal tak szeroka jak morze. Jest on głównym ogniskiem handlu herbatą. Linia kolejowa długości tysiąca dwustu kilometrów łączy Hankou z Pekinem, druga zaś, nieco krótsza, z Kantonem, stolicą Chin południowych. Świeżo zbudowano jeszcze jedną drogę żelazną w kierunku północno-zachodnim. Dzięki temu Hankou wyrośnie kiedyś na największe miasto Azji, a może nawet świata. Czy widzi pani te kominy, zionące kłębamii czarnego dymu? To wielkie piece i huty chińskie, te okolice bowiem słyną z bogactw mineralnych. Węgiel, żelazo, miedź, cyna, nawet złoto, kryją się w pokładach położonych w pobliżu potężnych rzek.

— Czy zatrzymamy się tutaj? — zagadnął Edwin, zwracając się do Jerzego.

— A to po co? — odparł naczelnik wyprawy. — Poprzestaniemy na obejrzeniu Hankou z lotu ptaka. Zresztą, o ile mi wiadomo, miasta chińskie nie przedstawiają nic osobliwego dla turysty. Patrz pan, morze płaskich dachów stykających się jeden z drugim, między nimi takie same uliczki jak w Szanghaju, nigdzie monumentalnych gmachów, chyba jaka pagoda. Chińczyk bowiem wszędzie żyje jednako. Jeżeli chcecie koniecznie,

²³⁸ *opium* — substancja powstała z mlecza wypływającego z niedojrzałych owoców maku lekarskiego. Zawiera wiele silnych i uzależniających alkaloidów (morfina, kodeina), jest podstawowym składnikiem heroiny. [przypis edytorski]

²³⁹ *wyborowy* — najlepszy. [przypis edytorski]

²⁴⁰ *tyle ludzi* — dziś raczej: tylu ludzi. [przypis edytorski]

²⁴¹ *pagoda* — buddyjska budowla sakralna, w której przechowywane są relikwie. Cechą charakterystyczną pagód jest wielokondygnacyjna struktura. Każda kondygnacja jest zwykle częściowo zadaszona. Często występuje też duży, bogato zdobiony dach z iglicą. [przypis edytorski]

²⁴² *majolika* — bogato zdobiona ceramika, produkowana od XIV do XVI w. we Włoszech [przypis edytorski]

to wylądujemy w mieście Suifu²⁴³, które leży na skraju wyżyny u zbiegu kilku większych rzek. Będziemy tam za jakieś sześć godzin.

Wylądowanie w Suifu okazało się korzystne, gdyż podróżnicy uzupełnili tu zapas benzyny i zjedli gorący obiad, po którym zebrał się na naradę.

— Jeżeli skierujemy się na południowy zachód, to przeleciawszy około tysiąca ośmiuset kilometrów, znajdziemy się w Kalkucie nad Zatoką Bengalską²⁴⁴ — rzekł Jerzy. — Przestrzeń to duża, ale dla „Kondora” starczy na pięć do siedmiu godzin zaledwie; jest on bowiem żarłoczny i łyka kilometry jak wieloryb mięczaki. Leży przed nami kraina stosunkowo mało znana, gdyż poprzecinana równoległe ciągnącymi się ku południowemu wschodowi łańcuchami górskimi. Pomiędzy nimi leżą żyzne doliny, zraszane mało żeglownymi rzekami. Jest to najbardziej deszczowa kraina świata. Na południe bowiem od Brahmaputry spada w ciągu roku trzynaście metrów sześciennych wody na powierzchnię jednego metra.

— Ładna kąpiel! — zawołał Edwin.

— Dzięki tej olbrzymiej ilości opadów góry Półwyspu Indochińskiego²⁴⁵ są pokryte bujnymi i nieprzebytymi lasami, zamieszkanymi przez bitne i dzikie plemiona górskie. Nie bardzo zatem uśmiechałby mi się przymusowy pobyt w tamtych okolicach.

— A gdybyśmy nie opuszczali granic Chin? — przerwał Edwin.

— To niemożliwe! Niedaleko stąd zresztą zaczyna się tajemniczy Tybet, gdzie Jangcy bierze początek.

Edwin jakiś czas śledził bacznie mapę, mierzył cyrklem odległość, wreszcie zwrócił się do Edyty.

— Czy słyszała pani coś o najwyższym lamie i o jego stolicy? — zagadnął.

— A jakże — odparła rezerwowo panna. — Nie jestem znów taką ignorantką, jak pan sobie wyobraża. Wiem, że Tybet jest wielce górzystą i niedostępną krainą, gdzie rządzą kapłani buddyjscy, zwani lamami. Siedzibą najwyższego kapłana, dalajlamy, jest Lhasa²⁴⁶, do której podobno nikomu dotąd nie udało się dotrzeć²⁴⁷.

— Brawo, brawo, siostrzyczko! — zawołał Jerzy. — Jestem z Ciebie dumny.

— Jak daleko znajdujemy się od stolicy dalajlamy? — pytała Edyta.

— O bagatelne tysiąc paręset kilometrów w linii powietrznej, słowem, o kilka godzin drogi zaledwie. Kraj lamów leży na północ od potężnego łańcucha Himalajów, w pobliżu jednego z dopływów Brahmaputry.

— Gdzie znów sterczy w niebo najwyższy szczyt świata, Mount Everest, na którym nie powstała dotąd stopa ludzka — popisywała się Edyta.

— Doskonale, proszę pani! — zawołał Edwin. — Otóż niech mi będzie wolno złożyć do uznania szanownego dowódcy naszej wyprawy skromny projekt!

— Oho, pewnie znowu jaki wariacki pomysł! — zawołał Nills, przysłuchujący się całej tej rozmowie.

— Powodzenie ośmiela — bronił się Edwin. — Jeżeli udało się nam dotrzeć do bieguna północnego, to dlaczego nie mielibyśmy odważyć się i na inne, daleko skromniejsze czyny?

— Ciekawym²⁴⁸, co ma pan na myśli! — zawołał Jerzy.

— Lećmy prosto do Lhasy. Jeżeli nie uda nam się zwiedzić dokładnie tego świętego, niedostępnego dla niewiernych miasta, to przynajmniej dokonamy kilku zdjęć fotograficznych, które będą miały dla nauki niezaprzeczoną wartość. Kto ma w posiadaniu idealny środek przenoszenia się z miejsca na miejsce, tak jak pan, ten nie tylko może, ale powinien wydrzeć globowi ziemskiemu jego ostatnie tajemnice. Tak, od pana tylko

²⁴³ *Suifu* — miasto w Chinach (prowincja Syczuan), dziś: Yibin. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *Zatoka Bengalska* — część Oceanu Spokojnego, oblewa m. in. wschodnie wybrzeże Indii i zachodnie wybrzeże Mjanmy. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *Półwysp Indochiński* — półwysp w Azji Południowej, zlokalizowany pomiędzy Zatoką Bengalską a Morzem Południowochińskim. Na półwyspie leżą: Tajlandia, Kambodża, Wietnam i Laos. [przypis edytorski]

²⁴⁶ *Lhasa* — miasto we wschodnich Chinach, stolica Tybetańskiego Regionu Autonomicznego. [przypis edytorski]

²⁴⁷ *nikomu dotąd nie udało się dotrzeć* — luźna opinia autora. W rzeczywistości pierwsi Europejczycy (misjonarze) dotarli do Lhasy już w XVIII w. [przypis edytorski]

²⁴⁸ *ciekawym* — tu skrót od: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

zależy, żeby zostać największym podróżnikiem współczesnym, żeby zasłużyć na wiekową sławę! Niech pan nie myśli, że zadowolam się Lhasą. Po drodze do Indii przelecimy ponad niebotycznymi Himalajami, co także jest czynem zuchwałym, w końcu...

— Myślałem, że pan na tym już poprzestanie! — przerwał Jerzy, śmiejąc się. — Boże, co za gwałtowny apetyt podróżniczy odezwał się w panu!

— W końcu zaś dokonamy tego, o co już kilkakrotnie i o ile wiem, niezupełnie szczęśliwie kusili się Anglicy, to jest wzbijemy się na sam wierzchołek Mount Everestu.

— No, no! — mruczał Nils, który zaczynał się na serio lękać, żeby dowódca „Kondora” nie zgodził się na tę propozycję.

— Ależ, panie Hinton — wtrącił się inżynier — jeżeli będziemy zagłądali po drodze do wszystkich niezbadanych zakątków kuli ziemskiej, to podróż nasza nigdy się nie skończy!

Ale Edwin bronił z zapalem swoich projektów. Z mapą w ręku i cyrklem dowodził, że przedsięwzięcia te nie leżą bynajmniej poza granicami możliwości. Edyta, która nie zdawała sobie, jak dziecko, sprawy z niebezpieczeństw związanych z podobnymi projektami, przyklaskiwała im gorąco.

— Tak, tak! Mister Hinton ma słuszość. Należy wyzyskać naszego „Kondora”. Mamy przecież pełny zapas benzyny i motor w największym porządku. Musisz, powinienes zostać sławnym, kochany braciszku! Posłuchaj więc pana Edwina.

— Ależ, Edyto, pan Hinton jest amatorem przygód, człowiekiem, dla którego niebezpieczeństwa stanowią cel i treść życia. Jeżeli te projekty zajmują go tak dalece, to właśnie dlatego, że pachną złamaniem karku! Nie znasz wnętrza Azji nawet teoretycznie. Otóż trzeba ci wiedzieć, że Tybet stanowi obok Pamiru²⁴⁹ najwyższe w świecie płaskowzgórze, które sięga przeciętnie pięciu tysięcy metrów²⁵⁰ nad poziom oceanu. Klimat tam niezmiernie surowy. Teraz już, choć wrzesień dopiero, panują wichry i śnieżyce. Mieszkańcy Tybetu są fanatykami religijnymi i bardzo wrogo odnoszą się do cudzoziemców chcących zwiedzić ich ojczyznę. Lhasa leży w dolinie Brahmaputry; najłatwiej byłoby nam dotrzeć do niej, trzymając się doliny tej wielkiej rzeki; ale Boże chroń nas, żebyśmy się nie potrzebowali opuścić gdzieś w pobliżu siedzib ludzkich. Na pewno zniszczono by nasz samolot, my zaś przypłacilibyśmy życiem zuchwalstwo. To szalony pomysł, który może się urodzić tylko w głowie naszego kochanego pana Edwina.

Ale Hinton nie dał po tej odprawie za wygraną.

— A od czego nasz motor wysokościowy i obiecwana nam szybkość pięciuset, a nawet sześciuset kilometrów na godzinę?! — zawołał. — Widzę, że sam pan nie wierzy w swoje dzieło. Gdybyśmy w rozrzedzonym powietrzu istotnie mogli osiągnąć szybkość chociażby tylko sześciuset kilometrów, to za trzy godziny znaleźlibyśmy się w sercu Tybetu, ponad tajemniczą, niedostępną Lhasą.

— Szybkość taką osiągnąłbyś za pomocą wysokościowego urządzenia motoru — bronił się Jerzy.

— W takim razie ta okropna, najeżona niebezpieczeństwami wyprawa okazałaby się zwyczajną wycieczką, wobec której wyprawa pod biegun byłaby czynem zuchwałym.

Słowa Edwina podnieciły ambicję Airmana.

— Gdybym wiedział, że w Tybecie panuje spokój atmosferyczny — rzekł wreszcie — to może zaryzykowałbym... Dla „Kondora” byłaby to igraszka, równie jak wzniesienie się ponad Mount Everest, który ma mniej niż dziewięć tysięcy metrów.

Hinton poczuwszy, że zrobił pewien wylom, natarł jeszcze energiczniej i w końcu postawił na swoim, ku wielkiemu zgorszeniu Nillsa, który zaczynał się już martwić o swego „Kondora”, pamiętał bowiem wyprawę pod biegun i skutki burzy śnieżnej.

Zanim jednak zdecydowano się ruszyć w kierunku Himalajów, wypróbowano dostarczoną przez Chińczyków benzynę. Okazała się wyborna. Nills natomiast ręczył za motor. Airman więc postanowił lecieć w najwyższych warstwach atmosfery, żeby dostać się od razu na poziom płaskowzgórza tybetańskiego i uzyskać szybkość maksymalną, do jakiej „Kondor” był zdolny. Edwin tryumfował!

²⁴⁹Pamir — górski łańcuch w centralnej Azji, większość powierzchni Pamiru leży w granicach Tadżykistanu. [przypis edytorski]

²⁵⁰płaskowzgórze, które sięga przeciętnie pięciu tysięcy metrów — informacja nieprecyzyjna, średnia wysokość Pamiru wynosi 4000 m n.p.m. [przypis edytorski]

Pogoda była przecudna, co ośmielało naszych lotników. Wiatr południowo-wschodni wiał stale, wpływ jego sięgał aż w głąb kontynentu.

Po godzinie, w czasie której Nills jeszcze raz sprawdził motor, a Edwin doprowadził do porządku swoje aparaty fotograficzne, Jerzy dał znak do odjazdu.

Od razu puszczono w ruch motor i wzięto kierunek północno-zachodni.

Przed naszymi podróżnikami leżała poprzecinana pasmami górskimi, mało znana okolica Chin zachodnich, którą należało przebyć jak najprędzej, żeby się dostać na wyżynę Tybetu.

W godzinę po odlocie wysokościomierz wskazywał pięć tysięcy metrów. Jerzy włączył urządzenie wysokościowe motoru i posuwając się ciągle ku północnemu zachodowi, wznosił się coraz wyżej. Niebawem samolot zanurzył się w warstwie gęstych chmur, które zupełnie zasłoniły ziemię.

— Będziemy podróżowali po omacku — mówił Edwin. — Jedyną wskazówką jest dla nas Kompas, który na szczęście lepiej się tutaj sprawia niż pod biegunem północnym. Znajdujemy się już na poziomie dziewięciu tysięcy metrów, to jest ponad najwyższym szczytem Himalajów. Od tej chwili nie potrzebujemy lękać się starcia z wierzchołkami gór, ponad którymi leci „Kondor”, i możemy rozwijać coraz większą szybkość.

Miss Edyta, otulona w ciepłe futro, siedziała w swym trzcinowym krześle, odwrócona tyłem do okna, przez które nic by nie mogła ujrzeć. „Kondor” unosił się jakiś czas w chmurach, ale niebawem zajaśniało słońce. Pod samolotem, podobna do olbrzymiego, puchowego kobierca, usłała się warstwa srebrnych obłoków, falujących lekko w oślepiających promieniach. Promieniowanie na tej wysokości było tak silne, że ściany kabiny rozgrzały się i wewnątrz panowała temperatura dwunastu stopni Réaumura²⁵¹.

— Jak przyjemnie! — szeptała Edyta, zrzucając z ramion futro. — Zdaje mi się, że jestem w jakiejś zaczarowanej krainie, gdzie mieszkają same duchy. O, patrz pan na tę chmurę pod nami. Czy nie wygląda jak zbiorowisko tajemnych istot eterycznych²⁵², płynących bezszelestnie w przestrzeni? Tam zaś uformował się smok olbrzymi, wyciągający ku nam swą paszczę, Tam znów pędzi tabun rozhukanych centaurów²⁵³. Wpadł na smoka i roztratował jego cielsko, które się zmieniło w strzępy! Centaury biegną do bram olbrzymiego zamczyska strzelającego w niebo srebrnymi kopułami!

Cały ten świat chimeryczny²⁵⁴ zmieniał co chwila swoje formy, bawiąc oko zachwyconych lotników.

— Podróżujemy jak w balonie zdanym na łaskę wiatrów! — rzekł inżynier, także nie potrafiąc oprzeć się urokowi świata chmur.

Ale „Kondor” z zawrotną szybkością przemykał pomiędzy fantastycznymi tworam i świata baśni, wpadał pomiędzy nie, roztrącał potężnymi uderzeniami swego śmigła i z szumem leciał dalej, ku niewidocznemu celowi.

— Jak szybko lecimy? — zagadnęła Edyta.

— Robimy przynajmniej pięćset kilometrów na godzinę — odparł Burnett — jeżeli nie więcej. Unosimy się już ponad pasmami górskimi, pomiędzy którymi torują sobie mozolnie drogę dopływy górnej Jangcy. Za godzinę „Kondor” znajdzie się ponad wyżyną tybetańską. Z dumą myślę, że przelatujemy w kilkanaście minut przestrzeń, której przebycie zwykłymi środkami lokomocji wymaga tygodni najwyższych wysiłków i niebezpieczeństw! Odległość, śmiało to możemy powiedzieć, nie istnieje dla „Kondora”. Niech pani sobie przypomni opisy podróży Svena Hedina²⁵⁵ i innych badaczy! Ileż krwawego potu wyleli, zanim zdołali wśród niezliczonych przygód dotrzeć z Kaszmiru²⁵⁶ czy z południowych Indii w te tajemnicze kraje! Hedin znajdował się w drodze dwa lata z górą i kilkakrotnie omal nie zginął wpośród burz śnieżnych, które oby nas raczyły omijać.

²⁵¹dwanaście stopni Réaumura — 15° C. [przypis edytorski]

²⁵²eteryczny — lotny, niematerialny. [przypis edytorski]

²⁵³centaur (mit.) — postać z mitologii greckiej, krzyżówka człowieka (głowa, tułów, ramiona) i konia (dolna część ciała). [przypis edytorski]

²⁵⁴chimeryczny — nierealny, urojony, fantastyczny, też: kapryśny. [przypis edytorski]

²⁵⁵Hedin, Sven (1865–1952) — szwedzki uczone, geograf, kartograf i podróżnik, autor pierwszych map gór centralnej Azji (Pamir, Himalaje). [przypis edytorski]

²⁵⁶Kaszmir — region w południowej Azji, spór o przynależność (trzy wojny i stała okupacja militarna) toczy się od 1947 r. (kiedy to Kaszmir przestał być brytyjską kolonią), zachodnią część kontroluje Pakistan, wschodnią Chiny a południową Indie. [przypis edytorski]

Jedna z takich zawiei trzymała go w swych uściskach ni mniej, ni więcej tylko trzydzieści dni bez przerwy! Stracił połowę swoich jaków, które na tych wysokościach są jedynymi jucznymi zwierzętami, i o mało nie zginął sam z zimna i głodu.

Prócz tego musiał na każdym kroku walczyć z ludźmi. Lamowie, którzy panują niepodzielnie w Tybecie i wyzyskują biedny lud, bronili zazdrośnie dostępu Europejczykom do swego państwa przez długie czasy. Stosunkowo niedawno udało się Anglikom dotrzeć do świętego miasta Lhasa, rezydencji dalajlamy. Potrzeba było do tego zbrojnych ekspedycji albo niezliczonych podstępów i wybiegów! My zaś znajdziemy się tam za parę godzin bez najmniejszego z naszej strony wysiłku.

Inżynier entuzjazmował się coraz bardziej, w miarę tego jak „Kondor” zwiększał szybkość.

W dwie godziny po odlocie ukazała się znów powierzchnia ziemi, którą można było oglądać z wysokości paru kilometrów jak mapę o dużej skali.

Jerzy poprosił inżyniera, żeby go zastąpił u steru, sam zaś razem z Edwinem zajął się studiowaniem okolicy przez lunetę.

— Znajdujemy się już nad płaskowzgórzem centralnym — rzekł. — Idzie mi teraz o to, żeby odnaleźć Brahmaputę. W jej to dolinie leży święte miasto Lhasa.

Dzięki przezroczystemu powietrzu poszukiwania te nie trwały długo. Na widnokręgu rysowała się niebieska wstęga wspaniałej rzeki płynącej szeroką doliną, ujętą z północy i południa w ramy śnieżnych łańcuchów górskich. Jej rozmiary nie pozwalały dłużej wątpić, że to Brahmaputra.

Od tej chwili „Kondor”, znizywszy lot, trzymał się jej zakrętów, znajdując się na poziomie jakichś sześciu tysięcy metrów.

— Jesteśmy już w Tybecie! — zawołał radośnie Edwin. — Proszę spojrzeć na te lśniące w promieniach słonecznych kopuły. To klasztory buddyjskie, pobudowane przeważnie na szczytach wzgórz. Och, widzę przez szkła wyraźnie tłum ludzi tłoczących się u wrót tamtego klasztoru. Są to zapewne pielgrzymi. Tam dalej posuwa się cała karawana kupiecka. Te zwierzęta objuczone pakami to jaki, podobne nieco do wołów, ale niższe i pokryte bujnym, długim włosiem. To wielbłądy tybetańskie²⁵⁷. Bez nich kraj ten byłby zupełnie niedostępny.

Wszyscy, idąc za przykładem Hintona, wzięli perspektywy i przez szkła obserwowali ziemię. Nieraz mieli sposobność ocenić szybkość lotu „Kondora”. Krajobrazy przesuwały się pod nimi jak w kalejdoskopie. Wszystko zmieniało się z minuty na minutę, tak iż z trudnością wzrok mógł zatrzymać się na jakimś przedmiocie.

„Kondor” zniżał coraz bardziej swój lot i zwalniał szybkość. Posuwano się teraz nie prędzej jak dwieście kilometrów na godzinę. Jerzy chciał dać swoim towarzyszom sposobność do przyjrzenia się tajemniczej krainie, która tak nagle otwarła przed nimi podwoje.

Brahmaputra toczyła swe zimne wody szeroką doliną, gęsto zaludnioną. Miasteczka, wioski ukazywały się jedne po drugich. Na pastwiskach pasły się liczne stada owiec i jaków. Tu i ówdzie zazieleniło się pólko uprawne, na którym stał jeszcze dojrzewający owies. Lhasa leży mniej więcej pod 30 szerokości geograficznej północnej, a więc w pasie ciepłym, ale jej wysokie położenie zaostża niezmiernie klimat. Nasi podróżni widzieli, że dolina Brahmaputry jest dość żyzna i obfituje w roślinność. Tu i ówdzie dostrzegano lasy, wielkie drzewa ocieniały drogi.

Edyta, ciekawa jak każda córka Ewy, zaprotestowała przeciwko zbyt górnemu lotowi. Na jej prośbę brat zniżył się do tysiąca metrów nad poziom płaskowzgórza.

— Przelatujemy nad jednym z najmniej znanych krajów świata, dzięki twojemu genialnemu wynalazkowi; ale przecież musimy cośkolwiek zobaczyć z bliska; najlepiej wyładujmy gdzieś w dogodnym miejscu.

— Nie byłoby to zbyt wielkim ryzykiem z naszej strony — rzekł Edwin. — Jeżeli bowiem dobrze pamiętam, Tybetańczycy przyjmowali dość gościnnie Svena Hedina. Zdołał on nawet uzyskać audiencję u Tashi Lamy²⁵⁸. Wziąwszy ponadto pod uwagę ich

²⁵⁷ wielbłądy tybetańskie — nazwa, użyta przez autora w celu porównania funkcji, jaką pełnią oswojone jaki i wielbłądy. Wielbłądy nie występują w Tybecie. [przypis edytorski]

²⁵⁸ Tashi Lama — europejskie określenie Panczen Lamy (przełożonego klasztoru Tashilhunpo), pierwszy po Dalaj Lamy nauczyciel w buddyzmie. Do Panczen Lamy należy obowiązek szukania kolejnego wcielenia Dalej Lamy. [przypis edytorski]

przerażenie na widok „Kondora”, sędzę, że zadośćuczynienie życzeniom miss Edyty nie pociągnie dla nas zbyt wielkiego ryzyka.

Ale Jerzy wzbraniał się, tłumacząc, że nie znajduje miejsca dogodnego do lądowania w tym górzystym kraju.

— A gdybyśmy opuścili się na jakie jezioro albo rzekę? — nalegał Edwin, który także pałał żądzą poznania Tybetu i jego mieszkańców.

— Czyż nie przyjemniej przypatrywać się wszystkiemu z wysokości kilkuset metrów? — odparł Jerzy. — Radzę panu zabrać się do robienia zdjęć fotograficznych, które wzbudzą sensację w Stanach po naszym powrocie. Tego jeszcze nikt nie dokonał przed nami. Mamy niezły zapas klisz i możemy sfotografować z lotu ptaka najważniejsze miejscowości, czym sobie zdobędziemy uznanie geografów całego świata.

— Nie omieszkam naturalnie uczynić tego, ale miss Edyta musi postawić stopę w świętym mieście.

Podczas kiedy w kabinie toczył się spór na ten temat, Nills, siedzący dotąd przy Burnecie, zjawił się z tajemniczą miną.

— Panie kapitanie, zdaje mi się, że święte miasto już widać! — rzekł, pokazując białe zęby w uśmiechu zadowolenia. — Niech pan sprawdzi, czy inżynier się nie myli.

Jerzy pochwylił lunetę i zaczął uważnie śledzić widnokrąg.

Istotnie, „Kondor” znajdował się o kilkanaście zaledwie kilometrów od świętego miasta tybetańskiego. Odległość ta szybko się zmniejszała. Przez szkła widać było coraz wyraźniej potężny kompleks gmachów, wznoszących się na szczycie wzgórza panującego nad miastem i rzeką. Dwie okrągłe, złote kopuły świeciły w słońcu ponad wysokimi murami tarasowato pobudowanych zamków. U stóp pałacu dalajlamy rozciągało się miasto. Ponad niskimi dachami sterczały dumnie świątynie. Do pałacu prowadziły stromo pnące się pod górę drogi i gigantyczne schody. Był to labirynt gmachów, stłoczonych w jedną malowniczą, imponującą swym ogromem i oryginalną architekturą grupę.

— Tak, to Lhasa, a ten pałac na wzgórzu to siedziba dalajlamy, zawierająca, według pogłosek, dziesięć tysięcy komnat. I szkoła medyczna obok — przytwardził Airman, obejrawszy uważnie okolice. — Poproś inżyniera, żeby zniżył lot i zmniejszył szybkość. Niech okrąży kilka razy miasto i zamek, żeby mister Hinton miał dość czasu na dokonanie swych zdjęć.

Burnett spełnił polecenie i samolot majestatycznie zbliżał się do osłoniętego tajemnicą grodu, będącego przedmiotem zainteresowania świata zachodniego.

— Mój Boże, ile milionów ludzi wśród śniegu, mrozu, głodu i pragnienia miesiącami wędruje do świętego miasta, żeby choć z daleka ujrzeć błogosławiącą rękę dalajlamy! — westchnął Edwin, szykując swoje aparaty. — A my znaleźliśmy się tutaj po czterech godzinach lotu wśród obłoków. Nie zdziwiłbym się, gdyby lamowie uznali nas za cudotwórców i oddali nam cześć boską, jak samemu dalajlamie.

Ukazanie się „Kondora” wywołało paniczną trwogę w świętym grodzie. Grupy pielgrzymów, zdążające drogami, rozpierzchały się na widok wielkiego ptaka unoszącego się z szumem ponad ich głowami; żółci i czerwoni lamowie padali na twarz, ujrawszy zjawisko, które snadź brali za bajecznego potwora zesłanego przez zagniewane bóstwa.

Edwin śmiał się, obserwując te objawy strachu.

— Zdaje mi się, że moglibyśmy wylądować — rzekł. — Lękają się nas, to nam gwarantuje bezpieczeństwo.

— O ile znajdziemy wygodne miejsce, to bardzo chętnie! — odparł Jerzy, który zaczął sobie lekceważyć Tybetańczyków jako nieprzyjaciół. — Ale według mnie najpierw trzeba sfotografować wszystkie gmachy godniejsze uwagi i najbliższą okolicę z lotu ptaka.

Edwin, uznawszy trafność tej rady, z zapalem wziął się do dzieła. „Kondor” latał nad miastem, zniżywszy lot do pięciuset metrów zaledwie. Edwin wiedział, że stare fuzje²⁵⁹ tybetańskich żołnierzy nie mogą wyrządzić szkody z takiej odległości, więc robił zdjęcia, wybierając najdogodniejsze punkty. Niebawem skończył.

— Mamy pałac dalajlamy ze wszystkich stron, szkołę medyczną z frontu i z tyłu, miasto zrobiłem na kliszy tak, że można będzie z fotografii sporządzić bardzo dokładny

Miasto, Religia, Cywilizacja

²⁵⁹fuzja (daw.) — strzelba, karabin. [przypis edytorski]

plan. Cały tuzin płytek poszedł na stolicę Tybetu, myślę zatem, że można już wylądować. Czy widzi pan to pole? Sądzę, że tam „Kondor” może opuścić się bez przeszkody.

W parę minut potem „Kondor” stał już nieruchomo na ściernisku, o pół kilometra zaledwie od miasta.

Widać stąd było doskonale olbrzymie, czerwone i białe mury zamczyska dalajlamy, sterczące dumnie na szczycie pagórka; dalej zaś ciągnęły się spowite w chmurach łańcuchy górskie, ponad którymi przelecieli niedawno nasi podróżnicy.

— No, niech pani pierwsza postawi stopę w Lhasie, proszę! — zawołał Edwin, podając rękę towarzysze.

— Co tu będziemy robili? Czy zwiedzimy miasto?

— Jeżeli sobie pani tego życzy, chętnie będę pani towarzyszył! Jak sądzisz, Jerzy, czy można by się na to odważyć?

— Broń Boże! Lamowie zazdrośnie strzegą przed cudzoziemcami świętego miasta. Muszą być na nas wściekli, że tak łatwo zdobyliśmy ich fortecę górską! Obawiam się czynów gwałtownych z ich strony.

— W takim razie pozwól, niech pójdę na zwiady. Przypuszczam, że nie będą śmieli targnąć się na ludzi spadłych z obłoków!

Airman wahał się przez chwilę.

— Ty jesteś wielki ryzykant, wiem o tym — odrzekł. — Jeszcze wplącesz się w jaką awanturę.

— Idę z panem! — zawołał Nills.

— Doskonale! Dwie winchesterki to nie jedna — rzekł zadowolony Hinton. — No, idziemy. Jeżeli byśmy nie powrócili w ciągu dwunastu godzin, znak to, że nas aresztowano. W takim razie nie narażajcie się, nie szukajcie nas!

— Mam nadzieję, że tak źle nie będzie. W każdym razie zachowajcie ostrożność! — wołał za nimi Airman.

XXII. DALAJLAMA

Inżynier, Edyta i Jerzy oczekiwali niecierpliwie powrotu towarzyszy.

Na wszelki wypadek przygotowano się do obrony. W gondoli, na miejscu pilota, leżały nabite winchesterki i rewolwery oraz cały zapas amunicji. Burnett, z karabinem na ramieniu, przechadzał się dokoła samolotu, śledząc uważnie okolicę.

Niebawem jednak przekonał się, że Tybetańczycy, zdjęci zabobonną trwogą, trzymali się z dala od wielkiego ptaka, który tak nagle spadł z obłoków. Spoza drzew i murów wyglądały wprawdzie głowy ciekawych, ale nikt nie odważył się zbliżyć. Widać było przez szkła Edwina i Nillsa maszerujących swobodnie drogą prowadzącą do miasta. Wkrótce obaj znikli za bramą.

— Lękam się o tego wariata! — rzekł Jerzy.

— Co do mnie, jestem przekonana, że wrócą cali i zdrowi — odparła Edyta. — Śmiałkom szczęście sprzyja!

Dla skrócenia sobie oczekiwań nasza trójka zabrała się do posiłku. Edyta, siedząc z bratem przy zaimprovizowanym na pobliskim złomie skały stole, zadawała mu szereg pytań. Pragnęła się dowiedzieć czegoś o kraju, w którym tak niespodziewanie się znalazła.

Jerzy, w miarę możliwości, dawał żądane objaśnienia.

— Tybet to zamknięta ze wszech stron niebotycznymi górami wyżyna, sięgająca czterech tysięcy metrów nad poziom morza. Leży ona na północ od Himalajów, na tej samej mniej więcej szerokości co Egipt, ale klimat ma surowy. W dolinach dość żyznych udają się rośliny pokarmowe, głównie owies i jęczmień; mieszkańcy żyją jednak przeważnie z hodowli owiec i jaków. Tybetańczycy z powodu ostrości klimatu muszą odziewać się ciepło. Latem noszą długie suknie wełniane, ściągnięte pasem, zimą zaś kożuchy zwrócone włosiem do wewnątrz, ciężkie, niezgrabne buty i czapki haftowane. Zarówno kobiety, jak mężczyźni lubują się w ozdobach złotych i srebrnych. Jest to podobno najbardziej religijny naród na świecie. Może nasi wszczęli jaką awanturę w mieście i teraz siedzą w więzieniu. — Na czole jej osiadła chmura. Każdy ruch zdradzał rosnący niepokój.

— Żałuję, że nie umiem po tybetańsku, zaraz zasięgnąłbym języka o losie naszych towarzyszy — westchnął Burnett.

Oczekiwano z niecierpliwością jeszcze godzinę, lecz daremnie. Ani Hinton, ani Nills nie ukazywali się.

Naczelnik wyprawy napowietrznej denerwował się już nie na żarty. Od chwili rozstania z towarzyszami upłynęło sporo czasu. Wreszcie inżynier, chcąc zbadać nastrój zebranych ludzi, podszedł ku nim z karabinem na ramieniu. Ze zdziwieniem jednak przekonał się, że Tybetańczycy zaczęli się cofać w popłochu. Kobiety krzyczały ze strachu, unosząc małe dzieci, nawet żołnierze, nie ufając swej broni, zmieszali się z cywilami.

Zauważywszy te oznaki trwogi czy też poszanowania, inżynier zadowolony powrócił na swoje stanowisko.

— Nie ma co! — zawołał. — Krajowcy wzięli nas za istoty nadprzyrodzone, może za bóstwa, które raczyły zstąpić z nieba na ziemię, albo za diabłów; dość, że nic nam, według mojego zdania, nie zagraża. Nie zaszkodzi jednak mieć samolot w pogotowiu.

Czekano więc z rezygnacją na powrót Edwina i Nillsa. Ale wystawili oni cierpliwość towarzyszy na ciężką próbę. Słońce zaczynało już zniżać się ku zachodowi i ukryło się poza górami otaczającymi tajemnicze miasto, kiedy nareszcie w rosnącym wciąż tłumie wszczął się ruch. Tybetańczycy rozstępowali się, ażeby zrobić miejsce jeźdźcom, którzy ukazali się poza nimi.

— Baczność! — zawołał inżynier zbliżając się do „Kondora”. — Czy jesteś gotów, Jerzy?

Airman zajął miejsce pilota, Edyta wsiadła do kajuty, motor zaczął terkotać.

— Możemy wlecieć w każdej chwili! — odrzekł Jerzy.

Nagle tłum rozstał się, tworząc przejście, w którym ukazało się kilkunastu lamów dosiadających koni. Jerzy widział dokładnie ich ogolone głowy, na których nie mieli zwykłego nakrycia. Czerwone suknie odbijały jaskrawo od szarego tłumu. Kiedy kawalerzyści znaleźli się na ściernisku o paręset metrów od „Kondora”, zatrzymali się. Po chwili od grupy lamów oddzielił się pojedynczy jeździec, dzierżący białą chorągiewkę przywiązaną do dzidy. Jego koń posuwał się stępą²⁶⁰ w kierunku samolotu.

— Parlamentariusz! — mruknął inżynier, oglądając się, czy ma przy sobie karabin.

Lama podjechał do samolotu na kilkanaście kroków i nie wypuszczając chorągiewki odezwał się dość czystą angielszczyzną:

— Wielki dalajlama pozdrawia cudzoziemców, przybyłych do świętego miasta na wielkiej maszynie latającej!

Jerzy i Burnett spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Rozmów się z nim, Burnett — rzekł Jerzy. — Ja będę w pogotowiu na wszelki wypadek.

Inżynier kiwnął głową i zeskoczył na ziemię.

— My ze swej strony oświadczamy, że przybyliśmy tutaj, żeby złożyć hołd wielkiemu dalajlamie, którego imię wymawiamy ze czcią najwyższą — rzekł dyplomatycznie inżynier. — Bylibyśmy niezmiernie szczęśliwi, gdyby pozwolono nam na krótki czas zatrzymać się w świętym mieście.

— Wielki dalajlama dowiedział się o waszym przybyciu i oświadczył chęć obejrzenia waszej maszyny latającej — mówił dalej lama.

— Jesteśmy gotowi uczynić, co nam rozkaże!

— Dobrze, zaniósę jego wielebności waszą odpowiedź, cudzoziemcy. Możecie spokojnie przebywać tutaj! Nasi żołnierze będą was strzegli.

Po tych słowach lama zawrócił i galopem odjechał do miasta.

— Jaka szkoda, że nie zapytał go pan o Edwina! — zawołała z wyrzutem Edyta.

— Nie chciałem zdradzać obecności naszych kolegów w świętym mieście! — odparł inżynier.

— Och, pewnie już cała ludność wie o nas i o nich! Lękam się, czy nie wtrącono ich do lochu. Ci panowie, jak mówił Jerzy, są bardzo zazdrośni i nienawidzą cudzoziemców.

Religia, Kapłan

²⁶⁰stępa — sposób poruszania się czworonogów (zwykle w kontekście koni), najwolniejszy, wolniejszy od klusa. [przypis edytorski]

— Chwilę cierpliwości, sprawa niebawem wyjaśni się — uspokajał siostrę Airman.
— Nie traktują tu nas jak wrogów, to najważniejsze.

Nie upłynęło i pół godziny, kiedy w tłumie rozległy się pełne zapału okrzyki. Tybetańczycy padali na twarz przed zbliżającym się pochodem.

Naprzód wynurzył się z tłumu oddział lamów konnych, potem ukazała się pozłoci-sta lektyka dźwigana przez czerwonych lamów, za nią widniały piki liczniejszego zastępu kawalerii tybetańskiej.

— Jakiś dygnitarz! — szepnął Burnett. — Pewnie poseł od samego dalajlamy.

Lamowie bez ceremonii torowali nahajkami²⁶¹ drogę lektyce. Gapie rozstępowali się na strony albo padali plackiem w błoto, nie śmiejąc podnieść głowy.

— Cóż to znaczy? Któż to jest? — szeptała Edyta.

Po chwili na pięknym koniu dopadł samolotu tłusty lama.

— Dostąpiście wielkiego zaszczytu, cudzoziemcy! — zawołał po angielsku. — Sam najwyższy kapłan i władca Tybetu przybywa, ażeby obejrzeć waszą maszynę. Raczył on objawić chęć wzniesienia się w obłoki na sztucznym ptaku, o ile możecie zagwarantować jego świątobliwości zupełne bezpieczeństwo.

— Jest to dla nas wielki zaszczyt i szczęście! — odparł Burnett, kłaniając się nisko.

— Chodźcie, chodźcie wszyscy! — zwrócił się do towarzyszy. — Należy powitać uroczystie wielkiego dalajlamę. — Podał dłoń Edycie i nasza trójka z niskimi ukłonami wyszła naprzeciw nadciągającej lektyki, która zatrzymała się tuż przy „Kondorze”.

Dwaj lamowie ze czcią otworzyli ją i po chwili wielki dalajlama we własnej osobie²⁶² raczył postawić świętą stopę na rzuconym przed lektykę aksamitnym chodniku.

Był to młody jeszcze mężczyzna, o jasnej, żółtawej cerze, ładnych, inteligentnych oczach i delikatnych rysach twarzy. Miał na sobie długi do kostek płaszcz z czerwonej, jedwabnej, ciężkiej materii, na nogach pończochy i ciężkie wołkowe²⁶³ trzewiki z zakrzywionymi w górę na chińską modłę noskami. Włosy nosił krótko ostrzyżone. Uśmiechał się łagodnie do stojących w kornej postawie cudzoziemców i pewnym krokiem, bez śladu bojaźni, zbliżył się do samolotu. Tuż za nim z godnością postępował tłusty lama, tłumacząc zadawane przez jego wielebność pytania z tybetańskiego na angielski.

Nasi podróżni od razu przekonali się, że mają do czynienia z rozumnym człowiekiem, wiedzącym dobrze, co się dzieje poza jego rodzinnymi górami.

— Słyszałem dużo o maszynach latających, które wymyślili bracia Wright, Amerykanie, a następnie udoskonalili Francuzi i inne narody — mówił dalajlama. — Nigdy jednak nie miałem sposobności wznieść się w przestworza, chociaż mam po temu wielką ochotę. Kto jest budowniczym tego statku, który wprawił w podziw mieszkańców Lhasy?

Jerzy skłonił się w milczeniu.

— Bardzo się cieszę. W takim razie proszę objaśnić mi budowę samolotu! — zwrócił się wielki lama do Airmana z uprzejmym uśmiechem.

Ma się rozumieć, że Jerzy, napełniony dumą, uczynił zadość życzeniom władcy Tybetu z całą gorliwością. Kazał mu wnieść do kabiny, pokazywał wszystkie szczegóły, tłumaczył działanie sterów, silników i przyrządów pomocniczych, słowem, nie ukrywał niczego, wiedząc, że nie ma do czynienia z fachowcem.

Najwyższy lama słuchał uważnie. Jego pytania i uwagi były niezmiernie trafne i dowodziły dużego sprytu.

— Wasi towarzysze — rzekł w końcu — uczynili dość nierozsądnie, ukazując się w mieście. Gdyby nie to, że moi żołnierze wzięli ich pod swoją opiekę, tłum mógłby był uczynić im jaką przykrość. Znajdują się oni w tej chwili w pałacu Potala²⁶⁴ w charakte-

²⁶¹nabajka — krótki, pleciony bicz. [przypis edytorski]

²⁶²wielki dalajlama we własnej osobie — w powieści, opublikowanej w 1911 (choć akcja powieści dzieje się w bliżej nieokreślonej przyszłości w XX wieku), występuje postać dalajlamy jako młodego mężczyzny. W 1878 został rozpoznany jako inkarnacja Dalajlamy Thubten Gjaco (1876–1933), XIII Dalajlame, w czasach jego panowania miała miejsce inwazja brytyjska pod dowództwem Francis Younghusbanda (1904) oraz inwazja chińska pod wodzą gen. Zhao Erfeng (1910), powstrzymana przez wybuch rewolucji w Chinach w 1911 r., które od 1 stycznia 1912 r. przekształciły się z cesarstwa w republikę; po śmierci w 1933 r. Thubtena Gjaco, jako XIV Dalajlama został rozpoznany ur. w 1935 r. Tenzin Gjaco (intronizowany w 1940 r., od 1959 r. na uchodźstwie w związku z inwazją Chin na Tybet i upadkiem powstania tybetańskiego). [przypis edytorski]

²⁶³wołkok — filc (zwykle najgorszej jakości). [przypis edytorski]

²⁶⁴pałac Potala — zimowa rezydencja władców Tybetu, zlokalizowana w Lhasie. [przypis edytorski]

rze moich gości i niebawem połączą się z wami, jeśli się okaże, że nie przybyliście tutaj w celach nagannych.

Słyszając te słowa, Edyta odetchnęła z ulgą.

Burnett, w krótkich wyrazach obznajmił²⁶⁵ wielkiego kapłana z celami podróży. Dostojnik z początku okazał pewną nieufność, ale w końcu uwierzył i był zachwycony projektem podróży naokoło świata samolotem. Pragnął wiedzieć, jaką drogą podróżni dostali się do Tybetu, i był zadowolony, że nie przylecieli z Indii, co pozwalało domyślać się, że obawiał się podstępu ze strony Anglików. Powiedział parę pochlebnych frazesów²⁶⁶ pod adresem Stanów Zjednoczonych i prosił Airmana, żeby w jego imieniu złożył pozdrowienia prezydentowi tego „wielkiego i ucywilizowanego kraju”. Po tej wymianie uprzejmości politycznych dalajlama oświadczył gotowość powierzenia swojej świętej osoby Jerzemu na pół godziny, pod warunkiem jednak, że jego towarzysze pozostaną na ziemi.

Airman grzecznie uprzedził, że nie potrafi się obejść bez pomocy inżyniera i że nie pozostawi Edyty samej. Jego świątobliwość przez chwilę wahał się, jakby lękając się porwania, ale potem zajął miejsce w kabinie razem z Edytą i tłustym lamą, który mu służył za tłumacza.

Słońce zniżyło się już tak znacznie, że cienie pokrywały dolinę rzeki, nad którą leżało święte miasto.

Dalajlama okazał wielką odwagę i zimną krew. Drgnął z lekka, kiedy Jerzy puścił w ruch motor, ale wnet uspokoił się i w ciągu całej wycieczki pogodny uśmiech nie opuszczał jego delikatnej twarzy. Wyglądał ciągle przez okienka, przypatrując się pełnemu grozy romantycznej krajobrazowi, jaki się roztaczał przed jego wzrokiem. Miasto oraz górujący nad nim pałac zniknęły niebawem i samolot szybował nad dzikimi, pokrytymi śniegiem turniami, nad niezgłębionymi przepaściami. Kiedy jednak Airman zaczął oddalać się od Lhasy, dalajlama szepnął parę słów swemu towarzyszowi, który zażądał od Jerzego, żeby trzymał się ponad świętym miastem. „Kondor” zawrócił więc i zataczał wielkie koła nad Lhasą. Wzniesiono się do dwóch tysięcy metrów, po czym wobec zapadającej nocy wylądowano gładko na ściernisku, które pół godziny temu opuszczono.

Dalajlama zdziwił się niepomału²⁶⁷, kiedy pilot powiedział, że w ciągu kwadransa „Kondor” oddalił się od miasta na kilkadziesiąt kilometrów i znajdował się poza łańcuchem górskim otaczającym miasto od północy. Szybkość i pewność lotu zachwyciła go. Wsiadając z kajuty, wyraził swoje zadowolenie, po czym zdjął pierścień z palca i wręczył go twórcy samolotu.

— Proszę to wziąć na pamiątkę. Pierścień ten, okazany lamom, otworzy wam drogi w całym Tybecie — rzekł. — Jesteście moimi gośćmi, dopóki znajdujecie się tutaj!

W końcu dalajlama wyraził życzenie posiadania na własność samolotu, oświadczając, że chętnie zapłaci za niego żadaną sumę. Prosił, żeby mu przysłano aparat wraz z dobrym pilotem i mechanikiem.

Airman musiał mu przyrzec, że po powrocie do ojczyzny spełni jego rozkaz.

Dalajlama pożegnał uprzejmym skinieniem głowy podróżników, po czym wsiadł do swej lektyki i, otoczony świtą lamów i żołnierzy, zniknął w tłumie wydającym na jego cześć głośnie okrzyki.

XXIII. NA SZCZYCIE ŚWIATA

Nazajutrz rankiem „Kondor” bez żadnych przeszkód ze strony Tybetańczyków wznosił się majestatycznie i szybował w kierunku niebotycznych Himalajów, które z tej odległości przedstawiały się wzrokowi jak białe, lśniące w słońcu obłoczki, nagromadzone na widnokręgu.

Ale obłoczki te skutkiem szybkiego lotu „Kondora” rosły ciągle i wynurzały się z powijków chmur. Niebawem można było rozpoznać przez szkła szeregi groźnych szczytów pokrytych wiecznym śniegiem.

Góry

²⁶⁵obznajmiać (daw.) — zapoznać kogoś z czymś. [przypis edytorski]

²⁶⁶frazes — dawniej: słowo, zdanie, wypowiedź. Dziś: wyrażenie pozbawione głębszych treści, puste, bez znaczenia. [przypis edytorski]

²⁶⁷niepomału (daw.) — wielce, bardzo, niezmiernie. [przypis edytorski]

— Czekaj nas zadanie nie lada! — mówił Hinton, rozkładając na stoliku mapę Himalajów. — Jest to najwyższy łańcuch górski świata, liczący dwa tysiące czterysta kilometrów długości i przeciętnie dwieście dwadzieścia kilometrów szerokości. Gdybyśmy nie mieli motoru zdolnego pracować w rozrzedzonym powietrzu, nie ośmieliłbym się proponować pani bratu tej przeprawy, która musi się odbywać na wysokości przynajmniej siedmiu tysięcy metrów. Jeżeli zaś, jak to jest projektowane, mamy przelecieć ponad najwyższą górą kuli ziemskiej, to jest nad Mount Everestem, w takim razie musimy wznieść się jeszcze wyżej, szczyt ten bowiem sięga niemal dziewięciu tysięcy metrów! Granica wiecznych śniegów przebiega na wysokości mniej więcej pięciu tysięcy metrów. Skutkiem tego Himalaje mają wszystkie możliwe klimaty, poczynając od tropikalnego aż do biegunowego. Łańcuch ten stanowi granicę dla monsunu południowo-wschodniego, który zrasza swą wilgocią obficie stoki południowe, dając możność rozwijania się przebogatej roślinności. Lasy tropikalne sięgają do wysokości dziewięciuset metrów zaledwie nad poziom morza; podzwrotnikowy pas wznosi się do dwu tysięcy metrów, wyżej napotykamy lasy przypominające nasze północnoamerykańskie w stanie Ohio i zarośnięte przez dobrze nam znane gatunki drzew liściastych, na przykład dęby, kasztany, klony. Na północnych stokach na tej samej wysokości rosną lasy iglaste, które kończą się na wzniesieniu czterech tysięcy metrów, ustępując w końcu miejsca roślinności wysokogórskiej. Jeszcze wyżej rozpościera swe panowanie kraina wiecznych lodów i nigdy nietopniejących śniegów, ponad którą sterczą liczne szczyty wyższe od amerykańskich i afrykańskich. W tych różnorodnych warunkach klimatycznych napotkać można zwierzęta wszystkich stref, poczynając od małp i zebu²⁶⁸, dalej zaś niedźwiedzi, jaków, muflonów²⁶⁹, kozłów skalnych, a kończąc na stworzeniach, które żyją na dalekiej północy.

Mój Boże, jaka szkoda, że nie mogę z moją winchesterką włączyć się po wspaniałych dolinach Himalajów. Miałbym tam niesłychaną obfitość i różnorodność zwierzyny! Cóż robić, musimy chyba poprzestać na orłach, jeśli będą tak nierozsądne, że zbliżą się na zasięg strzału. Ludzie są tu równie interesujący. Górale czystej krwi! Bitni, śmiali i wytrwali na wszelkie trudy.

Podczas kiedy Edwin miał powyższy wykład dla swej towarzyszki, do steru siadł Jerzy, zlurowawszy inżyniera.

— Jaki kierunek? — zagadnął Edwin.

— Południowo-zachodni! — odparł Burnett. — Postawiłeś pan na swoim niestety. Lecimy prosto na Mount Everest, który już daje się wyraźnie odróżnić pomiędzy tym morzem szczytów!

— Tak, dobrze pan powiedział, inżynierze! To prawdziwe morze szczytów! — potwórzyl, uśmiechając się, Hinton.

Na ciemnym tle nieba, czystego jak tafla szafiru²⁷⁰, hen daleko na wschód i na zachód rozpościerały się potężne Himalaje, obejmując południowy widnokrąg.

Ta ściana starych granitów i gnejsów potężniała w oczach. Obłoczki srebrzyste, dostrzegane przed pół godziną z dali, zamieniały się w dziko spiętrzony wał turni, poprzerzynany głębokimi dolinami, na których dnie lśniły srebrzyste nitki rzek mających tutaj swe źródła. Był to widok tak wspaniały w swej grozie, że nasi podróżni śledzili go przez okienka kabiny z biciem serca. „Kondor” płynął jak olbrzymi orzeł w chłodnej atmosferze. Jego głęboki oddech był miarowy i pełny; rozrzedzone powietrze nie odejmowało mu ani odrobiny siły. Airman wznosił maszynę coraz wyżej i wyżej; wysokościomierz wskazywał już dziesięć tysięcy metrów! Zimno stało się tak dotkliwie, że puszczono gazy do rur w kabinie. Wnet temperatura zaczęła się podnosić, tak że Edyta, która już okutała się w swe lisy, zrzuciła je z siebie.

— Trzyńście stopni ciepła! — zawołała, śmiejąc się.

Szybkość samolotu była olbrzymia, dochodziła bowiem do pięciuset kilometrów na godzinę; toteż krajobrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie. Unoszono się już nad śnieżnymi szczytami, które potulnie skłaniały się do stóp zuchwałych lotników, uznając się za pokonane przez geniusz ludzki. Edwin wskazał pasmo biegnące równoległe do głównego trzonu Himalajów.

²⁶⁸zebu — udomowione bydlę występujące w Indiach. [przypis edytorski]

²⁶⁹muflon — podgatunek owcy. [przypis edytorski]

²⁷⁰szafir — rzadki kamień szlachetny o różnych odcieniach niebieskiego. [przypis edytorski]

— To pasmo zostało odkryte stosunkowo niedawno przez zuchwałego podróżnika Svena Hedina, pragnącego wbrew wszelkim przeszkodom dotrzeć do Lhasy. Nie puścili go przez Indie zazdrośni o swe wpływy polityczne Anglicy, więc poszedł od strony Kaszmiru i niespodziewanie znalazł ten łańcuch. Teraz mijamy jego wschodnie odgałęzienia i znajdujemy się przed głównym łańcuchem Himalajów. Widzi pani ten olbrzymi szczyt, wznoszący dumnie srebrną głowę ponad wszystkie sąsiednie turnie? To właśnie sławny Mount Everest! Niech pani sama osądzi, czy brat pani nie jest jednym z wielkich zdobywców! Oto dzięki jego statkowi powietrznemu unosimy się lekko, z zawrotną szybkością ponad tym labiryntem przepaści i ostrych turni wprawiających nas w dreszcz trwogi. Igramy ze śmiercią, która by wyciągnęła ku nam swe kościste ramiona, gdyby nagle motor nasz przestał działać i zmusił nas do opuszczenia się na skały okryte wiecznym śniegiem. A jednak my, ufni w doskonałość i siłę naszych skrzydeł stalowych, przemykamy ponad nimi z zawrotną szybkością. Dwie godziny temu znajdowaliśmy się w sercu Tybetu, w świętym mieście, a teraz mamy w dole szczyt świata.

Hintona ogarnęło podniecenie, które udzieliło się Edycie i Burnettowi.

— Z czego pan wnosi, że zbliżamy się do Mount Everestu?! Tyle gór piętrzy się dokoła nas; ich szczyty drzemią w chmurach, trudno się zorientować w tym okropnym labiryncie!

— Niech pani dobrze się rozejrzy! — mówił Hinton. — Czy choć jeden szczyt wznosi się ponad ten! To są poddani, schylający srebrne głowy przed swym władcą! Znajdujemy się na poziomie ośmiu tysięcy ośmuset metrów, to znaczy mniej więcej tam, dokąd sięga swym skalistym czołem król gór! Nie można się po prostu omylić! Tak, to sławny Mount Everest, niedosięgły cel wielu ludzi! Dałbym sto tysięcy dolarów, żeby móc postawić nogę na tym dumnym szczycie! Niestety! „Kondor” nie odważy się zapewne szukać oparcia w tych turniach i lodowcach błyszczących w słońcu jak srebrne tafle! Byłoby to za ryzykowne.

Wnet samolot znalazł się o kilkanaście kilometrów zaledwie od najwyższego szczytu Himalajów. Widać było teraz dokładnie jego grzbiet spowity śniegiem, spod którego sterczały czarne skały. „Kondor” unosił się nad wielkimi lodowcami spływającymi po zboczach olbrzyma, jakby zamarzłe rzeki niosące potężne złomy skał w doliny. Niżej świeciły żółtawozielonawymi plamami zbocza okryte trawami, a jeszcze niżej rozpościły się czarniawe plamy lasów schodzących w doliny, zasłane subtelnymi oparami, jakby najcieńszym woalem²⁷¹ kaszmirskim.

„Kondor” wznosił się ciągle, lecz powoli. Wysokościomierz wskazywał dziewięć tysięcy metrów, termometr, wywieszony za okienkiem kabiny, dwadzieścia stopni Réaumura poniżej zera²⁷². Powietrze na tych wyżynach było tak rzadkie, że nasi lotnicy odczuwali silnie uderzające w skroniach tętna; płuca ich pracowały z coraz większym wysiłkiem, żeby zaczerpnąć potrzebną ilość tlenu.

— Duszo mi! — rzekła Edyta, kładąc dłoń na piersi.

— To rozrzedzenie powietrza jest największą przeszkodą, z jaką musieli walczyć ci, co zapragnęli postawić stopę na szczycie olbrzyma — rzekł Edwin. — W tych warunkach wysiłek fizyczny sprawia cierpienia niepojęte. Co kilkanaście kroków człowiek musi się zatrzymywać, żeby nabrać tlenu w płuca. Nogi wydają mu się ciężkie, jak gdyby przywiązano do nich po sto kilo. Serce pracuje z napięciem nieznanym mieszkańcowi nizin, bijąc w klatkę piersiową jak młot parowy. Każdy metr wzniesienia okupuje podróżny męką. A my? Znajdujemy się na wysokości dziewięciu tysięcy metrów i dopiero doznajemy pierwszych symptomatów choroby górskiej.

Rozmowa umilkła nagle. „Kondor” bowiem, minąwszy szczyt Everestu, zatoczył półkole ku zachodowi.

— Czas zająć się fotografią — rzekł Edwin. — Musimy mieć dowody, żeśmy potrafili wnieść się ponad czub króla gór ziemskich.

„Kondor” krążył dokoła szczytu, walcząc z lodowatym wichrem, który dał w tych strefach gwałtownie. Edwin puścił w ruch mały kinematograf, chcąc odtworzyć z całą dokładnością skały wieńczące głowę olbrzyma. Nagle jednak stała się rzecz dziwna!

²⁷¹woal — przezroczysta, cienka tkanina. [przypis edytorski]

²⁷²dwadzieścia stopni Réaumura poniżej zera — -25°C. [przypis edytorski]

„Kondor” zaczął zniżać lot gwałtownie. Burnett, zaniepokojony, rzucił się do przedniej kabiny. Ale Airman siedział nieruchomo, z ręką na kole sterowym.

— Jak się pan czuje? — zagadnął troskliwie Burnett.

— Doskonale — odparł Airman. — Przygotujcie się, za chwilę wylądujemy!

— Wylądujemy? — powtórzył inżynier zdumiony.

— Tak, znalazłem dogodne miejsce. Uprzedź pan Edytę i Edwina.

Jeszcze inżynier nie zdążył powtórzyć słów pilota towarzyszom, kiedy poczuł lekkie wstrząśnięcie. Samolot, dotknąwszy olśniewającej i twardej powłoki śnieżnej, drgnął kilka razy, podskoczył z lekka jak tancerka i zatrzymał się.

— Jesteśmy na Mount Evereście! — zawołał Burnett, wpadając do kabiny. — Wysiadać!

— Co? Wylądowaliśmy tutaj?! — zdziwiła się Edyta.

— Uprzedzam panią, że jest zimno! — mówił inżynier.

Hinton zarzucił na ramię panienki ciepłe futro, wciągnął na siebie kurtkę i otworzył drzwiczki kabiny.

— Proszę! — rzekł, podając jej rękę.

Edyta wyskoczyła i znalazła się na lekko wznoszącym się płacie śnieżnym, mierzącym kilkaset metrów szerokości, a ze trzysta długości. Z prawej strony czerniły się nagie pasma skał, a ponad nimi wznosił się dumnie szczyt Everestu.

Edwin oglądał się dokoła ze wzruszeniem. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że stoi na niedostępnej górze, która odpierała zwycięsko wszystkie skierowane ku niej szturmy.

— No, jesteśmy na szczycie świata! — zawołał Jerzy, wysiadając z samolotu. — Udało mi się wypatrzyć to równe stosunkowo i dość łagodnie nachylone ku południowi miejsce, więc zaryzykowałem wylądowanie. Wzniesiemy się stąd równie łatwo, dzięki wichrowi, który oby nas nie zmiotł w przepaść! Trzymajcie się dobrze za nogach!

Istotnie na tej wysokości dął przenikliwy wiatr; powietrze jednak było zupełnie czyste, lecz tak rzadkie, że płuca pracowały w nim z nadzwyczajnym wysiłkiem.

— Zdaje mi się, że znajdujemy się w miejscu, gdzie bierze początek olbrzymi lodowiec — rzekł inżynier, zbliżając się na skraj płaskowzgórza. — Rozciąga się on na północnym stoku góry, niezmiernie daleko od doliny.

Nasi podróżni, zbici w gromadkę dla uchronienia się od niemiłosiernych uderzeń lodowatego wichru, siekącego twarze ostrymi igłami śniegu, obserwowali przez szkła wierzchołek sterczący na trzysta zaledwie metrów ponad nimi.

Szczyt olbrzymiej góry wyglądał stąd dostępnie; jej nagie stoki mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Subtelna mgła napieniająca powietrze była zapewne powodem tego przepięknego zjawiska, zwanego opalizacją²⁷³. Edwin śledził przez perspektywę zbocza góry z najwyższą uwagą.

— Widzę żleb, którym z łatwością dostałbym się w ciągu paru godzin na sam szczyt! — zawołał. — Kto ze mną?

Inżynier wzruszył ramionami.

— Po co się męczyć, kiedy samolot zanieś nas łatwo nawet o kilometr ponad wierzchołek góry?! — rzekł pogardliwie.

— To prawda, ale idzie o to, żeby postawić nogę na samym szczycie niedostępnej, jak dotąd, góry — protestował z ożywieniem Edwin.

— Formalistyka²⁷⁴ do niczego nieprowadząca, skoro można zajrzeć na szczyt!

— Niby tak, ale w gruncie rzeczy to nie jest to samo! — upierał się Hinton.

— No, masz pan trochę czasu, proszę spróbować!

— Gdybym miał jeden dzień! — westchnął Edwin.

— Moglibyśmy zatrzymać się do zachodu słońca — odezwał się Airman półgłosem.

Hinton wydał okrzyk radości.

— Idę natychmiast! Idę nawet sam, jeżeli nie znajdzie się nikt, kto by mi chciał towarzyszyć. Muszę zdeptać stopą dumne czoło Everestu! Muszę!

²⁷³ opalizacja — efekt, w którym kolor obserwowanego przedmiotu zmienia się wraz ze zmianą miejsca obserwacji. [przypis edytorski]

²⁷⁴ formalistyka — tu: nic nie znaczący szczegół. [przypis edytorski]

— Kiedy pan taki uparty, to powinienem iść za panem, żeby w razie jakiej przygody dopomóc! — rzekł Nills.

— To znaczy, chcesz być moim opiekunem, kochany Robercie. Niech i tak będzie. Ale ponieważ mamy tylko osiem godzin czasu, więc nie traćmy ani chwili! Nie jesteś zmęczony, powinna nam się więc udać ta wycieczka, z której bym sobie żartował, gdyby nie to, że znajdujemy się na wysokości ośmiu tysięcy pięciuset metrów.

— Masz pan do przebycia trzysta metrów — rzekł ironicznie inżynier. — To bagatelka dla pana!

— Pewnie, że bagatelka. Znam góry i umiem się wdzierać po lodzie i śniegu, nawet w niepodkutych dobrze trzewikach. Laski się znajdują, futra są! Dajcie nam tylko jaki sztandar, który zawiesimy na szczycie ku chwale Stanów!

— Jest mała flaga! — odezwała się Edyta, której zaimponowała energia Edwina.

Przygotowania trwały zaledwie pół godziny. Ustalono, że podczas nieobecności odważnych towarzyszy pozostali cofną samolot z wiatrem tak, żeby mógł zaraz wzlecieć, nie narażając się na niebezpieczeństwo, po czym pożegnano się krótkimi uściśnięciami dłoni i rozstano w najlepszym usposobieniu. Nawet inżynier, zbadawszy uważnie żleb wskazany przez kolegę, musiał przyznać, że zdobycie stąd szczytu nie nastroczało większych trudności. Edwin i jego towarzysz powinni by dotrzeć tam w ciągu paru godzin zaledwie i wrócić przed nocą. Umówiono się, że huk oznajmi zwycięstwo. W tym celu Edwin zabrał małą rakietę, którą miał w stosownej chwili wypuścić. Pozostała trójka z zajęciem śledziła oddalających się towarzyszy.

Edwin szedł z początku szparko²⁷⁵; tuż za nim brnął w śniegu mechanik, podpierając się okutym kijem.

Uszedłszy ze sto metrów po dość łagodnej jak na Everest pochyłości, Edwin odczuł jednak znużenie niedające się opisać. Nogi ciążyły mu, oddech stał się świszczący, płuca z trudnością chwytały rozrzedzone powietrze, daremnie usiłując nabrać dostatecznej ilości życiodawczego tlenu. Śmiałek wywnioskował, że porusza się za szybko, i zwolnił kroku.

— Uf! Nie tak łatwo się idzie, choć po równym śniegu! — mruczał Nills, dogoniwszy towarzysza. — Nie niosę nic, prócz tej rakiety i termosu z gorącą kawą, a jednak ledwie powłóczę nogami!

— Tlenu, brak tlenu! — mówił Edwin. — Ale dojdzie się jakoś.

Był pełen zapału. Zatrzymawszy się na kilka minut, wspinał się dalej, obchodząc nagie złomy skaliste. Śnieg dawał dostateczne oparcie stopom. Niebawem znaleziono się u wylotu żlebu, który kręto wznosił się w górę. Zadanie stawalo się coraz trudniejsze. Musiano pomagać sobie rękami. Śnieg nieraz usuwał się spod nóg wędrowcom, tak iż cofali się jak na piargach, tracąc zdobyte z trudem wzniesienie. Posuwano się jednak wciąż naprzód. Po godzinnych wysiłkach Edwin spojrzał wstecz i ujrzał „Kondora” jak siną plamę na tle śnieżnego płatu; przekonano się, że samolot wylądował na wielkim tarasie skalnym, pod którym rozciągała się przepaść na kilkaset metrów głęboka. Odpoczęto z dziesięć minut, po czym znów ruszono naprzód.

Ale siły opuszczały coraz częściej żeglarzy powietrznych. Edwin musiał zatrzymywać się co parę minut, dyszał ciężko i doznawał bardzo przykrej duszności. Nills nie uskarżał się na nic, ale i on widocznie cierpiał skutkiem rozrzedzonego powietrza.

— Ach, gdybyśmy mieli worek gumowy z tlenem! — westchnął Hinton.

Nie można było jednak pozwalać sobie na dłuższe przystanki, czas bowiem szybko uchodził. W dwie godziny po opuszczeniu samolotu wierzchołek Everestu wydawał się równie oddalony jak na początku wycieczki. Zniechęcenie zaczęło zakradać się do serca Edwina.

„Czy zdążymy wrócić na czas?” — myślał z niepokojem. Lecz ambicja pędziła go naprzód. W dwie godziny potem obaj czuli się już niezmiernie wyczerpani. Każdy krok sprawiał im cierpienie. Edwin zaczął płuć krwią, a Nills dostał krwotoku z nosa. Nie zdołało ich to jednak powstrzymać.

— Jeszcze sto metrów! — mówił Edwin dla dodania otuchy towarzyszowi. — Znajdujemy się u końca żlebu.

Musieli jednak niebawem znów usiąść. Nills patrzył na zegarek niespokojnie.

²⁷⁵szparko — szybko, żwawo. [przypis edytorski]

— Już cztery godziny minęły — rzekł głucho.

— To nic, mamy jeszcze drugie tyle do zachodu słońca — pocieszał go Edwin.

Całą siłą woli darli się naprzód.

Kilka razy Edwinowi zdawało się, że padnie zemdlony, doznawał bowiem coraz silniejszych zawrotów głowy. Jedyną pociechą było dlań, że droga okazała się stosunkowo łatwa technicznie. Olbrzym nie stawiał sztucznych przeszkód śmiałkom. Nareszcie żleb skończył się. Wędrowcy znaleźli się na nagiej skale, po której wspinali się ze zręcznością kozic.

— Jeszcze pięćdziesiąt metrów, Nills. Odwagi! — wołał Hinton, oglądając się za towarzyszem tamującym sobie krew chustką.

Nagle Edwin, zrobiwszy kilkanaście metrów po skałach gładkich, jakby dopiero co wyszły z kuźni Wulkanu²⁷⁶, znalazł się na szczycie i wydał okrzyk zdumienia i zachwytu.

Stał na złomie granitu, a pod jego stopami leżała nieskończona, jakby nieziem-ska przestrzeń, podobna do bezkresnego oceanu skalnego, rozkołysanego burzą. Szczyty śnieżne, podobne do zastygłych bałwanów, ciągnęły się, jak okiem sięgnął, we wszystkich kierunkach.

Żaden z nich nie dorównywał temu, na którym stał Edwin, wszystkie chyliły przed nim kornie głowy.

Dalej na południe rozległy kraj drzemał pod osłoną mgieł, od czasu do czasu świecąc zielonawymi i niebieskawymi pasmami odległych dolin.

Był to widok przytłaczający swą wspaniałością i bezmiarem. Edwinowi wydawało się, że jest duchem wyniesionym siłą nadludzką w zaświaty i spogląda na biedną ziemię ko-rzącą się pod jego stopami.

Wzrok jego sięgał na setki kilometrów wokoło. Gdyby nie opary zasłaniające niziny i doliny, widziałby stąd może Półwysep Indyjski²⁷⁷ do samego oceanu. Był pijany po-wodzeniem. Duma rozpięła mu piersi. Znużenie pierzchnęło w mgnieniu oka. Czuł się królem tych przestworzy.

— Zwycięstwo, zwycięstwo!

Krzyczał z całych sił, ale w tej rzadkiej atmosferze, pogrążonej w głuchej ciszy, głos jego brzmiał cicho.

— Nills, puść rakietę! — rzekł. — Znajdujemy się u kresu naszych wysiłków.

Raca²⁷⁸ zasyczała, wzniosła się w górę, buchnął obłoczek dymu, ale huk był tak nikły, że Edwin go nawet nie dosłyszał.

— To nic — rzekł — widzieli dym, to im wystarczy. Gdzie mój aparat fotograficzny?

— Oto jest!

Drżącymi ze wzruszenia palcami Hinton wyciągał jedną kliszę po drugiej ze swego kodaka²⁷⁹.

— No, teraz zadanie nasze skończone! — zawołał, rzucając raz jeszcze pełne zachwytu spojrzenie w bezgraniczną przestrzeń. — Musimy wracać. Jest godzina piąta. Do zachodu słońca pozostało dwie godziny co najwyżej. Trzeba się śpieszyć.

Rzucił okiem na dół i ujrzał „Kondora” podobnego do maleńkiej zabawki na płacie śnieżnym, a obok niego trzy czarne punkciki. Pochwycił chorągiew i machał nią w try-umfie. Potem zatknął drzewce mocno między złomy skały i z dumą przyglądał się, jak gwiazdzista flaga, szarpana lodowatym wichrem, zalśniła w słońcu na szczycie świata.

Nills napisał parę słów na kartce i zamknąwszy w pudełku od konserw, schował pod flagę, między glazy.

— To będzie dowodem naszego zwycięstwa — rzekł.

Edwin ogarnął wzrokiem dalekie widnokregi, jakby chciał na zawsze zatrzymać w pa-mięci ten niebiański w swej krasie²⁸⁰ obraz, i dał znak Nillsowi.

— Wracamy! — rzekł.

²⁷⁶ *Wulkan* (mit. rzym.) — bóg ognia i kowali (odpowiednik Hefajstosa w mit. gr.). [przypis edytorski]

²⁷⁷ *Półwysep Indyjski* — półwysep w południowej Azji na Oceanie Indyjskim, między Zatoką Bengalską a Mo-rzem Arabskim. [przypis edytorski]

²⁷⁸ *raca* — pocisk, który po wystrzeleniu ciągnie za sobą świecącą smugę kolorowego dymu, używany jako sygnał i/lub źródło światła. [przypis edytorski]

²⁷⁹ *kodak* — tu: rzeczownik pospolity, użyty w znaczeniu: aparat fotograficzny; od nazwy amerykańskiej firmy Kodak produkującej aparaty i akcesoria fotograficzne. [przypis edytorski]

²⁸⁰ *krasa* — uroda; piękno. [przypis edytorski]

Dokonawszy wielkiego czynu, nasi wędrowcy śpieszyli się, żeby przed zachodem słońca osiągnąć obozowiska. Przez lunety przekonali się, że na samolocie powiewa chorągiew Stanów, dowód, że towarzysze wiedzą o ich triumfie. Dotarłszy do żlebu, schodzili dość szybko, zsuwając się po mniej spadzistych zboczach na kijach po śniegu.

Słońce w dolinach już zaszło, ale tutaj, na olbrzymim szczycie, było jeszcze widoczne, zalewając nagie skały potopem światła.

Edwin trzymał się własnych śladów, widocznych dokładnie na śniegu. Robiło się już zupełnie ciemno, kiedy nareszcie, kierując się nawoływaniem zaniepokojonych towarzyszy, dotarli wyczerpani do „Kondora”.

— Zaczynaliśmy się już lękać o was! — rzekł Jerzy, ściskając z zapalem dłoń Edwina. — Winszujemy wam! Spisaliście się dziarsko! Nigdy nie myślałem, że zdobycie Everestu przyjdzie wam stosunkowo tak łatwo.

— Pańska w tym, nie nasza zasługa! — odparł Edwin. — Mieliliśmy paręset metrów zaledwie do przebycia, podczas gdy nasi poprzednicy brali górę od samych jej podstaw, walcząc z niezliczonymi trudnościami.

— No, zdobyliście twierdzę króla gór, moi panowie — wtrącił inżynier — ale wracacie tak późno, że najwyższy czas porzucić te niegościnne pustynie. Czy puścić w ruch motor wysokościowy? — zagadnął, zwracając się do Airmana.

— Tak jest! Mamy wiatr prosto w twarz, w tych warunkach wzniesiemy się chyba bez trudności — odparł Jerzy.

Burnett wziął się do roboty.

Upływała jednak minuta za minutą, a motor nie zawarczał.

— Co tam? — zagadnął Jerzy.

Inżynier zaklął.

— Tam do licha, motor nie chce iść! — zawołał.

— Dlaczego?

— Albo ja wiem?

— Trzeba rozgrzać cylindry.

Inżynier badał przez dłuższą chwilę mechanizm. Twarz jego spochmurniała nagle.

— Jaką mamy temperaturę? — zagadnął.

— Trzydzieści trzy stopnie poniżej zera²⁸¹! — odparł mechanik, rzuciwszy okiem na termometr.

— Otóż to właśnie! Oleje zgęstniały w cylindrach, które idą tak twardo, jakby ich nigdy nie smarowano.

— Benzyna zamarzła w zbiornikach! — krzyknął Jerzy.

— Nie zamarzła, mam nadzieję, ale zagęściła się do konsystencji oleju ciężkiego — rzucił nerwowo inżynier.

Położenie stawało się krytyczne. Noc zbliżała się wielkimi krokami. Góry, pokryte śniegiem, świeciły wspaniale w zapadającym mroku, żarząc się jak wielkie diamenty.

Rozpościerające się na zachód morze szczytów wyglądało jak fosforyzujące fale morskie. Na wschodzie formalnie palił się niebotyczny szczyt Kanczendzonga²⁸², dalej tonął w tajemniczej poświacie Dhaulagiri²⁸³.

— Śnieg i lód mają, jak się zdaje, własność pochłaniania za dnia światła i oddawania go potem w ciemnościach, podobnie jak diament — tłumaczył Edwin Edycie, która, nie zwracając uwagi na kłopoty mechanika, przypatrywała się w zachwycie zjawisku. — Szkoda, że zjawisko to trwa tak krótko. Ot, widzi pani, śnieżne szczyty, które przed paru minutami płonęły jak latarnie, gasną jeden po drugim. Ten lodowiec, który lśnił zielonawożółtym odblaskiem, ginie w pomroce. Ot, już po wszystkim! Tylko tutaj, na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, można widzieć coś tak wspaniałego! Dla tego jednego wrażenia warto było narazić karku! O, przyroda jest piękna! Jakże ją kocham!

²⁸¹trzydzieści trzy stopnie poniżej zera — mierzone w skali Réaumura odpowiada ok. -41°C. [przypis edytorski]

²⁸²Kanczendzonga — jeden z czternastu ośmiotysięczników (najwyższych szczytów na ziemi, przekraczających 8000 m. n.p.m.). Trzeci co do wielkości: 8598 m. Leży na granicy Nepału i Indii. [przypis edytorski]

²⁸³Dhaulagiri — siódmy co do wielkości ośmiotysięcznik (8167 m. n.p.m.). Leży w granicach Nepału. [przypis edytorski]

Podczas gdy nasza para entuzjazmowała się widokiem płonących gór, Nills i inżynier pracowali z natężeniem przy uruchomieniu silnika, który jednak szydził sobie z ich usiłowań. Zapadła noc, a „Kondor” stał nieruchomo na śniegu.

Położenie żeglarzy napowietrznych pogarszało się z każdą minutą, w miarę tego jak termometr obniżał się²⁸⁴.

W pół godziny po zachodzie słońca temperatura spadła do trzydziestu pięciu stopni²⁸⁵. Inżynier starał się ogrzać cylindry spirytusowym płomieniem, wlewał ciepłą benzynę do otworów w cylindrach, słowem, robił wszystko, co się dało, ale daremnie. Silnik odmówił stanowczo posłuszeństwa.

— Będziemy musieli przenocować tutaj — rzekł Jerzy. — Jutro, za dnia, ponowimy próby... Ażeby jednak nie zmarznąć, musimy ogrzać nieco naszą kabinę i okutać się w najcięższe futra, które na szczęście zabraliśmy ze sobą. Jakże przydadzą się teraz! No, nie tracimy nadziei! Opału nam nie brak, byle więc zachować środki ostrożności przeciwko pożarowi, to w końcu uruchomimy silnik.

Nasza piątka w nieco ponurym nastroju ułożyła się w kabinie do spoczynku. Wiatr zmniejszył się znacznie, tak iż z jego strony nie groziło na razie niebezpieczeństwo²⁸⁶.

Jednakże ani Jerzy, ani inżynier nie mogli zasnąć. Wiedzieli, że na tych wysokościach wyjątkowo tylko panuje pogoda, że monsun przynosi często śnieżne nawałnice, o których gwałtowności mieszkańcy stoków i dolin nie mają pojęcia. Huragan, miotający lawinami śniegu, bije jakby żelazną pięścią w namioty zuchwalców, którzy się znajdują tu podczas takiej burzy. „Kondor” byłby porwany olbrzymią siłą i rzucony, jak zeschnięty liść, w jedną z niezliczonych przepaści.

Ale szczęście sprzyjało śmiałkom. Niebo było czyste. Co jakiś czas wychodzili na zewnątrz, żeby sprawdzić temperaturę. Burnett niepokoił się, gdyż termometr nad ranem spadł do minus czterdziestu pięciu stopni²⁸⁷. Było tak zimno, że musiano zapalić w kabinie prymus i zaparzyć kawę. Dopiero kiedy wzeszło słońce, mróz nieco zelżał. Równocześnie podniósł się silny wicher, który szarpał skrzydłami „Kondora”, jakby pragnął go zmusić do opuszczenia samotni lodowej.

Inżynier znów zabrał się do pracy, zachowując wszelkie środki ostrożności. Musiał stopniowo nagrzewać nieduży zapas benzyny w zbiorniku, co groziło pewnym niebezpieczeństwem. W końcu, kiedy zaczęto już tracić nadzieję, że silnik da się w tej niskiej temperaturze uruchomić, motor zawarczał. Fakt ten przyjęto głośnymi okrzykami radości.

— Brawo, inżynierze! — zawołała Edyta. — Mnie się zdawało, że Everest nie wypuści nas stąd nigdy.

— Za mało masz zaufania do „Kondora”, kochana siostró — rzekł Jerzy z uśmiechem.

Motor ogrzewał się szybko. W pięć minut potem Airman dał znak do odlotu. Skrzydła samolotu były skierowane pod wiatr, który rósł ciągle, niosąc drobne, ostre kryształki śniegu.

Wszyscy zajęli swe miejsca. Jerzy starał się zachować zimną krew, ale ręka mu drżała. Nigdy jeszcze nie startował w tak trudnych warunkach. A nuż „Kondor” nie znajdzie w rzadkiej atmosferze należytego oparcia i runie w przepaść, rozbijając się o ostre szczyty skał? Jeden fałszywy manewr mógł pociągnąć za sobą katastrofę. Burnett, zanim usiadł, obszedł dokładnie pole śnieżne i wymierzył przestrzeń, jaką miał do dyspozycji „Kondor”. Okazało się, że może się toczyć po ziemi pięćset metrów, co w normalnych warunkach było aż nadto wystarczające. Poniżej roztwierała się przepaść na paręset metrów głęboka. Burnett żałował, że nie jest głębsza. „Kondor” potrzebował, jak wielki okręt, otwartych przestrzeni.

— Przygotuj pan na wszelki wypadek racę — rzekł Airman, naradziwszy się z mechanikiem.

²⁸⁴termometr obniżał się — właściwie temperatura wskazywana przez termometr obniżała się. [przypis edytorski]

²⁸⁵trzydziestu pięć stopni — -35 °Ré, czyli ok. -44 °C. [przypis edytorski]

²⁸⁶niebezpieczeństwo — samolot znajdował się na wysokości 8500 m. n.p.m. Przebywanie na takiej wysokości, bez uprzedniego przygotowania, zawsze skutkuje chorobą wysokościową. Powietrze jest tak rzadkie, że oddychanie jest bardzo utrudnione. Autor, zdaje się, nie uwzględnił tego aspektu. [przypis edytorski]

²⁸⁷minus czterdziestu pięć stopni — mierzone w skali Réaumura odpowiada -56°C. [przypis edytorski]

Inżynier usłuchał wezwania i stanął przy racy, żeby w odpowiednim momencie zapalić ją. Jerzy poddał benzyny do cylindrów. Śmigło zaczęło obracać się z zawrotną szybkością, robiąc parę tysięcy obrotów na minutę. Samolot drgnął i zaczął toczyć się po śnieżnym zboczach. Już zbliżał się do skraju przepaści, a jeszcze jego płozy nie oderwały się od ziemi. Airman poczuł, że serce zamarło w nim na chwilę.

— Pal! — zawołał.

Burnett przytknął ogień do krótkiego lontu: rozległ się ogłuszający syk, chmura dymu zionęła z tyłu „Kondora”, który, popchnięty olbrzymią siłą, znalazł się nagle w powietrzu. Przez kilka sekund zniżał się jeszcze, ale wnet zaczął się dźwigać w górę. Niebezpieczeństwo runięcia w otwartą pod nogami naszych lotników przepaść minęło szczęśliwie. Airman odetchnął pełną piersią.

XXIV. NIESPODZIEWANA NAPAŚĆ

Do Kalkuty ze szczytu Everestu, tak szczęśliwie zdobytego przez naszych lotników, jest w linii powietrznej około siedmuset kilometrów; toteż Airman spodziewał się stanąć tam za trzy godziny najdalej.

Przez kilkanaście minut „Kondor” unosił się nad morzem szczytów, zdobnych w srebrne czapki wiecznych śniegów, ale niebawem góry zaczęły zniżać się, przybierać łagodniejsze formy, okrywać swe zbocza zielenią lasów. Lodowce znikwały, spostrzegano coraz liczniejsze osiedla ludzkie, ukryte na dnach dolin, w których wily się srebrne nitki potoków. Niedostępne, niebotyczne Himalaje pozostawały coraz bardziej w tyle. Samolot szybował gładko, bez najmniejszego trudu ponad przepaściami i wąwozami, kierując się ku stolicy wielkiego państwa indyjskiego.

Jerzy opuszczał samolot powoli w niższe strefy, ażeby uniknąć dokuczliwego chłodu, który panował na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Unoszono się teraz ponad górską krainą, na wpół niezawisłym Nepalem²⁸⁸. Na widnokręgu dostrzegano już nizinne obszary ujścia Gangesu²⁸⁹, spowite w mgły i chmury.

Kierownik samolotu w pół godziny po opuszczeniu Everestu znajdował się, według wskazań wysokościomierza, na pułapie pięciu tysięcy metrów, kiedy wśród warkotu silnika wysokościowego, który dotąd działał, posłyszał charakterystyczny szum skrzydeł rozbijających ze świstem powietrze. Jakaś niewyraźna plama zasłoniła na mgnienie oka okolice.

Pilot obejrzał się, ale w tejże chwili poczuł na twarzy ostre szpony wpijające mu się w ciało. Olbrzymi orzeł, rozgniewany snadź wtargnięciem intruzów do swego królestwa, rzucił się z wściekłością na naszego lotnika. Łoskot silnika nie zdołał go odstraszyć. Uderzenia potężnego dzioba na szczęście ześlizgiwały się po kasku. Jerzy podniósł lewą rękę, żeby odpędzić zuchwalca, ale otrzymał poprzez rękawiczkę silny cios zakrzywionym dziobem, tak iż krew trysnęła z dłoni.

Nills, który siedział obok pilota, zerwał się, usiłując pochwycić orła; ale musiał się cofnąć otrzymawszy bolesne uderzenie skrzydłem, które omal nie złamało mu ręki. Mechanik, widząc niebezpieczeństwo grożące dowódcy wyprawy, zawołał, jak mógł najgłośniejszy, na Edwina. Ale ten, zamknięty razem z inżynierem i Edytą w kabinie i odwrócony plecami do napadniętych, nie przeczuwał nawet, że poza nim toczy się walka pomiędzy ptakiem olbrzymem a bezbronnymi lotnikami.

Airman widząc, że orzeł nie zdoła go zranić poprzez hełm, nachylił się, broniąc od szponów i dzioba twarz i oczy. Za to Nills, niezastrzymany otrzymanym uderzeniem, wziął sam jeden na siebie ciężar zmagania się z królem ptaków. Jego krzyki nie sprawiły jednak żadnego wrażenia na rozjuszonym napastniku, który, siedząc na karku Jerzego, zapamiętałe szarpał na nim odzież. Nareszcie mechanikowi udało się wymierzyć cios pięścią. Miało to jednak ten tylko skutek, że gniew króla ptaków obrócił się teraz przeciwko niemu.

²⁸⁸ *Nepal* — państwo w południowej Azji, położone między Chinami a Indiami. Do 1926 r. Nepal był kolonią brytyjską. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *Ganges* — rzeka w południowej Azji, płynie przez Indie i Bangladesz, długość ok. 2700 km. Wpada do Zatoki Bengalskiej. [przypis edytorski]

Nills, zaatakowany energicznie ostrymi szponami, musiał zasłonić ręką oczy w obawie utracenia wzroku.

Była to sytuacja tragiczna i śmieszna zarazem. Dwóch ludzi nie potrafiło obronić się przed jednym ptakiem, który widząc swą wyższość nad przeciwnikami, po prostu się nad nimi znęcał. Nills czuł, że krew spływa mu po twarzy. Machał rozpaczliwie rękami, oczekując z kolei pomocy od Jerzego, który jednak nie mógł pozostawić steru na łasce opatrności.

Nie wiadomo, jak by się ta walka skończyła, gdyby wreszcie inżynier nie spostrzegł, co się dzieje na przodzie samolotu.

Na jego alarmujący okrzyk Edwin zerwał się z fotela.

Otworzyć okienko, pochwycić winchesterkę i dać ognia do rozjuszonego orla — było dziełem kilku sekund zaledwie.

Strzał był na szczęście celny. Orzeł runął u stóp Nillsa nieżywy. Burnett zastąpił napaźniętych towarzyszy, którzy przeszli do drugiej kabiny.

Edyta, widząc krew, przeraziła się niezmiernie i niezwłocznie wzięła się do opatrywania rannych.

Okazało się, że najwięcej ucierpiał Nills. Miał wielkiego siniaka na przedramieniu od uderzenia skrzydłem, kilka ran na twarzy i poszarpaną prawą dłoń. Jerzy pomimo grubej kurtki miał pokaleczone plecy, poza tym twarz i prawą rękę. Orzeł zginął, lecz zadał przeciwnikom kilkanaście ran, wprawdzie dość powierzchownych, ale bardzo bolesnych. Kabina zamieniła się w lazaret²⁹⁰.

Podczas gdy panna opatrywała poszkodowanych, Edwin oglądał napastnika.

Był to potężny okaz orla skalnego, zamieszkującego dotąd licznie Himalaje. Mimo woli musiano podziwiać ostre, zakrzywione szpony, silny dziób i olbrzymie skrzydła króla ptaków, który tak odważnie zaatakował nieznanego, a wielokrotnie większego od siebie przeciwnika.

— Nigdy nie przypuszczałem, że na wysokości pięciu tysięcy metrów ponad ziemią stanę się ofiarą napaści drapieżnika! — mówił Jerzy, uśmiechając się pomimo skaleczeń. — Cała moja pociecha w tym, że miałem godnego przeciwnika. Doprawdy, co za odwaga ze strony tego ptaka! A jaka przy tym zmyślność! Jak zręcznie z boku poprowadził atak, unikając śmigła, które zmiażdżyłoby go niezawodnie, gdyby napadł na nas z przodu. I w dodatku zdołał doścignąć „Kondora”, który robił nie mniej niż trzysta kilometrów na godzinę. To doprawdy zdumiewające!

Jerzy nabrał, mimo poniesionej porażki, tak wielkiego szacunku dla nieżywego przeciwnika, że postanowił wypchać go i zachować na pamiątkę doznanej przygody. Edwin chętnie odstąpił mu swoją zdobycz.

Odtąd lotnicy postanowili mieć przy sobie rewolwery, na wypadek gdyby podobna napaść miała się powtórzyć. Tymczasem jednak pokutowali za swoją nieoględność, tym karygodniejszą, że niejeden lotnik doznał podobnej przygody w sąsiedztwie gór.

Inżynier w zastępstwie Jerzego szczęśliwie doprowadził „Kondora” do Kalkuty. Niebawem samolot unosić się począł nad błotnistą niziną Gangesu i o dziewiątej przed południem wylądował na lotnisku, które wyraźnie widziano z daleka.

W Kalkucie musiano się zatrzymać na parę dni, aby ranni mogli się wyleczyć. Pojawienie się „Kondora” wywołało wielki hałas. Inżynier i Edwin, obawiając się, że czyn ich zostanie pokryty milczeniem, złożyli naukowe, krótko zredagowane sprawozdanie z pobytu na najwyższym szczycie rektorowi uniwersytetu, ale spotkali się z chłodnym sceptycyzmem.

Wprawdzie nie powiedziano im wprost, że są oszustami albo co najmniej blagierami, lecz inżynier czuł przez skórę, że pan rektor, urażony może w swych patriotycznych ambicjach, nie entuzjazmował się bynajmniej. Schował dokument do szuflady swego biurka, oświadczając, że zrobi z niego użytek na najbliższym posiedzeniu senatu uniwersyteckiego.

Daremnie inżynier i Edwin zapewniali go, że nie tylko byli na szczycie Himalajów, ale zatknęli tam flagę Stanów Zjednoczonych. Nic nie mogło przełamać niedowierzania.

²⁹⁰ lazaret (daw.) — szpital. [przypis edytorski]

— Idźcie i przekonajcie się! — zawołał w końcu Edwin, rozgniewany. — Mam nadzieję, że sztandar gwiazdzisty będzie jeszcze długo powiewał na szczycie świata, zanim go tam znajdzie jaki Anglik.

Z tymi dumnymi słowami nasi lotnicy opuścili uniwersytet.

— Nie wierzą nam — mówił tryumfalnie Edwin. — Za wiele dokonaliśmy i odkrycie bieguna poszło im nie w smak. Zazdroszczą. Tym lepiej. Nie damy się pogrzebać w opinii świata. W każdym razie opuszczamy co najrychlej Kalkutę.

— Jaka szkoda — zawołała Edyta, kiedy Hinton powtórzył jej te słowa. — Ja tak pragnęłam obejrzeć cuda Indii, o których tyle słyszałam!

— W Kalkucie jest coś niecoś do zobaczenia, ale nie są to arcydzieła angielskiego pochodzenia. Prawdę mówiąc, synowie mglistego Albionu²⁹¹ niewiele pozostawią po sobie w tej pełnej tradycji i wspaniałych zabytków krainie. Najciekawsza jest bez wątpienia świątynia dżainów²⁹², którzy wydali spośród siebie najślawniejszych architektów. Jest to ich arcydzieło! Mogę pani towarzyszyć w tej wycieczce.

— Bardzo proszę!

Edwin wziął auto i zawiózł swą towarzyszkę oraz inżyniera do świątyni, zbudowanej nad brzegiem obszernego stawu czy jeziora, wpośród ogrodu Badri Das²⁹³. Gmach główny jest cały z białego marmuru; niezmiernie bogate dekoracje zewnętrzne i wewnętrzne każą go podziwiać nawet tym, którzy wiele oglądali na świecie. Minarety, kopuły, strzeliste kolumny, obszerne sale, okryte rzeźbami, wzbudziły szczerzy zachwyt naszych lotników.

Drugą osobliwością Kalkuty jest sławny Wielki Banian — figowiec, który wypuszczając co roku dodatkowe korzenie, tworzy olbrzymią altanę zieloności. Liczne słupy podpierają rozłożyste konary, delikatne zaś i młode korzenie, otoczone bambusowymi rurami, rozwijają się bez przeszkody. W stanie dzikim roślina ta nie przerasta dużego kasztana, ale w ogrodzie botanicznym Kalkuty, dzięki opiece, pokrywa ona dziś z górą dziesięć tysięcy metrów kwadratowych i jest nadzieją, że za lat kilkadziesiąt rozrośnie się jeszcze bardziej. Dziś drzewo ma około tysiąca pięciuset korzeni przybyszowych²⁹⁴. Główny pień jest jeden i osiągnął wielkiej grubości. Nie przyczynia się on już do wzrostu rośliny, która żyje dzięki owym korzeniom wyrastającym z konaru i zapuszczającym się w ziemię.

Kiedy nasza trójka wróciła wieczorem do hotelu, zastała tam, jak się tego spodziewał Hinton, kilkunastu reporterów, dobijających się o zaszczyt oglądania człowieka-ptaka. Ale Jerzy nie pokazał się nikomu. Edwin opowiedział dziennikarzom o zdobyciu Mount Everestu i bieguna północnego. Widocznie jednak powiał nieprzychylny wiatr, bo nazajutrz dzienniki, zamiast pełnych entuzjazmu artykułów, zamieściły krótkie zaledwie wzmianki, a niektóre podrzędniejsze gazetki wyraźnie zarzuciły naszym lotnikom, że wprawdzie pomyślnie przebyli na swoim samolocie połowę obwodu kuli ziemskiej, ale nie dokonali prawdopodobnie niezwykle czynów, które sobie przypisują.

Notatki te, z których przebijała zazdrość Anglików, dystansowanych przez swych krewniaków z tamtej strony Atlantyku, tak dalece zirykowały Airmana, że nie bacząc na skaleczenia, które się nie zabiżyły, postanowił bezzwłocznie puścić się w dalszą podróż.

Tego samego dnia „Kondor”, prowadzony przez inżyniera, wzniósł się z lotniska i popłynął w poprzek Indii do Karaczi²⁹⁵, portu położonego u ujścia Indusu²⁹⁶.

Pozostawiono podczas tego etapu, który według obliczeń wynosił dwa tysiące pięćset kilometrów w linii powietrznej, trzymać się brzegów Gangesu.

²⁹¹ *Albion* — starożytna, dziś już tylko literacka, nazwa Anglii. [przypis edytorski]

²⁹² *dżainizm* — też: dżinizm, dżajnizm. Nurt filozoficzny i religijny, powstały w Indiach ok. VIII w. p.n.e. nieafirmujący, ale też nienegujący istnienia boga. Wg religioznawców dżainizm jest nieco starszy od buddyzmu. [przypis edytorski]

²⁹³ *Badri Das* — najprawdopodobniej chodzi o ogród w kompleksie świątynnym Parshwanath w Kalkucie, którego budowę ufundował Rai Bahadur Badridas Mookim, indyjski jubiler i filantrop. [przypis edytorski]

²⁹⁴ *korzeń przybyszowy* — korzeń wyrastający z łodyg lub liści, może być niezwiązany z korzeniem głównym. [przypis edytorski]

²⁹⁵ *Karaczi* — dziś największe miasto Pakistanu (ponad 14 mln. mieszkańców), do 1966 r. stolica państwa. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *Indus* — rzeka o długości ponad 3000 km, przepływająca przez Chiny, Indie i Pakistan. Wpada do Morza Arabskiego. [przypis edytorski]

XXV. PRZYGODY INDYJSKIE

Społeczeństwo, Religia

— No — mówił Edwin, kiedy „Kondor” zaczął szybować nad spokojnymi wodami świętej rzeki — podróżujemy teraz ponad zaludnionym gęsto krajem, który śmiało może sobie rościć pretensje do nazwy „kolebki cywilizacji”. Mnóstwo tu na każdym kroku zabytków dawnej przeszłości, ruin, nagrobków, nie wiadomo kiedy i komu postawionych, świątyń pełnych oryginalności. Dziwny to naród ci Hindusi²⁹⁷! Pomimo zetknięcia z cywilizacją zachodnią zachowali dotąd wiarę przodków; wierzą w wędrowkę dążących do ciągłego doskonalenia się dusz; nie dbają o zdobycze Zachodu, którym pogardzają dlatego, że goni jedynie za dobrami materialnymi, zaniedbując rozwój duchowy, i są przekonani, że prędzej czy później ich filozoficzna religia zapanuje nad światem. Pragnieniem ich jest przejść przez wszystkie szczeble rozwoju, ażeby koniec końców, po wielu wcieleniach na ziemi, połączyć swoją duszę z Bóstwem Najwyższym, to jest wrócić na łono wielkiego Brahmy, podobnie jak kropla dżdżu²⁹⁸ wraca do oceanu, z którego wzięła początek. Religia to wzniosła, pełna wyrozumiałości, przepelniona pragnieniem doskonalenia się, dlatego szanują Hindusów. Ludzie dzielą się tutaj na kasty, z których najniższa to pogardzani przez wszystkich pariasi, najwyższa zaś to kapłani, czyli bramini.

Edyta patrzyła na kraj, który rozciągał się w dali niby odległa panorama. Prosiła brata, żeby trzymał się jak najniżej.

— Chcę widzieć Indie! — mówiła. — Możemy wprawdzie przelecieć ponad nimi w kilkanaście godzin, ale cóż nam z tego pośpiechu przyjdzie, jeżeli nic ciekawego nie zobaczymy?

Airman, czyniąc zadość prośbom siostry, zniżył lot do tysiąca metrów i posuwał się z szybkością umiarkowaną.

W parę godzin potem „Kondor”, płynąc wzdłuż jasnej wstęgi świętej rzeki, znalazł się ponad Benaresem²⁹⁹.

— Oto święte miasto Hindusów! — zawołał Edwin, który śledził uważnie mapę.

— Dlaczego święte? — zagadnęła panna.

— Bo czciciele Brahmy wierzą, że kto zwlecze swoją doczesną powłokę w Benares, ten będzie zwolniony od dalszych wcieleń, od nowych narodzin i śmierci, czyli od razu osiągnie stan nirwany. O, niech pani spojrzy przez szkła. Z daleka rysują się już wieże świątyń tego miasta.

— Co ja widzę! — zawołała Edyta. — Jakiś olbrzymi tłum, zgromadzony nad Gangesem, wchodzi do wody. Rzeka jest pokryta mrowiem głów!

— To pątnicy, którzy setkami tysięcy przybywają tutaj, żeby się wykąpać w świętych wodach oczyszczających z grzechów. Pełno między nimi chorych, wierzących, że święta rzeka przywróci im zdrowie, lub pragnących tutaj umrzeć.

— Jakie to ciekawe! Nad wodą, tam dalej, palą się ogniska, z których dym wzbija się w górę. To są zapewne koczowiska pielgrzymów.

— Nie, tam palą na stosie ciała nieboszczyków zmarłych w Benares, a potem popiół wrzucają do Gangesu. Tutaj kończy się, według ich pojęć, ziemska wędrowka dusz ludzkich.

Jerzy zniżył jeszcze bardziej lot, wywołując oznaki paniki wśród tłumów stojących w rzece. Widać było wyraźnie dziesiątki tysięcy głów podniesionych w górę dla ujrzenia olbrzymiego ptaka, który pojawił się nad świętym miastem.

Nagle stało się coś niespodziewanego. „Kondor”, czy dlatego, że zbyt zwolnił biegu i utracił oparcie w powietrzu, czy dla innej przyczyny, zaczął szybko opadać i zanim Jerzy zdolał poddać benzyny do motoru, pływaki dotknęły powierzchni rzeki. Rozległy się okrzyki tłumów, które uciekały od potwora warczącego groźnie swoim śmigłem.

²⁹⁷ *Hindusi* — obywatele Indii (choć właściwsza nazwa to *Indusi*), nazwa często i nieprawidłowo używana w celu określenia ogółu wiernych hinduizmu (poprawna pisownia — „hindusi” — małą literą). [przypis edytorski]

²⁹⁸ *dżdża* (daw.) — drobny deszcz. Historycznie wyraz określający opad atmosferyczny miał postać „deždź”, po ubezdźwięcznieniu został dzisiejszy „deszcz”. Forma dopełniaczowa „dżdżu” została po historycznej formie „deždžu”. Zgodnie z dzisiejszymi regułami słowotwórstwa dopełniacz od „dżdża” to „dżdży”. Por. „dżdżownica”. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *Benares* — historyczna nazwa miasta we wschodnich Indiach. Dziś: Waranasi. [przypis edytorski]

Nieszczęście chciało, że pływaki natrafiły na kilkunastu pielgrzymów, którzy znajdowali się nieco dalej od brzegu, potrafiły kilku z nich i pogrążyły w wodzie, jednego zaś śmigło zraniło, bo zaczął jęczeć i z ramienia trysnęła mu krew.

Edyta krzyknęła z przerażenia.

— To moja wina! Uciekajmy stąd czym prędzej, Jerzy! — zawołała. — Inaczej pielgrzymi rzucą się na nas i zamordują przez zemstę, że sprofanowaliśmy święte wody!

Kilkunastu Hindusów płynęło szybkimi rzutami ku samolotowi. Zanim Jerzy zdołał wprowadzić w ruch zatrzymany motor, nagie postacie pochwyciły już za pływaki.

Ale Jerzy, widząc grożące mu niebezpieczeństwo, nie stracił zimnej krwi. Motor zaczął warczeć na nowo i samolot z rosnącą szybkością posuwał się po powierzchni rzeki, siejąc przerażenie między tymi, którzy znaleźli się na jego drodze. Nagie postacie, nie mogąc się dłużej utrzymać, zniknęły, oderwane silnym prądem, i „Kondor”, oswobodzony od ciężaru, wzniósł się powoli w górę.

— Co za szczęście! — zawołała Edyta, oddychając z ulgą. — Ciekawość moja omal nie została surowo ukarana.

— Nasz „Kondor” nie jest stworzony do powolnego lotu! — zawołał inżynier. — Musi szybować z zawrotną szybkością, inaczej traci oparcie w powietrzu. Niech się pani uspokoi — dodał, zwracając się do Edyty. — Pielgrzymowi nie stało się nic tak złego i mam nadzieję, że mu śmigło nawet ramienia nie zgruchotało.

Niebawem piękne Benares, ze swymi gmachami marmurowymi, pagodami i morzem niskich domków, zniknęło we mgle oddalenia. Samolot szybował dalej wzdłuż świętej rzeki, mijając licznie nad nią leżące osiedla ludzkie.

Jerzy postanowił wznieść się wyżej i płynąć z dużą szybkością, ale zaledwie dosięgnął pułapu trzech tysięcy metrów, kiedy z dala odezwał się ponury pomruk grzmotu.

— Burza nadciąga! — rzekł inżynier, badając niebo. — Chmury stoją akurat na naszej drodze. Będziemy mieli do czynienia z nawałnicą podzwrotnikową.

— Tego jeszcze brakuje! — mruknął niezadowolony Edwin.

Ale Jerzy nie zwracał uwagi na zwał czarnych obłoków, zalegający od zachodu widnokrąg, i parł naprzód.

Niebawem słońce skryło się i ponury nastrój ogarnął przyrodę.

Błyskawice rozświetlały jaskrawym, czerwono-fioletowym światłem przestrzeń, duże krople deszczu zaczęły siec twarze lotników, Airman jeszcze przez kwadrans nie dawał za wygraną, ale ulewa rozpętała się tak, że ziemia i niebo zniknęły w potokach wody.

— Wzbić się ponad chmury czy lądować? — pytał Nills zaniepokojony gwałtownością burzy.

— Obawiam się, żeby jaki piorun nie uderzył w „Kondora” i nie zapalił zbiorników benzyny! — odparł z wahaniem Jerzy. — Wobec tego sądzę, że rozsądniej będzie wylądować.

Niełatwo jednak było wykonać ten zamiar. Nawet z wysokości kilkuset metrów nie widać było rzeki, a tylko na niej można było w tych warunkach bezpiecznie lądować.

Przy świetle błyskawic, które niemal bez przerwy następowały jedna po drugiej, udało się jednak wypatrzyć dogodny punkt. Było to pole, z którego sprzątnięto zbiory, i po chwili „Kondor” spoczął lekko na pszenicznym ściernisku.

— No, tutaj stosunkowo bezpiecznie przeczekamy nawałnicę! — rzekł kapitan statku napowietrznego. — Schronimy się wszyscy do kabiny; na szczęście wiatr nie jest silny i „Kondorowi” nie grozi żadne poważne niebezpieczeństwo.

Uśłuchano wezwania i nasza piątka, stłoczona w ciasnej kabinie, poprzez okienka przyglądała się rozpasanym żywiołom.

Niebawem niebo zaczęło się wypogadzać. Już Airman chciał opuścićabinę, gdy ujrzał kilku jeźdźców zbliżających się na pięknych koniach do samolotu.

— Jakaś niepożądana wizyta! — zawołał inżynier.

Był to orszak myśliwski, składający się z kilkunastu osób.

Na czele jechał na ślicznym, karym rumaku młody, przystojny Hindus, odziany w jedwabne, haftowane złotem suknie; na ręce, okrytej rękawicą skórzaną, trzymał sokoła. Pierwszy dotarł do „Kondora” i przypatrywał mu się z wielkim zainteresowaniem. Jerzy wyskoczył z kabiny i stanął z nieznajomym oko w oko.

Przybysz uprzejmie uchylił czapki z kitą ozdobioną diamentami i odezwał się czystą angielszczyzną:

— Witam w moim państwie odważnych żeglarzy powietrznych.

— To jakiś książę! — szepnęła Edyta, zaciekawiona.

— Radża³⁰⁰ — powiedział inżynier.

Przybysze otoczyli w koło „Kondora”. Wszyscy oczekali wodą, snadź ulewa pochwyliła ich na łowach.

Ujrawszy Edytę, książę z kurtuazją złożył jej ukłon.

— Jeżeli pani nie odmówi, proszę bardzo przyjąć gościnę w moim domu, który znajduje się o kilometr zaledwie stąd — rzekł. — Panowie — dodał, zwracając się do jej towarzyszy — mam nadzieję, że nie odmówicie mi tego zaszczytu. Interesuję się bardzo sprawami żeglugi powietrznej i niedawno nabyłem w Paryżu samolot, który jednak ma pewne usterki. Byłbym bardzo wdzięczny za fachową poradę.

Jerzy spojrzał pytająco po towarzyszach.

— Chętnie przyjmiemy zaproszenie, mości książę — odparła pośpiesznie Edyta, która pałała ciekawością poznania Hindusów i na której powierzchowność oraz uprzejmość rady zrobiły miłe wrażenie.

Książę skłonił się.

Najstarszy z jeźdźców wysunął się naprzód i również złożył ukłony cudzoziemcom.

— Proszę, racie poczekać chwilkę — rzekł. — Zaraz przyślemy ludzi, którzy zawiodą miłych księciu memu gości do jego pałacu — rzekł.

Po tych słowach cała kawalkada zniknęła równie nagle, jak się ukazała.

— Co za szczęście! — zawołała Edyta, klaszcząc w dłonie jak dziecko. — Zobaczę dwór księcia hinduskiego.

Nie upłynęło i pół godziny, gdy rozległ się odgłos ciężkich kroków i z zarośli pobliskich wynurzyła się naprzód trąba i głowa, potem całe olbrzymie cielsko słonia, dźwigającego na karku kornaka³⁰¹, na grzbiecie zaś lektykę.

Słoń, poprzedzany przez marszałka dworu, zbliżywszy się do samolotu z objawami przestachu, ukląkł na przednie kolana, a potem położył się.

— Proszę zająć miejsca! — rzekł marszałek, uprzejmie pomagając Edycie.

Po chwili nasza czwórka znajdowała się w palankinie³⁰². Słoń podniósł się ostrożnie i truchtem, równie szybkim jak klus rosłego konia, pobiegł na powrót drogą leśną.

Edyta, która po raz pierwszy w życiu zażywała takiego środka lokomocji, była w siódmym niebie; dotykała ręką jedwabnych firanek palankinu i śmiała się, ściskając na znak radości siedzącego obok brata.

Ku wielkiemu jej zmartwieniu przejażdżka na grzbiecie słonia trwała bardzo krótko. Ukazał się położony wśród obszernych ogrodów pałac; ciżba³⁰³ sług wybiegła naprzeciw przybyszów. Wprowadzono ich do wspaniałego przedsionka i posadzono na wygodnych, dywanami wschodnimi krytych sofach.

— Fatalnie wyglądamy na tle tego przepychu! — mruknął Edwin, spoglądając na swe sportowe, nieco podniszczone ubranie.

— Nie dali nam nawet czasu, żeby się przebrać. Mój Boże, i ja mam się tak pokazać księciu! — westchnęła Edyta, badając w lustrze swój angielski kostium.

Po godzinnym czekaniu, które pannie Edycie wydawało się nieskończonością, wprowadzono gości do pięknej, przybranej kosztownymi makatami i brązami sali, gdzie na złożonym fotelu siedział radża. Ujrawszy naszą czwórkę (zbytecznie bowiem chyba wspominać, że Nills pozostał przy „Kondorze”), skłonił się przychylnie Edycie, po czym marszałek przedstawił gości władcy.

Było w tym przyjęciu nieco etykiety dworskiej³⁰⁴, ale poza tym europejska układność i formy bez zarzutu.

³⁰⁰radża — historyczny odpowiednik księcia; władca państwa w Azji południowo-wschodniej. [przypis edytorski]

³⁰¹kornak — opiekun słonia, jeździec. [przypis edytorski]

³⁰²palankin — rodzaj lektyki, kabina pasażerska, noszona najczęściej przez dwóch lub czterech tragarzy. Tu: lektyka zmocowana do grzbietu słonia za pomocą uprzęży. [przypis edytorski]

³⁰³ciżba — duża grupa osób, tłok. [przypis edytorski]

³⁰⁴etykieta dworska — ściśle przestrzegane instrukcje zachowania, obowiązujące w danej grupie i/lub okolicznościach. Tu: wzorce dla dworzan. [przypis edytorski]

Książę informował się o celu podróży lotników, a kiedy dowiedział się, że odbywają podróż naokoło świata i że wracają prosto z wierzchołka Everestu, wpadł w nietajony zachwyt i gorąco uściśnął dłonie odważnych podróżników.

Rozpoczęła się niezmiernie zajmująca i gładka pogawędka, gdyż książę, który skończył uniwersytet w Oksfordzie, mówił doskonale po angielsku. Dowiedziawszy się o zamiłowaniu Edwina do łowów, oświadczył z uśmiechem, że nazajutrz urządzi wielkie polowanie ze słoniami na tygrysy, jeżeli tylko lotnicy ofiarują mu parę dni swego drogiego czasu.

Jerzy śpieszył się, ale widząc zapał Hintona i nakazujący uśmiech siostry, zdecydował się zrobić przerwę w podróży.

— Macie rywali, moi panowie — rzekł na pożegnanie książę. — Właśnie dowiedziałem się, że Anglicy, zazdrośni o pierwszeństwo w podróży dokoła świata samolotem, urządzili wielką wyprawę na kilku maszynach. Wyruszyli oni z Londynu we wschodnim kierunku przed paru dniami. Zapewne spotkacie się w drodze ze swoimi współzawodnikami. Mam jednak nadzieję, że nie pozwolicie wydrzeć sobie z rąk palmy zwycięstwa!

Książę pożegnał gości; audiencja była skończona.

Odprowadzono ich do przeznaczonych dla nich apartamentów.

Edyta otrzymała, w skrzydle pałacu zamieszkanym przez kobiety, dwa zbytkownie umeblowane pokoje z widokiem na ogród. Trzej lotnicy zamieszkali po przeciwnej stronie, gdzie mieli sposobność podziwiać gościnność i bogactwa indyjskiego księcia, tak niespodziewanie poznanego. Edwin niecierpliwie czekał następnego dnia i zaraz po kolacji położył się spać, przygotowawszy wprzód swoją winchesterkę.

Nazajutrz wczesnym rankiem zbudzono naszych podróżnych.

Inżynier postanowił wziąć udział w łowach, Jerzy wrócił do samolotu, żeby razem z Nillsem doprowadzić wszystko do porządku. Edyta, wbrew zwyczajom miejscowym, także wzięła udział w polowaniu, siedząc na grzbiecie słonia, wśród dam dworu wydelegowanych do jej towarzystwa. Damy mówiły także po angielsku, panna Edyta czuła się więc doskonale. Dano jej małe karabinek japoński, co ją bardzo wbiło w dumę.

Co do Edwina, ten również otrzymał potężnego słonia do swojej dyspozycji i siedział na aksamitnej ławeczce razem z inżynierem, który, choć nie był myśliwym, nie mógł oprzeć się chęci zapolowania bodaj raz w życiu na bengalskiego tygrysa.

Książę dosiadł pięknego, popielatego słonia, przybranego w złote bransolety i dźwięcącego na grzbiecie wspaniałą palankin z godłami królewskimi. Razem ruszyło na łowy sześć słoni, na których siedziało dwudziestu strzelców. Prócz tego kilkunastu naganiaczy z trąbami, petardami i innymi narzędziami do robienia hałasu mającego wpędzić króla dżungli pod strzały.

Upłynęło całe dwie godziny, zanim myśliwi, przebywszy kilka mil lasu, znaleźli się na terenie przeznaczonym na łowy.

Naganiacze zaczęli pełnić swe zadanie polegające na tym, żeby wypatrzone dwa tygrysy wypędzić z zarosli, gdzie się za dnia ukryły, i wyprowadzić je na strzelców.

Słonie stały nieruchomo, z podniesionymi w górę trąbami, oczekując na pojawienie się nieprzyjaciela; były widocznie gotowe wziąć udział w walce. Pół tysiąca naganiaczy, uzbrojonych w długie lance, postępowało naprzód, zacieśniając coraz bardziej stalowy pierścień. Niebawem trąby i petardy zahuczały z podwójną siłą, znak, że ruszono tygrysa z legowiska. Słonie zaczęły się niepokoić i niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Okazało się, że jeden z tygrysów, wietrząc snadź niebezpieczeństwo, rzucił się zuchwale na stalowy pierścień ostrzy, powalił uderzeniem łapy kilku naganiaczy, raniąc ich ciężko, potem uciekł, ścigany daremnie kulami rozstawionych między łucznikami strzelców. Drugi wyszedł na linię myśliwych. Edwin, który ze swego palankinu śledził sokolim wzrokiem krzaki, dostrzegł w nich lekki ruch, po czym mignęła między trzciniami płowa plama. Jeszcze nie zdążyła zniknąć, kiedy kilka winchesterek zagrzmiało niemal równocześnie.

Jeden Edwin powstrzymał się na razie od strzału. Tygrys musiał otrzymać ranę, ryknął bowiem rozpaczliwie, ale pomknął dalej. Niebawem ukazał się w całej wspaniałości na skraju dżungli. Przez chwilę czerwonymi ślepiami mierzył liczbę i rozstawienie przeciwników. Wahał się przez sekundę, po czym, mimo gradu padających dokoła niego kul, kilkoma potężnymi susami rzucił się naprzód, pragnąc widocznie przedostać się poprzez linię słoni.

Olbrzymie zwierzęta przygotowały się na odparcie ataku: czekały tylko sposobności, żeby pochwycić drapieżnika trąbą, rzucić go sobie pod nogi i stratować albo przebić kłami zaopatrzonymi w stalowe ostrogi. Lecz tygrys myślał tylko o ucieczce; korzystał z każdej zasłony, czołgał się na brzuchu między wysokimi trawami, znikał co chwila, dawał susy w otwartych miejscach, tak iż trudno go było wziąć na cel. Karabiny grzmiały, kule ze świstem przeciągłym padały tuż obok wspaniałego zwierza, ale snadź żadna z nich nie trafiła, gdyż tygrys znajdował się już poza linią słoni i lada moment mógł zniknąć w pobliskich zaroślach.

Kiedy zwierz już, już miał się w nich ukryć, Hinton pociągnął za cyngiel. Padł strzał — król puszczy, jak podrzucony sprężyną, podskoczył na parę metrów w górę i padł na grzbiet w konwulsjach konania.

Strzałowi zawtórowały okrzyki tryumfu ze wszystkich palankinów. W ten sposób nagradzano celnego strzelca.

Słonie zawróciły i ostrożnie zbliżały się do tygrysa leżącego bez ruchu.

Edwin zeskoczył z palankinu i z kordelasem w ręku podszedł do swej zdobyczy. Wzdając, że nie żyje, tryumfalnie postawił na niej prawą stopę i skłonił się księciu, który pierwszy nadjechał.

Rozległa się trąbka, znak, że polowanie skończone.

Zbadano trupa i przekonano się, że otrzymał on aż siedem postrzałów; wszystkie jednak były stosunkowo lekkie; dopiero kula Edwina, trafiwszy zwierza w kark, pod samą podstawę czaszki, położyła kres jego twardemu życiu. Edyta powiewała chusteczką ku zręcznemu strzelcowi, serce jej rozpierała duma.

Edwin zwycięzcą!

Książę uścisnął dłoń Hintona, winszując mu celnego strzału; po czym myśliwi, z naganieczami unoszącymi rannych towarzyszy, wrócili do pałacu, gdzie na gości czekała już wspaniała uczta.

Następnego dnia książę pokazał Jerzemu nabyty niedawno samolot z prośbą o wypróbowanie go. Okazało się, że był on wadliwie zmontowany. Skoro jednak dostał się w ręce Nillsa, pozbył się wszystkich usterek. Książę odbył na nim próbny lot półgodzinny i wrócił bardzo zadowolony. Oświadczył chęć obejrzenia „Kondora”, którego twórca, żywiąc jakieś niczym niewytłumaczone zaufanie do szlachetnego Hindusa, zgodził się natychmiast. Można sobie wyobrazić zdziwienie księcia, kiedy mu wyjaśniono szczegóły budowy cudu mechaniki współczesnej, wyprzedzającego o lat kilkanaście technikę awiacyjną. Władca słuchał z prawdziwym zachwytem opowiadań Edwina o wycieczce do bieguna północnego oraz na szczyt Everestu i serdecznie winszował naszym lotnikom wspaniałych rezultatów.

Prosił, żeby mu pozwolono odbyć lot na „Kondorze”.

Jerzy wzbił się z księciem i Nillsem na wysokość siedmiu tysięcy metrów, zapuszczając się o kilkaset kilometrów na północ, aż pod same podnóża Himalajów.

Książę, wróciwszy z tej podróży, uczynił Jerzemu propozycję zgola nieoczekiwaną.

— Stworzył pan prawdziwe arcydzieło techniki — rzekł, ściskając mu dłoń gorąco. — Jak panu mówiłem, interesuję się żeglugą powietrzną i jeszcze w czasie pobytu w Anglii pilotowałem na niejednym samolocie. Pański jednak przewyższa o całe niebo to wszystko, co istnieje dzisiaj. Wiem, że pragnie pan osiągnąć pewne korzyści z dokonanych przez siebie ulepszeń. Po co pan jednak ma szukać przedsiębiorców, którzy, być może, wyeksploatują pana niemiłosiernie? Proszę, odstęp mi pan swego „Kondora” za milion rupii. Sądzę, że jest to cena, jakiej nie osiągnie pan w Europie.

Jerzy, zaskoczony, nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Milion rupii było sumą o wiele przewyższającą cenę „Kondora” nawet jako modelu. Przez chwilę wahał się.

— Nie mogę rozstać się z „Kondorem” — odparł wreszcie grzecznie, ale stanowczo. — Pragnę bowiem skończyć podróż naokoło świata, którą już w połowie odbyliśmy. Zresztą istotnym właścicielem samolotu jest pan Hinton, który wyłożył na jego budowę znaczne sumy. Jeżeli więc on się zgodzi...

Łatwo się jednak domyślić, że Edwin ani słuchać nie chciał o sprzedaży „Kondora”. Obiecano bogaczowi indyjskiemu zbudować drugi taki sam egzemplarz „Kondora” po powrocie do Ameryki. Nills podjął się dostawić go drogą powietrzną albo okrętem do Indii.

Książę był szczerze zmartwiony odmową, ale akceptował projekt Edwina.

Jerzy chciał nazajutrz udać się w dalszą drogę, lecz książę zatrzymał swoich gości jeszcze na jedną dobę, która była szeregiem uroczystości na cześć naszych lotników. Urzędowo niezmiernie emocjonującą walkę człowieka, uzbrojonego w tarczę i sztylet, z olbrzymim, niedawno schwytanym tygrysem bengalskim. Edyta z drżeniem serca przyglądała się śmiertelnym zapasom na wpół nagiego Hindusa z królem puszczy, który po kilku atakach, odpartych przez niezmiernie zręcznego przeciwnika, legł w końcu z rozprutym brzuchem na arenie książęcego cyrku. Drugim, równie emocjonującym widowiskiem, była walka słonia, specjalnie tresowanego do tego rodzaju igrzysk, z drugim, niemniejszym tygrysem.

Król dżungli rzucił się na przeciwnika, usiłując pochwycić go za trąbę, lecz, rzucony na ziemię, legł przebity olbrzymimi kłami.

Nasi lotnicy chętnie pozostaliby dłużej w pałacu księcia, który był równie jak Edwin namiętnym myśliwym, poszukującym niebezpieczeństw, gdyby nie to, że Airman naglił do odjazdu. Wiadomość o wyprawie angielskiej nie dawała mu spokoju. Kazał sobie podać najświeższe dzienniki i przekonał się z nich, że książę nie mylił się. Eskadra, złożona z czterech samolotów, znajdowała się w drodze i przed paru dniami wylądowała w Konstantynopolu³⁰⁵, kierując się przez Persję do Indii. Jerzy postanowił spotkać się z nią w Karaczi, dokąd powinna była przybyć w ciągu paru dni.

Pożegnano więc gościnnego księcia i na trzeci dzień po przymusowym wylądowaniu podczas burzy „Kondor” znów znalazł się w przestworzach powietrznych, dla których był stworzony.

XXVI.

PRZEPRAWA PRZEZ ATLANTYK

W dziewięć godzin po opuszczeniu siedziby gościnnego księcia „Kondor”, robiąc po czterysta kilometrów na godzinę, znajdował się na wybrzeżach Oceanu Indyjskiego, na wysokości portu Karaczi, dokąd, jak się spodziewano, powinna była dotrzeć wyprawa angielska.

Należało tutaj odnowić zapas benzyny i dlatego lądowanie było konieczne.

— Co prawda niezupełnie bezpieczna to sprawa zetknięcie się z naszymi rywalami — mówił Jerzy, wypatrując białego koła otaczającego stację benzynową — ale cóż robić, zbiorniki puste! Trzeba strawy dla motoru!

Okazało się, że stacja była doskonale umieszczona, o parę kilometrów od miasta, w pewnej plantacji, której właściciel przyjął podróżników z otwartymi rękami. Od niego dowiedział się Edwin, że angielscy lotnicy jeszcze nie przylecieli z Teheranu³⁰⁶ do Karaczi.

Jerzy był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Pozostawiono zatem „Kondora” na plantacji i udano się do miasta, żeby udokumentować tam zjawienie się samolotu.

Duma narodowa kazała Airmanowi złożyć w redakcji najbardziej poczytnego dziennika w tym mieście następujący list:

Do kierownika angielskiej wyprawy samolotami dookoła świata. Dowódca „Kondora” wita kolegów lotników, którzy przedsięwzięli trudne zadanie okrążenia globu ziemskiego skrzydłach, życząc im powodzenia. Droga przebyta dotąd przez nas jest następująca: Chicago, Alaska, Cieśnina Beringa, biegun północny, Kamczatka, Port Artur, Szanghaj, Tybet, Lhasa, Mount Everest (osiągnięcie samego szczytu), Kalkuta, Karaczi. Dalsza droga prowadzi na Teheran, Konstantynopol, Paryż, do Nowego Jorku. Podpisano: Airman, kierownik wyprawy. Burnett, główny inżynier. Nills, mechanik. Edwin Hinton. Edyta Airman.

³⁰⁵ *Konstantynopol* — (przed 330 r. n.e.: Bizancjum, dziś: Stambuł), miasto w granicach dzisiejszej Turcji (stolica państwa) zlokalizowane po obu stronach cieśniny Bosfor, część zachodnia miasta geograficznie zalicza się do Europy, część wschodnia — do Azji. Historycznie: stolica Cesarstwa Rzymskiego, następnie — Cesarstwa Bizantyńskiego, później — Imperium Osmańskiego. [przypis edytorski]

³⁰⁶ *Teheran* — wielkie miasto (16 mln. mieszkańców) w zachodniej części Bliskiego Wschodu, stolica Iranu. [przypis edytorski]

— Krótko, węzłowato, a wymownie! — zawołał Edwin, przeczytawszy list. — Niech się wściekają ze złości! Nie mogą nam teraz nic zrobić! Niech żyją Stany!

W wybuchu patriotycznych uczuć Edwin podrzucił czapkę w górę z głośnym „hura!”

Airman prosił redaktora, ażeby ten zamieścił powyższy list otwarty w swoim dzienniku, skoro tylko zjawi się w Karaczi wyprawa angielska, i powrócił z Edwinem na stację, gdzie „Kondor” znajdował się już zupełnie gotowy do dalszej podróży.

— Trzeba zapędzić naszych rywali w kozi rówek! — wołał Edwin. — Jeszcze nie dotrą do Kantonu, kiedy my znajdziemy się w Nowym Jorku! A to zrobimy im kawał! Za późno się nieboraki spostrzegli!

— Dążymy odtąd z całą możliwą szybkością do Chicago! — rzekł Airman, zajmując swoje miejsce w kabinie. — Trzeba jak najmniej pokazywać się ludziom! Pamiętacie tego podbiegunowego podróżnika, który miał wielką ochotę wyprawić nas na tamten świat?! Lepiej jest, jak się pokazało, nie włączyć w drogę współzawodnikom, zwłaszcza kiedy idzie o wielkie czyny!

Postanowienie to uważano za bardzo rozsądne.

Wyruszywszy z Karaczi, Airman wznosił się od razu na wysokość pięciu tysięcy metrów i wśród chmur, kierując się jedynie busolą³⁰⁷ i słońcem, pomknął z szybkością czterystu kilometrów na godzinę w północno-zachodnim kierunku. Niebawem przebył skrawek Beludżystanu³⁰⁸ i poszybował nad państwem szachów³⁰⁹, przemknąwszy się nad górami otaczającymi płaskowzgórza perskie. „Kondor”, skryty po większej części wśród obłoków i niedostrzegalny z powierzchni ziemi, o drugiej po południu znajdował się już w Teheranie. Nie zatrzymywał się jednak tutaj, gdyż duży zapas benzyny, wzięty w Karaczi, pozwalał jednym etapem przebyć Azję Mniejszą³¹⁰. Co godzina olbrzymia przestrzeń czterystu kilometrów pozostawiała poza „Kondorem”, który trafiał w oznaczone z góry miejsca z dokładnością wprowadzającą nawet Edwina w zdumienie. Dość powiedzieć, że w ciągu jednego dnia, od siódmej rano do wieczora, przebył kolosalną odległość dzielącą Karaczi od Konstantynopola, a wynoszącą w linii powietrznej cztery tysiące kilkaset kilometrów.

— Jest to największy etap spośród przebytych dotychczas! — rzekł z dumą Airman, kiedy przy zapadającej nocy wylądowano szczęśliwie w Konstantynopolu. — Nabieram coraz większego zaufania do mojego „Kondora”. Opanowałem go zupełnie i ważę się już na to, o czym nie marzyłbym nawet w początkach naszej podróży.

— Co pan ma na myśli? — zagadnął Edwin.

— Widzę teraz, że mogę jednym skokiem przebyć... nawet Atlantyk. Proszę jednak, nie mów pan o tym zuchwałym, nawet dla „Kondora”, przedsięwzięciu Edycie. Biedaczka niepotrzebnie by się denerwowała, wiedząc, jaka przeprawa nas czeka. Pan jednak powinien wiedzieć o moich planach.

W ciągu dwóch dni przeplniemy ponad lądem Europy, a potem jeden wielki, śmiały wysiłek — i znajdziemy się u celu, zanim Anglicy dotrą do Kantonu.

Edwin, oszołomiony, zaczął obliczać na mapie i przekonał się, że postanowienie Airmana nie należy do niemożliwości.

Dźwigając pełny zapas benzyny, „Kondor” może utrzymać się przez dwadzieścia godzin w powietrzu, robiąc po czterysta, a nawet po pięćset kilometrów na godzinę, jeśli Jerzy zechce wznieść się wysoko.

Biorąc jednak tylko czterysta kilometrów na godzinę jako szybkość przeciętną, wypadnie, że „Kondor” w ciągu doby zrobi z górą dziewięć tysięcy kilometrów, to znaczy, że z łatwością przy sprzyjających warunkach może przebyć jednym etapem Atlantyk, którego szerokość pomiędzy Anglią a Nowym Jorkiem wynosi pięć tysięcy czterysta kilometrów.

³⁰⁷busola — też: kompas, urządzenie służące do wyznaczania kierunku ruchu w przestrzeni względem kierunku północnego. [przypis edytorski]

³⁰⁸Beludżystan — prowincja w Pakistanie. [przypis edytorski]

³⁰⁹szach — władca (król) państwa muzułmańskiego. [przypis edytorski]

³¹⁰Azja Mniejsza — hist. Anatolia, półwysep w zachodniej Azji, oddzielający Morze Czarne od Morza Śródziemnego, cały półwysep leży w granicach dzisiejszej Turcji. [przypis edytorski]

Czy się jednak uda to zuchwałe przedsięwzięcie? Zależć to będzie przede wszystkim od sprawności motoru i od stanu powietrza na Atlantyku nawiedzanym o tej porze roku przez burze.

Kwestia przeprawy przez ocean zajmowała tak dalece umysł Edwina, że nawet nie interesowała go Europa, nad którą na wysokości sześciu tysięcy metrów szybował „Kondor”, zmierzając wytrwale w kierunku Irlandii. Na tej wielkiej przestrzeni, dzielącej Konstantynopol od kanału La Manche³¹¹, zatrzymano się raz jeden tylko, ażeby przenocować na wygodnych łóżkach i nabrać sił do wielkiej przeprawy morskiej.

Punktem tym był Paryż — stolica świata.

Jerzy wziął tutaj zapas doskonałej benzyny amerykańskiej, udokumentował przybycie wyprawy na lotnisku, dowiedział się z zadowoleniem, że wyprawa angielska dotarła dopiero do Kantonu, i udzielił kilku dziennikarzom informacji o swoich najbliższych planach przebycia jednym etapem Atlantyku. Wzbudził tym niesłychaną sensację, nie czekając więc na jej ujemne skutki, następnego dnia o świcie wyruszył do Anglii.

Nie zatrzymując się jednak tutaj ani na chwilę, wziął kierunek północno-zachodni, przebył kanał podczas pięknej pogody i niebawem znalazł się na zachodnim wybrzeżu Irlandii, nad samym Atlantykiem, z którym miał się nazajutrz wziąć za bary³¹².

Należało przebyć olbrzymią wodną przestrzeń, nie odnawiając zapasu benzyny, przy tym trzymać się szlaku uczęszczanego przez okręty, żeby w razie jakiego przypadku móc liczyć na pomoc; dalej — wybrać dzień pogodny i opatrzyć starannie motor, żeby nie zawiódł.

— Stąd wyruszamy nad ocean — rzekł Jerzy, zatrzymawszy się na dość obszernej plaży, w pobliżu niewielkiego domku rybackiego.

Obaj z Edwinem długo badali coś na mapie, po czym zniknęli na parę godzin. Kiedy wrócili w towarzystwie jakiegoś nieznajomego, Hinton miał minę bardzo wesołą.

— Doskonale warunki! Dowiedzieliśmy się z wiarygodnego źródła, że w tej chwili na tym obszarze Atlantyku Północnego panuje piękna pogoda przy umiarkowanych lokalnych wiatrach. Tak przynajmniej donosi telegraf iskrowy z tamtej strony oceanu. Trzeba więc korzystać! Ponieważ jednak nie wiadomo nigdy, co człowieka może spotkać, więc uznaliśmy za stosowne zaopatrzyć się w nieduży zapas żywności. Oto ryby wędzone, kilkanaście puszek konserw, masło, dobry chleb i blaszanka wody słodkiej. Prócz tego są pasy korkowe³¹³ dla wszystkich na wszelki wypadek. Mam nadzieję, że nie będziemy z nich korzystali.

Nills nie raczył nawet spojrzeć na ten ładunek, tak był zajęty od chwili wylądowania rozbieraniem i opatrywaniem motoru, od którego sprawności zależało teraz powodzenie wyprawy. Jerzy i inżynier pomagali mu tak, iż sprawa posuwała się szybko naprzód.

Przekonano się z zadowoleniem, że pomimo tak długiej podróży „Kondor” znajdował się w stanie bardzo dobrym. Zwłaszcza motor pod opieką Nillsa nie dawał powodów do żadnych obaw. W każdym razie musiano to i owo zmienić, przede wszystkim panewki³¹⁴, które pomimo obfitego dopływu oliwy wytarły się nieco.

Była to praca żmudna, rozbierano bowiem wszystko, żeby dostrzec najmniejsze uszkodzenie i w porę je poprawić. Od sprawności motoru zależało życie zuchwałych podróżników.

Etap z Karaczi do Konstantynopola, przebyty w tak krótkim czasie, dodawał jednak odwagi Jerzemu.

— To, co nas czeka, nie jest wiele trudniejszym zadaniem — mówił, kiedy po ciężkiej pracy, umyty i przebrany, siadł do obiadu i przy szklance doskonałego piwa angielskiego ważył szanse przeprawy z towarzyszami. — „Kondor”, jak się wielokrotnie przekonaliśmy, może w ciągu kilkunastu godzin szybować z szybkością czterystu kilometrów na godzinę, ma się rozumieć w przychylnych warunkach atmosferycznych. Jeżeli przyjmujemy, że

³¹¹kanal La Manche — kanał oddzielający kontynent europejski od Wysp Brytyjskich. [przypis edytorski]

³¹²wziąć się z czymś/kimś za bary — stawić czoła, wejść w konfrontację, zmierzyć się z czymś trudnym. [przypis edytorski]

³¹³pasy korkowe — przyrząd bezpieczeństwa stosowany na łodziach i w samolotach. Pasami wykonanymi z korka obwiązywało się tułów, w razie upadku do wody, pasy utrzymywały poszkodowanych na powierzchni. Później zastąpione przez kamizelki ratunkowe. [przypis edytorski]

³¹⁴panewka — rurka w której obraca się wał silnika. [przypis edytorski]

w obranym przez nas punkcie wyjścia dzieli nas od Nowego Jorku w linii powietrznej przestrzeń mniej więcej pięć tysięcy kilometrów, to wszystko sprowadza się do pytania, czy nasz statek może utrzymać się w powietrzu przez trzydzieści godzin. Nieprawdaż, Nills?

— Jeżeli tylko nie natrafimy na burzę, na silny wiatr przeciwny i nie będzie wody w benzynie, ręczę za mój silnik — odparł pilot po krótkim wahaniu.

— A co będzie, jeżeli jakiś nieprzewidziany wypadek strąci nas na powierzchnię oceanu? — zagadnął Edwin, który w głębi serca drżał o Edytę.

— I wtedy jeszcze nie grozi nam zagłada; przecież raz już doznaliśmy tej przygody. Pamiętasz, Edwinie, tajfun na Morzu Chińskim? Jeżeli wówczas nie zostaliśmy porwani i zatopieni przez fale, to już niczego właściwie nie powinniśmy się lękać.

— Tak, tylko że wówczas znajdowaliśmy się pod osłoną lądu. Ale na otwartym Atlantyku...

— Zaręczam, że „Kondor” na pełnym morzu oprze się falom i wzleci z powierzchni morza, jeżeli nie będzie bardzo wzburzone. Wszystko zależy, koniec końców, od pogody. Proszę cię, inżynierze, zatelegrafuj do biura meteorologicznego o wskazówki. Jeżeli panuje nadal pogoda na oceanie, ruszamy jutro o świcie! A benzyna? — dodał, zwracając się do Nillsa.

— Wszystkie zbiorniki napelnione. Przefiltrowałem ją sam, żeby się upewnić, czy nie zawiera wody. Silnik gruntownie opatrzony, świece zastąpione świeżymi, tłoki i cylindry jak nowe, śmigło całe, pływaki nie mają najmniejszej dziurki. Paliwa starczy przy pełnej szybkości na dwadzieścia godzin. Zresztą, jeżelibyśmy nawet spadli, zawezwiemy pomocy przez radio, które zaopatrzyłem w świeże baterie. Według mnie mamy dziewięć szans na dziesięć, że jednym susem, jak dobry wyścigowiec, przesadzimy tę ostatnią przeszkodę dzielącą nas od Stanów. Skoro pan kapitan wprowadzi w powszechne użycie dokonane przez siebie ulepszenia, to podróże takie za lat kilka staną się zjawiskiem powszednim³¹⁵.

Po tej rzeczowej ocenie sytuacji Nills pograżył się w kłębach fajkowego dymu i zamilkł, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia.

Jerzy po obiedzie uczynił przegląd przedmiotów znajdujących się na pokładzie „Kondora” i odłożył sporo rzeczy, które bezużytecznie obciążały samolot. Zastąpił je nieco większym zapasem wody słodkiej i oliwy.

— No — mówił do towarzyszy przed udaniem się na spoczynek — zrobiłem wszystko, co leżało w mojej mocy, żeby nasza przeprawa powiodła się. Jeżeli wzniesiemy się na wysokość trzech tysięcy metrów i będziemy szybowali z szybkością przeciętną czterystu kilometrów na godzinę, to przestrzeń dzielącą nas od Nowego Jorku winniśmy przebyć w dwanaście godzin, to znaczy, że wyruszywszy o świcie, staniemy na ziemi amerykańskiej już wieczorem. Byłaby to podróż rekordowa i przez długi czas nie potrzebowalibyśmy się lękać, że nam ktoś odbierze palmę zwycięstwa!

— W jeden dzień ponad Atlantykiem! — krzyknął z zapalem Edwin. — Podczas kiedy przeprawa na najszybszym parowcu wymaga sześciu dni i nocy! Tylko żeby nie przewrócić się przy braniu tej ostatniej przeszkody!

— Za rumaka ręczę! — odrzekł Nills.

— A ja za jeźdźca! — dodał inżynier. — Wnoszę toast za powodzenie przeprawy przez ocean!

W doskonałym, pełnym dobrych myśli usposobieniu udano się wcześniej niż zwykle na spoczynek. Nawet Nills poszedł spać.

Dzień przeprawy zaczął się pięknym wschodem słońca. Najbliższa stacja meteorologiczna przysłała niebawem wiadomość, że na Atlantyku w dalszym ciągu utrzymuje się pogoda, tylko nad Nową Funlandią panuje silna mgła ze skłonnością do deszczu. Ale to nie potrafiło zniechęcić Jerzego.

— Co nam się może stać o kilkaset kilometrów zaledwie od macierzystego lądu?! — zawołał. — Przeskoczmy mgłę tak jak Mount Everest. No, drodzy przyjaciele, zjedzcie gorące śniadanie u naszego gospodarza, gdyż za pół godziny najdalej startujemy. Nills, opatrz raz jeszcze motor i przyrządy miernicze.

³¹⁵staną się zjawiskiem powszednim — regularne rejsy transatlantyckie stały się powszechne w latach 50. i 60. XX w. [przypis edytorski]

— Wszystko w największym porządku, kapitanie! — odparł mechanik.

Nad brzegiem morskim, gdzie na plaży stał olbrzymi „ptak” szykujący się do dalekiej podróży zamorskiej, zgromadziła się grupa rybaków. Pocziwi ludzie, dowiedziawszy się o karkołomnym projekcie, chcieli odwieść odeń Jerzego. Nawet dla tych ludzi, przywykłych od dzieciństwa do walki z żywiołem, przeprawa ponad Atlantykiem wydawała się wielce ryzykownym przedsięwzięciem. Ale Jerzy na wszelkie ostrzeżenia odpowiadał jedynie pobłażliwym uśmiechem. Pocziwe wilki morskie spoglądały nań z rosnącym szacunkiem i podziwem. Nigdy nie słyszeli, żeby na tak wątlm i małym statku ktoś zapuścił się aż na tamtą stronę wielkiej wody! Kiwano głowami, dyskutowano, gdy tymczasem nasza piątka zajmowała swoje miejsca. Edyta domyślała się z gestów, że kobiety i dziewczęta litowały się nad nią. Odpowiedziała wesołym wybuchem śmiechu, a kiedy zaszumiał motor i wielki ptak potoczył się po piaszczystej plaży, powiewała swoją chusteczką, posyłając ostatnie pożegnanie grupie rybaków, jedynych świadków odlotu „Kondora”.

Nills wsłuchiwał się bacznie w łoskot silnika. Widać było, że język, jakim przemówił do mechanika stalowe cylindry i tłoki był wymowny, gdyż pocziwy Nills uśmiechnął się wesoło. Zajął swoje miejsce, z którego czuwał, żeby dopływ benzyny i oliwy odbywał się normalnie.

Airman szybował coraz wyżej i wyżej: chciał jak najszybciej osiągnąć wyższych warstw atmosfery. W dwie godziny po starcie przecięto warstwę obłoków grubą na tysiąc metrów i ocean, po którym leniwie pęłzały parowce i żaglowce podobne do much na wielkiej zielonej misie, zniknął. Pod nogami mieli nasi żeglarze lekko falujące w podmuchach wiatru morze oparów, zmieniające co chwila swoje kapryśne formy.

Temperatura spadała szybko. Edwin, inżynier i Edyta, otuleni w futra, siedzieli na swych fotelach w kabinie ogrzewanej gazami i wsłuchiwali się w monotonny łoskot śmigła prującego powietrze. W miarę tego jak mijały godziny, lotnicy nasi pozbywali się zdenerwowania. Wszystko odbywało się tak gładko! Motor pracował wzorowo, jego szum działał kojąco, tak że Edyta i inżynier zdrzemnęli się, jeden tylko Edwin dawał ciągłe baczenie na przyrządy miernicze, co leżało w zakresie jego obowiązków. Na pułapie siedmiu tysięcy metrów temperatura wynosiła trzydzieści stopni poniżej zera. W tej rzadkiej i chłodnej atmosferze puszczono w ruch urządzenia wysokościowe motoru, który sprawował się równie dobrze jak poprzednio. Sądząc ze wskazań szybkościomierza, „Kondor” na tych wyżynach posuwał się w kierunku amerykańskiego lądu z prędkością pięćset kilometrów na godzinę. Siedziano jakby w olbrzymim pocisku, pędzonym w przestrzeń międzyplanetarną potężną siłą ośmiuset koni mechanicznych. Gdyby nie łoskot śmigła, stukot tłoków i szum wydzierających się z cylindrów gazów, nasi podróżni nie wiedzieliby nawet, że szybują w tak zawrotnym tempie.

Po pięciu godzinach Edwin obliczył, że „Kondor” znajduje się niemal pośrodku Oceanu Atlantyckiego w odległości dwóch tysięcy pięćset kilometrów od starej Europy.

Teraz inżynier zmienił Jerzego, który pomimo ciepłego futra i grubych rękawic zmarzł porządnie na swoim stanowisku. Tylko Nills trwał na posterunku, czuwając nad działaniem motoru, który, rozgrzawszy się, pracował z zadziwiającą sprawnością.

Teraz pocziwy mechanik był pewny wygranej i spokojnie patrzył w otchłań, na której dnie szumił niewidzialny ocean. Duma rozpierała jego piersi. Przecież częśćka tej chwały, która opromieniała twórcę „Kondora”, i na niego, skromnego mechanika, musi spłynąć. Kołysany marzeniami o sławie, wstawał co jakiś czas, poprawiając to albo tamto i zamieniając słówko z inżynierem prowadzącym samolot pewną ręką.

Ale w dwie godziny po zajęciu posterunku Burnett zaczął się niepokoić, gdyż dostrzegł warstwę ciężkich obłoków, sięgających powyżej ośmiu tysięcy metrów. „Kondor” zbliżał się do niej nieubłaganie. Właśnie Burnett chciał zbudzić Jerzego, kiedy nagle w powietrzu zakłębiły się płatki śnieżne, które wnet pokryły skrzydła samolotu. Termometr wskazywał tylko dziesięć stopni poniżej zera, wysokościomierz — siedem tysięcy pięćset metrów nad poziom morza.

— Obudź no kapitana, Nills — rzekł Burnett. — Nie mam odwagi zapuścić się w ten labirynt obłoków. Wydają mi się one podejrzone.

Jerzy wstał natychmiast i baczny okiem zmierzył przeszkodę rozciągającą się w poprzek drogi „Kondora”.

— Zbliżamy się do granicy prądu zimnego — rzekł.

— W tym miejscu ciepłe warstwy stykają się z chłodnymi, skutkiem czego powstają tu sławne mgły i burze. Mamy przed sobą chmury śniegowe, to nie ulega żadnej wątpliwości. Siegają one znacznie wyżej, ponad osiem tysięcy metrów. Pozwól, Burnett, że cię zastąpię na czas jakiś. Musimy stoczyć walkę z tym smokiem, który broni nam dostępu do celu podróży.

„Kondor” zuchwale zapuścił się w ciemną gęstwę oparów, mając nadzieję przebić ją swym potężnym śmigłem. Ale niebawem Jerzy poczuł, że jest jak Guliwer³¹⁶ oplątany tysiącem nici rozsnutych przez Liliputów³¹⁷. Skrzydła wielkiego ptaka pokrywały się coraz grubsza warstwą szronu, który niebawem załśnił jak srebrny pancerz na metalowych skrzydłach.

— Zniżmy lot! — radził inżynier. — Tam już śnieg nie pada.

Jerzy kiwnął głową i manewrując sterem, obniżał lot tak szybko, jak tylko mógł. Ale na wysokości czterech tysięcy metrów śnieżycą była jeszcze gęściejsza³¹⁸. „Kondorowi” przybyło kilkadziesiąt kilo wagi, tak iż Jerzy musiał zwiększyć szybkość, żeby utrzymać się w powietrzu.

Płatki śnieżne padały tak gęsto, że na kilkanaście metrów dookoła nic nie było widać. Leciano po omacku. Na szczęście nie potrzeba było lękać się żadnego zderzenia.

Niemniej jednak Jerzy zaniepokoił się.

— Jeszcze! — nalegał inżynier. — Musimy zejść tak nisko, żeby śnieg zamienił się na deszcz i opłukał z nas ten pokrowiec.

„Kondor” zstępował więc powoli na pułap najpierw trzech, wreszcie dwóch tysięcy metrów. Ale tutaj śnieg ustąpił miejsca istnemu potopowi. Woda lała się strumieniami z posępnego nieba. „Kondor” jęczał żałośnie, zmagając się z ulewą. Skrzydła ciążyły mu coraz bardziej. Hinton, który czuwał nad wysokościomierzem, zaniepokoił się — widział bowiem, jak wskazówka przyrządu posuwała się szybko.

— Tysiąc metrów! — zawołał ostrzegawczo.

Jerzy znów dodał gazu. Śmigło pracowało ciężko, rozbijając potoki wody.

Poczuł nagle, że nie pokona nawałnicy, tym bardziej że wichur rzucał coraz silniej samolotem.

W milczeniu zakreślił więc półkole i jak tylko mógł najprędzej, żeglował w odwrotnym kierunku, chcąc się wydostać z czeluści potwornego smoka, który groził pochłonięciem „Kondorowi”.

Już wysokościomierz wskazywał zaledwie osiemset metrów nad poziom morza i lotnicy ujrzeni w dole spienioną powierzchnię Atlantyku toczącego olbrzymie fale.

— Nie chciałbym teraz spaść na morze! — rzekł Hinton do inżyniera. — Niech pan patrzy na te pienne grzywacze! Na pewno „Kondor” nie zdołałby się na ich grzbietach długo utrzymać.

Airman równie jasno widział niebezpieczeństwo. Spróbował teraz skrócić na południe w nadziei, że uda mu się wyminąć burzę. Ale niestety, upływał kwadrans za kwadrans, a potężne kłębowisko chmur, zionących ulewą i śniegiem, nie ustępowało.

— Czy to się nigdy nie skończy? — pytał gniewnie Jerzy. — Przed samym celem zazdrosny los postawił nam najgorszą przeszkodę. Bóg wie, jak daleko trzeba lecieć, żeby nareszcie mieć przed sobą wolną drogę na zachód. Jakże tam z benzyną? — zagadnął Nillsa, który nie tracąc zimnej krwi, czuwał nad silnikiem.

— Sądzę, że na trzy godziny starczy — odparł, nie odwracając głowy.

— Musimy zatem za trzy godziny najdalej stanąć na stałym lądzie. Inaczej czeka nas przymusowe lądowanie...

— Chyba wodowanie! — poprawiła Edyta.

Edwin pokręcił głową, ale potem, nie chcąc niepokoić towarzyszek, zamknął i udając obojętność, pogrążył się w obserwowaniu przyrządów mierniczych.

— Zwalniamy — rzekł po jakimś czasie. — Robimy nie więcej niż dwieście kilometrów na godzinę. Widocznie Jerzy oszczędza paliwa; bardzo roztropnie z jego strony.

³¹⁶Guliwer — bohater powieści Jonathana Swifta pt. *Podróż Guliwera*, napisanej w 1726 r., zaliczanej do klasyki literatury angielskiej. [przypis edytorski]

³¹⁷Lilipuci — fikcyjna społeczność ludzi mierzących 15 cm wzrostu, również bohaterowie „Podróży Guliwera”. Guliwer-rozbitek trafia na wyspę Liliputów i zostaje skrzepowany przez mieszkańców linami. [przypis edytorski]

³¹⁸gęściejszy — dziś raczej: gęstszy. [przypis edytorski]

— Jak daleko znajdujemy się od Ameryki? — zagadnęła Edyta, w której głosie przebijало zaniepokojenie.

— To trudno określić. Ale myślę, że nie więcej niż pięćset do sześciuset kilometrów! Edyta odetchnęła.

— Jesteśmy więc prawie w domu! — zawołała z ulgą.

— Niby tak. Ale te pół tysiąca kilometrów nie tak łatwo przebyć jak tamte, które leżą poza nami!

— Przekłête chmury! — zawołała panna. — Zdawałoby się, że nie stanowią one istotnej przeszkody dla naszego potężnego „Kondora”. A przecież cofamy się przed nimi.

— Niestety!

Nastąpiło długie milczenie. „Kondor” z szybkością dwustu kilometrów posuwał się w odległości kilku mil morskich od nawałnicy, szukając jakiejś przerwy między chmurami. Ale zwalisko ciągnęło się setki kilometrów na południe bez przerwy. Położenie stawało się niepewne.

— Gdyby ocean nie był tak rozdąsany, opuścilibyśmy się na jego powierzchnię i przeczekali burzę — rzekł inżynier. — Ale teraz lepiej już i bezpieczniej w powietrzu, dopóki starczy benzyny dla motoru — dodał ciszej.

Burza posuwała się od zachodu ku wschodowi. Ażeby zejść jej z drogi, trzeba było cofać się coraz bardziej na pełny ocean — to znaczy oddalać się od celu. „Kondor” przyjął więc kierunek ku południowemu wschodowi. Co kwadrans Jerzy rzucał niespokojne pytanie Nillsowi:

— Ile jeszcze mamy benzyny?

Otrzymywane odpowiedzi nie były pomyślne. Już dwie godziny walczone z burzą bez nadziei zwycięstwa. Jeżeli to zmaganie się z nieustępliwą przeszkodą miałoby potrwać dłużej, zapas paliwa wyczerpie się zupełnie, a wówczas „Kondor”, chcąc nie chcąc, będzie musiał sięść, jak morski ptak, na wzburzoną powierzchnię Atlantyku, gdzie również grozi mu niebezpieczeństwo.

Odbyto krótką naradę.

— A gdyby tak znów spróbować lotu żaglowego bez motoru — rzucił Hinton, przypomniawszy sobie powrót spod bieguna.

Ale Jerzy potrząsnął głową przecząco. Samolot był zanadto obciążony. Dźwigał bowiem na sobie pięć osób. W dodatku wiatr nie był dostatecznie silny, żeby podtrzymać olbrzymie cielsko samolotu. Posuwano się więc przy najmniejszej możliwie szybkości, ustępując krok za krokiem przed zwałem chmur, napierającym na „Kondora”, jakby w zamiarze odpędzenia go daleko od zbawczego lądu.

Po dwugodzinnej walce Jerzy znów określił półkole i pożegłował ku północnemu wschodowi. Według niego zbyteczne oddalanie się od wytkniętego szlaku było ryzykowne.

— Wędrujemy tam i z powrotem przed zamkniętą bramą! — rzekł Edwin, wyjaśniając Edycie sytuację.

— Ale burza odpycha nas od lądu coraz bardziej! — zawołała Edyta, nie tając już swych obaw.

Hinton odpowiedział milczeniem. Nie umiał kłamać.

Na tej wędrówce minęły trzy długie godziny. Samolot ustępować musiał coraz bardziej przed ciemną ścianą, która groźnie zasłaniała zachodni widnokrąg. Lotnicy sposepniali. Inżynier kłął przez zęby. Wiatr miotał gwałtownie samolotem, tak iż pilot musiał mieć się na baczności, inaczej groziło mu strącenie w odmęty.

— Musimy wodować! — zawołał wreszcie. — Przygotujcie się!

Edycie zabiło gwałtownie serce, kiedy spojrzawszy w dół, ujrzała zbliżającą się szybko powierzchnię spienionego morza; przez kilka chwil „Kondor” bujał nad samymi wierzchołkami bałwanów, jakby wahając się, czy może się im powierzyć, aż nagle dotknął piersią powierzchnię.

Nills zatrzymał motor i olbrzymi ptak zakołysał się na grzbiecie wysokiej fali. Biała grzywa po chwili obrzuciła pianą samolot. Edyta słyszała plusk wody, omywający ściany jej wąskiego schroniska, i nie mogła powstrzymać łez.

— Utoniemy, utoniemy niezawodnie! — zawołała przerażona.

Ale tylko pierwsze zetknięcie się samolotu z oceanem było tak przykre. Kiedy motor stanął, „Kondor” kołysał się jak dobra szalupa. Następny bałwan nie dosięgnął już grzywą kabiny. Pływaki doskonale spełniały swoje zadanie.

Jerzy nie opuszczał jednak stanowiska, choć był przemoczony do nitki. Nills ze swej strony czuwał, gotów na pierwszy rozkaz puścić w ruch śmigło.

Samolot utrzymywał się jednak dobrze na fali. Jego ster pionowy sprawiał, że stawiał czoło bałwanom, nie dając się wziąć z boku. Lotnicy po pewnym czasie nauczyli się obojętnie spoglądać na nadbiegające grzywacze. Edyta, widząc zachowanie się „Kondora” na wzburzonym morzu, także zaczęła nabierać otuchy.

— Jakoś pływamy! — rzekła, uśmiechając się blade.

— „Kondor” jest dzielnym ptakiem! — zawyrokował Hinton. — Możemy czekać, aż burza przeminie.

Inżynier za pomocą radia wysłał w przestrzeń wezwanie o pomoc. Być może w pobliżu znajdował się jaki okręt, który mógłby wyratować z niebezpieczeństwa żeglarzy powietrznych. Ale Jerzy uśmiechnął się pogardliwie.

— Niech mi tylko dadzą baryłkę benzyny! — rzekł.

Zmierzch szybko zapadał. Ciemności powiększyły groźę położenia. Inżynier zapalił sygnałowe latarnie na obu skrzydłach i z tyłu samolotu. Światło kolorowe, skaczące po czarnej jak smoła wodzie, rozbijało się na tysiące płomyków, w które wpatrywała się Edyta. Jakże ten ocean wydawał się jej ponury i groźny! Serce w niej zamierało chwilami. Ale „Kondor”, choć mijała godzina za godziną, opierał się zwycięsko wysokiej fali usiłującej zepchnąć go w odmęty. Nills puścił lekko w ruch motor, śmigło zawarczało i samolot, ślizgając się po bałwanach, posuwał się szparko ku zachodowi.

— Jest to coś pośredniego między lotem a żeglugą — rzekł Edwin, uśmiechając się. — Posuwamy się naprzód dość szybko. Trzeba rzucić log³¹⁹!

Przyrząd ten zastąpiła ćwiartka gazety, którą puścił na wiatr. Pozostała ona szybko w tyle, na podstawie czego Edwin obliczył w przybliżeniu, że „Kondor” robi około trzydziestu węzłów³²⁰.

— Dobre i to! — rzekł. — Nie stoimy przynajmniej w miejscu.

Deszcz lał potokiem. Plusk spływających po dachu kropel mieszał się z szumem śmigła i uderzeniami piany.

— Musimy przenocować na otwartym morzu! — rzekł inżynier. — Niech się pani położy. W razie niebezpieczeństwa obudzimy panią.

Ale Edyta odmówiła stanowczo. Chciała czuć razem ze wszystkimi. Upłynęła godzina z okładem, gdy wtem rozległ się gwizd syreny.

— Pomoc! — zawołał Edwin, zrywając się z fotela.

W ciemności zajaśniał reflektor elektryczny, poszukujący jakby czegoś na morzu. Po pewnym czasie zatrzymał się w miejscu i samolot znalazł się na dnie oślepiającego stożka świetlnego.

— Widzą nas! — zawołał inżynier.

Dostrzegano już latarnie zbliżającego się parowca. Inżynier podał depeszę iskrową. Odpowiedziano mu pytaniem, czego potrzebują. Zamiast: „Ratunku! Wylówcie nas”, jak zamierzał oddepeszować inżynier, Jerzy odpowiedział: „Potrzeba nam benzyny”.

Reflektor zagasł, ale w kwadrans potem rozległ się plusk wiosel. Światło znów zabłysło i nasi lotnicy ujrzeli łódź ratunkową pchaną sześcioma parami wiosel, która zbliżała się do „Kondora”.

Nie mogła jednak podpłynąć za blisko, gdyż wysoka fala groziła zderzeniem z samolotem.

— Czy chcecie się przesiąść na nasz statek, idący do Nowego Jorku? — spytano przez tubę.

Jerzy zwrócił się do towarzyszy:

³¹⁹log — urządzenie służące do pomiaru prędkości jednostki pływającej. Pierwsze logi składały się z elementu pływającego (n.p. kawałka skóry) i zwoju sznura, na którym w równych odległościach zawieszane były węzły (stąd nazwa jednostki prędkości jachtów). Po wrzuceniu części pływającej, żeglarz mierzył (klepsydrą) czas pomiędzy węzłami, określając w ten sposób prędkość ruchu jachtu. Dziś to najczęściej urządzenia elektroniczne (oparte o system GPS lub radar). [przypis edytorski]

³²⁰trzydzięści węzłów — 30 mil morskich na godzinę (ok. 55 km/h). [przypis edytorski]

— Edyto, Edwinie, wysiadajcie! Śmiało skaczcie do wody w pasach korkowych, wylowią was i pojedziecie wygodnie do Nowego Jorku! — zawołał.

Ale Edyta i Edwin pokręcili głowami przecząco.

— Chcemy pozostać z wami do ostatka.

— Namyślcie się dobrze!

— Jużemy się namyślili — odparła Edyta stanowczo.

Airman kiwnął głową.

— Nikt się nie przesiada. Dajcie nam benzyny — odparł.

— Wylówcie sobie baryłkę — odparł głos przez tubę. — Przyczepiamy do niej latarkę elektryczną. Łatwo ją znajdziecie.

Reflektor znowu zgasił. Na powierzchni morza zabłysło słabe światelko. Edwin pochwycił linkę i opasawszy się nią, podał koniec inżynierowi.

— Wylówcie mnie razem z baryłką — rzekł i skoczył odważnie w odmęty.

Za chwilę trzymał sznur, którym omotana była beczułka, i wnet znalazł się znowu na „Kondorze” ze swoją zdobyczą, którą się zaraz zaopiekował Nills.

— Dziękujemy! — krzyknął Jerzy. — Gdzie jesteście?

— O trzysta mil od Long Island, prosto na zachód! — odparł głos przez tubę.

— Przyjmijcie podziękowanie od kapitana „Kondora”, który odbywa podróż naokoło świata — rzucił Airman na pożegnanie.

— Może chcecie eskortę z motorówek?

— Nie potrzebujemy nic więcej. Samolot trzyma się dobrze na fali. Rano będziemy w Nowym Jorku. A burza?

— Z brzegu sygnalizują zmianę pogody na lepsze!

— Niech żyją Stany Zjednoczone! — krzyknął Edwin rozpromieniony. — Ruszajcie w swoją drogę!

W kwadrans potem szalupa, prowadzona przez wiązkę światła elektrycznego, przybiła do trupu parowca rysującego się jak ciemna sylwetka na tle pienistej powierzchni oceanu; wciągnięto ją na pokład i niebawem olbrzym morski, wyrzucając z trzech swoich kominów snopy iskier, zniknął w dali, pozostawiając samolot i jego odważnych lotników sam na sam z nawałnicą. Ta zamiast, jak przepowiadano, zmniejszyć się, rosła w dalszy ciąg. Porywisty wicher groził chwilami „Kondorowi” przewróceniem. Ale Jerzy trzymał się tak, żeby huragan mieć zawsze z przodu.

Oczekiwano z utęsknieniem zorzy porannej. Tymczasem znoszono ze stoicyzmem spływające z nieba strumienie wody. Najbardziej dawały się we znaki Jerzemu rosnące z godziny na godzinę fale, które pod uderzeniami wichru stawały się coraz niebezpieczniejsze. Ich wierzchołki załamywały się jak na płytkim brzegu morskim i co kilka minut grzywa, groźnie zjeżona, spadała na kabinę, gdzie siedział Airman i Nills. Wnętrze jej napępniało się raz po raz wodą, którą mechanik wyczerpywał dużym rondlem aluminiowym, jak mógł najszybciej. Jerzy lękał się, żeby spadające na samolot masy wodne nie uszkodziły skrzydeł. Chwilami chciał się wznieść w powietrze, ale wnet cofał się przed tym zamiarem wobec ulewy istic potopowej.

Niebawem sytuacja stała się krytyczna. Edyta, czując, jak olbrzymie grzywacze, rozhulane na pełnym morzu, miotają „Kondorem”, zaczynała żałować, że nie przesiadła się na parowiec, którego światła od dawna zniknęły.

Od wyjazdu „Kondor” nie znajdował się w takiej opresji, jak w tej chwili. Zdawało się, że potężny żywioł postanowił zgubić go przed samym celem podróży, która była wyzwaniem rzuconym mu zuchwale przez człowieka.

Nills ze swej strony obawiał się, iż woda morska, dosięgnąwszy silnika, mogła uczynić go niezdatnym do dalszego użytku. Utrzymywał więc śmigło w ciągłym ruchu, ażeby uniknąć tej niespodzianki.

— Mamy teraz paliwa na cztery do pięciu godzin — mówił, spoglądając z zadowoleniem na napęlnione świeżo zbiorniki. — Ja bym radził wznieść się w powietrze, gdzie nasz „Kondor” czułby się lepiej niż tutaj. Nie jest on przecież stworzony do pływania jak mewa.

Ale Jerzy wahał się, czekając, aż wicher zmniejszy się cokolwiek. Wreszcie na godzinę przed świtem, kiedy obaj lotnicy zaczęli szczerkać zębami w przejmującym zimnie, huragan

niecو się uspokoił. Potoki deszczu zmniejszyły swą gwałtowność. Nad głowami lotników zamigotało kilka gwiazd.

Burza widocznie mijała.

— Ruszamy! — zawołał kapitan. — Nills, dodaj gazu!

Mechanik nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć. Śmigło zaczęło obracać się z rosnącą szybkością. „Kondor” pomknął żwawo po wierzchołkach bałwanów, dotykając ich tylko piersią, i wnet znalazł się w swoim żywiole.

Musiał walczyć z przeciwnym wiatrem, ale odważnie chwycił się z przeciwnikiem za bary, prowadzony wprawną ręką swego twórcy.

Edyta odetchnęła, widząc, jak wzburzona powierzchnia Atlantyku zostaje coraz niżej. W pół godziny potem deszcz ustał prawie zupełnie i pożeglowano śmiało, kierując się prosto na zachód. Jerzy, dzierżąc ster, wpatrywał się z utęsknieniem w ciemny widnokrąg, rysujący się niewyraźnie w dali.

Nagle ujrzał długie, iskrzące promienie, które ukazywały się, to znów gasły, zakreślając na pokrytej wysoką falą powierzchni morza szybko uciekające łuki srebrzyste.

Była to latarnia morska na wschodnich wybrzeżach Ameryki. Serce zabiło naszemu lotnikowi ze wzruszenia. Znajdował się o kilkadziesiąt mil zaledwie od upragnionego brzegu. Nie mogąc opanować wzruszenia, wydał okrzyk tryumfu tak potężny, że zagłuszył łoskot silnika i dobiegł uszu Edyty, Hintonu i Burnetta, zamkniętych w kabinie. Edwin rzucił okiem przez frontowe okienko i dostrzegłszy także migające światła, powtórzył okrzyk kapitana. Zapanował entuzjizm niesłychany. Przyłgnięto twarzami do szybek, łowiąc chciwie wzrokiem mrugające przyjaźnie światelko, które rosło szybko.

W pół godziny potem, akurat w chwili, kiedy spod widnokregu ukazało się blade słońce, „Kondor” zawisł ponad przepelnionym statkami portem, u wejścia do którego majestatycznie wznosiła się Statua Wolności³²¹. Niebawem ujrano lotnisko i „Kondor”, zakreśliwszy koło ponad nim, dotknął ziemi ojczystej.

Wielka, pełna niebezpieczeństw i wielkich czynów, zapisana złotymi zgłoskami na kartach lotnictwa podróż samolotem naokoło świata była skończona.

*

W trzy dni potem w salach pałacu mister Samuela Hintonu było rojno i gwarno. Oceniając według amerykańskiego zwyczaju gości, którzy brali udział w domowej uroczystości zaślubin młodego milionera z miss Edytą, można było krótko powiedzieć, że „byli oni warci” pięć tysięcy sześćset milionów dolarów; znaczy to, że niemal wszyscy milionerzy wielkiego miasta stawili się w salonach mister Samuela, świętującego podwójne święto. Syn jego bowiem jedyny, Edwin, którego uważano już za straconego dla świata, powracał niejako do życia i w dodatku pojmował za małżonkę siostrę największego dziś człowieka, dobrego geniusza, który przypiął ludzkości silne skrzydła.

„Królowie” żelaza, stali, nafty, tytoniu, cukru ubiegali się, żeby uścisnąć dłoń skromnego człowieka-ptaka. Zarzucano go ofertami co do eksploatacji wynalazku, lecz on odrzucał wszystkie propozycje.

Samuel Hinton był prawie tak samo uszczęśliwiony z wyboru małżonki jak pan młody. Uroczą twarzyczką miss Edyty zjednała sobie powszechne uwielbienie. Panna młoda miała na sobie skromną sukienkę, ubogą w porównaniu do toalet milionerek, przeładowanych klejnotami, ale była bezspornie najpiękniejsza.

Mister Samuel, stosując się do zwyczajów miejscowych, wręczył po powrocie z kościoła młodej synowej podarunek ślubny. Był to po prostu czek na znaczną sumę, w czek zawinięta była wspaniała kolia diamentowa.

Jerzy ze swej strony dał siostrze patent na eksploatację swego wynalazku w Ameryce Północnej.

Edwin tylko nie złożył Edycie żadnego upominku.

³²¹ *Statua Wolności* — monumentalny posąg, znajdujący się w Nowym Jorku (na wyspie koło ujścia rzeki Hudson do Atlantyku), przedstawiający kobietę z pochodnią w jednej ręce i amerykańską deklaracją niepodległości w drugiej. Statua jest alegorią wolności, została подарowana Amerykanom przez Francuzów na pamiątkę koalicji wolnościowej w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

Patrzył na nią z uwielbieniem, a korzystając ze sposobności, szeptał jej jedno jedyne słówko, które ona przyjmowała dziękczynnym, pełnym miłości spojrzeniem.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/uminski-samolotem-dookola-swiata/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Umiński, *Samolotem dookoła świata*, Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej "Nasza Księgarnia", Warszawa 1956.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksander Skrzekut, Aleksandra Sekuła, Rafał Dylong.

ISBN 978-83-288-8097-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).